



W I L B U R
SMITH

G I L E S K R I S T I A N

Złoty lew

W I L B U R
SMITH
G I L E S K R I S T I A N

Złoty lew

Z angielskiego przełożyła
MARIA GĘBICKA-FRĄC



Wydanie elektroniczne

Książkę tę poświęcam Niso.

Od pierwszego dnia naszej znajomości była dla mnie nieustannym i potężnym źródłem inspiracji. Pomagała mi, kiedy zawodziłem, i chwaliła, gdy odnosiłem sukcesy. Naprawdę nie wiem, co bym poczuł, gdyby nie było jej u mojego boku. Mam nadzieję i modlę się, żeby dzień rozłąki nigdy nie nastąpił.

Kocham Cię i podziwiam, najdroższa dziewczyno, choć żadne słowa nie mogą wyrazić jak bardzo.



Już nie byli ludźmi. Byli odpadkami wojny wyrzuconymi przez Ocean Indyjski na czerwone piaski kontynentu afrykańskiego. Ciała większości z nich były poszarpane przez kartacze albo porąbane ostrą bronią przeciwników. Inni utonęli i gazy gnilne w rozdętych brzuchach wyniosły ich z powrotem na powierzchnię, gdzie podskakiwali jak korki. Padlinożerne ptaki i rekiny miały istną ucztę. Nieliczni zostali wyrzuceni przez łamiące się fale na plażę, gdzie z kolei czekały ludzkie drapieżniki, żeby ich obłupić.

Dwóch małych chłopców biegło przed matką i babką wzdłuż skraju wody, piszcząc z podniecenia za każdym razem, gdy odkrywali cokolwiek wyrzuconego przez morze, bez względu na to, czy miało to jakąkolwiek wartość.

– Następny! – zawołał radośnie starszy z chłopców po somalijsku. Wskazał drzewce masztu z długim kawałkiem podartego żagla. Na piasku leżał biały człowiek, przywiązany do drzewca kawałkiem konopnej liny. Chłopcy stanęli nad trupem i zaśmiewali się.

– Ptaki wydziobały mu oko! – krzyknął starszy.

– A ryby odgryzły rękę – dodał młodszy, żeby nie być gorszy. Pas płótna żaglowego był okręcony wokół kikuta jak opaska uciskowa, najwyraźniej założona wtedy, gdy mężczyzna jeszcze żył. Jego wychudłe ciało okrywały strzępy pocerniałego od ognia ubrania.

– Patrz! – wrzasnął starszy chłopak. – Spójrz na sprzączkę na jego pasie. Pewnie jest ze złota albo srebra. Będziemy bogaci. – Ukląkł obok zwłok i szarpnął metalową sprzączkę.

Nagle rzekomo martwy mężczyzna głucho jęknął, przekręcił głowę i jedynym okiem łypnął gniewnie na chłopców. Obaj wrzasnęli z przerażenia, starszy puścił pas i skoczył na równe nogi. Pobiegli do matki i zawodząc z przerażenia, uczepili się jej spódnicy.

Ta, wlokąc za sobą dzieci, podbiegła, żeby obejrzeć łupy. Babka kuśtykała za nimi. Jej córka uklękła obok ciała i mocno uderzyła mężczyznę w twarz. Znowu jęknął.

– Zinky ma rację. *Ferenghi* jeszcze żyje. – Sięgnęła do kieszeni koszuli i wyjęła sierp, którym ścinała trawę dla kurczaków.

– Co chcesz zrobić? – Jej matka sapiała po biegu.

– Poderżnąć mu gardło, to chyba jasne. – Kobieta chwyciła mężczyznę za włosy

i pociągnęła głowę, żeby odsłonić szyję. – Przecież nie chcemy się z nim kłócić o sprzączkę przy pasie. – Przyłożyła zakrzywione ostrze do boku szyi i mężczyzna słabo zakasłał, ale nie stawiał oporu.

– Czeka! – rozkazała ostro babka. – Widziałam tę sprzączkę, kiedy byłam z twoim ojcem w Dżibuti. Ten człowiek jest wielkim panem *ferenghi*. Jest właścicielem statku. Ma ogromne bogactwa. Jeśli ocalimy mu życie, będzie wdzięczny i może da nam złotą monetę albo nawet dwie!

Córka z powątpiewającą miną przez chwilę rozważała propozycję; wciąż trzymała sierp przy gardle.

– A co będzie z tą piękną metalową sprzączką o wielkiej wartości?

– Zatrzymamy ją, oczywiście. – Matka była wyraźnie zirytowana jej głupotą. – Jeśli o nią zapyta, powiemy mu, że nigdy jej nie widziałyśmy.

Córka odsunęła sierp od szyi.

– No to co teraz z nim zrobimy?

– Zabierzemy go do medyka w wiosce.

– Jak?

– Położymy go na tym pasie *lembu*. – Babka wskazała płótno owinięte wokół drzewca. Odwróciła się i surowo spojrzała na wnuków. – Oczywiście chłopcy nam pomogą.

Mężczyzna wrzeszczał w duchu. Struny głosowe miał tak wysuszone, popękane i uszkodzone przez dym i płomień, że jedynym dźwiękiem płynącym z jego ust było żalosne, piskliwe, drżące poświstywanie, jakby powietrze uciekało z dwóch zepsutych miechów.

Był taki czas, zaledwie dwa miesiące temu, kiedy stawiał czoło sztormowi i z dziką radością szczyrzył zęby w uśmiechu, gdy wiatr i rozpylona woda morska uderzały w jego ogorzałą twarz. Teraz jednak, czując ciepły, pachnący jaśminem powiew, który leniwie wpływał do pokoju przez otwarte okna, miał wrażenie, że ciernie drapią żalosne strzępy jego skóry. Cierpiał katusze i choć medyk zdejmował bandaż z jego twarzy z nadzwyczajną delikatnością, przy każdym kolejnym calu odsłoniętego ciała dźgał go następny ostry jak igła sztylet czystego, dojmującego bólu. I z każdym ciosem napływały nowe niechciane wspomnienia bitwy: palący żar i jasność płomieni; ogłuszający ryk armat i płonącego drewna; miażdżący ciężar belki na kościach.

– Przykro mi, ale nic innego nie można zrobić – mruknął medyk, chociaż

człowiek, do którego mówił, niewiele rozumiał po arabsku.

Medyk miał rzadką srebrną brodę i ciężkie ziemiste worki pod oczami. Leczył ludzi przez większą część swego pięćdziesięcioletniego życia i zyskał aurę mądrości i dostojności, która uspokajała i podnosiła na duchu większość jego pacjentów. Ale ten człowiek był inny. Odniósł tak poważne obrażenia, że właściwie nie miał prawa żyć, a cóż dopiero siedzieć prosto na łóżku. Stracił jedną rękę i tylko Allah litościwy wiedział, jak to się stało. Klatka piersiowa po tej samej stronie przypominała beczkę wgniecioną toporem bojowym. Skóra była poparzona i pokryta bąblami. Zapach kwiatów, które w takiej obfitości rosły pod otwartym oknem, nikł w odorze spalonego ciała, a także w wydzielanym przez nie przyprawiającym o mdłości smrodzie ropy i rozkładu.

Ogień nie oszczędził kończyn. Dwa palce ocalałej ręki przemieniły się w poczerniałe kości; medyk odciął je, podobnie jak sześć palców stóp. Mężczyzna stracił lewe oko, wydziobane przez sępy. Prawie cała powieka drugiego spłonęła i teraz patrzył na świat z zimnym nieruchomym skupieniem. Upośledzenie wzroku nie było najgorszą z poniesionych przez niego strat; jego męskość została zredukowana do zwęglonego kikuta lśniącej, sinej tkanki bliznowatej. Kiedy – albo raczej jeśli – wstanie ze swojego łóżka bóleści, będzie musiał kucać jak kobieta, żeby oddać mocz. Jeżeli będzie chciał zaspokoić kochankę, pozostanie mu zrobić to ustami, chociaż szanse, że jakaś kobieta pozwoli mu zbliżyć wargi do swojego ciała, nawet za pieniądze, były znikome.

Możliwe, że ten człowiek przeżył tylko za sprawą woli boskiej. Medyk westchnął i pokręcił głową, przyglądając się ruinie odsłoniętej twarzy. Nie, taka potworność nie mogła być dziełem Allaha, wszechmogącego i miłosiernego. To musiało być dzieło szejtana, diabła we własnej osobie, i siedzący przez nim potwór z pewnością wyglądał nie lepiej niż ucieleśnienie demona.

Dla medyka zgaszenie życia tej szatańskiej istoty, która kiedyś była człowiekiem, byłoby kwestią chwili. Robiąc to, zapobiegłby koszmarom, jakie ten potwór z pewnością spowoduje, jeśli pozwoli mu się błąkać po świecie. Miał słodką, gęstą jak syrop tynkturę, która uśmierzyłaby ból nękający mężczyznę, po czym go uśpiła, a następnie z delikatnością dotyku kobiecej ręki na zawsze zatrzymała jego serce. Ale sam maharadża Sadyk Chan Jahan przysłał z Etiopii wiadomość, że tego człowieka należy dostarczyć do jego prywatnej rezydencji na Zanzibarze i otaczać nadzwyczajną troską.

Jahan zaznaczył, że przeżycie pożaru, amputacji ręki, utraty oka, długiego czasu spędzonego w morzu i wielu godzin albo dni w palących promieniach słońca, zanim miejscowe dzieci znalazły go na plaży, musiało być aktem opatrności boskiej.

Dodał, że jeśli pacjent przeżyje, jego uzdrowiciel zostanie hojnie wynagrodzony, lecz jeśli umrze, spotka go surowa kara. Medyk wiele już razy dyskretnie skracał cierpienia pacjentów, uwalniając ich od udręki, ale ten człowiek z całą pewnością do nich nie należał. Ten człowiek będzie żył. A on musiał się o to postarać.

Mężczyzna nie tyle widział, ile odbierał wrażenie migotania światła. Po każdym obrocie ręki lekarza wokół jego głowy, gdy ubywała kolejna warstwa bandaża, światło stawało się coraz jaśniejsze. Uświadomił sobie, że blask dociera do niego tylko przez prawe oko. Lewe było ślepe, ale wciąż czuł jego obecność, jakby padło ofiarą ataku dokuczliwego swędzenia. Próbował mrugnąć, lecz zareagowała tylko prawa powieka. Uniósł lewą rękę, żeby potrząsnąć oko, ale ręki nie było. Na sekundę zapomniał, że stracił ją dawno temu. Gdy tylko sobie o tym przypomniał, natychmiast poczuł nieprzyjemne łaskotanie kikuta. Uniósł prawą rękę, ale nagle unieruchomiła ją silna, sucha, koścista dłoń i znowu usłyszał głos medyka. Nie rozumiał ani słowa, chociaż ogólne znaczenie było dość jasne: nawet o tym nie myśl.

Poczuł chłodny kompres na oczach, nieco łagodzący swędzenie. Gdy został zdjęty, powoli odzyskał wzrok. Zobaczył okno i za nim błękit nieba. Pochylał się nad nim podstarzały Arab w białych szatach i turbanie, jedną ręką rozwijając bandaż i zbierając go drugą. Dwie ręce, dziesięć palców; dziwnie było patrzeć na nie z taką zazdrością.

W pokoju był jeszcze ktoś, znacznie młodszy mężczyzna stojący za plecami medyka. Delikatność jego rysów i odcień skóry mówiły o Indiach, ale nosił białą bawełnianą koszulę skrojoną w europejskim stylu, wetkniętą w spodnie. Musiał mieć w żyłach domieszkę krwi białych, bo azjatycki brąz jego skóry został rozjaśniony przez bladoróżowy odcień.

Mężczyzna siedzący na łóżku spojrzał na niego i spróbował zapytać: „Mówisz po angielsku?”.

Ale słów nie było słyhać. Głos był ledwie szeptem. Mężczyzna skinął złamanym palcem prawej ręki, każąc mieszkańcowi podejść bliżej. Ten posłuchał; wyraźnie dokładał starań, żeby nie okazać głębokiej odrazy, gdy zbliżał się do okaleczonego człowieka.

– Mówisz po angielsku? – powtórzył mężczyzna.

– Tak, panie.

– W takim razie powiedz temu parszywemu Arabowi... – Urwał, żeby zaczerpnąć tchu. Skrzywił się, gdy w jego spustoszonych przez dym i płomień płucach zarzęziło. – Niech przestanie się tak cholernie cackać z tymi bandażami. – Po kolejnym oddechu nastąpiło krótkie, ostre sapnięcie z bólu. – I po prostu ściągnie to cholerstwo.

Młodzieniec przełożył jego słowa i tempo zdejmowania bandaża znacząco wzrosło. Ręce medyka stały się bardziej szorstkie, gdy przestał zawracać sobie głowę subtelnościami. Najwyraźniej tłumaczenie było dosłowne.

Ból się nasilił, ale mężczyzna na łóżku zaczynał odczuwać perwersyjną przyjemność ze swojego cierpienia. Zdecydował, że ból jest siłą – nieróżniącą się od wiatru czy morza – z którą może się zmierzyć i wygrać. Nie zostanie przez nią pokonany. Czekał, aż z jego głowy zostanie zdarty ostatni strzęp cuchnącego płótna, lepkiego od krwi i strzępów skóry, i wtedy powiedział:

– Każ mu przynieść lustro.

Młodzieniec szeroko otworzył oczy i zwrócił się do medyka, ale ten pokręcił głową i zaczął szybko trajkotać znacznie wyższym głosem. Młody człowiek wyraźnie miał kłopoty ze zrozumieniem. W końcu wzruszył ramionami, zamachał rękami w geście rozdrażnienia i porażki, po czym wrócił do łóżka.

– Mówi, panie, że tego nie robi.

– Jak masz na imię, chłopcze? – zapytał ranny mężczyzna.

– Althuda, panie.

– Słuchaj, Althudo, powiedz temu upartemu sukinsynowi, że jestem znajomym... nie, towarzyszem broni Ahmeda El Granga, króla Omańczyków, a także maharadży Sadyka Chana Jahana, młodszego brata samego Wielkiego Mogoła. Powiedz mu, że obaj cenią wyświadczone im przeze mnie przysługi i poczują się niezmiernie obrażeni, jeśli usłyszą, że jakiś chuderlawy stary rzeźnik odmawia spełnienia mojej prośby. A potem mu powiedz, po raz drugi, żeby przyniósł to cholerne lustro.

Mężczyzna opadł na poduszki, wyczerpany swoją diatribą, i patrzył, jak mieszaniec przekazuje jego słowa medykowi, którego postawa zmieniła się, jakby uległ jakimś czarom. Arab zgiął się w uniżonym ukłonie, przemknął przez izbę z prędkością imponującą u tak sędziwego człowieka i wrócił znacznie wolniej z dużym

owalnym zwierciadłem w jaskrawej mozaikowej ramie. Lustro było ciężkie, więc potrzebował pomocy Alhudy, żeby trzymać je nad łóżkiem pod takim kątem, aby pacjent mógł się w nim przejrzeć.

Przez chwilę mężczyzna był zszokowany tym, co zobaczył. Tęczówka ślepego oka stała się martwą plamą błękitu otoczoną kulą przekrwionej bieli. Przez makabryczną dziurę wypaloną w policzku pod okiem, dużą jak kobieca pięść, było widać kość szczęki i zęby. Włosy zostały spalone z wyjątkiem jednej małej rudej kępki tuż nad prawym uchem. Skórę czaszki pokrywały strupy i otwarte rany. Wyglądał jak trup, który dwa tygodnie leżał w ziemi. Ale może właśnie tak powinien wyglądać, pomyślał, w zasadzie bowiem już nie żył. Kiedyś miał ogromny apetyt na życie. Nurzał się w przyjemnościach, pił, chędożył, grał, walczył, brał wszystko, co mu wpadło w ręce. Teraz jego ciało przemieniło się w ruinę, a serce stało się zimne jak grób. A jednak nie wszystko przepadło. Miał w sobie siłę, która, jak czuł, wzrastała, żeby zastąpić jego dawne żądze i impulsy. Była potężna niczym wielka wezbrana rzeka, niosąca nie wodę, lecz żółć. Zalewała go powódź gniewu, goryczy, nienawiści i przede wszystkim przemożnego pragnienia zemsty na człowieku, który doprowadził go do tego żalosego stanu.

Wbił w Alhudę zdrowe oko i powiedział:

– Pytałem cię o imię, ale czy ty znasz moje?

– Nie, panie.

Grymas wykrzywił twarz mężczyzny w upiornej parodii uśmiechu.

– W takim razie ci powiem. Nazywam się Angus Cochran. Jestem dumnym Szkotem i noszę tytuł hrabiego Kumbrii.

Chłopiec, rozpoznając nazwisko, z przerażenia szeroko otworzył oczy.

– Jesteś... Jesteś tym, którego ludzie zwą Myszołowem – szepnął.

– Tak. A skoro to wiesz, może też słyszałeś o sprawcy mojego nieszczęścia, o zarozumiałym angielskim młokosie znanym jako Hal Courtney. Hm... widzę, że to też brzmi znajomo, prawda?

– Tak, panie.

– W takim razie coś ci powiem, chłopcze. Zamierzam znaleźć Courtneya bez względu na to, ile czasu mi to zajmie i jak daleko będę się musiał udać. Zamierzam położyć go trupem i pławić się w jego krwi.

Bitwa na Płaskowyżu Kebassa w północno-wschodniej Etiopii trwała od świtu po ostatnie światło dnia. Teraz jej zgiełk ucichł, zastąpiony przez triumfalne okrzyki zwycięzców, rozpaczliwe błaganie pokonanych wrogów o łaskę, żalosne prośby rannych o wodę albo, jeśli czyjś koniec był bliski, o matkę. Armia etiopskich chrześcijan zadała trzecią i tym razem druzgoczącą klęskę muzułmańskiej czeredzie, która została zebrana na rozkaz samego Wielkiego Mogoła, żeby najechać ich ziemie. Radość z dwóch pierwszych zwycięstw była przedwczesna i zrodzone przez nie poczucie bezpieczeństwa szybko okazało się złudne. Ale to zwycięstwo było ostateczne i nie budziło najmniejszych wątpliwości. Siły wroga zostały rozgromione na lądzie, a statki z posiłkami i zaopatrzeniem, które ośmieliły się przepłynąć przez Morze Czerwone z Adenu na wybrzeża Erytrei, zostały zatopione przez okręt, który samodzielnie władał tymi wodami, angielską fregatę *Golden Bough*. Okręt miał upoważnienie do żeglowania w pogoni za zyskiem. Kapitan dowodził nim w służbie wolności, a także ochrony najważniejszej relikwii w Etiopii i wręcz w całym świecie chrześcijańskim: Tabernakulum, w którym Żydzi przenosili kamienne tablice zniesione przez Mojżesza z góry Syjon i gdzie podobno znajdował się sam Święty Graal.

Za liniami etiopskimi wznosił się wielki namiot. Na straży u jego wejście stała kompania wojowników w stalowych hełmach i napierśnikach. Wewnątrz wisiały cenne gobeliny przedstawiające sceny z życia Chrystusa. Zostały utkane z jedwabiu i w migotliwym blasku tuzina płonących pochodni i niezliczonych świec ich kolory połyskiwały niczym szlachetne kamienie, podczas gdy aureola wokół głowy Zbawiciela lśniła niemi ze szczerego złota.

Pośrodku namiotu stał duży stół z makietą pola bitwy i okolicznych terenów. Wzgórza zostały oddane w wiernych topograficznych szczegółach; strumienie, rzeki i jeziora były niebieskie, podobnie jak skraj makiety, ponieważ obrazował morze. Misternie wyrzeźbione figurki piechurów, jeźdźców i armat symbolizowały jednostki piechoty, kawalerii i artylerii po obu stronach linii frontu. Z samego rana ustawiono je w taki sposób, żeby idealnie odzwierciedlały rozlokowanie dwóch armii, ale teraz większość figurek sił arabskich leżała przewrócona albo została usunięta ze stołu.

W namiocie panowała stonowana atmosfera. Wysoki, imponujący mężczyzna w szatach duchownego rozmawiał z grupą starszych oficerów. Jego siwa broda spływała niemal do kolan, a klatka piersiowa była przyozdobiona złotymi krzyżami i

różańcami, a także medalami i insygniami rangi. Niski pomruk męskich głosów kontrastował z wysokimi piskami podekscytowania i zadowolenia płynącymi z sąsiedztwa stołu.

– Trach! Trach! Bierz to! – krzyczał mały chłopiec. W ręce trzymał figurkę etiopskiego kawalerzysty siedzącego na potężnym ogierze i machał nią nad narożnikiem stołu, przewracając figurki Arabów, które jeszcze ostały się po bitwie.

Strażnik odchylił skrzydło namiotu i wpuścił żołnierza w kolczudze i białym płóciennym kaftanie, który najwyraźniej zaprojektowano bardziej dla podkreślenia szczupłej, gibkiej sylwetki niż dla zapewnienia jakiegokolwiek ochrony.

– Generał Nazet! – krzyknął chłopiec, ciskając żołnierzyka. Pobiegł po dywanie, żeby się rzucić na zakute w stal nogi, na których wciąż połyskiwały wilgotne szkarłatne bryzgi krwi wroga. Ścisnął nogi generała tak mocno, jakby się tulił do miękkiego łona matki.

Przybysz zdjął hełm z pióropuszem, odsłaniając gęste czarne włosy. Gdy szybko potrząsnął głową, kędziory jakby ożyły, tworząc puszysty krąg. Złoty blask świec podkreślił nieprawdopodobne podobieństwo jego włosów do aureoli na pobliskich gobelinach. Na gładkiej bursztynowej twarzy z wąskim, niemal filigranowym nosem i delikatnym zarysem szczęki nie było śladu potu czy brudu.

– Wasza Wysokość, mam zaszczyt cię powiadomić, że twoja armia odniosła ostateczne zwycięstwo – oznajmiła generał Nazet, a w jej łagodnym, cichym głosie nie było nuty napięcia czy zmęczenia. – Wróg został rozgromiony, jego siły są w odwrocie.

Jego Chrześcijańska Wysokość, Ijasu, Król Królów, Władca Galli i Amhary, obrońca Wiary Chrystusa Ukrzyżowanego, puścił nogi kobiety generała, cofnął się o krok, po czym zaczął skakać, klaszcząc w ręce i krzycząc z radości. Wojskowi podeszli i pogratulowali swojej towarzyszce w bardziej powściągliwy sposób – uściskami dłoni i poklepywaniem po ramieniu, natomiast ksiądz udzielił jej błogosławieństwa i zmówił dziękczynną modlitwę.

Generał Nazet przyjęła podziękowania ze spokojnym wdziękiem.

– A teraz, Wasza Wysokość, chciałabym prosić o uprzejmość. Już wcześniej zrezygnowałam ze stanowiska dowódcy twoich sił zbrojnych, ale okoliczności się zmieniły. Cesarz i kraj mnie potrzebowali i sumienie nie pozwoliło mi odwrócić się plecami do obowiązku. Dlatego włożyłam zbroję i po raz kolejny podniosłam miecz. Byłam żołnierzem i wypełniałam twoje rozkazy. Ale jestem również kobietą, Wasza Wysokość, i należę do innego mężczyzny. Pozwolił mi wrócić do twojej służby, a teraz

za twoją zgodą chciałabym wrócić do niego.

Chłopiec patrzył na nią i w zadumie ściągnął brwi.

– Czy tym mężczyzną jest kapitan Courtney? – zapytał.

– Tak, Wasza Wysokość – odparła Judith Nazet.

– Anglik o dziwnych oczach, które są zielone jak liście na drzewie?

– Tak, Wasza Wysokość. Pamiętasz, że przyjąłeś go do Zakonu Złotego Lwa Etiopii w nagrodę za odwagę i służbę naszemu narodowi?

– Tak, pamiętam – odparł chłopiec niespodziewanie smutnym głosem. – Zamierzacie zostać mamą i tatą? – zapytał. Ściągnął i przekrzywił usta, próbując zrozumieć, dlaczego nagle poczuł się bardzo nieszczęśliwy. – Może oboje z kapitanem Courtneyem zamieszkacie w pałacu i będziecie dla mnie jak mama i tata?

– Wasza Wysokość, naprawdę nie sędzę, żeby... – zaczął duchowny.

Chłopiec jednak nie słuchał. Całą uwagę skupiał na Judith Nazet, która przykucnęła i wyciągnęła do niego ręce. Znowu do niej podszedł, tym razem jak dziecko do matki, objął ją i złożył głowę na jej ramieniu.

– Już dobrze – szepnęła. – Nie martw się. Chciałbyś zobaczyć statek kapitana Courtneya?

Bez słowa pokiwał głową.

– Może będziesz mógł wystrzelić z armaty. Byłoby zabawnie, prawda?

Ijasu skinął głową wspartą na jej ramieniu i oderwał twarz od fałdów kaftana. Spojrzał na Judith i cicho zapytał:

– Odpłyniesz z kapitanem Courtneyem, prawda?

– Tak.

– Nie odchodź, proszę – powiedział, po czym z rozpaczliwą determinacją krzyknął: – Rozkazuję ci zostać! Musisz mnie słuchać! Powiedziałaś, że musisz!

Tama pękła i ze szlochem padł na jej ramię. Duchowny zrobił krok w stronę swojego młodego pana, ale Judith uniosła rękę.

– Chwileczkę, biskupie. Ja się tym zajmę.

Pozwoliła Ijasu się wypłakać. W końcu chłopiec się uspokoił i wytarł oczy i nos w jej kaftan.

– Wiesz, że bardzo cię lubię, Wasza Wysokość – odezwała się.

– Wiem.

– I jeśli nawet odejdę, bez względu na to jak daleko, zawsze będę cię lubić i o tobie pamiętać. I pomyśl, jeśli pojedę do krajów tak odległych jak Anglia czy Francja,

będę pisać i opowiadać ci o wszystkich cudownych rzeczach, które tam zobaczę.

– Obiecujesz do mnie pisać?

– Daję ci słowo żołnierza, Wasza Wysokość.

– A gdy wejdę na okręt, kapitan Courtney pozwoli mi strzelić z armaty?

– Rozkażę mu to zrobić. Ponieważ jestem generałem, a on tylko kapitanem, będzie mnie musiał posłuchać.

Cesarz Ijasu po chwili namysłu westchnął z zadumą, odwrócił się od Judith.

– Biskupie Fasilidesie, racz, proszę, powiedzieć generał Nazet, że ma moją zgodę na wyjazd.

Uzbrojony statek kupiecki *Diuk of Cumberland*, nazwany na cześć pierwszego gubernatora Kompanii Kupców Londyńskich handlujących z Indiami Wschodnimi, znajdował się o czterdzieści dni żeglugi od Bombaju. Zmierzał do portu w Londynie, skąd setki ton saletry, którą przewoził w ładowniach, miały po rozładunku trafić do królewskiej zbrojowni w pałacu Greenwich. Tam zostaną zmieszane z siarką i węglem drzewnym, żeby dostarczyć proch wojskom lądowym i siłom morskim Jego Królewskiej Mości Karola II. Na rufie statku, gdzie znajdowały się kwatery kapitana, były też kajuty dla starszych oficerów i ważnych pasażerów, którzy akurat przebywali na pokładzie. W jednej z nich klęczał mężczyzna z rękami złożonymi w modlitwie i zamkniętymi oczami, prosząc o zgodę na popełnienie morderstwa.

Nazywał się William Pett. Wszedł na pokład z dokumentami, w których figurował jako starszy urzędnik Kompanii Wschodnioindyjskiej. Papiery zawierały adnotację, że każda osoba zaangażowana w interesy Kompanii ma mu zapewnić wszelką potrzebną pomoc, umożliwiając mu wypełnianie obowiązków. Podczas kolacji wydanej przez Geralda Aungiera, pierwszego gubernatora Bombaju, Pett zagadnął Ruperta Goddingsa, kapitana *Diuka of Cumberland*. Wyjaśnił, że zakończył swoje sprawy obejmujące negocjacje z portugalskimi i hinduskimi notablami, i dał do zrozumienia, że były one delikatnej natury.

– Jestem pewien, że rozumie pan potrzebę zachowania dyskrecji – dodał tonem, jakim jeden światowiec zwraca się do drugiego.

Goddings, potężnie zbudowany, energiczny, pewny siebie mężczyzna z zakręconymi okazałymi czarnymi wąsami, który od lat był kapitanem na statkach kupieckich i zajmował się handlem, dorobił się znacznej fortuny. Był doskonałym żeglarzem, do tego dzielny, choćby tylko dlatego, że brakowało mu wyobraźni, żeby się bać. Ale nawet przyjaciele nie nazwaliby go tęgą głową. Teraz zrobił stosownie zdumioną minę i odparł:

– Otóż to, otóż to... Niektórych z tych Hindusów łatwo obrazić, a Portugalczycy są niewiele lepsi. Wszystko przez te korzenne potrawy, moim zdaniem. Rozgrzewają krew.

– Oczywiście wysyłałem do kraju regularne raporty podsumowujące postępy naszych rozmów – podjął Pett. – Ale teraz, gdy rozmowy dobiegły końca, ważne jest, żebym jak najszybciej wrócił i szczegółowo omówił ich przebieg z moimi zwierzchnikami.

– Oczywiście, to najzupełniej zrozumiałe. Jest rzeczą podstawową, żeby Kompania na bieżąco otrzymywała informacje. Zatem zależy panu na koi na *Kielbasie*, jak mniemam.

Pett przez chwilę był zbity z tropu.

– Wybacz pan, kapitanie, na kielbasie? Niezupełnie rozumiem.

Goddings się roześmiał.

– Na Boga, panie, nie wątpię! To od Cumberlandu, rozumie pan? Wyrabiają tam kielbasy, przynajmniej tak słyszałem. Sam pochodzę z Devonshire. Tak czy owak, właśnie dlatego *Diuk of Cumberland* jest od dawna nazywany *Kielbasą*. Dziwne, gdy się nad tym zastanowić, że panu, który wszak jest człowiekiem Kompanii, nic o tym nie wiadomo.

– Cóż, zawsze bardziej interesowały mnie sprawy finansowe i administracyjne niż te dotyczące żeglugi. Ale w odpowiedzi na pańskie uprzejme zaproszenie, tak, będę bardzo wdzięczny za koję. Oczywiście mam środki, żeby zapłacić za podróż. Czy sześćdziesiąt gwinei wystarczy?

– Z pewnością – odparł Goddings, myśląc, że pan Pett naprawdę musi być ceniony przez Kompanię, skoro pozwalają mu wydawać takie pieniądze. – Zapraszam na pokład!

Pett się uśmiechnął, myśląc o tym, jak łatwo będzie zarobić pięćset gwinei, które zostaną mu wypłacone za zabicie Goddingsa. Już podczas tej krótkiej rozmowy stało się jasne, że Goddings jest ofiarą czegoś, co zauważył u wielu głupich ludzi: absolutnej nieświadomości własnej głupoty. Ta błoga ignorancja prowadzi do fatalnej w skutkach nadmiernej pewności siebie. Kapitan wierzył na przykład, że może przyprawić rogi podstarzałemu dyrektorowi Kompanii, bezczelnie uwodząc na oczach ludzi jego znacznie młodszą żonę, i że ujdzie mu to na sucho. Przed odejściem z tego świata odkryje, jak bardzo się mylił.

Po zaokrętowaniu Pett się nie śpieszył z wykonaniem swojego ruchu przeciwko kapitanowi. Najpierw musiał przywyknąć do życia na statku, a także dowiedzieć się jak najwięcej o załodze – o przyjaźniach, sojuszach, wrogości i napięciach, które zamierzał wykorzystać podczas realizacji planu. Co więcej, czekał na sygnał, bo bez tego nie mógł zabić. Cekał na rozbrzmiewający w jego głowie głos niebiańskiego posłańca, którego znał tylko jako Świętego i który w końcu przybędzie, by go zapewnić, że ofiara zasłużyła na śmierć i że on, William Pett, zostanie nagrodzony w niebie za swoje wysiłki mające na celu oczyszczenie ziemi z grzechu.

Nocami sypiał na drewnianej koi, która żeby zapobiegać kołysaniu, zwisała z haków wbitych w belki biegnące pod sufitem kajuty. Klęczał przy koi, gdy obecność Świętego wypełniła jego umysł i duszę – w rzeczy samej całą jego istotę – świadomością, że jest błogosławiony i że cała kompania aniołów czuwa nad nim i go chroni. Podczas tych wizji Pett doświadczał rozkosznej ekstazy większej, niż kiedykolwiek zaznał z kobietą.

Gdy wstał, radość przepelniała jego serce, ponieważ dzisiejszego wieczoru miał wykonać dzieło boże.

Wybraną przez niego bronią był najzupełniej zwyczajny nóż; dyskretnie zabrał go ze stołu, przy którym co wieczór zasiadał do kolacji z Goddingsem i starszymi oficerami. Ostrzył go na wykradzonej ze schowka osełce, aż stał się ostry jak sztylet. Zaplanował, że kiedy zabije nim Goddingsa, wykorzysta zamieszanie, jakie wybuchnie po znalezieniu ciała, i podrzuci nóż do rzeczy osobistych ponurego, nielubianego midszypmena, który z powodu swojej nieudolności i paskudnego charakteru wiele razy naraził się na gniew kapitana. Nikt nie będzie miał wątpliwości, że chciał się zemścić, i nikt nie odezwie się w jego obronie, chociaż Pett miał zamiar to zrobić – po tym, jak sprawiedliwość zostanie wymierzona w trybie doraźnym. Tym jednak zajmie się później. Teraz schował nóż do prawej kieszeni spodni, wyszedł ze swojej kajuty i zapukał do drzwi kajuty kapitana.

– Wejść! – zawołał Goddings, niczego nie podejrzewając, gdyż mieli w zwyczaju co wieczór wypijać szklaneczkę brandy, omawiając wydarzenia dnia na pokładzie statku, rozprawiając nad coraz większą potęgą i bogactwem Kompanii Wschodnioindyjskiej – ze szczególnym naciskiem na to, co można by zrobić, żeby mieć w nim większy udział – i ogólnie rzecz biorąc, nad naprawianiem świata.

Rozmawiali i sączyli brandy jak dwóch przyjaciół, ale Pett przez cały czas wypatrywał chwili do zadania ciosu. Nagle Święty, jak zawsze, zapewnił mu idealną okazję. Goddings, już lekko zamroczony alkoholem, objedzony znacznie bardziej niż Pett, który dyskretnie ograniczył konsumpcję do minimum, wstał z krzesła, żeby przynieść więcej brandy z drewnianej skrzyni podzielonej na sześć przegródek zawierających kryształowe karafki pełne różnych trunków.

Kapitan, odwrócony plecami, przeglądał karafki, szukając brandy, zupełnie nieświadom poczynań Petta, który podniósł się bezgłośnie, wyjął nóż z kieszeni i ruszył ku niemu przez kajutę. W ostatniej chwili, gdy miał wbić ostrze w prawą nerkę Goddingsa, ten się odwrócił.

Dla Petta w takich chwilach czas jakby się zatrzymywał. Rejestrował każdy ruch ofiary, jakkolwiek drobny, każdy oddech, każdą zmianę wyrazu twarzy. Goddings szeroko otworzył oczy i patrzył w bezgranicznym zdumieniu i całkowitym zaskoczeniu jak człowiek, który po prostu nie może zrozumieć, co się dzieje. Pett zadał w jego mięsisty brzuch trzy ciosy, mocne i szybkie. Kapitan był zbyt zszokowany, żeby krzyknąć na alarm czy choćby wrzasnąć z bólu. Patrząc bezradnie na szkarłatną krew zalewającą jego białą kamizelkę, zmoczył się ze strachu i kiedy plama moczu rozprzestrzeniała się na spodniach, zakwilił jak osesek.

Resztką sił spróbował się bronić. Rzucił karafką i chybił – Pett bez trudu się uchylił. Karafka uderzyła w latarnię zwisającą z niskiej belki i strąciła ją z kołka na sekretarzyk, na którym leżał otwarty dziennik okrętowy i mapa. Olej z latarni i brandy z karafki są wysoce łatwopalne, podobnie jak papierowe dokumenty, więc wkrótce ogień pomykał po lakierowanym drewnie sekretarzyka i w strumieniach płonącego płynu rozlewał się po podłodze kajuty.

Pett się nie poruszył. Wciąż się rozkoszował tym, czego dokonał. Płomienie trzeszczały, dym wypełnił powietrze, on jednak stał bez ruchu, z galopującym tętnem i szybkim, urywanym oddechem, podczas gdy kapitan w cierpieniu przeżywał ostatnie sekundy swojego życia. Wreszcie nadeszła chwila śmierci dla Goddingsa i ekstatycznego spełnienia dla jego zabójcy, który, jakby wyrwany z transu, przystąpił do działania.

Doskonale wiedział, że ogień jest najgroźniejszym ze wszystkich niebezpieczeństw na morzu, a statek przewożący saletrę i proch do swoich armat jest pływającą bombą. Lont został zapalony, Pett musiał zatem jak najszybciej uciec z *Diuka of Cumberland*. Goddings, tak jak on, sypiał w koi. Była drewniana i mogła służyć jako prowizoryczna tratwa ratunkowa. Szybko, ale bez cienia paniki, Pett zdjął ją z haków i zaniósł do iluminatora na rufie. Wybił szyby, a następnie wyrzucił koję na zewnątrz. Chwilę później wspiął się i nie bacząc na kaleczące go odłamki szkła, rzucił się w ciepłe nocne powietrze.

Gdy spadał ku rozmigotanej czerni morza, miał niewielkie pojęcie, gdzie jest, poza tym, że gdzieś pomiędzy Indiami a Przylądkiem Dobrej Nadziei. Nie był pewien, czy zdoła znaleźć koję ani czy w ogóle jeszcze unosi się ona na powierzchni morza. Nie wiedział, jakie stwory morskie mogą się czaić w głębinach, gotowe go zaatakować, zabić i pożreć. Co więcej, nie umiał pływać.

Nic z tego nie miało znaczenia, najmniejszego. William Pett odpowiedział na

głos Świętego. Wypełniał wolę boską. Dlatego nie może go spotkać żadna krzywda.
Był tego absolutnie pewien.

Gdy pierwsze promienie porannego słońca rzuciły miękki pomarańczowy blask na port w Mitsiwie, duma etiopskiej floty stała na kotwicy pod radośnie powiewającą flagą Korony Brytyjskiej – sztandarem jego ojczyzny. Fregata *Golden Bough* została zbudowana na rozkaz George'a, wicehrabiego Wintertona, za oszałamiającą cenę prawie dwóch tysięcy funtów. Winterton już posiadał sporą prywatną flotę statków handlowych i okrętów korsarskich. Zlecając budowę *Golden Bough*, chciał zapewnić swojemu ukochanemu synowi Vincentowi przyzwoity statek, żeby mógł godnie kontynuować żeglarskie tradycje rodziny i powiększać to, co już było jedną z największych fortun w Anglii.

Teraz Vinny Winterton spoczywał pogrzebany na wybrzeżu Laguny Słonia nad Oceanem Indyjskim, kawałek na północ od Przylądka Dobrej Nadziei, zabity w pojedynku, który tak naprawdę był zwykłym morderstwem. Obecna funkcja *Golden Bough*, jako okrętu flagowego i jedynej walczącej jednostki w afrykańskiej flocie, była tak samo niezaplanowana przez wicehrabiego jak śmierć syna. Statek, smukły i przyjemny dla oka jak koń wyścigowy czystej krwi, ciął wodę z nieczęsto spotykaną prędkością i gracją. Na otwartym morzu z postawionymi żaglami i pomyślnym wiatrem mógł uciec każdemu okrętowi wojennemu, który miał nad nim przewagę ognia, i dopędzić każdy, który jej nie posiadał. I jak koń pod zwycięskim dżokejem, *Golden Bough* była źródłem satysfakcji dla wprawnego i dzielnego kapitana, mógł bowiem żeglować ostro na wiatr, podczas gdy inne jednostki brnęły ociężale albo były zmuszone zmienić kurs.

W ciągu miesięcy dowodzenia *Golden Bough* podczas pokoju i w walce, na wodach spokojnych jak młyńskie stawy i w miotanych przez sztormy, Hal Courtney poznał swój statek od zęzy i balastu po bukszpryt i ster. Dokładnie wiedział, jak wycisnąć z niego ostatni węzeł i jak najlepiej go przygotować na niebezpieczeństwa, które z pewnością napotka. Wiedział, że każdy kapitan musi znaleźć złoty środek pomiędzy siłą ognia uzyskaną dzięki dodatkowym działom a ciężarem zwiększającym wyporność statku. Jedni woleli mieć mniej dział w zamian za szybkie, bardziej zwrotne statki, inni zaś lubili polegać na sile rażenia. On na *Golden Bough* miał i prędkość, i uzbrojenie. Do oryginalnych dział, w które został uzbrojony okręt, dodał najlepsze egzemplarze zdobyte podczas niezliczonych potyczek. Teraz miał do dyspozycji śmiercionośny asortyment armat, od potężnych kolubryn, których długie na dwanaście stóp lufy wystrzeliwały kule ważące prawie dwadzieścia funtów i mogły

strzaskać maszt, do znacznie mniejszych, ale równie zabójczych falkonetów i działek relingowych zwanych mordercami, ładowanych kartaczami i strzelających z bliska do wrogów, którzy próbowali abordażu. *Golden Bough* miała ostre zęby i szybkie kończyny. I właśnie dlatego kapitan ją uwielbiał.

Naturalnie chciał, żeby jedna z wielkich miłości jego życia prezentowała się jak najlepiej, kiedy zostanie przedstawiona drugiej. Cztery miesiące wcześniej Judith Nazet gościła na pokładzie *Golden Bough* podczas spokojnej podróży na północ wzdłuż wschodniego wybrzeża Afryki. Płynęli do Anglii przez zatokę, gdzie była ukryta fortuna rodziny Hala. Rejs został wprawdzie przerwany, kiedy posłaniec, który dopłynął na dławie, przekazał rozpaczliwą prośbę cesarza, ale w czasie paru dni, które Judith spędziła na *Golden Bough*, załoga zaczęła ją uwielbiać niemal tak jak Hal. Marynarze podziwiali jej osiągnięcia na polu bitwy i zakochali się w pięknej kobiecie, jaką się stała, kiedy odłożyła miecz i zbroję. Teraz, gdy Hal rozkazał, aby przygotowano okręt na jej powrót, dodając, że chce, by wyglądał jeszcze lepiej niż w dniu, kiedy po raz pierwszy wyszedł w morze, jego ludzie z chęcią zabrali się do pracy.

Przez cały tydzień wisieli na linach, skrobiąc i smołując kadłub oraz wbijając nowe gwoździe w deski, tak by nie pozostał najmniejszy ślad po miesiącach służby morskiej *Golden Bough*, po wystrzelonych salwach, odpartych abordażach, spalonym drewnie i przelanej krwi. Każdy kawałek drewna doczekał się uwagi, naprawiany, wymieniany, skrobany, uszczelniany, smołowany, smarowany i malowany. Jabłka na szczytach masztów zostały wypastowane na czarno, a sztaksle dziobowe i rufowe wraz z grotzagleem zdjęto do reperacji. Marynarze nasmołowali liny, wypolerowali kolubryny i rozpięli markizy na pokładzie, żeby zapewnić cień gościom honorowym. Zdrapali każdą plamkę rdzy czy krwi z kordów, lanc i toporów abordażowych, a muszkiety i działka relingowe wypolerowali tak, że ich blask w palących promieniach tropikalnego słońca oślepił.

Jedna w szczególności plama krwi dała im się we znaki – zostawiona przez pechowego arabskiego wojownika, z bliska trafionego w udo przez kulę z muszkietu. Kula rozerwała arterię i spowodowała wytrysk szkarłatnej fontanny. Krew głęboko wsiąkła w dębowe deski, szpecąc pokład rufowy tuż za grotmasztem. Hal kazał ludziom splukać go i szorować, aż w końcu zmywali go własnym potem, ale na deskach wciąż widniało ciemne odbarwienie w miejscu, gdzie krew wsiąkła najgłębiej. Port w Mitsiwie otaczały piaszczyste plaże, więc Hal wysłał grupę ludzi na brzeg, żeby załadowali wiadra ostrym piaskiem do przeszorowania desek i zdarcia warstwy

drewna wraz z plamą.

Stał na pokładzie, gdy ludzie pracowali długo w nocy, a w pewnym momencie, kiedy opadali z sił, sam ukląkł i zaczął szorować razem z nimi, wierzył bowiem że nikt nie powinien nakazywać zrobienia czegoś, na co sam nie miałby ochoty. W końcu musiał przyznać, że pokład, który w księżycowej poświacie połyskiwał srebrzystą bielą, nie może prezentować się lepiej i że nawet jeśli zostały na nim jakieś plamy, to w cieniu markiz nie będą widoczne.

Zadecydował, że dla uczczenia powrotu ukochanej wyda ucztę stosowną do takiej radosnej okazji. Załoga *Golden Bough* dzielnie żeglowała, ciężko walczyła i widziała śmierć tuzina swoich towarzyszy w bitwie, a później owijała ich w całuny i powierzała morzu. Ci ludzie zasłużyli na szansę, żeby się najeść, napić i ogólnie rzecz biorąc, wyszaleć. Hal zamierzał dopilnować, żeby robili to w doskonałym stylu, ponieważ ten dzień miał być radosny, ale również doniosły. Wiedział, że bez względu na to, czy są małżeństwem, czy nie – postanowił, że wezmą ślub w angielskim kościele z protestanckim pastorem – oboje wzajemnie powierzyli sobie życie. Kochał nie po raz pierwszy i poznał tak gorycz zdrady, jak i ból wielkiej straty, ale z jego miłością do Judith wiązało się poczucie pewności i trwałości, jakiego nigdy wcześniej nie zaznał. Była jego kobietą. Będzie matką jego dzieci. Przed młodym człowiekiem stało jeszcze wiele niewiadomych, bez względu na to, jak bardzo czuł się pewny siebie.

Świt zastał go opartego o reling na rufie, skąd roztaczał się widok na każdy maszt, każde drzewce i każdy strzęp żagla na pokładzie pod jego komendą. Teraz jednak wszystkie żagle były zwinięte i statek stał na kotwicy. W dali widział ruch na brzegu, gdzie miejscowi kupcy szykowali do załadowania na łodzie kozinę, baraninę i kurczaki; kosze warzyw i owoców, wielkie gliniane garnki pełne kilku rodzajów *wat*, czyli gęstego korzennego gulaszu z mięsa albo warzyw, będącego narodowym daniem Etiopii, i stosy bochenków *injera*, chleba na zakwasie, na których zwyczajowo podawano *wat*; worki zielonych ziaren kawy (do uprażenia, zmielenia, zaparzenia i następnie podania z cukrem albo solą), beczki mocnego czerwonego wina z Libanu i dzbany *tej* – miodowego wina równie mocnego, jak słodkiego – i wreszcie wielkie girlandy kwiatów do przyozdobienia statku i zapewnienia odpowiednio pięknego, wonnego tła dla przyszłej żony.

Hal przez kilka minut obserwował daleką krzątanicę. Choć miał zaledwie dwadzieścia lat, nabrał siły dojrzałego mężczyzny i roztaczał aurę władzy absolutnej, którą zawdzięczał swoim umiejętnościom żeglowania i odwadze w bitwie. Ludzie dwa

razy starsi od niego z przyjemnością i bez pytania wykonywali jego rozkazy. Nikt nie doszukałby się najmniejszego śladu siwizny w gęstych, czarnych włosach związanych rzemieniem na karku, a zielone oczy, które tak zdumiewały cesarza Ijasu, miał czyste i bystre jak zawsze. Niemal kobieca uroda, która cechowała Hala ledwie kilka lat temu, zniknęła bez śladu. Tak jak plecy wciąż nosiły blizny po chłostach wymierzanych mu w czasie, gdy był więźniem – traktowanym przez Holendrów jak niewolnik – tak przeżyte doświadczenia sprawiły, że jego twarz stała się szczuplejsza, twardsza i bardziej ogorziała. Miał wyraźnie zarysowaną szczękę, surową linię ust i ostrzejsze niż kiedyś spojrzenie.

Teraz jednak oczy miał spuszczone na wodę pluskającą o kadłub *Golden Bough*.

– Chciałbym, żeby moi rodzice mogli poznać Judith – powiedział. – Choć nawet nie pamiętam matki, byłem taki mały, kiedy zmarła. Ale ojciec... – Westchnął. – Mam nadzieję, że pochwaliliby moje postępowanie... Mam nadzieję, że nie myślałby o mnie źle.

– Oczywiście, że nie! Zawsze był z ciebie dumny, Gundwane. Pomyśl o ostatnich słowach, jakie od niego usłyszałaś. Powiedz je teraz.

Hal nie był w stanie mówić. W wyobraźni widział jedynie gnijące, rozczłonkowane ciało ojca wiszące na szubienicy w Kolonii Przylądkowej, wystawione na pokaz wszystkim mieszkańcom i na żer mewom. Fałszywie oskarżywszy sir Francisa Courtneya o piractwo, Holendrzy poddali go torturom w nadziei, że zdradzi im miejsce ukrycia swojego skarbu. On jednak nie dał się złamać. Wrogowie niczego się od niego nie dowiedzieli, zanim go powiesili, a zrozpaczony Hal, skazany przez nich na ciężkie roboty, bezsilnie przyglądał się egzekucji z wysokiego muru.

– Powtórz te słowa, dla niego. – Głos był łagodny, ale uparty.

Hal głęboko odetchnął.

– Powiedział – zaczął – że jestem krwią z jego krwi i obietnicą życia wiecznego. A potem... potem popatrzył na mnie i dodał: „Żegnaj, moje życie”.

– W takim razie masz swoją odpowiedź. Twój ojciec teraz cię widzi. Ja, który zabrałem go do miejsca ostatniego odpoczynku, mogę cię zapewnić, że jego oczy zwracają się ku słońcu i że zawsze cię widzi, bez względu na to, gdzie jesteś.

– Dziękuję, Aboli – powiedział Hal.

Po raz pierwszy spojrzął na człowieka, który był najbliższym towarzyszem jego ojca, a dla niego stał się kimś w rodzaju mentora. Aboli należał do plemienia

amadoda, które mieszkało w głębi buszu, wiele dni drogi od wybrzeża Afryki Wschodniej. Każdy włos został ceremonialnie wyskubany z wypolerowanej hebanowej skóry jego głowy, a twarz pokrywały nierówne wiry tkanki bliznowatej. Były to pamiątki po cięciach zadanych we wczesnym dzieciństwie, mających na celu budzenie podziwu i grozy w sercach wrogów. Stanowiły znak przynależności do rodziny królewskiej; Aboli i jego bliźniaczy brat byli synami Monomatapy, wybrańca niebios, wszechpotężnego władcy plemienia. Kiedy chłopcy byli bardzo młodzi, łowcy niewolników napadli na ich wioskę. Brat Abolego został zabrany w bezpieczne miejsce, ale Aboli nie miał takiego szczęścia. Minęło wiele lat, zanim sir Francis Courtney go wyzwolił i czyniąc to, stworzył więź, która przechodziła z jednego pokolenia na drugie.

Przydomek Gundwane oznaczał leśnego szczura. Aboli nadał go Halowi, gdy chłopiec miał ledwie cztery lata, i tak już zostało. Żaden inny człowiek na pokładzie *Golden Bough* nie poważiłby się na taką poufałość, ale przecież Aboli pod każdym względem był wyjątkowy. Był o pół głowy wyższy niż Hal, a jego szczupłe, muskularne ciało poruszało się z groźnym, gibkim wdziękiem i z zabójczą celowością kobry. Wszystko, co Hal wiedział o fechtunku – nie tylko o technice czy o pracy nóg, ale też o zrozumieniu przeciwnika i wojowniczego ducha niezbędnego, żeby go pokonać – nauczył się od Abolego. Była to trudna edukacja, z wieloma siniakami i krwią rozlaną po drodze. Ale jeśli Aboli był twardy dla swojego młodego ucznia, to tylko dlatego, że spełniał życzenie sir Francisca.

Myśląc o tamtych czasach, Hal parsknął lekko drwiącym śmiechem.

– Wiesz, może jestem panem tego statku, ale za każdym razem, gdy stoję na pokładzie, wracam myślą na *Lady Edwinę*, kiedy ojciec zmywał mi głowę za to, co źle zrobiłem. Zawsze coś znalazł. Pamiętasz, jak długo musiałem się uczyć używania kwadrantu, żeby obliczyć pozycję statku? Kiedy próbowałem po raz pierwszy, kwadrant był większy ode mnie. Stawałem w południe na pokładzie, bez odrobiny cienia, pocilem się jak prosiak, i za każdym razem, gdy statek się kołysał, ten przeklęty kij prawie mnie przewracał.

Aboli wybuchnął śmiechem, który przypominał dudnienie dalekiego grzmotu.

– I kazał mi mówić do siebie po łacinie – wspominał dalej Hal – ponieważ był to język dżentelmenów! Nawet sobie nie wyobrazasz, jakie masz szczęście, że nigdy nie musiałeś się uczyć o rzeczownikach odczasownikowych i o *ablativus absolutus*. Albo trzepał mnie po uszach, bo nie mogłem zapamiętać nazwy każdego jednego żagla

na statku. Nawet kiedy udzielałem właściwej odpowiedzi, mówił mi o stu innych rzeczach, które robię źle. I zawsze działo się to tutaj, na pokładzie rufowym, gdzie każdy członek załogi mógł mnie zobaczyć. – Mina Hala nagle stała się poważna. – Wiesz, były takie chwile, kiedy naprawdę go za to nienawidziłem.

– Tak, ale postępował tak, a nie inaczej ze świadomością, że nie zrozumiesz i będziesz go za to nienawidzić, co dowodziło jego miłości – wtrącił Aboli. – Twój ojciec dobrze cię przygotował. Był dla ciebie twardy, ale tylko dlatego, że wiedział, że wciąż będziesz poddawany próbom. – Afrykanin się uśmiechnął. – Może, jak twój bóg da, niebawem dochowasz się małego Courtneya, dla którego będziesz równie twardy.

Hal odpowiedział mu uśmiechem. Przeżywał ciężkie chwile już wtedy, gdy wyobrażał sobie siebie jako męża, a co dopiero ojca!

– Nie jestem pewien, czy jestem gotów zostać ojcem. Czasami nawet się zastanawiam, czy jestem gotów być kapitanem.

– Ha! – Aboli położył wielką dłoń na ramieniu Hala. – Ocaliłeś Tabernakulum i Świętego Graala. Zdobyłeś serce kobiety, która pokonała potężne armie. – Powoli skłonił głowę. – Tak. Myślę, że jesteś gotów kołysać dziecko do snu w swoich ramionach.

Hal się roześmiał.

– W takim razie lepiej będzie przygotować się na spotkanie z jego matką.

Był panem statku z załogą żywych szkieletów. Wydał prawie wszystkie pieniądze na ładunek schowany w zaledwie dwudziestu drewnianych skrzyniach zajmujących małą część ładowni, więc było go stać tylko na najtańsze zapasy żywności i w konsekwencji sprzedano mu suchary, w których jeszcze zanim wypłynął z portu, pojawiło się mnóstwo robaków i pleśni, a do tego zgniłe warzywa i suszone mięso tak twarde, że znacznie bardziej niż do jedzenia nadawało się na podeszwy. On i jego załoga byli uciekinierami. Nie mogli zawinąć do żadnego cywilizowanego portu, żeby kupić, zapracować albo wyżebrać więcej zapasów bez ryzyka natychmiastowego uwięzienia, i zawsze towarzyszył im strach, że na długo przed ujrzeniem lądu zostaną ostrzelani i posłani na dno przez ścigające ich statki. Krótko mówiąc, kapitan był człowiekiem, który nie potrzebował dalszych kłopotów. A jednak zbliżały się kolejne.

Wiedział, że zła sytuacja jeszcze się pogorszy, gdy tylko usłyszał głos z bocianiego gniazda:

– Kapitanie! Coś się unosi na morzu na prawo od dziobu! Wygląda jak kawał drewna albo wywrócona łódź.

Pokręcił głową i mruknął:

– Dlaczego musiałem to usłyszeć?

Jego pytanie spotkało się z natychmiastową odpowiedzią.

– Coś się rusza! – krzyknął marynarz. – To człowiek! Zobaczył nas... I macha ręką!

Kapitan czuł na sobie pięćdziesiąt, a może i więcej, par głodnych oczu patrzących w jego stronę, pragnących, żeby wydał rozkaz żeglowania dalej i pozostawienia rozbitka własnemu losowi. Ostatnie, czego potrzebowali, to jedna więcej gęba do nakarmienia. A jednak kapitan, chociaż raczej nie mógłby się nazwać człowiekiem honoru, nie był niegodziwcem. Może draniem, ale nie łajdakiem. Dlatego rozkazał zatrzymać statek i spuścić łódź po człowieka, który wziął się znikąd setki mil od najbliższego brzegu.

– Nie przejmować się, chłopaki! – krzyknął. – Jeśli łajdak się nam nie spodoba, zawsze możemy go zjeść!

Wkrótce wciągnięto na pokład mokrego, spalonego przez słońce mężczyznę, który był wysoki, ale tak chudy jak otaczająca go załoga. Kapitan zszedł z pokładu rufowego, żeby go przywitać.

– Dzień dobry, panie – powiedział w swoim ojczystym języku. – Do kogo mam przyjemność się zwracać?

Mężczyzna lekko skinął głową i odparł w tym samym języku:

– Dzień dobry, kapitanie. Jestem William Pett.

Judith długo myślała nad tym, w co powinna się ubrać na spotkanie z Halem. Kusilo ją, żeby zamówić stalowy napierśnik idealnie dopasowany do figury, udrapować na nim szarfę w barwach państwowych – czerwono–żółto–zieloną – a na niej przypiąć swoje odznaczenia w całym ich złotym i wysadzonym klejnotami splendorze. Cesarz podarował jej rapier z damasceńskiej stali, broń jednocześnie zabójczą i idealnie zaprojektowaną w taki sposób, żeby pasowała do wzrostu i siły kobiety. Ta wojenna ozdoba dobrze by wyglądała, zwisając z jej biodra, gdy wejdzie na pokład *Golden Bough*, i przypomniałaby załodze, że ona nie jest bezradnym, delikatnym stworzeniem, ale zahartowanym w bitwie wojownikiem jak każdy z nich.

A jednak bardziej niż na szacunku wszystkich mężczyzn zależało jej na tym, żeby jej mężczyzna ją kochał i pożądał; chociaż nie cierpiała się do tego przyznawać nawet przed sobą, chciała dla niego ładnie wyglądać. Miesiąc wcześniej, kiedy oboje zostali wezwani na radę wojenną, udało im się spędzić razem jedną cenną godzinę. Jak najlepiej wykorzystali każdą sekundę i stęskniona Judith nasyciła się nim przynajmniej na krótki czas, ale gdy później wspominała ekstatyczne uniesienie, jakiego z nim doznawała, rozłąka stała się jeszcze trudniejsza do zniesienia. Nie chciała, żeby cokolwiek znowu stanęło pomiędzy nimi. Dlatego zapakowała miecz, zbroję i odznaczenia wojskowe do kufrów, które miały zostać wniesione na pokład, i włożyła sięgającą do kostek tradycyjną etiopską suknię ze śnieżnobiałej bawełny. Rąbek, rękawy i dekolt były ozdobione jaskrawym haftem ze wzorem w złote krzyże. Miała też naszyjniki ze złota i bursztynu, a także okrągłe złote kolczyki z perłami.

Włosy splotła w warkoczyki ściśle przylegające do skóry i nałożyła na nie dwa piękne sznury pereł i złotych koralików. Jeden poziomo otaczał głowę i był połączony z drugim, który biegł z tyłu do przodu przez ciemność. Pośrodku czoła, tuż poniżej linii włosów, spoczywał dopasowany do kolczyków wisior ze złota i pereł, przymocowany do obu sznurów i je łączący. Na koniec Judith udrapowała na głowie i ramionach szal z białej gazy, będący znakiem skromności. Bez świadków chętnie wcielała się w zmysłową kochankę, ale publicznie jej reputacja musiała pozostać bez skazy.

Pojechała powozem do portu w Mitsiwie, eskortowana przez oddział konnych gwardzistów cesarza, wszystkich w najlepszych ceremonialnych mundurach, z proporcami ze złotym etiopskim lwem trzepoczącymi na lancach. Powóz zatrzymał się na nabrzeżu i straż natychmiast utworzyła wokół niego kordon, odgradzając go od gromady miejscowych, którzy przybiegli zobaczyć narodową heroinę i nie mogli

uwierzyć, że wielka Judith Nazet, która w ich oczach stała się niemal mityczną postacią, przebywa wśród nich we własnej osobie. Jeden z gwardzistów zsiadł z konia i podszedł do drzwi powozu. Otworzył je i rozłożył schodki. Następnie się cofnął, żeby wszyscy mogli zobaczyć Judith, gdy będzie wysiadać.

W ostatniej chwili przed wyjazdem, częściowo dlatego, że spodziewała się, że jej przybycie może ściągnąć tłumy, i częściowo dlatego, że chciała przypomnieć ludziom o wspaniałym zwycięstwie, które mogło napawać ich dumą – wielu tutejszych mężczyzn służyło w wojsku pod jej rozkazami – postanowiła włożyć szarfę z medalami. Gdy wysiadła z powozu, jaskrawe promienie porannego słońca padły na nią, na złoto, perły, kamienie szlachetne i jasno emaliowane odznaczenia ze wstążkami, tak że Judith zdawała się skrzyć i płonąć bardziej jak bogini niż śmiertelna kobieta. Dźwięk wzbił się nad tłumem – nie tyle radosny okrzyk, ile westchnienie pełne podziwu i nabożnego lęku. Judith się uśmiechała i machała ręką do ludzi, ale widziała tylko jednego człowieka, do którego należało jej serce.

Hal Courtney czekał na nią u stóp schodów. Choć był kapitanem okrętu, nie nosił żadnej odznaki swojej pozycji. Miał też prawo nazywać się członkiem Zakonu Złotego Lwa Etiopii i miał rangę Rycerza Nawigatora Świątyni Zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala – jak przed nim jego ojciec, tak teraz on należał do stowarzyszenia nawigatorów, które wywodziło się od średniowiecznych templariuszy – ale nie nosił medali ani odznak honorowych. Stał przed Judith z włosami związanymi skromną czarną wstążką, w świeżo wypranej białej koszuli, rozpiętej pod szyją i luźno wetkniętej w czarne spodnie. Lśniące tkanina koszuli falowała w łagodnych podmuchach wiatru i opinała smukły, mocno umięśniony tors. U biodra Hala wisiał rapier z toledańskiej stali z rękojeścią ze złota i srebra, z osadzoną w głowicy dużą szafirową gwiazdą, podarowaną jego pradziadkowi przez największego ze wszystkich admirałów królowej, samego sir Francis Drake'a.

Gdy Judith patrzyła na swojego mężczyznę, tak pełnego siły, pewności siebie i energii, jego twarz, która z początku wydawała się niemal surowa, rozjaśnił szeroki uśmiech chłpięcej radości, entuzjazmu i bezwstydnego pożądania.

Judith dzielnie się spisywała w najbardziej krwawych bitwach. Umiała postawić na swoim w komnacie rady, gdy występowała przeciwko mężczyznom dwa czy nawet trzy razy starszym od niej, którzy fizycznie mieli nad nią przewagę zarówno jeśli chodzi o siłę, jak i doświadczenie. Ani im, ani jej wrogom nigdy nie udało się Judith zastraszyć. A jednak teraz w obecności Hala Courtney czuła, że słabną jej

nogi, oddech przyspiesza. Nagle dostała takich zawrotów głowy, że gdyby nie podszedł i nie wziął jej w ramiona, mogłaby upaść. Pozwoliła mu, żeby ją podtrzymywał przez sekundę; ciesząc się rozkosznym wrażeniem bezradności, ledwie słyszała wiwaty tłumu czy nawet słowa Hala, zagłuszane przez bicie jej serca.

Prawie nie zdawała sobie sprawy, że prowadzi ją przez szalejący tłum za strażnikami, których konie otwierały drogę do nabrzeża. Słyszała okrzyki „El Tazar” – Barakuda – pod takim bowiem imieniem znany był Hal, gdy polował na statki ich wroga. Chwyciła go za rękę, gdy szli w dół po kamiennych schodach.

– Teraz uważaj, kochanie – uprzedził ją, zanim wsiadła do uzbrojonej szalupy z jednym zwiniętym żaglem. Przy każdym z ośmiu wiosł siedział marynarz, a Duży Daniel Fisher, stary sternik, obsługiwał ster.

– Witaj na pokładzie, pani – powiedział. – Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za bezczelnego, kiedy powiem, że jesteś najładniejszym widokiem, na jakim każdy z nas zawiesił oko od bardzo długiego czasu.

– Dziękuję, Danielu. – Judith uśmiechnęła się radośnie. – Wcale nie uważam tych słów za bezczelne. – Rozejrzała się po łodzi i zapytała Hala: – Gdzie jest Aboli? Nie chce mi się wierzyć, że spuścił cię z oka przy takiej okazji.

Hal wzruszył ramionami i wyrzucił ręce w górę, jakby na znak głębokiej konsternacji.

– Nie mam pojęcia, gdzie on się podziewa – odparł z udawaną niewinnością w szeroko otwartych oczach. – Widziałeś go może, Danielu?

– Nie, panie, nie widziałem.

– A inni?

Członkowie załogi pokręcili głowami i wymamrotali, że oni też nie mają pojęcia. Dla Judith było jasne, że coś przed nią ukrywają, ale z radością wzięła udział w ich grze.

– Przykro mi, że go nie ma – powiedziała i usadowiła się na ławce obok Hala, gdy ten rozkazał:

– Odbijaj, sterniku, i zabierz nas na okręt.

– Tak jest, panie kapitanie. – Duży Daniel zaczął wyszczekiwać rozkazy wiosłarzom, żeby odbili od pomostu. Obrócił szalupę i obrał kurs na *Golden Bough*, która kotwiczyła kilkaset jardów dalej.

– Pięknie wygląda – pochwaliła Judith, widząc, jak Hal patrzy na swoją fregatę. Zdawała sobie sprawę, jaką dumą go napawała.

– Tak, razem z załogą trochę ją wyczyściliśmy i wysprzątailiśmy – rzucił Hal nonszalanckim tonem.

– Odzieraaliśmy palce do kości, harując dzień i noc przez cały tydzień, pani – wtrącił Daniel.

– Biedny Danielu, mam nadzieję, że kapitan nie był zbyt wymagający – powiedziała Judith.

– Wiesz, pani, jaki jest kapitan Courtney. Ma to po ojcu, lubi mieć klar na okręcie.

Daniel rzucił te słowa niemal od niechcenia, ale Judith wiedziała, że dla Hala były największym komplementem. Uścisnęła jego rękę na znak, że usłyszała i zrozumiała. Gdy podpłynęli do *Golden Bough*, sternik rozkazał ludziom przestać wiosłować i podnieść wiosła. Wiosła jednocześnie uniosły się do pionu i szalupa z leciutkim stuknięciem dobiła do burty okrętu. Z pokładu rzucono liny i szybko okręcono nimi knagi. Z kadłuba *Golden Bough* zwisała sieć, żeby pasażerowie i załoga mogli się wspiąć na pokład. Judith wstała i zrobiła krok w jej kierunku, ale Hal delikatnie złapał ją za ramię, zatrzymał i krzyknął:

– Opuścić pętlę, chłopcy, płynnie i delikatnie, jeśli łaska!

Spojrzała w górę i zobaczyła bom wiszącą nad burtą.

– Używamy go do ładowania zapasów na pokład – wyjaśnił Hal. – Ale pomyślałem, że dzisiaj możemy go użyć w lepszym celu.

Bom, przybrany girlandami kwiatów w żywych kolorach, przypominał poziomy tropikalny słup, wokół którego odbywają się tańce w święto wiosny. Zwisała z niego płócienna pętla ozdobiona kolorowymi wstążkami, flagami sygnałowymi i wszystkim, co tylko jego ludzie mogli znaleźć, żeby wyglądała wesoło. Opuszczono ją do szalupy i Hal pomógł Judith usadowić się w niej jak na ogrodowej huśtawce.

– Dopilnuj, żeby wylądowała cała i zdrowa – przykazał Danielowi, po czym cmoknął Judith w policzek. – Do zobaczenia na pokładzie, kochanie.

Skoczył na sieć i zaczął się wspinać z prędkością i zwinnością, jaką kojarzyła z małą hasającą po gałęziach drzewa. Zaśmiała się na tę myśl i mocno chwyciła pętlę. Daniel krzyknął: „Ciągnąć!” i Judith została uniesiona w powietrze. Wojownicza generał Nazet w tym czasie przepadła bez śladu i została po prostu młoda zakochana kobieta, czerpiąca radość z życia. Nawet pisnęła ze strachu i podniecenia, gdy unosząc się, patrzyła, jak Hal skacze z relingu na pokład, gdzie stanął otoczony przez oficerów i załogę.

– Trzy okrzyki na cześć damy kapitana! – krzyknął doświadczony sternik *Golden Bough*, Ned Tyler. – Hip, hip!

Zabrział potężny okrzyk, gdy Judith ukazała się na huśtawce kilka stóp nad poziomem głównego pokładu.

– Hurra! – ryknęli ludzie, machając kapeluszami, kiedy bom ją prznosił nad ich głowami.

Gdy przebrzmiał drugi okrzyk, opuszczono ją na specjalnie przygotowaną część pokładu. Ned Tyler po raz trzeci zawołał: „Hip, hip!”, Judith puściła pętlę i z wysokości kilku stóp zeskoczyła na gołe drewno; wylądowała z wdziękiem i zwinnością akrobaty. Kolejny okrzyk rozszedł się echem i przybrał na sile, gdy znów się znalazła w ramionach Hala, a ten dał jej buziaka – o wiele za krótkiego. Podekscytowana czekała na to, co miało nastąpić tej nocy, i strasznie frustrowało ją to, że musi czekać tak długo.

– Pytałaś o Abolego – odezwał się Hal, odsuwając się od niej. – Może to cię oświeci.

Wykrzyknął parę słów w języku, o którym wiedziała tylko tyle, że jest afrykański; nie zrozumiała ani słowa. Po chwili napłynęła odpowiedź, głośny przenikliwy krzyk, który natychmiast rozpoznała jako początek pieśni. Odpowiedział mu chór niskich męskich głosów burczących: „Hu!” i głośnie tupnięcie. Kiedy marynarze się rozstąpili i pokład opustoszał, Judith ujrzała widok, który poruszył ją prawie tak mocno jak obejmujące ją ramiona Hala.

Aboli stał na gołych deskach. Na głowie miał pióropusz z białych żurawich piór, tak wysoki, że przy swoim i tak już imponującym wzroście wyglądał niczym olbrzym albo bóg dżungli, nie jak zwyczajny śmiertelnik. W ręce trzymał włócznię o szerokim grocie, a z jego szyi zwisało kilka lamparcich ogonów.

Za nim szli *amadoda* zwerbowani do służby na *Golden Bough*, jego współplemieńcy, którzy szybko dowiedli, że na morzu są równie potężni i groźni jak w buszu i na otwartych sawannach swoich stron ojczystych. Też mieli pióropusze, choć nie tak wysokie i wspaniałe jak jego, on bowiem był ich wodzem.

Ruszyli, śpiewając z nim pieśń sławiącą ich męstwo, braterstwo i gotowość oddania życia za sprawę. Członkowie załogi przyglądali im się z ustami otwartymi ze zdumienia, bo nigdy dotąd nie widzieli *amadoda* w pełnej chwale. Ich śpiew, tupanie, chrząknięcia i idealnie zsynchronizowane ruchy składały się ni to w taniec, ni dryl, ni wyraz czystej radości i dumy z tego, że są prawdziwymi wojownikami. Wojownicy

zatrzymali się kilka kroków od Judith i Hala.

Pieśń dobiegła końca i wszędzie wokół zabrzmiały brawa, przy czym nikt nie klaskał z większym zapalem niż Judith, była bowiem dzieckiem Afryki jak oni i choć nie znała słów pieśni, doskonale rozumiała jej ducha. Aboli podszedł do niej, z godnością zdjął pióropusz i położył go obok siebie na pokładzie. Następnie padł na kolano, ujął prawą rękę Judith, opuścił głowę i ucałował jej dłoń.

Był to hołd składany królowej przez urodzonego arystokratę. Judith, poruszona szlachetnością jego zachowania, nie puściła jego ręki, gdy wstał.

– Dziękuję, Aboli. Dziękuję z całego serca – powiedziała, była bowiem świadoma, że w ten sposób poprzysiął jej wierność i że zawsze będzie mogła na niego liczyć.

Hal również uściskał dłoń Abolego.

– Dziękuję, stary druhu. To było wspaniałe.

Aboli się uśmiechnął.

– Jestem księciem *amadoda*. Czy mogło być inaczej?

I tak zaczęło się świętowanie. Gdy przedpołudnie ustąpiło popołudniu, a popołudnie wieczorowi, kiedy wszyscy się najedli i napili, muzykanci z załogi przynieśli skrzypce, fujarki i bębny i zaczęły się śpiewy z tańcami. Judith pozwoliła, żeby Hal zaprowadził ją na deski i zaimprovizowali połączenie reela i jiga, taniec, który dość dobrze pasował do temperamentu żeglarzy. Kilku tubylczych kucharzy i dziewczek służebnych też zaczęło płasać, chociaż Hal jasno dał do zrozumienia, że zbyt swobodę traktować będzie surowo i każdy mężczyzna, który spróbuje zniewolić kobietę, może się spodziewać, iż pozna smak bicia. Wreszcie, gdy słońce zaszło, Hal stanął na schodach prowadzących na pokład rufowy, spojrzął na uczestników zabawy i zawołał o ciszę.

– Słuchać, pijane huncwoty! – krzyknął, sam niezupełnie trzeźwy. – Mam parę słów do powiedzenia wam wszystkim.

W odpowiedzi usłyszał okrzyki zachęty i parę dobroduszných gwizdów.

– Moje nazwisko, moje właściwe imię, nazwisko i tytuł to sir Henry Courtney.

– Zgadza się, kapitanie, wiemy, kim jesteś! – zawołał jakiś wesolek.

– Dobrze, ponieważ powiedziałem to nie bez powodu. Powód niebawem stanie się jasny. Ale najpierw pozwólcie mi oznajmić: jutro ruszamy do Anglii!

Potężny ryk aprobaty popłynął z gardeł anglosaskich członków załogi.

– Oczywiście – podjął Hal – ci z was, których ojczyzną jest Afryka, będą mogli

wrócić do domów. Ale wcześniej musimy zakończyć ostatnie zadanie. Jak wam wiadomo, mój ojciec, sir Francis Courtney, z pomocą wielu z was zdobył liczne statki żeglujące pod holenderską banderą i innymi flagami...

– Przekłete serojady! – krzyknął ktoś ku wielkiemu zadowoleniu jego kamratów.

– ...i te przyzy dały mu wielką ilość złota, srebra i innych cennych rzeczy – ciągnął Hal. – Zamierzamy odzyskać ten skarb i wszyscy, co do jednego, dostaniecie swój udział, sprawiedliwie, wedle długości służby i starszeństwa. I mogę wam obiecać... – musiał podnieść głos, żeby usłyszeli go w wiwatach i pełnym entuzjazmu gwarze – że ani jeden z was nie odejdzie z mniej niż pięćdziesięcioma funtami!

Wyszczerył zęby w uśmiechu, rozbawiony entuzjazmem, jakie wywołała ta obietnica, i znowu uniósł rękę, prosząc o ciszę.

– W pełni zasłużyliście na swoją nagrodę. Żaden kapitan nie mógłby prosić o lepszą, dzielniejszą, bardziej lojalną załogę niż wy. Setki razy dowiedliście swojej wartości jako żeglarze i żołnierze. Przysięgaliście mi wierną służbę i teraz ja wam przyrzekam. Poprowadzę was do domu i dam wam wszystko, czego trzeba, żebyście mogli wieść dostatnie życie, kiedy się tam znajdziecie. Ale najpierw, panowie, proponuję toast. Wzniescie, proszę, szklanice na cześć kobiety, którą zabieram do mojego domu i pojmem za żonę. Za moją ukochaną Judith, ludzie, za przyszłą panią Courtney!

Po spełnieniu tego toastu i kilku więcej, zaproponowanych przez różnych członków załogi, Hal i Judith w końcu mogli odejść razem do kapitańskiej kajuty. Na *Golden Bough*, oczku w głowie zamożnego arystokraty, nie brakowało wygód. W Królewskiej Marynarce Wojennej nie było okrętu z kajutą urządzoną wygodniej niż ta przygotowana dla pana *Golden Bough*. Elegancko rzeźbiona sekretera zapewniała idealne miejsce do uzupełniania dziennika okrętowego, a piękne perskie dywany sprawiały, że goście odnosili wrażenie, iż przebywają w salonie wiejskiej albo londyńskiej rezydencji, nie zaś na dolnym pokładzie żeglującego po oceanie okrętu.

– Po tym, jak ostatnio tu byłaś, wprowadziłem jedno znaczące ulepszenie związane ze spaniem – oznajmił Hal, przystając przed drzwiami kajuty. – Cieśla okrętowy był zajęty przez dobry tydzień. Zamknij oczy...

Judith zrobiła to, o co ją poprosił, a on otworzył drzwi, ujął jej rękę i wprowadził ją do swojego prywatnego królestwa. Zrobiła kilka kroków.

– Stój! – powiedział i chwilę później dodał: – Możesz otworzyć oczy.

Przed nią wisiała koja, ale dwa razy szersza od normalnej, podwieszona na czterech hakach, nie jak zwykle na dwóch. Prześwitujące zasłonki z białej gazy były zebrane wokół lin na każdym rogu, a na pościeli i poduszkach z najlepszej egipskiej bawełny leżała kapa z jedwabnego adamaszku w jasnoszare i srebrne wzory, które połyskiwały w świetle wpadającym przez iluminatory.

– Hal, jakie to piękne – szepnęła Judith.

– Znalazłem tę pościel na pokładzie dāwy, którą opanowaliśmy – wyjaśnił z szerokim uśmiechem. – Kapitan twierdził, że była przeznaczona dla haremu jakiegoś szejka. Uznałem, że zrobię z niej lepszy pożytek.

– Naprawdę? – zapytała przekornie. – A jaki konkretnie pożytek chodził ci po...

Nie miała okazji dokończyć pytania, bo Hal po prostu wziął ją na rękę, położył na jedwabnej narzucie, a potem na nią wskoczył, myśląc o tym, jaki był mądry, każąc cieśli dla pewności sprawdzić, czy haki wytrzymają duży ciężar.

Kiedy Myszołów po raz pierwszy pozęgłował na północ na poszukiwanie fortuny, służył wówczas Arabom podczas ich napaści na Etiopię i ani trochę nie dbał o sprawy religijne czy polityczne. Po prostu wybrał stronę, która – jak sądził – więcej mu zapłaci. Znał wtedy ledwie kilka arabskich słów. Uważał ten język za brzydki i uznał, że posługiwanie się nim byłoby poniżej jego godności. Niebawem jednak zdał sobie sprawę, że ignorancja stawia go w niekorzystnym położeniu, ponieważ nie miał pojęcia, o czym rozmawiają otaczający go ludzie. Dlatego zaczął się uczyć arabskiego. Kontynuował naukę podczas rekonwalescencji, więc bez trudu zrozumiał maharadzę Sadyka Chana Jahana, kiedy ten powiedział:

– Muszę ci pogratulować, Wasza Lordowska Mość, niezwykłego powrotu do zdrowia. Wyznam, że nie wierzyłem, iż kiedykolwiek wstaniesz z łóżka. A teraz spójrz tylko na siebie.

Myszołów, który sam był mistrzem przebiegłej protekcyjności i nieszczerych komplementów, nie wierzył, że wyniosły mężczyzna mówi na poważnie bodaj jedno z tych słodkich jak miód słów. Kontrast pomiędzy hinduskim księciem w jedwabiach i złotogłowiach, obwieszonym większą ilością klejnotów niż królewska metresa, a nim, niedołężnym jednorękim Kalibanem o skórze podobnej do smażonej wieprzowiny i twarzy szpetniejszej niż najszpetniejszy gargulec, był po prostu zbyt wielki, żeby jakiegokolwiek słowa mogły go przyćmić. Ale Myszołów był żebrakiem i nie mógł sobie pozwolić na grymasy, więc lekko skinął głową i świszczącym głosem odrzekł:

– Jesteś nazbyt uprzejmy, Wasza Wysokość.

Między Bogiem a prawdą, jego powrót do zdrowia, jakkolwiek częściowy, w rzeczywistości był skutkiem nadzwyczajnej siły woli. Myszołów leżał w łóżku i analizował stan swojego ciała, koncentrując się na tych częściach, które wciąż funkcjonowały – przynajmniej w miarę dobrze. Nogi nie były złamane i mięśnie pod pełną blizn, poparzoną skórą wydawały się zdolne do utrzymania i przemieszczania jego ciężaru. Stracił lewą rękę, ale prawa była chwytna, uważał więc, że może pewnego dnia znowu będzie trzymał rapier. Już nie mógł normalnie przeżuwać i jego przewód pokarmowy stał się nadmiernie wrażliwy, jadł zatem tylko to, co uprzednio zostało rozgniecione na miękką papkę, ale ważne, że w ogóle mógł jeść. Jeśli pokarm był niczym więcej niż nijakim, pozbawionym smaku kleikiem, nie miało to większego znaczenia, ponieważ jego język stracił umiejętność rozróżniania smaków niezależnie od tego, ile soli, cukru albo korzeni dodano do potrawy.

Najważniejszy jednak był nadal sprawny umysł. Myszołów cierpiał na uporczywe, potworne bóle głowy i każdej innej części ciała – co dziwne, łącznie z tymi, których już nie miał. A jednak mógł myśleć, planować, kalkulować i nienawidzić.

Napędzała go przede wszystkim nienawiść. Zmuszała go do wstawania, chociaż z początku, niepewny pozbawionego równowagi ciała, ciągle się przewracał. Kierowała nim podczas wyczerpujących ćwiczeń, zwłaszcza kiedy odbudowywał siłę ocalałej ręki przez podnoszenie wyproszonego w pałacowej kuchni worka z prosem, gdy przy każdym oddechu powietrze paliło mu gardło i płuca jak żrący kwas.

Jahan wydawał się zafascynowany czarnym ogniem płonącym w duszy Myszołowa.

– Proszę, nie przeszkadzaj sobie. Kontynuuj ćwiczenia – powiedział i podszedł do swojego gościa, nawet nie próbując ukryć mieszaniny obrzydzenia i fascynacji, jaką odczuwał w obecności takiej ohydnej karykatury człowieka.

Myszołów czuł na sobie jego wielkopańskie spojrzenie i chęć przeciwstawienia mu się przydawała mu sił. Raz za razem podnosił worek, choć zmęczone mięśnie i poparzona klatka piersiowa błagały, żeby przestał. Zrobiło mu się słabo, pokrywała go warstwa ropy i krwawego potu i ledwie się trzymał na nogach, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Do pomieszczenia wszedł jeden z urzędników księcia. Nie zdołał ukryć szoku na widok Myszołowa, który stał z ręką wspartą na kolanie, zginając i prostując plecy.

– Przy bramie czeka człowiek, który z uporem powtarza, że zechcesz go przyjąć, Wasza Ekscelencjo – zwrócił się do Jahana, kiedy odzyskał panowanie nad sobą. – Mówi, że ma na imię Ahmed i pracuje w garbarni. Zdaje się, że wykonał zadanie, które mu zleciłeś. Kiedy kazałem mu wyjaśnić, o co chodzi, odmówił, twierdząc, że przysiągł ci, że dochowa tajemnicy.

Jahan się uśmiechnął.

– Owszem, to prawda. Przyślij go. – Obdarzył wyjątkowo protekcyjnym uśmiechem Myszołowa, który stał zgięty wpół, z ręką na kolanie, walcząc o odzyskanie oddechu, i powiedział: – Kupiłem ci mały prezent, Wasza Lordowska Mość. Drobiazg, ale przypuszczam, że okaże się interesujący.

William Grey, konsul Jego Królewskiej Mości w sułtanacie Zanzibar, stał przed pałacem w kolejce suplikantów czekających na przedstawienie swoich spraw maharadży Sadykowi Chanowi Jahanowi. Przeklinał pecha i błędy w ocenie sytuacji, wskutek których znalazł się w tym uwłaczającym mu położeniu. Przez wszystkie lata pobytu na Zanzibarze Jahan przyjmował Greya, który należał do najpotężniejszych,

najzamożniejszych i najbardziej wpływowych członków miejscowej społeczności, jak gościa honorowego. Konsul był nie tylko przedstawicielem jednego z największych monarchów Europy, ale, co więcej, przeszedł na islam. Zmiana wyznania zapewniła mu specjalne względy, umożliwiając dostęp do miejsc i ludzi nieosiągalnych dla chrześcijan. Niestety, pewnego dnia na Zanzibar przybył przebiegły szkocki łajdak, Angus Cochran, hrabia Kumbrii, trafnie nazywany Myszołowem, a niedługo później zjawił się ten arogancki szczeniak, Henry Courtney. To wystarczyło, żeby przyjemne i uprzywilejowane życie, które Grey budował przez wiele lat, w ciągu kilku krótkich miesięcy legło w gruzach.

Wszystko zaczęło się od Myszołowa, który go zadręczał, żeby wykorzystał swoje znajomości i pomógł mu uzyskać pozwolenie na udział w wojnie po stronie sultana Omanu przeciwko cesarzowi Etiopii. Szkocki pirat planował się dorobić na łupach wojennych wziętych od chrześcijan i z radością uiścił bardzo rozsądną opłatę, jakiej Grey zażądał za swoje usługi. Trzeba Myszołowowi oddać sprawiedliwość, bo dotrzymał słowa. W chwili gdy w jego ręce trafił list kaperski, postawił żagle, ruszył na wody otaczające Róg Afryki i zabrał się do roboty.

Pięć tygodni później przybył młody Courtney, na pozór chętny dołączyć do walki przeciwko Etiopii i, jak Myszołów, zakupił list kaperski. Nic dziwnego, że kiedy usłyszał, że hrabia Kumbrii bierze udział w wojnie, chciał się dowiedzieć o niej jak najwięcej i nie krył zaciekawienia. Greyowi zainteresowanie, jakie hrabia wzbudził w Courtneyu, nie wydało się podejrzane. Bo i dlaczego miałyby się nad tym zastanawiać? Najważniejsze, że muzułmanie otrzymają drugi ciężko uzbrojony okręt, co im zapewni absolutną kontrolę na wszystkich wodach wokół Półwyspu Arabskiego i przy wschodnim wybrzeżu Afryki. Grey był pewien, że jako człowiek, który przyłożył rękę do powiększenia floty, zyska jeszcze większy szacunek.

Wieczorem jednak Courtney podniósł kotwicę i ruszył w pościg za Szkotem bez zapytania o pozwolenie; wykradł się jak niewdzięczny, kłamliwy, dwulicowy zdrajca i walczył dla etiopskiego cesarza i jego generał Nazet. Okazało się, że od samego początku przyświecało mu pragnienie zemsty na Myszołowie odpowiedzialnym za śmierć jego ojca. Niedługo później na Zanzibar napłynęły wieści, że Courtney znalazł Szkota i stoczył z nim bitwę. Podobno Myszołów, walcząc do końca, spłonął żywcem i zatonął wraz ze swoim okrętem, *Gull of Moray*.

W dawnych dobrych czasach Grey mógłby zweryfikować tę historię i uzyskać znacznie więcej informacji, w które nie było wtajemniczone pospólstwo. Ale sytuacja

uległa dramatycznej zmianie, bo Courtney nękał, zdobywał i zatapiał arabskie statki na całym Morzu Czerwonym, budząc gniew ich właścicieli i pozbawiając ich zarobku. A oni, przynajmniej częściowo winiąc Greya za swoje straty, odcięli się od niego.

Każde drzwi w Zanzibarze, a przynajmniej te, które się liczyły, zatrzasnęły mu się przed nosem, i Grey wiedział nie więcej niż najmarniejszy ulicznik czy kawiarniany plotkarz. Pozostało mu tylko przychodzić do pałacu maharadży w nadziei, że pewnego dnia Jego Pogodna, Wspaniała i Łaskawa Wysokość Sadyk Chan Jahan w końcu okaże odrobinę współczucia, ulituje się nad jego niedolą i pozwoli mu się wytłumaczyć. Grey spojrzał przed siebie i w kolejce wypatrzył Osmana, stręczyciela kobiet i małych chłopców. Kiedyś był jego regularnym klientem, ale obecnie od wielu miesięcy nie zaznał rozkoszy z ani jednym ślicznym maleństwem Osmana, jednej czy drugiej płci. Osman – zwyczajny handlarz żywym towarem! – z żalem wzruszył ramionami i powiedział, że już nie może prowadzić interesów z człowiekiem o jego reputacji.

Grey wrzał ze złości, gdy patrzył, jak stręczyciel plotkuje z jednym ze strażników przy bramie. Ścisk, zgłębienie błagalnych głosów i zapach niemytych ciał bezlitośnie atakowały jego zmysły. Grey od dawna mieszkał w tropikach i wraz z religią przyjął arabski strój, bo długie powłóczyście szaty były o wiele wygodniejsze niż grube wełniane surduty, które z uporem nosiła większość Anglików jakby zupełnie obojętnych na położenie geograficzne i klimat. Mimo to pocił się jak świnia na rożnie i zrobiło mu się jeszcze goręcej, kiedy zobaczył, jak znajomy handlarz skórami o imieniu Ahmed dostaje znak, żeby wejść do pałacu. Ahmed niósł duże pudełko podobne do tych, w których damy przechowują kapelusze. Grey nie poświęcił mu większej uwagi.

Kilka minut później przy bramie pojawił się kolejny z pałacowych urzędników i zamienił słówko z jednym ze strażników. Po chwili trzech ludzi ruszyło w tłum, bijąc mężczyzn i kobiety długimi drewnianymi laskami, żeby ustępowali im z drogi. Grey zadrżał, gdy zrozumiał, że idą prosto w jego stronę. Spanikował i chciał uciec, ale panował tak wielki ścisk, że nie mógł się przebić przez tłum. Nagle nie tylko się pocił jak świnia, ale też kwiczał, gdy strażnicy złapali go za ramiona i na wpół powlekli, na wpół ponieśli do bramy, a w pałacu bezceremonialnie rzucili na wyłożoną ozdobnymi płytkami podłogę.

Podniósł się i zobaczył, że w pobliżu stoi ten sam urzędnik, który wezwał Ahmeda.

– Jeśli pójdziesz tędy, *efendi*, Jego Ekscelencja w swojej wielkiej mądrości i miłosierdziu raczy z tobą pomówić.

Gdy szedł z urzędnikiem przez chłodny, cienisty krużganek, z którego roztaczał się widok na fontannę migoczącą w południowym słońcu, spostrzegł, że tuż za nim idą trzech strażnicy, którzy zostali po niego wysłani. Już nie nieśli lasek, każdy miał zakrzywioną szablę zatknietą za szkarłatny pas.

Konsulowi przyszło na myśl, że zaproszenie na audiencję u maharadży może niekoniecznie okazać się błogosławieństwem, na jakie miał nadzieję.

Myszołów może miał niewiele w pełni sprawnych zmysłów, ale wciąż potrafił wyczuć, że coś się święci. Był pewien, że ten pogański łajdak Jahan coś kombinuje, ale co? I na litość boską, jaką rolę w planach maharadży odgrywał ten chmyz zajmujący się skórami?

Zanim miał okazję zastanowić się nad tym, ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść! – krzyknął Jahan.

I któż to wszedł do komnaty? Sam konsul Jego Królewskiej Mości w Zanzibarze, który wyglądał jak wielka trzęsąca się ze strachu galareta. Myszołów zaczekał, aż jego rodak ukloni się maharadży, po czym wychrypiął:

– Dzień dobry, panie Grey. Nie spodziewałem się, że jeszcze pana zobaczę.

Zaczynał się przyzwyczajać do następujących po sobie ludzkich reakcji na jego wygląd – szoku, odrazy i ledwie hamowanych mdłości albo nawet, w paru skrajnych przypadkach, mdłości, których pohamować się nie dało. Konsternacja Greya przebiła reakcje większości innych ludzi. W milczeniu otwierał i zamykał usta, gdy na próżno szukał odpowiednich słów, zanim w końcu wykrztusił:

– Przecież... przecież... Podobno pan nie żyje.

Myszołów rozciągnął resztki ust w czymś zbliżonym do uśmiechu.

– Jak widać, jest inaczej. Najwyraźniej Wszechmogący wciąż ma dla mnie plany na tym świecie, nie na tamtym.

– Prawda, Allah jest wszechmogący i miłosierny. – Grey rzucił okiem na Jahana, żeby zobaczyć, czy jego pobożność spotka się z uznaniem.

– Skoro panowie ponownie zawarliście znajomość – odezwał się maharadża – pozwolę sobie wyjaśnić cel tego spotkania. Zacznę od tego: uważam, że obaj jesteście osobiście odpowiedzialni za niewybaczalne straty w ludziach i majątku poniesione przez naszych poddanych, a spowodowane przez tego niewiernego psa, Henry’ego Courtneya. Moim gorącym pragnieniem oraz pragnieniem mojego brata, samego Wielkiego Mogoła, jest wywarcie krwawej zemsty na Courtneyu i jego ludziach. Jesteśmy jednak w rozterce. Obecnie mój brat finalizuje umowę z Kompanią Wschodnioindyjską, dotyczącą handlu pomiędzy naszymi krajami i Anglią. Jest przekonany, że takie porozumienie zapewni nam ogromne korzyści i naturalnie nie chce narazić przyszłych zysków przez prowadzenie publicznej kampanii przeciwko jednemu z poddanych Jego Królewskiej Mości króla Anglii, szczególnie przeciwko komuś, kto pochodzi ze znakomitej rodziny.

Courtneyowie są niby tacy znakomici? – pomyślał Myszołów. To będzie dopiero szok dla lordów i ich małżonek, którzy nigdy o nich nie słyszeli!

– W rezultacie musimy szukać odwetu dyskretnie, użyć pośredników, którzy zemszczą się w naszym imieniu. A kto mógłby być odpowiedniejszy do tej roli niż wy dwaj? Obaj macie powody, żeby nienawidzić kapitana Courtneya. Znaście tego człowieka i wiecie, jak myśli. Jestem również pewien, że pragniecie odpokutować za swoje ostatnie błędy, za które wielu władców mniej litościwych niż ja kazałoby was stracić.

– Czy Jego Wysokość życzy sobie, żebyśmy własnoręcznie zabili kapitana Courtneya? – zapytał Grey, ledwie maskując trwogę.

– Może nie własnymi szablami, nie – odparł Jahan. – Obawiam się, że nie dałbyś rady mu sprostać, konsulu, a co do hrabiego, nie zdołał pokonać Courtneya z obiema rękami, więc z jedną miałby raczej niewielkie szanse. Jestem jednak przekonany, że zdołacie wymyślić jakiś sposób, żeby doprowadzić do jego upadku. Możecie go znaleźć i zastawić na niego pułapkę, nawet jeśli to ktoś inny miałby go zabić. Następnie możecie wziąć na siebie odpowiedzialność za jego śmierć, kto bowiem się nie zgodzi, że mieliście prawo odebrać mu życie po tym, jak podstępnie wykorzystał ciebie, konsulu Greyu, a ciebie, mój biedny hrabio Kumbrii, przemienił w szkaradnego dżinna.

– A jeśli się nie zgodzimy tego uczynić? – zapytał Myszołów.

Jahan się roześmiał.

– Daj spokój, oczywiście, że się zgodzicie! Po pierwsze, dam wam ludzi i ekwipunek, wszystko, czego potrzebujecie, żeby wyrzucić zemstę, której pragniecie nade wszystko. Po drugie, obaj tu umrzecie, w tym budynku, dzisiaj, jeśli nie przystaniecie na moje warunki. Jestem człowiekiem miłosiernym, ale po raz drugi nie dam się skrzywdzić i nie pozwolę, żeby ta zniewaga uszła wam bezkarnie.

Grey rzucił się na podłogę i ukorzył w unizonym *salaam*.

– Wasza Wysokość jest zbyt dobry, zbyt miłosierny dla nędznika takiego jak ja. Czuję się zaszczycony i jestem niewysłowienie wdzięczny, że mam okazję służyć ci w ten sposób.

– Tak, tak, konsulu, dziękuję, ale proszę, stań na nogach jak człowiek – przywołał go do porządku Jahan, po czym zwrócił się do Myszołowa: – A ty?

– Tak, zrobię to. Nawet ci powiem, dokąd zmierza ten przebiegły łajdak, ponieważ jest tylko jedno miejsce, do którego chce popłynąć.

– Wszystko w swoim czasie. Najpierw zajmiemy się tym, co przyszło mi na myśl, gdy cię obserwowałem w ostatnich tygodniach. Twoja skóra, Kumbryjczyku, musi być wyjątkowo wrażliwa. Wydaje mi się, że nie przeżyjesz w naszym palącym słońcu albo na wietrze niosącym rozpyloną wodę morską, która cię będzie uderzać przy każdym kroku na pokładzie statku. Dlatego zamówiłem ci nakrycie głowy, które będzie cię chronić.

Klasnął w ręce i Ahmed, handlarz skórami, natychmiast otworzył pudełko i wyjął coś, co według Myszołowa wyglądało jak skórzana czapka albo kaptur. Na nakryciu głowy był jakiś wzór, ale Ahmed trzymał je w taki sposób, że Myszołów nie mógł go rozpoznać.

Ahmed ruszył ze spuszczonego wzrokiem, jakby się bał nawet zerknąć na twarz stojącego przed nim potwora. Kiedy dotarł do celu, pojawił się kolejny problem: był znacznie niższy od Szkota. Błagalnie spojrzał na Jahana, a ten pokiwał głową.

– Bądź tak dobry i skłoń głowę, Kumbryjczyku – powiedział.

– Nie skłonię głowy przed żadnym człowiekiem! – rzucił Myszołów głosem, który zabrzmiał jak zgrzyt.

– W takim razie ją stracisz. – Po chwili milczenia Jahan protekcyjnym tonem podjął: – Proszę, nie zmuszaj mnie. Pochyl głowę, niech ten rzemieślnik zrobi swoje, a ja w nagrodę dam ci wszystko, czego potrzebujesz, żeby dokonać zemsty, której tak rozpaczliwie pragniesz. Odmów mi, a umrzesz. Więc jak będzie?

Myszołów pochylił głowę. Chwilę później się skrzywił i na przekór sobie krzyknął z bólu, gdy mężczyzna przeszorował skórzany kapturem po jego poranionej skórze i osadził mu go na głowie. Myszołów stwierdził, że patrzy na świat przez jeden otwór wycięty w ściśle dopasowanej skórze, dostosowanej do kształtu jego twarzy. Mógł oddychać przez dwa kolejne otwory pod nozdrzami i o ile wiedział, miał zakrytą całą głowę z wyjątkiem ust. Chwilę później stracił nawet tę swobodę, bo Ahmed podniósł skórzaną klapkę uformowaną w taki sposób, że obejmowała podbródek. Pomiędzy klapką i pozostałą częścią maski była szczelina na tyle szeroka, że mógł poruszać ustami. Poczł szarpnięcie, gdy klapka została zaciśnięta, a potem usłyszał trzask, który brzmiał podobnie do szczęku zamykanej kłódki. Tak, to rzeczywiście była kłódka. Czł jej ciężar.

Nagle wezbrała w nim trwoga granicząca z paniką. Poderwał głowę i uderzył Ahmeda, przewracając go na podłogę. Zanim mógł wykonać kolejny ruch, przybiegli żołnierze. Jeden złapał go za prawą rękę i wykręcił ją za plecy, zmuszając go do

pochylenia się i opuszczenia głowy.

Znowu poczuł zwinne palce rzemieślnika zakładającego mu na szyję szeroką skórzaną obrozę, która, podobnie jak maska, została zamknięta na kłódkę. Myszołów usłyszał, jak Jahan mówi:

– Panie Grey, bądź tak dobry, jeśli łaska, i przynieś swojemu rodakowi lustro, które leży na tamtym stole po prawej stronie. Jestem pewien, że hrabia chciałby zobaczyć, jak teraz wygląda.

– M... m... muszę...? – wyjąkał Grey.

– Proszę, nie zmuszaj mnie do przypominania, co się stanie, jeśli odmówisz – powiedział Jahan z lodowatym spokojem.

Myszołów usłyszał szuranie, gdy konsul podchodził, powłócząc nogami. Żołnierz puścił jego rękę, więc mógł się wyprostować. Gdy uniósł głowę, jego oko znalazło się na wprost lustra, oddalonego lewie o dwa kroki. Zobaczył to, co miał widzieć świat, i teraz sam krzyknął z odrazy.

Jego głowę w całości okrywała skóra koloru smołowanej okrętowej deski. Prymitywne rzemienne szwy scalały poszczególne elementy maski i tworzyły gniewnie zmarszczone łuki brwi. Dla podkreślenia szokującego efektu na masce białą i czarną farbą wymalowano oko, wiecznie otwarte i wszystko widzące, podczas gdy dziura, przez którą Myszołów miał teraz żałośnie ograniczony widok na świat, wyglądała jak ślepa próżnia. Nos był drapieżnym dziobem, długim na rozpiętość dłoni, sterczącym pośrodku twarzy jak okrutne przypomnienie o jego przydomku. Kolejne szwy tworzyły usta wykrzywione w niegasnącym obłąkańczym uśmiechu, tym bardziej upiornym, że wokół otworu, przez który miał mówić, jeść i pić, widniały poszarpane białe zęby.

Kiedyś widział podobną maskę wiszącą na ścianie portugalskiego handlarza niewolników, który dostał ją od szamana jakiegoś plemienia z głębi kraju Musa bin Ba'ik. Teraz to miała być jego twarz... Nie mógł znieść jej widoku.

Płacząc z bólu i poczucia niemocy, skrobał palcami kłódkę z boku głowy i szyi, jakby pozostałe mu palce mogły złamać żelazo, które go więziło. Gdy to robił, doznał ostatniego upokorzenia: wymacał metalowy pierścień przymocowany do obrozy pod brodą. Natychmiast zrozumiał, co to oznacza. Jeśli wzbudzi niezadowolenie Jahana czy spróbuje uciec, zostanie przykuty do ściany, a może nawet będzie wleczony po ulicach jak juczne zwierzę albo wychłostany pies.

Osunął się na kolana, zupełnie załamany. Był bliski śmierci w płomieniach i

utonięcia, ale przeżył. Kurczowo trzymał się życia, kiedy ocean i słońce nie szczędziły starań, żeby go zabić. Zniósł ból niepojęty dla każdego śmiertelnika i spojrzenia odrazy wszystkich, którzy na niego patrzyli. Ale to była ostatnia kropla.

Jahan podszedł, przykucnął obok niego i uniósł metalowy kubek zdobiony misternymi wzorami z ciemnoniebieskiej, turkusowej i białej emalii.

– Proszę, to słodki, świeży sorbet – powiedział cicho, jak do przestraszonego młodego konia, który po raz pierwszy poczuł na grzbiecie siodło. – Pij.

Myszołów wziął kubek, przysunął go do ust i przechylił, żeby się napić, ale kubek zderzył się ze skórzanym dziobem, więc zawartość nie mogła wypłynąć. Spróbował, przekrzywiając głowę, lecz tylko polał maskę i ani jedna kropla nie wpadła do ust. Próbował jeszcze kilkakrotnie zmienić pozycję, ale nic to nie dawało.

Wszyscy obecni w komnacie, obserwujący to przedstawienie, z początku byli zaintrygowani, a później ogarnęła ich wesołość. Grey nie mógł się powstrzymać. Zachichotał jak kobieta, co sprowokowało do śmiechu strażników i nawet Jahana. Niebawem śmiech odbijał się echem od ścian, zagłuszając wrzaski bezsilnej wściekłości. W końcu Myszołów rzucił kubek, a grzechot, z jakim naczynie potoczyło się po marmurowej podłodze, uciszył pozostałych.

– Wiedz, ty, który byłeś lordem i kapitanem statku, że przestałeś być człowiekiem – odezwał się Jahan. – Wstań, a ja ci pokażę, jak będziesz dostawać wodę do picia.

Klasnął i do pokoju wszedł czarny sługa z miedzianym dzbankiem z długim dziobkiem, takim, jakich się używa do podlewania roślin. Podszedł do Myszołowa ze zgrozą w szeroko otwartych oczach. Trzymając dzbanek jak najdalej od siebie, uniósł go i wsunął dziobek w dziurę w masce na wysokości ust. Myszołów chwycił go wargami i pił chłodną wodę z żalną gorliwością i wdzięcznością, dopóki Jahan nie klasnął i dziobek nie został wysunięty.

– Będziesz karmiony i pojony przez niewolników, dla których ten obowiązek będzie formą kary. Na ulicy kobiety będą odwracać głowy, przestraszone twoim widokiem. Dzieci usłyszą historię o tym, że jeśli będą niegrzeczne, przyjdiesz w nocy i je porwiesz. Młodzi mężczyźni, chcący dowieść swojej odwagi, będą zachęcać jeden drugiego do rzucania w ciebie zgniłymi warzywami, dopóki nie znajdzie się jeden na tyle głupi, żeby to zrobić, i nie zostanie ścięty przez moich ludzi za impertynencję. Po czymś takim ludzie naprawdę będą się ciebie bali i cię nienawidzili. Ale ich nienawiść w porównaniu z twoją będzie ziarnkiem piasku na ogromnej pustyni. Bo całe twoje

jestestwo zostanie przeżarte przez nienawiść. I ponieważ nienawidzisz, a tylko ja mogę zaoferować ci szansę na danie upustu tej nienawiści, będziesz mi służyć.

Jahan przeniósł spojrzenie na konsula.

– Co do ciebie, panie Grey... – jego głos stał się zimny i twardy – opuścisz mój dom i nie wrócisz nigdy, chyba że z głową Henry’ego Courtneya na talerzu albo z pomysłem, jak go zniszczyć. Przyjdź do mnie z jednym bądź drugim, a odzyskasz, nawet umocnisz wcześniejszą pozycję i znów będziesz się cieszyć szacunkiem mojego ludu. Dopóki jednak to nie nastąpi, będziesz uważany za pariasa. A teraz precz!

Myszołów niemal się zdobył na uśmiech podobny do tego na masce, gdy patrzył, jak Grey wychodzi ze spuszczonego wzrokiem. Jahan odwrócił się w jego stronę.

– Właśnie przyszło mi na myśl, że jesteś eunuchem – powiedział. – Dlatego wyświadczę ci wyjątkową łaskę, jaka nie spotka żadnego pełnosprawnego mężczyzny. Możesz mi towarzyszyć, gdy zasiądę do kolacji z moimi ulubionymi konkubinami. Są nieskazitelnie pięknymi istotami pochodzącymi z Indii, Persji, z rosyjskich stepów, a jedna nawet została uprowadzona z rybackiej wioski na brzegach twojej ojczystej wyspy. Będą podekscytowane, mogąc cię poznać. Przypuszczam, że odważniejsze będą nawet chciały cię dotknąć, żeby się przekonać, czy jesteś prawdziwy. Oczywiście, tobie nie wolno ich dotykać ani jeść moich potraw i pić moich napojów, ale będziesz mógł napawać swoje jedyne oko wyłożonym przed tobą poczęstunkiem. I w dniu śmierci Henry’ego Courtneya pozwolę ci wybrać jedną kobietę z mojego haremu i będziesz mógł z nią zrobić, co zechcesz, absolutnie wszystko. Pomyśl o tym, kiedy będą cię rozpieszczą dziś wieczorem. Wyobraź sobie, jaki znajdziesz sposób, żeby zaspokoić swoje żądze. I zapytaj samego siebie, czy któraś z tych kobiet, nawet najpiękniejsza z nich, może sprawić ci taką samą przyjemność jak patrzenie na śmierć kapitana Courtneya.

Trzy dni później Myszołowowi rozkazano odbyć pierwszą wyprawę do zewnętrznego świata. W czarnej *dżelabie* z kapturem przeszedł się na nabrzeże i z powrotem, eskortowany przez sześciu ludzi Jahana. Ich zadanie polegało na ochronie podopiecznego i dopilnowaniu, żeby nie uciekł. Otrzymali specjalne instrukcje, że mają maszerować w takiej odległości, by każdy, kto mijał Myszołowa, mógł się mu dobrze przyjrzeć.

Zgodnie z przewidywaniami Jahana, pojawienie się zamaskowanego mężczyzny na tłocznych ulicach Zanzibaru spowodowało reakcję bliską panice.

Kobiety odwracały głowy i zakrywały oczy swoich dzieci. Mężczyźni spluwali na ziemię, gdy przechodził, albo podnosili amulety *nazar*, żeby odwrócić spojrzenie złego oka, groźnie lypiącego ze skórzanej twarzy. Kiedy szli przez plac, wokół którego stały sklepy i jadłodajnie, jeden zapalczywy młody śmiałek sięgnął do rynsztoka i lewą ręką – tą używaną do podcierania się – podniósł grudę cuchnących ekskrementów i rzucił nią w Myszołowa. Czy to dzięki celności, czy ślepemu trafowi, obrzydliwy pocisk przeleciał pomiędzy strażnikami i uderzył Myszołowa w lewe ramię, to bez ręki. W jednej chwili dwóch strażników skoczyło w tłum i pochwyciło młodzieńca, zanim zdążył uciec. Powlekli go, wyrzaskującego obelgi i przekleństwa, na środek ulicy, gdzie dowódca oddziału już czekał z wyciągniętą szablą, żeby wypełnić rozkazy Jahana: każdy, kto w jakikolwiek sposób zaatakuje Myszołowa, ma zostać publicznie stracony.

Kiedy winowajcę przyciągnięto bliżej, stało się jasne, że ma nie więcej niż piętnaście lat; chłopak w gorącej wodzie kąpany dał się ponieść młodzieńczej beztrosce, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Dowódca się zawahał. Był przyzwoitym człowiekiem, miał syna i nie chciał odbierać chłopca rodzinie innego mężczyzny za to, że dał wyraz obrzydzeniu, które czuli wszyscy – łącznie z nim – w obecności zamaskowanego mężczyzny.

Myszołów zauważył wahanie dowódcy. Usłyszał płynące z tłumy pierwsze, nerwowe wołanie o łaskę. Instynkt mu mówił, że to decydująca chwila, która rozstrzygnie, jak będzie postrzegany – czy jako budzący lęk potwór, czy jako budzący litość odmieniec. Wiedział, co woli.

– Daj mi swoją szablę – warknął do dowódcy. Wyciągnął prawą rękę i wyrwał broń z jego garści, zanim mężczyzna miał szansę się sprzeciwić.

Dziób i gniewne, drapieżne oko zwróciły się ku żołnierzom, którzy trzymali chłopca.

– Wy dwaj, zwiążcie mu ręce za plecami! – rozkazał Myszołów. – Piorunem, bo przysięgam, że maharadża o tym usłyszy.

Strażnicy, którzy wyglądali na niemal równie przerażonych jak ich jeniec, natychmiast zrobili, co kazał. Myszołów usłyszał, jak jeden z nich przeprosza chłopca i błaga go o wybaczenie.

– Milczeć! – rzucił.

Gorycz i uraza były od tłumy gapiów, ale nikt nie powiedział słowa, kiedy żołnierze związali chłopca i rzucili go na kolana. Cała jego młodzieńcza brawura

zniknęła bez śladu i był po prostu przerażonym płaczącym dzieckiem, gdy żołnierz pociągnął jego głowę ku ziemi, odsłaniając kark.

Myszolów spojrzał na gołą brązową skórę chłopca, uniósł bułat i opuścił go z całej siły.

Chybił.

Ostrze cięło grzbiet chłopca pomiędzy łopatkami. Straszne, przeraźliwie wysokie wycie bólu popłynęło nad placem. Myszolów szarpnął bułat, którego ostrze utkwilo pomiędzy kręgami, wyrwał je i ponownie się zamachnął. Tym razem trafił w szyję, ale jej nie przeciął.

Trzeba było jeszcze trzech ciosów i chłopiec już nie żył – dwóch żołnierzy trzymało trupa – zanim głowa w końcu spadła na pylistą ziemię. Pierś Myszolowa ciężko się wznosiła i opadała, kiedy skończył. Cofnął się i rozejrzał po placu, obracając się dokoła, wodząc wzrokiem po tłumie, pławiąc się w strachu i wrogości widocznych na każdej twarzy.

– Zabierz mnie do pałacu – rozkazał dowódcy.

Tak, to powinno wystarczyć, pomyślał, gdy żołnierze ustawili się wokół niego. Przedstawiłem swoje stanowisko.

Kapitan musi być na służbie albo o każdej porze dnia czy nocy stawiać się na wezwanie tych, którzy ją pełnią. Kiedy wyszli w morze, Hal nie dopuszczał, żeby obecność Judith odrywała go od odpowiedzialności za okręt i wszystkich na jego pokładzie. Gdyby poczynał sobie ze zbytnią swobodą, uchybiłby podziwowi i sympatii, jaką darzyła go załoga. Judith też nie chciała do tego dopuścić. Wiedziała, co to znaczy być dowódcą; nie zamierzała stawać pomiędzy Halem i jego obowiązkami i straciłaby do niego szacunek, gdyby jej na to pozwolił.

Jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin była jedna, którą mogli poświęcić sobie zamiast czemuś lub komuś innemu, to ta przed świtem. Wtedy statek wydawał się najspokojniejszy, wiatr i morze często się uciszały i mogli wykorzystać ten spokój, żeby słowami i czynami albo jednym i drugim wyrazić swoją miłość.

Hal nie mógł się nią nasycić. Uwielbiał chwilę, kiedy zanurzał się w niej tak głęboko, że właściwie nie mógłby powiedzieć, gdzie się kończy jego ciało, a zaczyna jej. Scaleni jak jedna istota, doświadczali ekstatycznego spełnienia tak intensywnie, że przez jedną błogą chwilę w całym wszechświecie nie było niczego i nikogo prócz nich. Ale mimo tej obopólnej namiętności najbardziej kojące dla serca Hala było patrzeć na śpiącą Judith, na jej piękną twarz ledwie widoczną w mroku kajuty, i słuchanie jej cichego, delikatnego oddechu. Miała w sobie coś spokojnego, ufego. Czuła się z nim całkowicie bezpieczna i głębia jej zaufania i miłości przepelniała go pragnieniem chronienia jej do końca życia.

Pewnego ranka jednak, kiedy osiem dni i około tysiąca mil dzieliło ich od Mitsiwy, gdy płynęli prawie prosto na południe wzdłuż wschodniego wybrzeża Afryki, często nie więcej niż trzydzieści mil od lądu, zbudził go jęk. Kiedy otworzył oczy, Judith nie leżała spokojnie obok niego, ale kulila się odwrócona plecami, z kolanami podciągniętymi do piersi. Najwyraźniej bardzo cierpiała.

– Kochanie, co się dzieje? – zapytał z trwogą w głosie.

– Przejdzie – odparła, ale zaraz potem wstrząsnęły nią gwałtowne torsje, chociaż nic poza dźwiękiem nie płynęło z jej ust.

– Jesteś chora – powiedział, stwierdzając rzecz oczywistą i przyłożył rękę do jej czoła. – Jesteś rozpalona. Masz gorączkę?

Z trudem przełknęła ślinę i przekręciła się w jego stronę. Podparła się na łokciu i położyła rękę na jego ramieniu.

– Nie martw się, kochanie. Nie jestem chora. Daleko mi do tego. Prawdę

mówiąc, nigdy w życiu nie byłam zdrowsza.

Hal ujął jej rękę i mocno ją ścisnął.

– Proszę, kochanie, nie musisz mnie pocieszać. Jesteś dzielna, ale...

– Sza... – szepnęła. – Daję ci słowo, że nie ma powodu do obaw. – Zdobyła się na nikły uśmiech. – Chyba że martwi cię myśl o nieuchronnie zbliżającym się ojcostwie.

– O nieuchronnie... co? Czy ty... to znaczy, czy...?

– Tak, kochanie, jestem w ciąży. Urodzę dziecko, twoje dziecko... nasze dziecko.

– Cudownie! – krzyknął z radością, ale potem nagle jakby go opadły wątpliwości. – Jesteś pewna? Skąd wiesz?

– Stąd, że ponad dwa miesiące temu byliśmy razem na radzie wojennej, jeśli pamiętasz...

– Doskonale pamiętam, możesz mi wierzyć!

– Od tamtej pory nie miałam krwawienia i ostatnio rankiem mam mdłości. Gdy byłam w domu, moja matka, ciotki i wszystkie kobiety w rodzinie mówiły mi to, co ja mówię tobie. – Zaśmiała się z zadowoleniem. – Może będę miała syna tak silnego, przystojnego i dobrego jak ty.

– Albo córkę tak piękną, kochaną i dzielną jak ty.

Przez chwilę pławili się w blasku, który poznają młodzi kochankowie, kiedy się dowiadują, że dokonali cudu najbardziej starożytnego i uniwersalnego ze wszystkich ludzkich dokonań, a jednak dla dwojga ludzi czegoś jedyne w swoim rodzaju. Nagle Hal drgnął, niemal jak przestraszony czy użądłony, i odwrócił głowę od Judith. Zapatrzył się w ciemność za iluminatorami, nadstawiając ucha i węsząc jak pies myśliwski, który zwietrzył zapach zwierzyny.

– O co chodzi, kochanie? – zapytała Judith. – Coś cię trapi? Nie obawiaj się, nasze dziecko będzie we mnie bezpieczne. Wszystko będzie dobrze.

– Nie, nie o to chodzi – odparł Hal. – To coś innego.

Wstał z łóżka i pośpiesznie się ubrał – włożył spodnie, buty i koszulę, którą zostawił rozpiętą. Pochylił się, żeby pocałować Judith w czoło.

– Po prostu chcę coś sprawdzić. Nie martw się, to pewnie nic takiego. – Widząc jej zaniepokojoną twarz, krzepiąco się uśmiechnął. – Cieszę się z dziecka, to cudowna wiadomość. Kocham cię całym sercem. I za chwilę do ciebie wrócę.

W drodze na pokład rufowy oderwał myśli od sypialni i skoncentrował się na

kapitańskich obowiązkach.

Dwa dni temu marynarz w bocianim gnieździe zauważył holenderską karawelę kilka mil od sterburty. Holender pojawiał się i znikał wraz ze zmianami wiatru i widoczności do końca dnia, więc mogło się wydawać, że tropi *Golden Bough*. Podczas wojny byłoby to alarmujące. Wprawdzie karawela była mniejsza niż *Golden Bough* i nie mogłaby jej zagrozić, ale Hal zacząłby się zastanawiać, czy jakieś inne, potężniejsze statki nie czyhają za polem widzenia, za linią horyzontu. Anglia i Holandia ponad rok temu zawarły pokój, więc teraz nie miał powodu do obaw. Co więcej, następnego dnia o świcie karawela zniknęła. Ale dręczące podejrzenie kołatało się w jakimś zakamarku jego umysłu i instynkt żeglarza kazał mu się mieć na baczności.

Teraz ten instynkt doszedł do głosu. Coś mu mówiło, choć za żadne skarby nie mógłby powiedzieć co, że Holender wciąż gdzieś tam jest. Wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki nie zyska pewności, do czego zmierza kapitan tej tajemniczej karaweli.

Wyszedł na pokład, gdzie powitało go coś bliskiego idealnemu spokojowi. Wiatr osłabł i srebrna poświata księżyca odbijała się na nieruchomej szklistej wodzie. Na pokładzie spali wojownicy *amadoda*, którzy zawsze woleli spędzać noce na powietrzu, zamiast znosić brud i smród pod pokładem. Ned Tyler stał przy sterze i skinieniem głowy powitał kapitana.

– Co pana sprowadza tak wcześnie, kapitanie? – zapytał. – Nie wierzę, że zmęczyło pana towarzystwo w kajucie.

Hal zachichotał.

– Nie ma na to szans. Po prostu nasza mnie myśl, że Holender wciąż tam jest.

– Młody Tom ani piśnie, kapitanie, a dobry z niego chłopak. Niemożliwe, żeby zasnął na służbie.

Tom Marley, przyszczaty młokos o odstających uszach, był najmłodszym członkiem załogi i obiektem dobrodusznych żartów. Ale Hal się zgadzał, że ma zadatki na przyzwoitego żeglarza.

– Proszę go tu ściągnąć, panie Tyler.

– Tak jest, panie kapitanie.

Ned spojrział na szczyt masztu i krótko, przenikliwie gwizdnął. Tom Marley natychmiast pomachał ręką, a sternik gestem kazał mu zejść na pokład. Chłopak schodził po drabinkach z nieustraszoną prędkością i zwinnością, która przypominała

Halowi o niezbyt odległych czasach, kiedy kilka razy dziennie wspinał się do bocianiego gniazda na życzenie ojca.

Tom zeskoczył na pokład, podbiegł do niego i Neda i z nerwową miną stanął wyprostowany, trzymając ręce za plecami.

– Wszystko w porządku, Tom, nie zrobiłeś nic złego – uspokoił go Hal. Ramiona chłopaka się odprężyły, gdy opadło z niego napięcie. – Po prostu chcę wiedzieć, czy ostatnio coś zauważyłeś, na przykład Holendra, który płynął za nami dwa dni temu.

Tom zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie, panie kapitanie, nie widziałem ani Holendra, ani żadnego innego statku. A miałem otwarte oczy, pani kapitanie. Nie zdrzemnąłem się ani na chwilę.

– Jestem tego pewien. Kucharz już na pewno wstał, więc biegnij coś zjeść.

– Jeszcze nie skończyłem wachty, panie kapitanie.

– O to się nie martw – powiedział Hal. Nagle zapragnął rozejrzeć się osobiście, zamiast polegać na oczach innych, co kapitan powinien robić często.

– Jest pan pewien, kapitanie, że wchodzenie na górę to dobry pomysł? – zapytał Ned. – Minęło już trochę czasu.

– Sugeruje pan, że już nie dam rady wejść tam szybciej niż każdy inny na statku?

– Nie, panie kapitanie, nie przyszłoby mi to do głowy.

– Patrz, a ja ci pokażę.

Hal podbiegł do masztu, chwycił linę i zaczął się wspinać po wantach; pozostawiając w dole obwisłe żagle, zmierzał ku atramentowemu niebu.

Pett był głodny. Oczywiście, wszyscy na statku byli głodni. Wyłapano i zjedzono chyba wszystkie szczury na pokładach, nawet w zęzie. Każdą mewę, która była dość głupia, by przysiąc na pokładzie czy takielunku, witał grad kamieni, małych kul albo czegokolwiek innego, co kto miał pod ręką, żeby rzucić i zabić lub ogłuszyć ptaka. Swawolne delfiny, które płynęły wzdłuż burty, zostały ostrzelane z mniejszych dział statku i po każdej kuli, która trafiła w cel, szybko następował plusk, gdy najlepsi pływacy skakali do wody, żeby wyłowić ustrzelone zwierzę, zanim się nim zajmie gromada czyhających w pobliżu rekinów.

Pett odczuwał głód innego rodzaju. Cały ubiegły tydzień spędził zamknięty w ciemnej, cuchnącej, zaszczurzonej norze na najniższym pokładzie. Zapewnił kapitana statku, że jest wyższym urzędnikiem brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, i zażądał, żeby go traktowano jak dżentelmena, ale tamten go nie słuchał; powtarzał tylko, że zamyka go dla jego własnego bezpieczeństwa.

– Musi pan zrozumieć, że niedawno moi ludzie walczyli z Brytyjczykami, więc nie za bardzo was kochają – wyjaśnił z pełnym żalu wzruszeniem ramionami. – Poza tym głodują i tak rozpaczliwie potrzebują jedzenia, że mogą się uciec... jak mam to powiedzieć? Do nieludzkich metod, żeby je zdobyć. Powinieneś uważać się za szczęściarza, panie, że wydałem rozkaz cię uratować. Wielu moich ludzi było bardzo niezadowolonych z takiej decyzji. Nie podobał im się pomysł brania na pokład dodatkowej gęby do wykarmienia. Wybacz mi, pozwoliłem sobie na głupi żart: powiedziałem, że jeśli się im nie spodobaś, będą mogli cię zjeść. Teraz szczerze się obawiam, że niektórzy mogli poważnie potraktować moje słowa.

Od tamtej pory Pett żył na czymś, co było równoznaczne z racjami głodowymi. Jego ciało, już chude, upodobniło się do szkieletu. Ale nigdy nie był człowiekiem w najmniejszym stopniu zainteresowanym rozkoszami suto zastawionego stołu, więc brak przyzwoitych posiłków nie był dla niego dotkliwy. Nie, doskwierał mu inny głód, który skręcał mu trzewia, kiedy słyszał głosy, przede wszystkim głos Świętego, błagające go o spełnienie woli boskiej przez oczyszczenie świata z grzechów i popełniających je nieczystych dusz. Pett nigdy nie mógł być pewien, kiedy je usłyszy. Czasami mijały miesiące bez jednej wizyty, ale zdarzały się również takie okresy – jak ten – gdy zgiełk w jego głowie prawie wcale nie cichł; ciągnął się całymi dniami, a nawet tygodniami. Głosy zawsze do niego wołały, błagały go, powtarzały bez końca to samo bezlitosne przykazanie: „Zabijaj”.

Wiedział, że nie zagna wybawienia, dopóki będzie zamknięty w odosobnieniu, ale Święty, jak zawsze, zapewnił mu ratunek, tym razem w postaci wychudłego, spragnionego członka załogi. Jego zbrodnia, jak wywnioskował Pett, polegała na kradzieży jednej z ostatnich skórek starego chleba z zamkniętej skrzyni w kajucie kapitana. Pett uznał, że mężczyzna jest obłąkany. Z pewnością myślał, że nikt nie odkryje kradzieży, chociaż jedynym sposobem na otwarcie skrzyni z cennymi okruchami było rozwalenie zamka strzałem z pistoletu, słyszonym od dziobu po rufę.

A może po prostu już się tym nie przejmował. Przez dwanaście godzin siedział naprzeciwko niego, od czasu do czasu wygłaszając rozwlekłe, bełkotliwe przemowy, po czym zapadł w niespokojną drzemkę, w czasie której krzyczał przez sen ze złości i trwogi. Pett już dawno ukołysałby go do cichego wiecznego snu, gdyby tylko nie byli przykuci do żelaznych pierścieni osadzonych w grodziach, rozdzieleni przez długą na co najmniej dziesięć stóp przestrzeń oblepioną brudem pokładu.

Łańcuch Petta, przymocowany do obręczy na kostce, miał tylko pięć stóp długości, więc dosięgnięcie mężczyzny i zadanie mu śmiertelnego ciosu było prawie niemożliwe. Ale Pett czuł głębokie przekonanie, że Święty nie zesłałby tu tego człowieka bez zapewnienia środków umożliwiających mu wysłanie go z tego świata na tamten. I rzeczywiście, wypadki toczyły się pomyślnie, bo załoga statku – a przynajmniej jej znaczna część – wyruszała na jakąś wyprawę. Przez pokłady trudno było usłyszeć, co właściwie planują, ale jedna wiadomość zdołała się przebić: podejmowali desperacką próbę zdobycia jedzenia. Pett słyszał wyszczekiwane i potwierdzone rozkazy. Panowało wielkie zamieszanie, bieganina i hałasy, jakie można kojarzyć z grupą ludzi przygotowujących się do ważnego przedsięwzięcia.

W końcu Pett usłyszał opuszczane łodzie i stłumione głosy nakazujące zachowanie ciszy. Bez względu na to, dokąd się wybierali, wyraźnie nie chcieli nikogo uprzedzić o swoich zamiarach. Gdy tylko łodzie odbiły od statku, ci, którzy zostali, rozpoczęli gorące dyskusje, zapewne o prawdopodobnym wyniku ekspedycji. Temat nie miał znaczenia; najważniejsze, że nikomu nie przyszło na myśl zajrzeć do Williama Petta i jego towarzysza w celi.

Miał więc doskonałą okazję, żeby bez przeszkód podjąć działania. Ruszył, najpierw powoli, bezgłośnie jak lampart w ciemności, ignorując skurcze w nogach po długim bezruchu.

Nie szczędził starań, żeby zachowywać ciszę, więc być może tylko za sprawą czystego przypadku jego zamierzona ofiara zbudziła się akurat teraz. Mężczyzna przez

chwile wlepił w niego oczy, wyraźnie próbując zrozumieć, dlaczego jego współtowarzysz znalazł się na środku celi. Gdy pojął, że grozi mu niebezpieczeństwo, napinając łańcuch, odczołgał się jak najdalej w mrok. Żelazo grzechotało i przerażenie rozjaśniło białka jego oczu, aż jarzyły się w ciemności, gdy krzykiem wzywał pomocy i łomotał w wilgotne drewniane ściany, skądś wiedząc, że tamten zamierza go zabić.

Pett przesuwiał się dalej. Niemal dotarł do porażonego strachem celu, ale nagle łańcuch się napiął. Zaklął i rzucił się do przodu, wyprężony jak atakująca mamba, i udało mu się chwycić ofiarę za stopę. Mężczyzna wierzgnął, ale Pett trzymał go nadal, przyjmując w twarz ciosy, których nie czuł. Cał po cały przyciągał ofiarę, drapiącą pokład paznokciami, próbującą wbić w niego palce jak haki, ale deski były śliskie od szcurzych odchodów i mężczyzna nie miał żadnego oparcia.

Wrzeszczał głosem łamiącym się z przerażenia. Wołał do Boga, ale Wszechmogący nie był zainteresowany – miał inne plany – a Święty i wszyscy aniołowie krzyczeli do Petta, żeby dokonał egzekucji w Jego imieniu. Gdy twarz Petta znalazła się na wysokości cuchnącego krocza mężczyzny, przesunął się dalej, jakby od tego zależało jego życie.

– Nie ruszaj się, a pójdzie szybko – powiedział, wiedząc, że strzepi sobie język. Szalone, śliskie od szlamu palce drapały go po głowie i twarzy, gdy mężczyzna próbował go odepchnąć. Ale nie było odwrotu. Pett wyciągnął ręce, znalazł gardło i z palcami splecionymi na wychudzonym karku jak sznurowanie gorsetu, kciukami zaczął miażdżyć ofierze krtań.

Mimo braku pożywienia uwięziony marynarz był po latach pracy na morzu, podnoszenia żagli i wspinania się na maszty zaskakująco silny. Szarpał duszące go ręce, próbując je oderwać od szyi, ale William Pett miał doświadczenie. Robił to wiele razy i wiedział, że musi trzymać trochę dłużej. Tylko trochę dłużej.

Pett był również koneserem, kolekcjonerem śmierci. Swoje ofiary w duchu dzielił na spokojne i gwałtowne. Wielu ludzi reagowało na swój zbliżający się koniec z przerażeniem; nieliczni byli opanowani i spokojni. Mniej wzniosła różnica polegała na tym, że jedni w chwili zgonu opróżniali jelita, a drudzy pozostawali bez skazy. Gdyby Pett pomyślał o tym wcześniej, gotów byłby się założyć, że brak treści w układzie pokarmowym mężczyzny będzie oznaczać czystą śmierć. Ale stało się inaczej, choć ilość kału była umiarkowana – co nie znaczy, że smród nie rozszedł się w powietrzu. W tej samej chwili ręce się rozluźniły, marynarz zadygotał jak kochanek w momencie spełnienia i znieruchomiał.

Pett wciąż go trzymał, chwytając powietrze w wilgotnej, dusznej celi. Mężczyzną wstrząsnął ostatni dreszcz, jego obcasy zastukały w pokład i było po wszystkim. „Dobrze się spisałeś”, szepnął Święty w jego głowie. „Ale jesteś na statku. Następnym razem wbij ostrą drzazgę albo metalowy kolec przez ucho do mózgu. Zabijesz szybko i nie zostaną ślady, które mogłyby wzbudzić podejrzenia”.

Pett pomyślał, że Święty ma rację, jak zwykle. Teraz nie miało to jednak znaczenia. Nadszedł czas, żeby się przygotować na chwilę odkrycia zwłok.

Wolałby umieścić trupa pod grodzia i ułożyć tak, by wyglądało, że zmarł we śnie, ale łańcuch to uniemożliwiał. Dlatego przewrócił go na brzuch, twarzą w brudzie, żeby zafajdane portki były pierwszą rzeczą, którą zobaczy ktoś, kto tu wejdzie ze światłem.

Wrócił do swojego kąta przy schowku na liny i czekał.

Hal wspiał się na grotmaszt z gibką pewnością siebie. Wszedł do bocianiego gniazda tuż pod topem i spojrzął na rzadką chmurę wędrującą przez tarczę księżyca. Oddech miał nieco szybszy niż wtedy, gdy był chłopakiem i wspinał się na maszty kilka razy dziennie, ale wciąż mu sprawiało przyjemność wdychanie chłodnego czystego powietrza na górze, gdzie wiatr przypominał eliksir zaprawiony zapachem smołowanych lin, stęchlą wonią żagli i od czasu do czasu, kiedy wiał od lądu, słodkim, korzennym aromatem afrykańskiej gleby płynącym nad oceanem z wybrzeża.

Spojrzął na północ w mrok, wypatrując Holendra, którego ostatnio widziano osiem mil za rufą *Golden Bough*. Gdy chmura się rozdarła, przepuszczając migotliwy blask księżycowej poświaty, jego oko przyciągnął błysk bieli. Hal wiedział, że ma wzrok równie dobry jak wszyscy na pokładzie – między innymi dlatego postanowił samemu popatrzeć, zamiast polegać na innych – ale gdy przeszukiwał ocean, chmury znów zwarły szeregi i powróciła nieprzenikniona ciemność.

– Gdzie w takim razie jesteś? – mruknął.

Wstawał świt, krwawa plama zabarwiła rąbek szaty nocy. Zamierający północny wiatr nie miał siły wydać żagli. *Golden Bough* zwolniła, a w końcu odmówiła przepłynięcia choćby jednego jardu na południe; straciła sterowność i dryfowała bez celu. Podnosząca się mgła spowiła okręt i otaczające go wody miękkim kocem, który tłumił dźwięk i ograniczał widoczność. *Golden Bough* łagodnie kołysała się na falach. Hal mógłby zasnąć jak dziecko w kolebce, gdyby Ned Tyler do niego nie zawołał. Sternik prosił o pozwolenie na rzucenie kotwicy, ponieważ lepiej zostać tam, gdzie są, niż dryfować, unosząc się na kapryśnych prądach, dopóki nie osiadą na mieliźnie.

Hal poczuł się trochę winny, że jest tu, na górze, jak młody chorąży, zamiast na pokładzie jak na kapitana przystało. Ale jeszcze nie chciał zaprzestać poszukiwań, bo instynkt mu mówił, że Holender gdzieś tam musi być. Była to mała karawela, trzymasztowa, z żaglami rejowymi, nie łacińskimi. Przypuszczał, że jest łupem wojennym zdobytym na Hiszpanach bądź Portugalczykach, bo takie statki pod holenderską banderą należały do rzadkości. Karawela wciąż miała dość wiatru, żeby żeglować, ponieważ była o połowę mniejsza od *Golden Bough*. Nie miał się czego obawiać ze strony takiego statku, i to nie tylko dlatego, że gdyby doszło do walki, jego kolubryny mogłyby go rozbić na kawałki.

– Bodaj licha wzięło ten rozejm – szepnął, mrużąc oczy, jakby mógł nimi przeszyć mgłę i zobaczyć kolejne mignięcie żagli. Anglia i Holandia zawarły pokój,

czego on srodze żałował. To holenderski gubernator Kolonii Przylądkowej rozkazał poddać torturom i zamordować jego ojca, i Holendrzy brutalnie wypełnili rozkaz. Hal tęsknił za wojną, bo wtedy, działając zgodnie z prawem, mógłby przelewać galony holenderskiej krwi w odwecie za cierpienia ojca.

Nagle mu się wydało, że czuje w powietrzu zapach Holendra, powiew świeżej smoły i starego potu załogi, ale to wrażenie momentalnie się rozwiało. Aboli miał rację, mówiąc, że sir Francis przygotował go do wypełniania obowiązków, jakie spoczywają na kapitanie statku. A jednak Hal miał coś jeszcze, coś, czego nawet ojciec nie mógłby go nauczyć. Był to instynkt wojownika. Czuł, jak krąży niczym krew w jego żyłach. Gdyby miał do tego powołanie, mógłby zostać zabójcą. Pod wpływem instynktu opuścił ciepłe łóżko i śpiącą w nim piękną kobietę i wspiął się niemal na szczyt masztu. Teraz ten sam instynkt ostrzegł go przed niebezpieczeństwem.

Nie widział pierwszego z okręconych szmatami haków, który spadł na pokład *Golden Bough*, ale zobaczył pierwsze ciemne sylwetki wyłaniające się z mgły.

– Do broni! Do broni! – krzyknął, gdy w mroku błysnęły płomienie z luf pistoletów, na krótko oświetlając twarze ludzi, którzy przysli ich zabić. Hal już się wygramolił z bocianiego gniazda. Ruszył na dół, w czekający na niego chaos.

Podziękował Bogu Wszechmogącemu za upodobanie *amadoda* do spania pod gwiazdami, bo teraz wszyscy się poderwali, chwycili broń i rzucili się do walki. Napastnicy, mając przeciwko sobie uzbrojonych we włócznie i topory zaciekłych wojowników, z pewnością żałowali swojej niecierpliwości. Ale nawet z połowy masztu Hal widział, że ludzie przelazący przez nadburcia *Golden Bough* są ciężko uzbrojeni. Każdy miał w ręce pistolet i dwa dodatkowe wiszące na sznurkach na szyi. Gdy spojrział w dół, zobaczył jednego z *amadoda* rzuconego do tyłu, kiedy kula z pistoletu wyrwała dziurę w jego nagiej piersi. Wojownik upadł na pokład, wywracając oczy, aż załśniły same białka.

Hal zeskoczył z wysokości kilku stóp. Gdy jego stopy uderzyły w deski, nagle zrozumiał, że nie jest uzbrojony. Kiedy wychodził z kajuty, nie pomyślał, żeby zabrać pistolet skałkowy czy rapier.

– Tutaj, Gundwane!

Hal odwrócił się i chwycił rękojeść szabli, kiwając głową do Abolego, który mu ją rzucił. Skoczył w chaos, przeciął czyjąś twarz i obrócił się, żeby dźgnąć głęboko w trzewia następnego.

– Załoga do mnie! – krzyknął i wojownicy ruszyli z radosnym okrzykiem. Inni

już wyskakiwali z luków.

Hal i Aboli ramię w ramię wycinali sobie drogę przez szeregi wrogów. Holendrzy jeszcze mieli załadowane pistolety i strzelali, siejąc śmierć i zniszczenie.

Jeden wielki Holender z twarzą ledwie widoczną pod bujnym ciemnym zarostem wystrzelił z pistoletu, potem go odwrócił i uderzył kolbą czarnoskórego człowieka. *Amadoda* upadł, a jego miejsce zajął Duży Daniel. Jego rapier zaklinował się w ramieniu martwego, ale sama siła Daniela była wystarczającą bronią. Poderwał muskularne ramię, żeby zablokować cios pistoletem, oburącz chwycił Holendra za brodę i pociągnął jego twarz ku sobie. Walnął go czołem i nos rosłego mężczyzny pękł z trzaskiem, który Hal usłyszał nawet w zgiełku bitwy.

Holender zachwiał się, a krew kaskadą spływała mu po twarzy i brodzie. Duży Daniel zerknął w bok, wyszarpnął kordelas z ramienia trupa i runął na brodacza jak rzeźnik na półtuszę.

Hal krzyknął z radości. Przewaga, jaką Holendrzy mogli uzyskać wskutek niespodziewanego ataku, została przekreślona przez szybkość i zaciekłość, z jaką zareagowali ludzie na *Golden Bough*. Zwycięstwo jeszcze niekoniecznie należało do niego, ale Hal, choć bardzo młody, stoczył dość bitew na pokładzie statku, by umieć poznać, kiedy przechyla się szala. Jeszcze tylko trochę wysiłku i szala opadnie. Już miał wezwać swoich ludzi, kiedy usłyszał głos Abolego:

– Gundwane!

Spojrzał nad pokładem i zobaczył, że Aboli wskazuje mieczem ku rufie, na szamotaninę u stóp bezanmasztu.

– Nie! – krzyknął Hal z rozpaczą. – To niemożliwe!

Judith zrobiło się tak niedobrze, że wstała z koi, choćby tylko po to, żeby znaleźć nocnik i zwymiotować. Atak mdłości ocalił jej życie. Zobaczyła cieniste postacie, które wyłoniły się z mgły i wspięły na rufę *Golden Bough*, po czym przemknęły za iluminatorami kapitańskiej kajuty. Nagle jeden z nich zaparł się stopami o rufę, odsunął się, żeby machnąć liną jak wahadłem, strzaskał nią szybę i wskoczył do kajuty.

Judith już na niego czekała, w samej koszuli nocnej, ale z mieczem w ręce. Długie zastanawianie się, co nosić na pokładzie *Golden Bough*, uratowało jej życie, ponieważ jej miecz, *kaskara*, zamiast leżeć zapakowany w kufrze w ładowni, przybył wraz z nią i został umieszczony w kajucie.

Mężczyzna, który wskoczył przez iluminator, ledwie dotknął stopami pokładu, kiedy *kaskara* przeszła mu gardło. Judith wyciągnęła ostrze. Gdy napastnik upadł, ze zwinnością tancerki obiegła drugiego napastnika, który wpadł do kajuty i niezdarnie przestępował nad rannym kamratem. Zadała dziki cios w dół pleców, rozcinając nerkę, a on chwilę później wił się, wrzeszczał i broczył krwią u jej stóp.

Widząc kolejnych wdzierających się mężczyzn, Judith zrozumiała, że za chwilę może zostać osaczona w kącie, bo powaleni przez nią napastnicy utworzyli barierę częściowo blokującą drogę do drzwi. Ruszyła szybko, wywalczając sobie drogę do wyjścia, jej *kaskara* błyskała, gdy Judith parowała, dźgała i rąbała, broniąc się przed coraz większą liczbą mężczyzn. Odbiła pchnięcie zadane znad jej lewego ramienia, machnęła mieczem skośnie w dół, głęboko tnąc rękę następnego i przecinając ją niemal na pół. Ale w panującym zamęciu jej umysł pozostał spokojny. Zdobyte wysokim kosztem doświadczenie nauczyło ją, że kluczem do przetrwania są koncentracja i kalkulowanie, podczas gdy inni wokół niej pozwalali, żeby wściekłość, strach czy panika zaćmiły im umysły. Poznaj wroga. Spójrz mu w oczy. Odczytaj jego myśli.

Chociaż walczyła o życie, uważnie przyjrzała się napastnikom i zobaczyła, że są zdesperowani. Mieli dzikie oczy, byli wynędzniali i najwyraźniej przymierali głodem. Jeśli z którymś z nich wymieniła trzy czy cztery ciosy, czuła, że ręka przeciwnika słabnie i ubywa mu sił.

Była dzieckiem Afryki. Dobrze znała głód i na pierwszy rzut oka umiała rozpoznać głodującego człowieka. Kimkolwiek byli napastnicy, atakowali z dzikim szaleństwem ludzi, którzy nie mają nic do stracenia. Usłyszała huk strzałów i z

górnego pokładu napłynęły wrzaski walczących ludzi. Wiedziała, że Hal i jego załoga też walczą o życie. Zostali zaskoczeni. Właśnie ważył się los *Golden Bough*. Ale jeśli utrzymają się dość długo, żeby wrogowie zaczęli tracić siły, odniosą zwycięstwo.

Poza tym przecież muszą wygrać. Ona musi przeżyć – nie dla siebie, ale dla dziecka, które w sobie nosi. Poczwała, że wzbiera w niej nowy, dotąd nieznany hart ducha, szalona odwaga lwicy broniącej swojego dziecka, i wiedziała, że nie ustąpi, nie może ustąpić atakującym ją ludziom. Zanim dotarła do wyjścia, konało dwóch następnych. Wyskoczyła z kajuty i zatrzasnęła za sobą drzwi, zyskując w ten sposób trochę cennego czasu. Doskoczyła do schodów prowadzących na pokład i biegła, w każdej chwili się spodziewając, że poczuje męską rękę zaciśniętą na swojej kostce. Ale nic takiego się nie stało. Wybiegła na pokład rufowy i stojąc w cieniu bezanmasztu, powiodła wzrokiem dokoła, żeby się zorientować w sytuacji i ocenić przebieg bitwy.

Zatrzymała się tylko na chwilę, ale ta chwila trwała zbyt długo. Nagle ktoś ją chwycił od tyłu, obejmując ją jedną ręką w talii i drugą zahaczając o szyję. Podniósł ją w powietrze i choć wymachiwała rękami w gorączkowej próbie odpowiedzenia na atak, nie mogła nic zrobić. Jej wysiłki chyba rozbawiły mężczyznę, bo się roześmiał i krzyknął:

– *Kapitein! Kijk eens wat ik gevonden!*

Judith nie mówiła po holendersku, ale rozpoznała język i nietrudno było zrozumieć, że napastnik woła do swojego kapitana. Znała Hala na tyle dobrze, by wiedzieć, że nigdy rozmyślnie nie naraziłby jej życia, nawet dla *Golden Bough*. Wiedziała, że ten, kto trzyma teraz ją, trzyma również okręt.

Judith opuściła ręce, pozwoliła, żeby jej miecz upadł na pokład, i zwiesiła głowę. Bitwa została przegrana i była to wyłącznie jej wina.

Hal wyrwał się z gorączki bitewnej. Widział wysokiego, chudego stracha na wróble stojącego za Judith. Zrozumiał, że nie jest świadoma tego nowego zagrożenia, i wyrzycał ostrzeżenie, ale krzyk zginął w zgiełku bitwy. Wojownicy *amadoda* i Holendrzy oddzielali go od Judith, więc skoczył pomiędzy nich; próbując się przedrzeć, parował ciosy, uderzał we wszystkie strony i na próżno krzyczał do Judith. Kiedy wreszcie wyrwał się z chaosu migoczącej stali, ciała i płomieni wystrzałów, zobaczył, że się spóźnił. Mężczyzna trzymał rękę w poprzek piersi Judith i przyciskał nóż do jej szyi, przytulając dziobaty policzek do jej czarnych włosów, jakby wdychał zapach jej pachnideł.

Przed nimi stał człowiek, którego Hal uznał za holenderskiego kapitana, bo

miał lamowaną srebrem kamizelkę i obcisłe spodnie, a nie płócienne szerokie portki noszone przez większość marynarzy. Mężczyzna potwierdził, że jest dowódcą, występując do przodu, zrywając z głowy kapelusz z szerokim rondem i machając nim w unoszącym się nad pokładem dymie z pistoletów. Słońce wyłoniło się nad wschodnim horyzontem i wypaliło poranną mgłę. Halowi przyszło na myśl, że gdyby Holendrzy przybyli kilka minut później, wybiłby ich, zanim postawiliby stopę na pokładzie. Wyglądało na to, że los sprzyjał wrogowi.

– Anglicy! – krzyknął holenderski kapitan, wciąż machając kapeluszem nad głową, żeby przyciągnąć uwagę ludzi. – Zaprzestańcie tego szaleństwa! Nie ma potrzeby przelewać więcej krwi. – Mówił z wyraźnym obcym akcentem, ale dobrze znał angielski. – Gdzie wasz kapitan?

Hal wystąpił, wciąż trzymając śliski od krwi rapier, ale nie próbując go użyć. Stopniowo wszyscy zrozumieli, że bitwa się skończyła, chociaż dla wielu powód jeszcze nie był jasny. Mężczyźni przerywali walkę, łapczywie wciągając powietrze. Niektórzy krzyczeli z bólu. Jeden trzymał w prawej ręce odciętą lewą dłoń i wpatrywał się w nią tak, jakby nie był w stanie pojąć, jak się tam znalazła.

– Jestem sir Henry Courtney, kapitan *Golden Bough* – oznajmił Hal. Wskazał rapierem holenderskiego kapitana. – A ty, panie, jesteś tchórzem, skoro wykorzystujesz przewagę, jaką ci zapewnia zagrożenie kobiecie.

Holender ściągnął brwi na te słowa, potem się obejrzał.

– Ta kobieta walczyła jak mężczyzna. Może powinniśmy potraktować ją jak mężczyznę... Ach! – Wzruszył ramionami i wyszczerzył zęby w rozbrajająco życzliwym uśmiechu. – Czy to ważne? Po prostu zakończmy tę bezsensowną bijatykę i porozmawiajmy rozsądnie.

Hal był niezdecydowany. Widział śmierć swojej dawnej ukochanej, Sukeeny, która zginęła od zatrutego ostrza i też była w ciąży. Umarła w jego ramionach i nie chciał, żeby podobny los spotkał Judith ani żeby jego drugie dziecko zmarło, zanim przyszło na świat.

A jednak czy może poddać swój statek i wszystko, o co tak ciężko walczył wraz ze swoją załogą? Jakim byłby kapitanem? Odruchowo spojrzał w górę na pokład rufowy, jakby się spodziewał zobaczyć tam ojca, sir Francisa, stojącego dumnie, nieugięte i nieustraszenie, przewiercającego go wzrokiem, przykładającego do niego własną miarę, jak zawsze.

Ale nie zobaczył tam ducha, który by mu powiedział, co zrobić. *Golden Bough*

była jego okrętem. On był jej kapitanem.

– Jestem Tromp, kapitan *Delfta* i teraz, jak się zdaje... również tego pięknego okrętu – powiedział Holender z uśmiechem w kąciку ust.

Jego ludzie krzyknęli na wiwat, na co załoga *Golden Bough* odpowiedziała przekleństwami, domagając się wznowienia walki. Spod pokładu wybiegli ostatni marynarze i teraz stali, mrugając w porannym słońcu, z czystymi ostrzami i gotowymi do strzału pistoletami. Hal wiedział, że wystarczy jego jedno słowo, a pokład *Golden Bough* znowu przemieni się w rzeźnię. Nie mógł wydać takiego rozkazu, nie narażając na niebezpieczeństwo Judith, swojej ukochanej, i ich dziecka.

– Mamy przewagę pięciu do jednego, kapitanie Tromp! – krzyknął, próbując ukryć desperację również przed Judith. Było ważne, żeby kapitan wyglądał na człowieka stanowczego i opanowanego.

– A jednak nie walczycie – zauważył Holender. – Domyślam się więc, że zrobicie wszystko, byle tej kobiecie nie stała się krzywda. Nie wątpię, kapitanie, że jesteś dżentelmenem, ale przypuszczam, że rezygnujesz z walki nie tylko z rycerskości. Ona podbiła twoje serce, prawda?

Hal spojrział w oczy Judith i nawet we wczesnym świetle poranka dostrzegł w nich stal. Jej twarz wyrażała nie strach, ale zimną determinację, gdy dziobaty mężczyzna z nożem przy jej gardle szeptał sprośności do jej ucha.

– Myślę, że on jej nie zabije, kapitanie – mruknął zadyszany Aboli przy jego prawym ramieniu. – Bo wie, że jeśli to zrobi, wszyscy jego ludzie umrą.

– Rozniesiemy ich, kapitanie! – krzyknął Robert Moone, jeden z bosmanów.

– Tak, nakarmimy rekiny wątrobami tych tchórzy! – ryknął bosman John Lovell, wskazując kordelasem kapitana Trompa.

Hal łamał sobie głowę, próbując rozstrzygnąć, jak ma dokonać wyboru pomiędzy okrętem i załogą a swoją kobietą i dzieckiem.

– Nie mogę pozwolić, żeby spotkała ją krzywda, Aboli – szepnęła i już miał opuścić rapier, kiedy Judith gwałtownie zadarła głowę, uderzając potylicą w nos trzymającego ją mężczyzny. Nos pękł jak rozbita młotkiem skorupka jaja. Holender zawył z bólu i ją puścił, rzucając nóż, gdy odruchowo poderwał ręce do złamanego nosa i zakrwawionej twarzy. W jednej płynnej sekwencji ruchów Judith odskoczyła, podniosła upuszczony miecz, cięła ostrym jak brzytwa skrajem głowni po brzuchu człowieka, który przed chwilą ją trzymał, i rzuciła się na Trompa. Holenderski kapitan skupiał uwagę na Halu i z opóźnieniem zareagował na to, co się działo za jego

plecami. Zanim się odwrócił i miał szansę unieść rapier, Judith przypadła do niego i przyłożyła szpiczaste jak igła ostrze do jego gardła.

Widząc to, kilku Holendrów rzuciło się na ludzi Hala. Uznali, że nie mają innego wyboru, jak walczyć albo umrzeć. Zginęli na miejscu, a pozostali członkowie grupy abordażowej padli na kolana, unosząc nad głowami kordelasy i topory.

– Po wszystkim, kapitanie – powiedział Aboli, pochylając się, żeby przeciągnąć nożem po gardle napastnika Judith. Mężczyzna siedział zgarbiony pod nadburciem, z jelitami leżącymi w lśniącej, krwawej masie pomiędzy jego nogami.

Świadomość, że Judith groziło śmiertelne niebezpieczeństwo i tego, że był bliski utraty statku, a wraz z nim honoru, wprowadziła Hala w stan ledwie kontrolowanej furii. Ruszył, gotów ściąć Trompa, ale Aboli wielką ręką chwycił go za ramię.

– Po wszystkim – powtórzył.

Żądza krwi osłabła i Hal stał przez chwilę na drżących nogach. W końcu podszedł do Judith i kapitana Trompa, który wyciągnął rapier rękojeścią w jego stronę. Judith wciąż przyciskała ostrze swego miecza *kaskara* do jego gardła.

– Poddaję się, kapitanie Courtney – oznajmił Holender, patrząc na Hala z góry, ponieważ nie śmiał poruszyć głową.

– Najwyższy czas – warknął Hal, wyrwał rapier z jego ręki i przekazał go Abolemu. – Byłeś przeklętym głupcem, myśląc, że możesz zająć mój okręt.

Spojrzał na Judith, która szybko skinęła głową na znak, że oboje z dzieckiem wyszli z tej przygody bez szwanku. Wiedział, że będą się tulić, całować i w miłosnym akcie wyrażać radość z życia, ale dopiero w swoim czasie.

Tromp obserwował rozgrywające się przed nim dramaty, zwracając uwagę na więzi łączące wielkiego Afrykanina i kapitana, kapitana i kobietę, która wyglądała idealnie kobieco, a jednak walczyła jak najzgorzalszy wyszkolony wojownik.

– Jestem ambitnym człowiekiem, kapitanie Courtney – powiedział niemal bez troski, jakby nie głód, lecz ambicja sprowokowała go do próby lekkomyślnej napaści na większy, lepiej uzbrojony statek ze znacznie liczniejszą załogą.

– Twoja ambicja drogo cię kosztuje, panie – skomentował Hal, próbując trzymać gniew na wodzy. Po zwycięstwie prawdziwy wojownik musi okazać wyrozumiałość, powiedział mu kiedyś ojciec. Hal wiedział, że nie wolno mu ulec niskim instynktom zemsty. Musi przywołać wyrozumiałość niezbędną do okazania łaski. Jednakże nawet po najszlachetniejszym wojowniku nikt nie oczekuje, że przymknie oko na karygodne przestępstwo. – Pogwałciłeś rozejm pomiędzy naszymi

krajami, kapitanie Tromp – podjął, z ostentacyjnym spokojem przeciągając chustką po ostrzu, żeby oczyścić je z krwi.

– Zawarto rozejm? – zapytał Tromp, całkiem dobrze udając zaskoczonego, chociaż zawieszenie broni obowiązywało od roku.

– Ty zakłamanym serojadzie! – ryknął jeden z ludzi Hala z wanty grotmasztu, na który się wspiał, żeby lepiej widzieć, co się dzieje na pokładzie.

– Nie pan jeden żałuje, że zawarto rozejm, kapitanie Tromp – wyznał Hal. – Z przyjemnością polowałbym na Holendrów powyżej i poniżej równika, ścigając ich do samych bram piekielnych, gdybym tylko miał przeklęty list kaperski. Byłbym dla was biczem bożym, jak kiedyś mój ojciec. I posłałbym cię na dno, kiedy dwa dni temu ujrzałem twoją banderę.

– W takim razie przyznam, że odetchnąłem z ulgą na wieść, iż nasze kraje postanowiły zapomnieć o dzielących je różnicach zdań – powiedział Tromp z beztróskim, szelmowskim uśmiechem, którym, jak Hall podejrzewał, uwodził wiele ładnych dziewczyn.

Twarz miał wychudłą z głodu, ale był przystojnym mężczyzną o piaskowych włosach i oczach żeglarza w kolorze samego Oceanu Indyjskiego. Hal był prawie pewien, że Aboli miał rację. Tromp nie pozwoliłby zabić Judith. Rzucił kości i przegrał, teraz był jego jeńcem i na mocy prawa morskiego *Delft*, jego statek, należał do Hala.

Holendrzy przyплыnęli dwiema szalupami i kiedy Hal na nie spojrział, przypomniał mu się przelotny zapach smoły, który czuł w powietrzu. Nasmołowali żagle, żeby nikt nie wypatrzył ich w nocy. Był to śmiały ruch ze strony Trompa i Hal niemal go podziwiał, że postanowił osobiście ruszyć w bój, zamiast wysłać kogoś innego, żeby dowodził grupą abordażową. Być może opanowałiby statek, gdyby wojownicy *amadoda* nie spali na pokładzie i nie walczyli jak pantery. I gdyby nie Judith. Gdyby nie jej odwaga i doświadczenie, Hal poddałby *Golden Bough* Trompowi. Jego serce wezbrało dumą, kiedy pomyślał o swojej kobiecie.

Duma go wręcz rozpierała, gdy widział, z jakim szacunkiem odnoszą się do niej jego ludzie. Już wcześniej ją kochali i podziwiali jej reputację, ale teraz jej czyny zasłużyły na ich najwyższy szacunek i być może nawet wzbudziła w nich lęk. Niewielu z nich widziało kobietę walczącą tak jak ona, a w dodatku z kapitańskiej kajuty napłynęła wiadomość, jakiego spustoszenia dokonała wśród napastników.

– Idź odpocząć, skarbie – poprosił ją Hal, gdy Duży Daniel i Aboli nadzorowali

wiązanie Trompa i holenderskich niedobitków. Drugi bosman, William Stanley, kazał załodze pozbierać poległych z obu stron.

– Modliłam się, żebym więcej nie musiała zabijać – powiedziała Judith, kładąc zakrwawioną rękę na brzuchu, jakby się bała, że jej poczynania splamią ich nienarodzone dziecko.

– Ocaliłaś okręt, serce moje – rzekł miękko Hal.

– Bałam się, że go straciłam. – Spojrzała na holenderskich jeńców prowadzonych na najniższy pokład i położyła delikatną rękę na ramieniu Hala. – Nie rób im krzywdy.

– Dzisiaj nie będzie więcej zabijania – zapewnił ją, patrząc na wschód, gdzie paląca tarcza słońca wznosiła się nad wałem szarych chmur, zalewając ocean krwią i płynnym złotem. – Pod warunkiem że Tromp odda mi swój statek.

– Zrobi to, pani, nie ma obawy, chyba że chce, żebyśmy posiekali jego zdechłaków na kawałki i nakarmili nimi rekiny – wtrącił Duży Daniel, popychając Trompa ku schodom prowadzącym w trzewia okrętu.

Aboli patrzył, jak znika głowa pokonanego kapitana. Mówiąc w ojczystym języku, żeby nikt nie wiedział, że kwestionuje decyzję dowódcy, zapytał:

– A co będzie, jeśli załoga jego statku nie podda się bez walki, Gundwane? Straciliśmy dziś wielu ludzi. Czy warto tracić więcej? Poza tym wiatr jest słabszy niż pierdnięcie guźca. Jeśli będą wiedzieli, że ich ścigamy, i zaczną uciekać, dopędzenie tego statku zajmie nam dzień albo dłużej.

– Hm... – Hal odchrząknął, przyjmując do wiadomości zastrzeżenia Abolego. Był jednak drapieżnikiem, urodzonym, wychowanym i wyszkolonym do polowania na morską zwierzynę. Mógł się wyrzec łupu w postaci statku i jego ładunku, nie bardziej niż głodny lew może się oprzeć pokusie zjedzenia świeżego mięsa.

– Panie Moone, opuść banderę, jeśli łaska! – rozkazał, po czym uśmiechając się drapieżnie, zwrócił się do Abolego: – Mam pewien pomysł – powiedział po angielsku, żeby załoga go zrozumiała i czerpała siłę z jego pewności siebie. – Powiedz Danielowi, żeby sprowadzili tu Trompa. Sądzę, że jednak jest nam potrzebny na głównym pokładzie.

Aboli, który jak każdy inny na statku był zadowolony, że kapitan jest taki jak zawsze, gotów do następnej utarczki, pokiwał głową i poszedł po Holendra.

Delft, który wciąż stał na kotwicy, ukazał się w świetle brzasku. Gdy tylko zbliżyli się do jego bakburty, Ned Tyler obrócił dziób *Golden Bough* na wschód, tak że uwięzili holenderską karawelę pomiędzy sobą a mieliznami niedaleko brzegu przy ujściu rzeki. Kiedy podpłynęli bliżej z prędkością niewiele ponad dwóch węzłów w wietrze tak słabym, że Hal ledwie go czuł na karku, ujrzeli ludzi rozproszonych wzdłuż relingu. Kilku wspięło się na wanty, gotowych wejść na reje i opuścić żagle. Tromp zostawił tylko szczątkową załogę, kiedy wyruszył na swoją wyprawę, żeby zdobyć *Golden Bough*.

Kucali za nadburciem forkasztelu, Hal z naładowanym pistoletem i rapierem niedawno oczyszczonym z przelanej krwi.

– Tak, nagie drzewce bandery powinny ich uspokoić – powiedział cicho Duży Daniel. – Uznają, że ich kapitan zdobył statek i ściągnął nasze barwy.

Na górnym pokładzie przebywało kilku ludzi z załogi dokładających starań, żeby uniknąć wykrycia. Pozostałym Hal kazał zejść pod pokład – co miało sugerować, że zostali uwięzieni przez Trompa – i czekać na rozkaz. Sam Tromp stał osiem kroków od niego, na dziobie za bukszprytem, z lewą ręką zaciśniętą na relingu, w prawej trzymając tubę Hala. Chłód jeszcze wisiał w porannym powietrzu, jednak strumyki potu ściekały po twarzy Holendra i spadały w dużych kroplach na pokład, bo Aboli kuczał za nim ze sztyletem w garści. Ostry jak igła szpic tkwił pomiędzy nogami Holendra, gotów go wykastrować, jeśli kapitan choćby mrugnięciem zdradzi plan obmyślony przez Hala.

– Sądzę, że równie mocno jak nam zależy mu na powodzeniu tego podstępu – zauważył Hal. Duży Daniel skinął głową na znak zgody, próbując powstrzymać się od uśmiechu.

Pozostali ludzie Hala uzbrojeni w białą broń i muszkiety czekali pod pokładem, gotowi wyskoczyć z luków i uderzyć na karawelę. Wszystkie ambrazury były zamknięte, ale za nimi skrywały się drużyny obsługujące kolubryny przygotowane do plunięcia ogniem i żelazem w *Delfta*. Hal miał nadzieję, że wystarczy jedna salwa, żeby złamać determinację Holendrów, dzięki czemu karawela nie zostanie poważnie uszkodzona, co uczyni ją tym cenniejszą zdobyczą.

Głęboko odetchnął, czując zapach smołowanych desek przy twarzy, spojrzał na Trompa i szepnął:

– Teraz, panie, mów, co kazałem... chyba że wolisz zostać eunuchem.

Holender po chwili wahania podrapał się po brodzie, zerknął na ostrze tkwiące pomiędzy nogami i uniósł tubę do ust. Zaczerpnął tchu i ryknął:

– Załoga *Delfta*! Odnieśliśmy wspaniałe zwycięstwo! – Hal znał holenderski na tyle, by rozumieć jego słowa, więc nie miał żadnych zastrzeżeń, gdy Tromp krzyknął przez spokojną wodę: – Prowadzę wam angielski okręt *Golden Bough* ze wszystkimi jego skarbami, z prowiantem, który zaraz trafi do waszych brzuchów!

W odpowiedzi napłynęły radosne okrzyki holenderskich żeglarzy. Hal patrzył, jak Tromp podnosi pięść w triumfalnym geście, bo już nie musiał nic więcej mówić i jego zadanie zostało wykonane. Aboli spojrział przez ramię i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Podstęp się udał!

Hal czekał, aż znaleźli się na długość żagla od rufy *Delfta*, górując nad znacznie mniejszym statkiem. Chwilę przed zderzeniem wstał, a za nim jego ludzie.

– Do mnie, załogo *Golden Bough*! – rozkazał gromkim głosem.

Luki się otworzyły, ludzie wybiegli na pokład. Anglicy, Walijszczy, Szkoci i Irlandczycy, wszyscy uzbrojeni w kordy i muszkiety, ryknęli:

– Za Hala i *Golden Bough*!

Wraz z nimi pędzili afrykańscy wojownicy, ściskając włócznie i topory abordażowe, krzycząc z radości, bo znów zostali spuszczeni ze smyczy. Na pokładzie działowym otworzono ambrazury i wytoczono załadowane, gotowe do strzału kolubryny.

Gdy ludzie stłoczyli się na głównym pokładzie, Hal wziął tubę od Trompa, który ją oddał ze smutnym westchnieniem. Groźba w postaci noża Abolego wciąż wisiała w pobliżu jego przyrodzenia, więc miał niejaki kłopoty ze skupieniem uwagi.

– Ludzie z *Delfta*! – ryknął Hal w łamanym holenderskim. – Wasz kapitan nie odniósł zwycięstwa. On i jego ludzie dzielnie walczyli, ale było ich znacznie mniej niż nas i teraz są moimi jeńcami. Poddajcie statek, a dobrze was potraktuję i dam wam jedzenie. Odmówcie, a pošlę was na dno bez jednego okruszka w brzuchach.

Załoga *Golden Bough* oblegała nadburcia, wyrzaskując groźby i robiąc wulgarnie gesty, ale ten pokaz okazał się niepotrzebny. Ludziom z *Delfta* wystarczyła sama obietnica przyzwoitego posiłku. Unieśli ręce i poddali się bez jednego strzału czy ciosu.

Człowiek, który wszedł do prowizorycznej celi, trzymając przed sobą okrętową latarnię, skrzywił się, gdy tylko go zaatakował smród świeżych fekaliów. Widząc trupa, przystanął, oświetlił go i trącił czubkiem buta, po czym odwrócił się w stronę

wysokiego Afrykanina, którego smukłe, umięśnione ciało połyskiwało w blasku świecy.

– Dla krabów – powiedział.

Pett w świetle lampy zobaczył, że choć mężczyzna jest młody, otacza go aura charakterystyczna dla dowódcy. Twarz świadczyła o jego charakterze, poczynając od orlego nosa, który mówił o wysokim urodzeniu. Mężczyzna nosił się z pewnością siebie, która płynie zarówno z wydawania rozkazów decydujących o życiu innych ludzi, jak i ze świadomości, że zawsze zostaną wykonane.

Pett ulokował się tak daleko od drzwi, jak tylko pozwalał łańcuch, i jeszcze nie został zauważony przez dwóch mężczyzn. Wiedział już wszystko, czego potrzebował do odtworzenia przebiegu wypadków, jakie musiały się rozegrać od czasu, gdy grupa abordażowa opuściła *Delfta*. Najwyraźniej Holendrom się nie powiodło i za porażkę zapłacili swoim statkiem. Zatem Pett miał przed sobą zwycięskiego kapitana. Był nim wielce zainteresowany, chociaż jeszcze nie zdecydował, czy powinien patrzeć na tego młodego dowódcę jak na potencjalnego klienta, czy człowieka, na którego śmierci może zależeć innym klientom.

– Nawet kraby muszą jeść, Gundwane – powiedział Afrykanin, lekceważąco dźgając zwłoki kordem. Wyglądał w każdym calu na wojownika i najwyraźniej był zaufanym towarzyszem kapitana, co mogło wskazywać, że pełni funkcję pierwszego oficera. Pett uznał Afrykanina za potencjalną przeszkodę, którą należałoby wziąć pod rozwagę i z którą musiałby się liczyć, gdyby miał kiedykolwiek zabić kapitana. Nim samym nie był zainteresowany, chociaż przyszło mu na myśl, że nigdy dotąd nie widział czarnego pierwszego oficera.

– To tragedia, panie, że ten człowiek wyzionął ducha o krok od wybawienia – powiedział.

„Mógł umrzeć szybciej. Znacznie szybciej”, dociął mu Święty. Głos zbudził tak głośne echa we wnętrzu czaszki, że Pett wprost nie mógł uwierzyć, że inni go nie słyszeli. Jego głos jednak został usłyszany, bo biały mężczyzna się odwrócił, unosząc latarnię i odruchowo zaciskając dłoń na rękojeści pięknego rapiera w pochwie na biodrze.

– Kto tu jest? – zapytał, patrząc w mrok.

– Nazywam się Pett, panie. Siedzę tu skuty jak niewolnik od tygodni tak wielu, że straciłem rachubę. W końcu moje modlitwy zostały wysłuchane. Nie wierzyłem własnym uszom, kiedy usłyszałem angielską mowę na górze. – Zagrzechotał

łańcuchem, żeby podkreślić swoje trudne położenie. – Jest pan ze statku, który chciał zdobyć ten serojad, kapitan Tromp?

– Jestem sir Henry Courtney, kapitan *Golden Bough* – przedstawił się młody człowiek. – I z przyjemnością powiem, że twoja niewola dobiegła końca, panie Pett. – Wskazał cuchnącego trupa. – Na co umarł ten człowiek?

„Zmarł z nudów, kiedy przez całe wieki wyciskałeś z niego życie”, powiedział Święty.

– Z głodu? – Pett wzruszył ramionami. – Nie jestem medykiem, kapitanie. I nie znałem go dobrze, chociaż mogę poświadczyć to, co bez wątpienia sam już odkryłeś: to statek obsadzony przez głodującą załogę, która nie okazała mi ludzkich uczuć i widząc we mnie tylko kolejną gębę do wykarmienia, wrzuciła mnie do tego pływającego lochu. Ale ten człowiek stał się moim prawdziwym towarzyszem niedoli. Z tego powodu pokornie proszę o przysługę. Chciałbym osobiście przygotować jego ciało do pochówku, żeby nie zrobił tego ktoś, kto nigdy wcześniej go nie widział. – Uniósł rękę. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko, kapitanie.

– Nie mam zastrzeżeń – odparł Henry Courtney, po czym zwrócił się do czarnoskórego: – Zapytaj kapitana Trompa, gdzie jest klucz do kajdan pana Petta, a jeśli nie będzie wiedział, niech cieśla przyjdzie tu z narzędziami.

– Już się robi, Gundwane – powiedział Afrykanin i zniknął na schodach.

– Bardzo miło z pańskiej strony, kapitanie, jestem wielce zobowiązany. – Pett zrobił poważną minę, żeby ukryć ulgę, jaka go ogarnęła na myśl, że sam owinie trupa całunem. Nie miał zamiaru pozwolić, żeby ktoś zobaczył siniaki na jego szyi, wysunięty język i wytrzeszczone oczy, zdradzające prawdziwą przyczynę śmierci.

– Jak został pan więźniem kapitana Trompa? – zapytał kapitan Courtney, już przywykły do smrodu jak każdy człowiek żyjący na morzu.

Pett westchnął – miał nadzieję, że niezbyt teatralnie.

– To smutna i trochę przydługa opowieść, kapitanie, i łatwiej ją będzie opowiedzieć z pełnym brzuchem i ze zwilżonym gardłem, bo mocno w nim zaschło.

– Oczywiście, jestem bezmyślny. – Courtney pokiwał głową. – Zjemy razem kolację, panie Pett. Teraz jednak, jeśli pan wybaczy, muszę obejrzeć resztę statku. Proszę się nie obawiać, któryś z moich ludzi wróci, żeby pan uwolnić.

– Oczywiście, kapitanie. – Pett wciąż nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Niezbadane są wyroki boskie, pomyślał po odejściu młodego kapitana. Został sam w ciemności, a jednak wcale nie był sam, bo był z nim Święty wraz ze wszystkimi

aniołami. William Pett czuł się naprawdę pobłogosławiony przez ich obecność.

Kiedy Tromp z żalem oznajmił, że w ładowniach nie ma ani złota, ani korzeni, Hal uznał, że na pokładzie *Delfta* nie znajdzie niczego cennego. Z początku założenie wydawało się słuszne. Większa część ładowni świeciła pustką i teraz służyła za kwatery podoficerów *Delfta* i infirmerię dla tych, którzy rozchorowali się albo osłabli z głodu tak bardzo, że nie mogli pracować. Ale od strony dziobu stało dwanaście beczek, schludnie ułożonych i owiniętych linami, żeby się nie przesuwwały podczas sztormu. Aboli kordem podważył wieko i zobaczył słodko pachnące strużyny i suchą trawę. Hal podszedł i wsunął rękę głęboko do beczki. Po dłuższym poszukiwaniu jego palce natrafiły na kilka niewielkich skrzynek. Wyjął jedną z nich, otworzył i znalazł w środku szklaną fiolkę nie większą od kciuka.

– Nie mam dobrego zdania o piwniczce na wino kapitana Trompa – zażartował, podnosząc flakonik do światła latarni i próbując przeszyć wzrokiem grube zielone szkło.

– Słyszałem, jak hinduscy żeglarze mówili o *amricie*, eliksirze nieśmiertelności. Może właśnie to tutaj mamy – powiedział Aboli z szerokim uśmiechem.

Hal się roześmiał.

– Gdyby Tromp znalazł eliksir życia, wątpię, czy żeglowałby na tej pełnej robactwa portugalskiej łajbie i toczył potyczki z ludźmi naszego pokroju. – Wyjął korek i powąchał zawartość flakonika. – Cokolwiek to jest, skwaśniało.

– Znam dobry sposób na sprawdzenie, czy człowiek rzeczywiście jest nieśmiertelny – powiedział Aboli, machając kordem, ale Hal nie był w nastroju do żartów.

Miał nadzieję, że Tromp przewoził cenniejszy ładunek, niż mówił, ale nie znalazł na statku niczego wartościowego. Z drugiej strony fiolki zostały zapakowane z taką starannością na pewno nie bez powodu. Płyn, który zawierały, bez wątpienia nie miał woni pachnideł, za które elegantki skłonne byłyby zapłacić. Nie mogły to być również jakieś lecznicze mikstury, bo na fiolkach brakowało etykietek zachwalających ich właściwości. Hala przebiegło drżenie, gdy przyszło mu na myśl, że być może wraz z powietrzem wciągnął do płuc dawkę trucizny, ale po chwili uznał, że przecież nic złego się z nim nie dzieje.

Zagadka się pogłębiła, gdy Aboli otworzył następną beczkę, z której Hal wyjął trzy kawałki wysuszonego starego drewna, przy okazji dźgając się drzazgą w kciuk. Każdy kawałek był ciemny jak drewno starego statku, choć na żadnym nie znalazł

śladów świdra krętownego.

– Domyślasz się, co to może być? – zapytał.

Aboli rozłożył ręce i wzruszył ramionami, przyznając, że nie wie.

– Tylko jeden człowiek może rozwiązać tę zagadkę – powiedział Hal. – Idź po Trompa i posłuchajmy, co ma do powiedzenia.

Parę minut później Aboli wrócił do ładowni w towarzystwie byłego kapitana *Delfta*.

– Na Boga, co to takiego? – zapytał Hal, podnosząc kawałki drewna.

Holender wyszczerzył zęby.

– Nie wymawiaj imienia Pana Boga twego nadaremno, kapitanie. To kawałki Krzyża Prawdziwego.

Hal znał wiele cennych relikwii chrześcijańskich. Przez sekundę niemal był gotów uwierzyć, że rzeczywiście trzyma w ręce fragment krzyża, na którym zmarł sam Chrystus. Ale jeśli tak, to dlaczego Tromp się uśmiechał? Czy brakowało mu wiary na tyle, żeby żartować z cierpienia Zbawiciela?

Hal nie zdradził się ze swoimi przemyśleniami. Bez słowa włożył kawałki drewna tam, gdzie je znalazł, po czym podniósł fiolkę z zielonego szkła, będącą jego pierwszym odkryciem.

– Ach... – Tromp radośnie pokiwał głową – Widzę, że odkrył pan najświętszy ze skarbów, starożytną butelkę, która zawiera mleko Najświętszej Maryi Panny. W innej są łzy, które Matka Boska wylała, patrząc na konającego syna.

– Na Boga, panie, nie wymawiaj nadaremno imienia naszego pana Jezusa Chrystusa i jego błogosławionej matki Maryi Panny – powiedział Hal napiętym ze złości głosem. – Może uważasz, że twoje świętokradztwo jest zabawne. Zapewniam cię, nie dla mnie.

Holender pokornie uniósł dłonie.

– Widzę, kapitanie Courtney, że nie jest pan człowiekiem, którego łatwo oszukać. Ale pod tym względem jest pan rzadkością, przynajmniej mam taką nadzieję. Zamierzałem zarobić setki funtów na sprzedaży tych osobliwości. – Podrapał szpiczastą bródkę. – Przedstawiając je jako relikwie.

– A reszta? – zapytał Hal, wskazując pozostałe dziesięć beczek.

Tromp rozłożył ręce jak kupiec korzenny zachwalający swoje towary.

– Mam zęby, włosy i krew Chrystusa. Mam skrawki płótna, w które Chrystus był owijany jako osesek. – Ściągnął wargi, jakby próbował sobie przypomnieć, co jest

w innych beczkach, i znów się uśmiechnął. – Mam słoje z palcami świętych, a nawet... z góry przepraszam za bluźnierstwo, napletek maleńkiego Jezusa ścięty podczas obrzezania. – Machnął ręką w stronę Hala. – Ale teraz pan jest właścicielem wszystkich tych rzeczy, kapitanie, bo przecież moja ładownia, jak sam statek, należy do ciebie.

Hal poczuł, że usta mu się wykrzywiają. Tromp znowu uniósł rękę.

– Przyznaję, że to niezwykle, a nawet wedle niektórych świętokradczy ładunek – powiedział. – Ale nie mogłem sobie pozwolić na skrupuły natury religijnej.

– Nie zrobił pan na mnie wrażenia człowieka, który ma skrupuły jakiegokolwiek rodzaju – skomentował cierpko Hal.

– Ach, znów mnie pan przyłapał – wyznał Tromp z rozbijającym autoironicznym uśmiechem.

Niech mnie licho, trudno go nie lubić! – pomyślał Hal, coraz bardziej zły na swoją słabość w obliczu uroku Holendra.

– Zdaje mi się, że wy, Anglicy, macie powiedzenie dotyczące życia w tej części świata, leżącej daleko od granic cywilizacji i od jej praw – powiedział Tromp. – Jak ono brzmi? Aha, tak: „Za równikiem wszystko jest dozwolone”. Mam rację, prawda?

Hal spojrział na Abolego, ponieważ obaj słyszeli, jak jego ojciec często mówił te słowa, zwykle kiedy planował jakiś podstęp, żeby zdobyć holenderski statek. Tak jak Tromp podszedł *Golden Bough*, tak sir Francis Courtney wyprawiał się na swojej ukochanej *Lady Edwinie*, nazwanej po zmarłej żonie, matce Hala, przeciwko znacznie większym przeciwnikom. I jak Tromp nie bał się uciekać do oszustw, żeby osiągnąć zamierzone cele.

Dlatego Halowi nie pozostało nic innego, jak tylko przytaknąć.

– Tak, właśnie tak brzmi to powiedzenie. – Po chwili zapytał: – Kto miałby kupić te podrobione osobliwości?

Tromp przez chwilę rozmyślał nad najlepszą odpowiedzią.

– Zakładam, kapitanie, że jest pan wyznania protestanckiego.

– Trafnie pan zakłada.

– Ja również. Jak pan wie, my, Holendrzy, jesteśmy handlarzami. Podróżujemy po świecie w pogoni za zyskiem i znaleźliśmy go na Wyspach Korzennych Indii Wschodnich. Holenderska Kompania Wschodnioindyjska ma monopol na handel korzeniami...

– Z tym wyjątkiem, że Anglicy biorą ich część dla siebie – wtrącił Hal, myśląc o

ładunkach przejętych przez ojca.

– Nie chciał pan powiedzieć, że „brali”, kapitanie Courtney? – zapytał Tromp z kolejnym triumfalnym uśmiechem. – Jak sam pan zauważył dzisiejszego ranka, nasze dwa narody już nie prowadzą wojny. Każde przejęcie holenderskich korzeni byłoby aktem piractwa.

Niech go lichy, pomyślał Hal.

– Jaki to ma związek z pańskimi fałszywymi relikwiami? – zapytał.

– Po prostu taki, że my, Holendrzy, nie jesteśmy wielkimi misjonarzami. Ale dla Hiszpanów i Portugalczyków, od dawna będących naszymi rywalami w Indiach Wschodnich, szerzenie wiary chrześcijańskiej jest co najmniej równie ważne, jak zyski finansowe. W szczególności jezuita zacisnęli swoje szpony na mieszkańcach Filipin, Chin, nawet wysp Japonii, których władcy ukrywają się przed resztą świata. I dokądkolwiek się udają, zabierają ze sobą relikwie, żeby je wykorzystywać jako oręż w swojej świętej wojnie o władzę nad nieśmiertelnymi duszami. Takie przedmioty mogą skutecznie rozpalić wiarę w sercach neofitów. Przemawiają do ich zabobonów i są czymś, co mogą zobaczyć i wziąć w ręce jako znaki ich nowego boga.

– Relikwie, to znaczy prawdziwe relikwie, mogą być przedmiotami o nadzwyczajnej mocy. Na własne oczy widziałem prawdziwe Tabernakulum i jego chwałę. Czy człowiek, który sam siebie zwie księdzem, może kupczyć fałszywymi świętościami?

Tromp wzruszył ramionami.

– Jeśli niosą wiarę tym, którzy jej nie mają, z pewnością oszustwo jest w oczach Boga usprawiedliwione. Ale to nie moja sprawa. Mnie obchodzą pieniądze. Udałem się do miejscowych rzemieślników w Batawii, stolicy naszych wschodnioindyjskich terytoriów, i wydałem ostatniego miedziaka na relikwie, które ma pan przed sobą. Głodowałem razem z załogą, ponieważ nie wystarczyło mi pieniędzy na przyzwoity prowiant. Ale wierzę, że nasz głód był tego wart.

Pojaśniały mu oczy i ożywił się jak handlarz na targu.

– Proszę pomyśleć! – ciągnął. – Niech pan pomyśli o wielkim zapotrzebowaniu na takie rzeczy w Afryce. Obecnie Portugalczycy zajmują Mozambik i Sofalę. Mają placówki handlowe na wybrzeżu i nad głównymi rzekami, a Kościół, pragnąc nawracać tubylców, nie zostaje daleko z tyłu. Jezuita będą wdzięczni każdemu, kto zaopatrzy ich w coś, co im pomoże wypełniać misję. Na tym można zbić fortunę, kapitanie Courtney. Mówię, człowieku, ten ładunek jest cenny jak złoto!

– To mi się nie podoba – powiedział Hal, zdegustowany tym przedsięwzięciem. Wziął flakonik zawierający mleko Najświętszej Dziewicy, rzucił go na pokład i postawił na nim obcas.

Tromp machnął ręką, jakby odcinał się od beczek i ich zawartości.

– Oczywiście ma pan całkowitą rację. To niehonorowy proceder. Sprzedawanie towarów, o których wiemy, że są fałszywe, byłoby u nas niegodne. – Umilkł, żeby Hal wchłonął jego słowa jak deski pokładu skwaśniałe mleko, i podrapał się po zarośniętym policzku. – Ale powinien pan spojrzeć na to z innej strony. Jeśli zmieni pan swoje stanowisko, z przyjemnością podzielę się z panem moimi kontaktami.

Hal zignorował propozycję i przywołał marynarza, który zszedł do ładowni.

– Panie Lovell, zabierz kapitana Trompa do jego ludzi i dopilnuj, żeby wszyscy dostali uczciwe racje wody i sucharów. Przynajmniej my wiemy, jak postępować z honorem.

– Tak jest, kapitanie – powiedział Lovell, wyprowadzając Holendra.

Hal i Aboli zostali sami w mrocznej ładowni. Wielki Afrykanin drżał z ledwie hamowanego gniewu.

– Więc twoi pobratymcy przybywają do Afryki i kiedy nie biorą w niewolę tych, którzy się urodzili pod tym niebem, mają ich fałszywymi relikwiami. Kośćmi, starą wełną i cuchnącym mlekiem od krowy.

– Ci oszuści i handlarze niewolników nie są moimi pobratymcami – zaznaczył Hal, którego aż skręcało ze wstydu. Podszedł i położył rękę na muskularnym ramieniu Afrykanina. – Moi ludzie to moja załoga. A ty jesteś moim bratem.

Aboli przez chwilę gniewnie na niego spoglądał, jego wytatuowana twarz w ciemności wyglądała jak wyrażająca furię maska. W końcu nie mógł dłużej wytrzymać i przerwał napięcie głośnym dudniącym śmiechem.

– Aboli, ty diable! – krzyknął Hal. – Myślałem, że znowu będę musiał z tobą walczyć jak kiedyś. Oczywiście, zapomniałem, że już jesteś starą babą!

Czarny mężczyzna chwycił go za ramię.

– Niczego bardziej nie pragnę, ale jesteś teraz kapitanem i sądzę, że ludzie przestaliby cię traktować poważnie, gdyby zobaczyli, że siedzisz na tyłku i szlochasz jak dziewczynka.

Hal też się roześmiał. Odwrócili się plecami do beczek z fałszywymi relikwiami i poszli na pokład działowy, żeby obejrzyć półkolubryny *Delfta*.

William Pett pociągnął łyk kanaryjskiego wina i zatoczył ręką łuk, wskazując gustownie urządzone kajutę z dębowymi meblami, stołem nawigacyjnym i kapitańską koją, teraz zdjętą z haków wbitych w belki pod sufitem i ustawioną na boku pod ścianą, żeby goście Hala mieli więcej miejsca.

– Ma pan piękny okręt, kapitanie Courtney. Zbudowanie go i wyposażenie musiało dużo kosztować – powiedział. – Mam nadzieję, że nie uzna pan za grubiaństwo, gdy spytam, jak tak młoda osoba weszła w jego posiadanie? Czy to może spadek?

– Nie, panie Pett – odparł Hal. – Moja spuścizna jest gdzieś indziej. *Golden Bough* jest łupem. Należała do kłamliwego łajdaka, który wszedł w jej posiadanie, jak miał w zwyczaju, na drodze zdrady i kradzieży.

– Mam nadzieję, że to nie koniec tej historii – rzekł Pett. – Wyznam, że zaostrzył pan mój apetyt na wysłuchanie czegoś, co zapowiada się na wspaniałą opowieść.

– Nietęgi ze mnie gawędziarz – zaznaczył Hal. – Robię swoje, a snucie opowieści zostawiam innym.

Pett był zaintrygowany. Ten szczeniak w swoim czasie zdobył co najmniej jeden nieprzyjacielski statek. A kiedy człowiek miał wrogów, Pett miał nadzieję na nowych klientów. Posłał Halowi życzliwy uśmiech.

– Jesteś zbyt skromny, panie. Z mojego doświadczenia wynika, że ludzie morza zawsze umieją opowiadać o swoich przygodach, gdy mają chętnych słuchaczy. Przynajmniej powiedz mi to, kim był ten łajdak, któremu zabrałeś *Golden Bough*, i na kim ją zdobył.

Hal się nie kwapił z udzieleniem odpowiedzi, ale nagle, ku wielkiej radości Petta, Judith włączyła się do rozmowy.

– Wiesz, najdroższy, choć doskonale znam zakończenie tej historii, nigdy nie słyszałam początku. Z przyjemnością posłucham, jeśli tylko zechcesz nam opowiedzieć.

– Jak można, panie, odmówić prośbie tak pięknej kobiety? – poparł ją Pett. – Z pewnością nie stracisz, kiedy opowiesz historię, która, o czym świadczy nasza obecność, ukaże cię jako zwycięskiego bohatera.

– Śmiało, kapitanie – wtrącił Duży Daniel. – Opowiedz panu Pettowi o Myszołowie i jak daliśmy mu w kość!

Hal westchnął i uniósł ręce na znak kapitulacji.

– Dobrze, opowiem, skoro prosicie. Panie Pett, podaj mi wino, jeśli łaska. Muszę przepłukać gardło, zanim zaschnie mi od mówienia.

Nalał wina do kielicha, zbierając myśli. Wypił połowę i dopiero wtedy się odezwał:

– Zaczęło się po wybiciu ósmej szklanki, podczas rannej wachty w ciemności tuż przed brzaskiem, kiedy nosem znalazłem statek.

– Nosem, panie? – zdziwił się Pett. – Było tak ciemno, że nie widziałeś statku, dopóki nie uderzył cię w nos?

Hal dołączył do śmiechu, który zabrzmiał wokół stołu.

– Nie, panie, statek mnie nie uderzył. Zapach korzeni w ładowniach, zapach słodki jak miód na wietrze, zadał mojemu węchowi cios, którego nie mogłem zignorować. Byłem w bocianim gnieździe na *Lady Edwinie*, pięknym statku nazwanym na cześć mojej drogiej zmarłej matki, która żyła pod holenderską flagą, zanim mój ojciec, sir Francis Courtney, nie porwał jej w sobie wiadomym celu. Zszedłem z masztu i powiadomiłem ojca o tym, co poczułem. Byliśmy na morzu od dwóch długich miesięcy, czekając właśnie na taką chwilę. Płynął na nas jeden z wielkich galeonów holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, zmierzający do Przylądka Dobrej Nadziei, w drodze do Amsterdamu. Ojciec miał list kaperski podpisany przez lorda kanclerza w imieniu samego króla Karola, zezwalający mu na polowanie na holenderskie statki, gdyż, jak pan pamięta, panie Pett, Anglia i Holandia w owych czasach prowadziły wojnę i uzbrojone statki handlowe były cenną zdobyczą.

Hal napił się wina. Tym razem nikt się nie odezwał. Wszyscy obecni skupiali na nim uwagę i zaczynał odkrywać, że jednak bawi go rola gawędziarza.

– Nie powinniśmy być sami na południowych wodach Oceanu Indyjskiego. Kapitan Cochran, skądinąd znany jako Myszołów, dowódca statku *Gull of Moray*, przysiągł żeglować z moim ojcem, ale po tygodniach czekania zrobił się niecierpliwy i odpłynął na poszukiwanie łatwych łupów.

– *Gull of Moray* każdy mógł poczuć z daleka – wtrącił Duży Daniel. – Kiedy trzymasz w ładowniach niewolników, tak jak Myszołów, nic nigdy nie zmyje smrodu.

– To nie niewolnicy cuchną – zaoponował Aboli z prawą pięścią zaciśniętą tak mocno na nożu, że kłykcie niemal przebijały skórę. – Źródłem smrodu są dusze ludzi, którzy ich wzięli w niewolę.

– Święte słowa – mruknął Hal. – Statek, który mieliśmy zaatakować, nazywał się *Standvastigheid*, czyli wytrwałość. Był znacznie większy, miał więcej armat większego kalibru niż *Lady Edwina* i o wiele liczniejszą załogę. Mieliśmy takie szanse jak kapitan Tromp, gdy wysłał swoje szalupy przeciwko *Golden Bough*, a może nawet mniejsze. Ale mój ojciec płynął pod holenderską banderą, którą zdobył we wcześniejszej walce, i wywiesił ją na maszcie, żeby oszukać *Standvastigheid*. Wzięci za przyjacielski statek, podeszliśmy do rufy Holendra i oddaliśmy salwę. Ojciec wdarł się na pokład wroga i opanował statek dzięki sile i śmiałości swojego ataku.

– To nie jest cała historia tej bitwy, Gundwane – zwrócił mu uwagę Aboli.

– Powiedziałem wszystko, co było trzeba – zapewnił Hal.

– Można wiedzieć, co pan pominął? – zapytał Pett.

– Zostaliśmy zdradzeni przez tchórzliwego szakala, niejakiego Sama Bowlesa – wyjaśnił Aboli. – Odciął *Lady Edwinę* od holenderskiego statku, zostawiając na pokładzie grupę abordażową. Ale syn kapitana pokazał, że w jego żyłach płynie krew ojca, bo posłał Sama Bowlesa i jego kamratów do diabła, zawrócił *Lady Edwinę* i wkroczył do walki.

– I wziął na pokład tych z nas, którzy w szalupie błakali się po oceanie – dodał Duży Daniel. – Pamiętaj o tym, Aboli.

– Zwyciężył mój ojciec, nie ja – oświadczył stanowczo Hal, choć ze spojrzenia Judith wyczytał, że jest zadowolona z tego, co usłyszała.

– Nie powiedział pan, kapitanie, kiedy odbyła się ta bitwa – zauważył Pett. – Jak dawno temu to było?

– Czwartego dnia września roku pańskiego tysiąc sześćset sześćdziesiątym siódmego – odparł Hal. – Pamiętam datę, bo na drugi dzień sporządziłem mój pierwszy wpis w dzienniku okrętowym.

– Więc niespełna trzy lata temu – skomentował Pett z zadumą. – Ile wówczas miał pan lat?

– Siedemnaście, panie Pett.

– Godne podziwu dokonanie w tak młodym wieku. Ale proszę, panie, co miało to wspólnego z tym dżentelmenem Myszołowem?

– Żaden z niego dżentelmen, panie, zapewniam. Miał jednak nosa do skarbów, a na *Standvastigheid* ich nie brakowało. Statek miał w ładowni trzysta ton twardego drewna: tekowego i bala, a także z innych gatunków drzew, jakie nigdy nie rosły w chrześcijańskim świecie. Same w sobie były pięknym przyzem, ale ich wartość bladła w

porównaniu z ładunkiem innego rodzaju. Statek przewoził czterdzieści dwie tony korzeni w beczkach: koszenila, pieprz, wanilia, szafran, goździki i kardamon, skarb na wagę srebra, a nawet więcej. Było tam zresztą również srebro wartości dziesięciu tysięcy funtów i trzysta sztab złota. Tak, panie Pett, możesz siedzieć z ustami otwartymi ze zdziwienia... I pomyśl, to nie wszystko.

– Nie wszystko? – wykrztusił Pett, gdy Hal pozwolił sobie na kolejny łyk wina.
– Jak to możliwe?

– Bardzo prosto. Holender przewoził pasażera. Nazywał się Petrus van de Velde, spasiony, tchórzliwy kopiec trującej galarety, mianowany następnym gubernatorem holenderskiej kolonii na Przylądku Dobrej Nadziei. Ojciec wyznaczył za niego okup, który miała zapłacić holenderska Kompania Wschodnioindyjska, dwieście tysięcy guldenów w złocie albo czterdzieści tysięcy funtów szterlingów.

– Wybacz, kapitanie, nie wspomniałeś o największym skarbie – wtrącił Duży Daniel kpiącym tonem.

– Przeciwnie, wymieniłem wszystkie najważniejsze – oświadczył stanowczo Hal, dokładnie wiedząc, do czego nawiązuje Daniel, i nie chcąc podejmować tego tematu.

Daniel zdał sobie sprawę, że przekroczył dopuszczalne granice, i popadł w pełne zażenowania milczenie. Hal już miał podjąć opowieść, lecz nie wziął pod uwagę nieomyślnej kobiecej intuicji.

– Przepraszam, że przerywam, mój drogi – odezwała się Judith – ale skoro ty, jak się zdaje, o tym zapomniałeś, to może Daniel odpowie na moje pytanie.

– Zrobię, co w mojej mocy, pani.

– Wielkie dzięki. Oto moje pytanie: czy była tam również pani van de Velde?

Daniel był człowiekiem, który nigdy nie struchlał w czasie bitwy i nie dał się zastraszyć falom i wichrom gniewnego oceanu, ale coś bliskie przerażeniu wyzierało z jego oczu, gdy Judith patrzyła na niego z niewinną ciekawością na pięknej twarzy.

– Ach... sądzę, pani, że mógł być żonaty.

– Mógłbyś opisać jego małżonkę? Na przykład, czy była młoda czy stara?

– Powiedziałbym, że bardziej młoda, pani.

– Skoro to ustaliliśmy – wtrącił Hal – z pewnością pan Pett chciałby...

– Nie, pani, proszę, wróć do swoich pytań. – Pett dwornie skłonił głowę przed Judith.

– Dziękuję, panie – odparła z równie stosownym gestem. – Danielu,

rozmawialiśmy o panu van de Velde i jego młodej żonie. – Złośliwy uśmieszek zaigrał w kącikach jej ust, gdy wyrzekła dwa ostatnie słowa. Drażniła się z Halem i ją to bawiło. – Pamiętasz jej imię?

– E... Kat–coś–tam, niezupełnie sobie przypominam...

Hal ciężko westchnął i powiedział:

– Katinka... imię pani van de Velde brzmiało Katinka. Teraz, jeśli możemy prosić...

– Dziękuję, najdroższy – powiedziała z czułością Judith. – Cieszę się, że pamięć ci dopisuje. Po prostu się zastanawiałam, Danielu, jak mógłbyś opisać Katinkę van de Velde... urocze imię! Była piękna czy brzydka?

– Pani, trudno osądzić. Jak mówią, piękno jest w oku patrzącego... kwestia gustu, jak...

– Wyglądała całkiem nieźle jak na białą kobietę – rzucił lekceważąco Aboli. – I Gundwane zupełnie stracił dla niej głowę, bo przecież był tylko chłopcem i jeszcze nie odkrył, że kiedy prawdziwy mężczyzna szuka tej jedynej kobiety, zawsze wybierze córkę Afryki. Ma szczęście, że dorósł i dokonał właściwego wyboru... gdy tylko się opamiętał.

– Dziękuję, Aboli, bardzo ładnie to ująłeś – powiedziała Judith, po czym poważniej, ale też delikatniej poprosiła: – Opowiedz nam o niej, mój drogi... Opowiedz mi o Katince.

Hal nalał sobie wina i wychylił kieliszek jednym haustem.

– To bardzo proste. Miała złote włosy i fiołkowe oczy niebiańskiego anioła, a duszę tak zepsutą i niegodziwą, że sam diabeł trząśł się w jej obecności. Była rozpustnicą, tak, skusiła mnie, a ja nie mogłem się oprzeć. Ale poznałem się na błędzie, więc Bóg mi pomógł. Opamiętałem się, jak mówi Aboli, i nie zamieniłbym jednej sekundy z tobą, ukochana, na tysiąc żywotów z Katinką van de Velde. A teraz... czy mogę wrócić do przerwanej opowieści?

– Oczywiście – zezwoliła mu Judith, usłyszawszy dokładnie taką odpowiedź, jakiej od początku pragnęła.

– W takim razie będę się streszczać, bo inaczej żadne z nas nie zazna odpoczynku tej nocy. Myszołów, jak wspomniałem, umiał zwietrzyć skarb, tak jak ja zwietrzyłem te korzenie. Gdy tylko zajęliśmy *Standvastigheid* i jego skarby, zjawił się z żądaniem udziału w przyzie.

– Przecież odpłynął, zanim zdobyliście statek! – krzyknęła Judith, oburzona tą

impertynencją.

– Dokładnie to samo powiedział mu mój ojciec, ale Myszołów nie chciał go słuchać. Popędził prosto do Holendrów na Przylądku Dobrej Nadziei i przyprowadził ich do zatoki, gdzie naprawialiśmy *Standvastigheid*. – Po chwili milczenia Hal dodał: – I gdzie ukrywaliśmy całe złoto i srebro. Holendrzy mieli ogromną przewagę liczebną. Ojciec był zmuszony się poddać, żeby nie narazić na śmierć ludzi, którzy mu wiernie służyli. Wtedy Myszołów okazał się podłym, dwulicowym draniem, mówiąc bezczelne kłamstwo, które skazało mojego ojca na tortury i śmierć.

– Co takiego powiedział? – zapytał Pett, próbując stłumić dreszcz podniecenia, który go przebiegł na wzmiankę o śmierci sir Francisa Courtneya w męczarniach.

– Pamiętasz, panie, jak mówiłem, że Anglia i Holandia prowadziły wojnę i że mój ojciec został upoważniony przez Jego Królewską Mość do nękania statków holenderskich podczas tego konfliktu?

– Owszem – odrzekł Pett. – Podobnie jak pamiętam samą wojnę.

– Zatem dobrze. Ojciec zaatakował *Standvastigheid* w dobrej wierze i było to aktem wojennym. Nie wiedział, że dowodzona przez De Ruytera holenderska flota trzy miesiące wcześniej pozęgłowała w górę Tamizy do stoczni w Chatham, gdzie budowano najlepsze okręty Królewskiej Marynarki Wojennej, spaliła ponad tuzin jednostek, dwie zabrała ze sobą, łącznie z naszym okrętem flagowym, *Royal Charles*, i zmusiła Jego Królewską Mość do podpisania gorzkiego, upokarzającego pokoju. Kiedy więc *Lady Edwina* zaatakowała *Standvastigheid*, wojna była skończona. Oczywiście, nie mogliśmy o tym wiedzieć. Mój ojciec dał na to słowo dżentelmena i holenderski dowódca, pułkownik Schreuder, był skłonny je przyjąć. Był wrogiem mojej rodziny i w końcu go zabiłem, ale zawsze walczył z honorem. Naturalnie czułby się bardziej zadowolony, gdyby miał jakiś dowód poświadczający wyjaśnienia mojego ojca, dlatego zapytał Myszołowa, o którym wiedział, że z nami żeglował, czy mój ojciec mówi prawdę. Myszołów... – Hal nagle stwierdził, że nie może mówić dalej. Wspomnienia po prostu były zbyt bolesne.

Zastąpił go Duży Daniel.

– Kłamliwy szkocki łajdak powiedział, że powiadomił sir Francisa o podpisaniu pokoju. Miał czelność dodać, że nasz Franky, który był dobrym człowiekiem i honorowym jak nikt, kto kiedykolwiek pływał po morzu, zignorował wiadomość i postanowił zdobyć przyz. Było to podłe kłamstwo, ale serojady wzięły te słowa za dobrą monetę, za co kapitan zapłacił życiem. Wszyscy zostaliśmy jeńcami, skutymi w

ładowni dla niewolników na *Gull of Moray*, i triumfujący Myszołów zabrał nas na Przylądek Dobrej Nadziei, gdzie Holendrzy zapędzili nas do ciężkich robót jak pospolitych przestępców. Wciąż mam na plecach blizny od bicia. Wiem, że ty też, Aboli, i założę się, że pan również, kapitanie.

– Tak – mruknął Hal niewyraźnym z emocji głosem. – Ja też mam blizny.

– Ale w końcu odebraliśmy swoje, prawda? Opowiedz o tym naszemu gościowi!

– Co się stało? – zapytał Pett.

– Po straceniu mojego ojca... przekłeci Holendrzy powiesili go i poćwiartowali... udało nam się uciec i ruszyliśmy do zatoki, gdzie wcześniej nas pojмали.

– Dlaczego wróciliście w takie straszne miejsce?

– Miałem swoje powody, między innymi przekonanie, że prawdopodobnie zastanę tam Myszołowa.

– Zatem on też miał swoje powody – skomentował Pett, myśląc o miłości do skarbów, która zdawała się jednoczyć sir Francisa Courtneya i Myszołowa bez względu na to, co mówił lojalny syn. Pett zaczynał rozumieć, jakie to mogły być powody.

– Owszem. Ale sytuacja okazała się bardziej skomplikowana, niż oczekiwałem. Z powodu naszej ucieczki Schreuder popadł w niełaskę. Udał się do swojej kochanki, Katinki van de Velde, i według tego, co później słyszałem, zastał ją w łóżku z Powolnym Johnem, kolonialnym oprawcą i katem.

– Więc naprawdę była ladacznicą – zauważyła Judith.

– Była diabłem w kobiecej skórze – sprecyzował Hal. – Messalina, cesarzowa Rzymu, która oddawała się mężczyznom dla własnej przyjemności, w porównaniu z nią była cnotliwa niczym zakonnica. Ale Katinka dostała za swoje. Schreuder wpadł we wciekłość i ją zabił. Uciekł i udało mu się wkręcić na *Golden Bough*, która cumowała wówczas w porcie na Przylądku Dobrej Nadziei pod dowództwem kapitana Christophera Llewellyna...

– Kolejnego dobrego człowieka skrzywdzonego przez nas, tych złych – odezwał się Will Stanley, który dotąd w milczeniu słuchał opowieści Hala. – Proszę o wybaczenie, pani, ale służyłem na *Golden Bough*, kiedy ten serojad wszedł na pokład...

– W takim razie możesz mnie poprawić, jeśli coś pomylę – powiedział Hal. – Jednym z oficerów na *Golden Bough* był wicehrabia Winterton, którego ojciec

zbudował ten okręt. On i Schreuder grali w kości, Schreuder postawił wszystkie swoje pieniądze, ale szczęście się od niego odwróciło i wygrał Winterton. Schreuder nazwał go oszustem i zażądał satysfakcji.

– To prawda, panie – potwierdził Stanley. – Wtedy kapitan Llewellyn powiedział, że na jego statku nie będzie żadnych pojedynków, że trzeba poczekać, aż dobijemy do brzegu. Rozpętał się sztorm i musieliśmy zawinąć do zatoki...

– Gdzie cumowała *Gull of Moray* – uzupełnił Hal. – Pojedynek się odbył i Schreuder zabił Wintertona. Później Myszołów podstępem pozbył się ze *Golden Bough* Llewellyna i uważał się za wielkiego spryciarza, bo teraz miał dwa okręty. A jednak to my z *Lady Edwiny*, którzy przeżyliśmy wszystko, co zgotowali nam Holendrzy, śmialiśmy się ostatni. Niedługo później przybyliśmy do zatoki i zabraliśmy *Golden Bough* z większością załogi, zostawiając Myszołowa piekłącego się na brzegu... I tak oto zostałem panem tego wspaniałego okrętu, chociaż przysiągłem, że przy pierwszej okazji zwrócę go prawowitemu właścicielowi, wicehrabiemu Wintertonowi.

– Czy zabił pan pułkownika Schreudera, kapitanie Courtney, kiedy zajęliście *Golden Bough*?

– Nie, to stało się później, podczas kampanii etiopskiej.

– A co z Myszołowem? Czy wciąż łopocze skrzydłami i zanurza dziób w cudzych skarbach?

– Ja mogę na to odpowiedzieć – zaproponowała Judith. – Myszołów nie żyje. Zginął w płomieniach, kiedy *Gull of Moray* została zniszczona przez brandery. Wiem... widziałam, jak umiera, i mam nadzieję, że wciąż płonie i będzie płonąć na wieki w ognjach piekielnych.

– Zasłużył sobie na taki koniec, nie wątpię – powiedział Pett. – Ale wyznam, że pewien szczegół w pańskiej opowieści rozbudził moje zaciekawienie. Czy Myszołów znalazł to, czego szukał, w zatoce, w której się na niego natknęliście?

– Przykro mi, nie bardzo rozumiem – odparł Hal, który go doskonale rozumiał, ale nie miał zamiaru udzielać odpowiedzi.

– Przed chwilą nadmienił pan, że Myszołów miał powody zawinąć do tej zatoki, podobnie zresztą jak pan, i proszę mnie poprawić, jeśli się mylę: była to ta sama zatoka, do której wszedł pański ojciec po zdobyciu *Standvastigheid*, statku pełnego skarbów. Czy mam rację?

– Tak, mówiłem o tej samej zatoce.

– Zatem przypuszczam, że Myszołów wierzył, bez wątpienia nie mając ku temu najmniejszego powodu, iż pański ojciec miał czas ukryć w zatoce część łupu ze zdobytego statku.

– Całkiem możliwe, jak sędzę. Wiem, że na pewno rozkazał kopać rowy w piasku powyżej zasięgu fal. Przypuszczam, że być może czegoś szukał. Ale daję panu słowo, że mój ojciec niczego tam nie zakopał, ani wtedy, czego jestem pewien, ani przy innej okazji, o ile mi wiadomo. Nigdy nie powiedział, że coś takiego zrobił. Więc jeśli ktoś inny nie zakopał tam złota, srebra i kamieni szlachetnych, i Bóg jeden wie, czego jeszcze, Myszołów marnował czas i siły swoich ludzi. Poza tym już nie żyje.

– Z pewnością wszyscy się zgadzamy, że to zamyka sprawę. – Pett popatrzył wokół stołu jak człowiek szukający potwierdzenia swoich słów. W rzeczywistości przyglądał się twarzom ludzi, którzy byli na tamtej plaży z kapitanem Halem Courtneyem, i nie mógł nie zauważyć, że Daniel unika jego spojrzenia, a Aboli patrzy na niego bez wyrazu, starając się niczego nie zdradzić i właśnie przez to zdradzając. Pett wiedział, że Afrykanin coś ukrywa.

Później, gdy Hal oznajmił, że kolacja skończona, i zaczął dawać starszym członkom załogi instrukcje na noc, Pett uprzejmie życzył gospodarzom dobrej nocy i udał się do maleńkiej, ale względnie czystej kajuty, która mu została przydzielona. Po zamknięciu drzwi było tam miejsce tylko na rozwieszenia hamaka. Położył się i pustym wzrokiem patrzył w sufit. Myślał o torturach i zastanawiał się, dlaczego ktoś miałby je stosować. Nasuwała się oczywista odpowiedź: żeby się czegoś dowiedzieć. Pytanie: co Holendrzy – którzy, jak z doświadczenia wiedział, nie byli wyjątkowo okrutnymi czy krwiożerczymi ludźmi – chcieli wiedzieć tak bardzo, że zadawali cierpienia człowiekowi? Nie działo się to w czasie wojny, więc tajemnice wojskowe czy strategię nie wchodziły w rachubę. Torturowany człowiek niedawno zdobył statek pełen cennych rzeczy. Może zdołał je ukryć, wszystkie albo część, zanim Holendrzy odzyskali swój statek i zapragnęli się dowiedzieć, gdzie jest kryjówka.

Pett przeanalizował swój tok rozumowania i uznał, że nie można mu niczego zarzucić. Czuł, że może również przyjąć założenie, że gdyby Myszołów coś znalazł, Courtney nie ukrywałby tego faktu. Istniały dwie możliwości: albo odebrał Myszołowowi skarb swojego ojca, a w takim wypadku pożeglowałby prosto do Anglii, albo Myszołów zachował skarb i wtedy Courtney na pewno by to rozgłaszał, choćby tylko dlatego, żeby podkreślić jego zdradę.

Zatem skarb istniał, ale jeszcze nikt go nie zabrał. Załoga, a przynajmniej

najważniejsi i najbardziej zaufani ludzie Courtneya, wiedziała o jego istnieniu, ale Pett wątpił, czy wiedzą, gdzie został ukryty. Nie, nieprawda. Jeden z nich mógł znać to miejsce. Z jakiegoś powodu Courtney darzył wyjątkowym zaufaniem tę czarną małpę, Abolego, człowieka, którego spojrzenie wyraźnie coś ukrywało.

Teoretycznie zlokalizowanie tej ukrytej fortuny było możliwe. Informacje będą warte znaczną sumę pieniędzy... Dlaczego pozwalać, żeby ktoś inny skorzystał z odkrycia? Dlaczego nie pójść po skarb samemu?

Jahan jechał ulicami Zanzibaru z Myszołowem w otwartym powozie, żeby ludzie mogli zobaczyć zamaskowanego człowieka i drżeli na jego widok. Cała kompania kawalerii poprzedzała powóz, a za nim podążała druga, żeby zniechęcić nawet najbardziej lekkomyślnego wichrzyciela. Co nie znaczy, że ktoś śmiałby choćby pomyśleć o podniesieniu ręki na jednookiego potwora. Wszyscy słyszeli o bezlitosnej karze wymierzonej chłopcu, który miał czelność rzucić w niego ludzkimi odchodami. Wielu przechodniów odwracało głowy, woląc nie patrzeć na nieludzkie stworzenie, które uważali za złego dzinna, szatański pomiot nie z tego świata.

Ledwie godzinę wcześniej Jahan pokazał Myszołowowi sztychy egipskich świątyń i miejsc pochówku z wizerunkami Anubisa, pana zaświatów o głowie szakala.

– To bóg samej śmierci – powiedział, gdy Myszołów przekrzywił głowę, żeby lepiej widzieć swoim jedynym okiem. – Spójrz, jego pysk jest prawie taki sam jak twój skórzany nos. Myśl o sobie jako o Anubisie, który sprowadza śmierć, nienawidzi życia i zabiera dusze śmiertelnych w zaświaty. Skoro o tym mowa, zrobiłeś na mnie duże wrażenie zemstą, jaką wywarłeś za obrzucenie cię nieczystościami. To nasunęło mi myśl, że powinieneś rozwinąć swój talent do zabijania. Musisz z jednym okiem i jedną ręką stać się niebezpieczniejszy, niż kiedykolwiek byłeś z obojgiem oczu i rąk. Potrzebujesz szkolenia. Rozpocznie się jeszcze dzisiaj.

Myszołów jechał na pierwsze ćwiczenia. On i Jahan nie byli jedynymi uczestnikami wyprawy, bo za ich otwartym powozem ciągnął drugi, zamknięty. Wszystkie okna były zasłonięte, więc nikt nie widział, kto w nim jedzie, ani nikt nie mógł z niego wyjrzeć. Myszołów pamiętał, że powóz już czekał, gotów do odjazdu, kiedy go wyprowadzono z pałacu, żeby zajął miejsce naprzeciwko Jahana. Oba pojazdy wraz z eskortą przejechały przez główną bramę największego więzienia w mieście i zatrzymały się pośrodku dużego czworokątnego dziedzińca. Jahan i Myszołów stali przy powozie, gdy podszedł do nich naczelnik więzienia i padł na twarz przed księciem. Gdy wstał, spojrzał z przestachem na Myszołowa. Klasnął w rękę, przywołując trzech dozorców wybranych w związku z ich wyjątkową siłą i brutalnością. Jeden niósł ciężki żelazny łańcuch. Pozostali dwaj trzymali ręce tuż nad głowicami rapierów, które nosili u boku.

Myszołów zobaczył, że na końcu łańcucha jest kłódka. Zdawał sobie sprawę, że jeźdźcy zetną go w chwili, gdy tylko spróbuje się sprzeciwić temu, co miało nastąpić – bo przecież wszystko, co robił, wiązało się z groźbą natychmiastowej śmierci za

najmniejszą oznakę nieposłuszeństwa. Dlatego stał nieruchomo jak głaz, gdy dozorca przypiął łańcuch do mosiężnego kółka na skórzanej obroży, i pozwolił się poprowadzić jak zwierzę przez więzienie, gdzie osadzeni milkli na jego widok, na dziedziniec ze wszystkich stron otoczony wysokimi murami. Gdy kręcił głową, próbując jak najlepiej przyjrzeć się otoczeniu, zobaczył trzy puste płaszczyzny burych ceglanych ścian. Na murze za nim miała być jakaś galeria, bo płynął stamtąd dźwięk: radosny pisk zachwytu i krzyk: „Widzę Szpetnego!”. Rozpoznał głos ulubionej konkubiny Jahana, Aliny. Była Czerkieską z północno-wschodniego wybrzeża Morza Czarnego, z rejonów słynących z urodziwych kobiet, biegłych w sztuce sprawiania rozkoszy. Najładniejsze kobiety z haremu sułtana Osmana w Konstantynopolu były Czerkieskami, podobnie jak najświetniejsze z tych, które służyły bratu Jahana, Wielkiemu Mogołowi, w Czerwonym Forcie w Delhi.

Alina nie miała najładniejszej twarzy ani najlepszej figury wśród dziewcząt księcia. Miała za to wyuzdane pełne usta, lubieżne iskry w oczach i zdawało się, że każdy cal jej ciała jest stworzony dla przyjemności: sprawiania jej Jahanowi i czerpania jej. Była zafascynowana Myszołowem, kiedy po raz pierwszy wszedł do haremu, eskortowany przez dwóch strażników, których wysoki wzrost i muskularne sylwetki wcale nie sugerowały, że są eunuchami. Podczas gdy inne konkubiny trzymały się z daleka, ona podeszła blisko dziwnej, zamaskowanej istoty, tak blisko, że Myszołów czuł rozkoszny zapach paczuli, róż, kwiatu pomarańczy i bergamoty, połączony z ciepłą piżmową wonią jej na wpół nagiego ciała.

– Czy to mówi jak normalny człowiek, panie? – zapytała Jahana chrapliwym i niskim, a jednak najzupełniej kobiecym głosem.

– Nie – odparł książę. – Ale rozumie, co mówisz.

Alina stanęła tak blisko, że Myszołów czuł delikatny nacisk jej ciała. Ogarniało go podniecenie, ale zamiast silnej, pełnej krwi twardości, która kiedyś stanowiła o tym, że był mężczyzną, teraz czuł w kikucie, który mu pozostał, tylko doprowadzające do szaleństwa tętniące swędzenie jak po ukąszeniu komara, ale znacznie bardziej intensywne.

Konkubina popatrzyła na niego.

– Jeśli mój pan ma rację, to musisz rozumieć, Szpetny, co mówię?

Nie wiedział, co zrobić. Nie mógł się odzywać, bo groziła mu za to śmierć. Całą jego istotę trawiło pulsujące, swędzące, nieznośne, jednak ekstatyczne wrażenie promieniujące z krocza. Chciał się potrzeć albo podrapać, lecz wiedział, że tego też mu

nie wolno. Ledwie zdał sobie sprawę, że Jahan się odezwał.

– Możesz skinąć głową. – Głos księcia zdawał się płynąć z drugiego krańca świata.

Myszołów skinął głową i gdy to zrobił, nie mógł się powstrzymać i poruszył biodrami.

– Och... – wymruczała w zamyśleniu Alina. – Odczuwa przyjemność. Ale jak?

Stała na palcach, zadarła głowę i szepnęła:

– Nie ruszaj się, Szpetny, jeśli chcesz żyć. Przede wszystkim nie waż się ruszyć ręką, bo jeśli mnie dotkniesz choćby jednym palcem, twoja śmierć nie będzie szybka. Skinij głową na znak, że rozumiesz, albo zaraz odejdę i nigdy więcej się do ciebie nie zbliżę.

Myszołów dwa razy szybko, rozpaczliwie skinął głową, co sprawiło, że dziewczyna odskoczyła z krzykiem i zachichotała.

– Uważaj na dziób, Szpetny. Mój księżę nie będzie miał czasu dla jednookiej konkubiny!

Znowu do niego podeszła, przysiadła na piętach i chwyciła rąbek jego *dzelaby*.

– Co tu chowasz? – zapytała, powoli odsłaniając jego łydki i uda. – Fuj! – krzyknęła i skrzywiła się z odrazą. – Skóra jest czerwona i łuskowata, i jak ohydnie cuchnie.

Inne dziewczyny, które podeszły bliżej, gdy ciekawość przeważyła nad strachem, piszczały ze zgrozy.

Pod maską twarz Myszołowa płonęła z upokorzenia i wstydu, a sytuację pogarszało narastające swędzenie rozchodzące się z kikuta. Serce łomotało mu w piersi, oddech miał przyśpieszony i pogłębiony, aż zaczął się bać, że nie zdoła wciągnąć dość powietrza przez niewielki otwór w masce. Płuca go nie bolały, nawet gdy sapnięcia się nasiliły, ani żadna inna część ciała. Czuł tylko nieznośne mrowienie.

Nadeszła kolejna mała burza, kiedy Alina uniosła *dzelabę* dość wysoko, żeby odsłonić dokonane przez ogień spustoszenie pomiędzy jego nogami.

– Spójrzcie! – krzyknęła do swoich towarzyszek. – To ani mężczyzna, ani kobieta. Ale to... – Bardzo delikatnie położyła palce na skórze okrywającej kikut. – To jest jak małe różowe pączki róż, które sprawiają nam taką radość, czyż nie? Ciekawe, czy przynosi też radość Szpetnemu.

Myszołów zapragnął się w nią wbić, ale nie zostało mu nic, czym mógłby to zrobić. Chciał chwycić ją w ramiona, ale miał tylko jedno i użycie go sprowadziłoby na

niego pewną śmierć. Mógł jedynie stać na nogach, które – takie miał wrażenie – w każdej chwili mogą się pod nim ugiąć. Próbował pohamować nerwowe drobne pchnięcia i kołysanie biodrami, następujące same z siebie, gdy ulubiona zabawka Jahana go oglądała, a inne hurysy patrzyły.

Nie widział ich wszystkich przez otwór na oko, więc ptasim ruchem, który stawał się dla niego coraz bardziej naturalny, obrócił głowę, skupiając spojrzenie na jednej ładnej twarzy, na jednej parze pulchnych piersi, na jednej idealnie smukłej talii, krągłych biodrach i miękkim, zapraszającym brzuchu naraz. Nigdy w życiu nie widział kobiet równie pięknych jak te, były bowiem własnością człowieka, który mógł mieć wszystko, co zechciał, a wybrano je jedynie po to, by zaspokajały jego chucie. Gdyby natknął się na taką cenną kolekcję kilka miesięcy wcześniej, zgwałciłby je wszystkie, folgując sobie na jednej wielkiej orgii kobiecych ciał.

Teraz jednak mógł tylko stać w milczeniu, podczas gdy narastało w nim napięcie. Alina patrzyła na niego z czymś zbliżonym do zawodowej ciekawości.

– Tak się zastanawiam, czy mogłabym sprawić, żeby poczuł rozkosz, jakiej doznaje prawdziwy mężczyzna albo kobieta? – dumiała na głos. Spojrzała na Jahana, zmysłowo wydeła wargi i zapytała: – Panie, proszę, czy mogę się z nim zabawić?

Maharadza zaśmiał się pobłaźliwie.

– Nie, nie możesz – odparł. – Chcę, żebyś zabawiła się ze mną. Chodź tutaj, przypomnij sobie, jak wygląda prawdziwy mężczyzna. – Spojrzał na strażników i dodał: – Zabrać to.

Wyprawdzili Myszołowa, zażenowanego i upokorzonego, z powrotem do jego komnat. Od tamtej pory nie widział Jahana i oczywiście nie pozwolono mu wrócić do haremu, ale dźwięk głosu Aliny przywołał wszystkie wrażenia, jakie w nim wywołała. Myszołów znów czuł się nagi, jakby cały świat mógł zobaczyć jego kikut, i gniew wymieszał się ze wstydem z powodu upokorzenia.

– Odwróć się, Szpetny! – krzyknęła Alina. – Mam coś dla ciebie!

Zrobił, co mu kazano, i uniósł głowę, szukając źródła głosu. Stała na otwartym ganku, który biegł na wysokości pierwszego piętra, za wysoko, żeby ktokolwiek mógł tam dosięgnąć z dziedzińca. Przypuszczał, że jest to punkt obserwacyjny, z którego strażnicy mogli patrzeć na więźniów na dole. Teraz jednak był tam tylko Jahan z Aliną, z twarzą ukrytą za woalem, bo żaden prawdziwy mężczyzna poza jej panem nie miał prawa jej oglądać. Co więcej, samo wyjście z haremu było nadzwyczajnym znakiem łaski.

– Spójrz! – zawołała. Wyciągnęła ręce przed siebie i Myszołów zobaczył, że trzyma długą, smukłą szablę: bułat.

– Użyj go dobrze, Szpetny, a może znów się spotkamy.

Pochyliła się, wysuwając ręce za niski murek krużganku, i rzuciła bułat na pylistą ziemię. Myszołów go podniósł.

– Cofnij się na środek dziedzińca – nakazał mu Jahan. – Spójrz na bramę, przez którą tu wszedłeś. Niebawem znów się otworzy i wejdzie przez nią mężczyzna. Jest mordercą. Został skazany na śmierć. Więc go zabij.

– Zabij go! – powtórzyła Alina głosem kobiety, która jest równie żądna krwi, co miłości.

Myszołów stanął na palcach, rozstawiając nogi na tyle szeroko, żeby pozwalały mu zachować równowagę, ale nie hamowały ruchów. Po raz pierwszy od miesiący czuł się silny i pełnosprawny – przepełniony rozpaczliwym pragnieniem udowodnienia tej pięknej kobiecie, że na przekór wszystkiemu nadal jest mężczyzną. Chciał jej pokazać, na co go stać.

Kilka sekund później brama lekko się uchyliła i niewidoczne ręce wepchnęły skazańca na dziedziniec. Był mały i wychudzony, z szorstkimi siwymi włosami, w szmacie okręconej wokół talii i przeciągniętej pomiędzy nogami, żeby zasłonić przyrodzenie. Jednakże oczy, które spojrzały z drugiej strony dziedzińca, wyrażały nie strach, który Myszołów już przywykł widywać, ale czystą złośliwość człowieka zepsutego do szpiku kości.

Widział, że jego ofiara ocenia go i szuka jego słabych punktów. Nietrudno je było znaleźć. Bez lewego oka i ręki, z dziobem ograniczającym pole widzenia, był beznadziejnie bezbronny. Zgodnie z przewidywaniami, starzec z zaskakującą prędkością przyskoczył do niego z lewej strony. Myszołów chciał się odwrócić, żeby go śledzić, ale zareagował zbyt wolno i stracił go z oka.

– Za tobą! – krzyknęła z podnieceniem Alina.

– Odwróć się! – zawołał Jahan.

Myszołów obrócił się w lewo z taką zwinnością, na jaką było go stać, i w przelocie dostrzegł przemykającego starca. Z ganku płynęły kolejne podpowiedzi, ale on już odzyskiwał instynkt wojownika. Za pierwszym razem obrócił się w złą stronę. Należało obrócić się w prawo, za uzbrojoną ręką i zdrowym okiem. I powinien to zrobić z wyciągniętą bronią, żeby zadać cięcie w czasie obrotu.

Znowu zrobił obrót, używając ręki z bronią do nadania sobie pędu, i tym razem

poczuł, że ostrze bułata w coś uderzyło, napotykając opór, a potem znów sunęło w powietrzu. Usłyszał krzyk bólu i zatrzymał się. Zobaczył, że starzec stoi zgarbiony, ściskając prawą rękę. Nagle coś przyciągnęło jego uwagę. Myszołów opuścił głowę i zobaczył dwa odcięte palce leżące na spieczonej przez słońce ziemi. Gdy uniósł głowę, starzec się cofał, ból wybił mu z głowy myśli o walce.

Nieświadom, jak daleko się cofnął, uderzył plecami o ścianę. Znalazł się w pułapce. Popatrzył na Myszołowa, błagając o miłosierdzie. Ten przez chwilę się wahał. Słyszał, jak Jahan beznamiętnym tonem powtarza:

– To morderca. Zabij go.

– Zabij go, Szpetny! – krzyknęła z podekscytowaniem Alina.

Myszołów przestał się wahać. To była jatka: najpierw uderzenie w brzuch, żeby mężczyzna się pochylił, a potem kolejne – w odsłonięty kark. Zabijanie sprawiało mu przyjemność. Był wściekły z powodu upokorzenia go w haremie i od kilku dni wzbierała w nim żółć, która nie mogła znaleźć ujścia. Teraz miał cel, choć zabrakło mu czasu, żeby czerpać z tego przyjemność, bo Jahan już wołał:

– Brama! Odwróć się ku bramie!

Myszołów się odwrócił, jego głowa podskakiwała, gdy się rozglądał. Na dziedziniec wszedł drugi mężczyzna. Był młodszy i znacznie silniejszej budowy niż pierwsza ofiara, ale powłóczył chromą nogą i na wpół kuśtykał. Myszołów teraz już wiedział, że musi obracać głowę, żeby nie spuścić celu z oka, i że w tym czasie jego stopy również muszą być w ciągłym ruchu. Przyjmowanie jednej pozycji, a potem następnej nie miało sensu, ponieważ musiałby się zatrzymywać, a gdyby walczył z kimś uzbrojonym, bezruch oznaczałby śmierć.

Minęło trochę czasu, zanim Myszołów opanował nową taktykę, ale w końcu przyparł do muru drugiego mężczyznę i zostawił go z rozplatanym brzuchem i wnętrznościami rozlanymi dokoła jak czerwony, parujący gulasz złożony z ich treści, krwi i piasku.

Gdy trzeci nieszczęsny nędznik postawił stopę na dziedzińcu, Myszołów już wpadł w rytm i rozprawił się z nim w ciągu kilku sekund.

– Mam dość – powiedziała Alina tonem zepsutej, znudzonej, rozpieszczonej kobiety.

– Dobrze – odparł Jahan. – Mamy znacznie lepsze rzeczy do robienia.

Odeszli bez jednego skinienia głową Myszołowowi, jasno dając do zrozumienia, że nie ma najmniejszego znaczenia w ich życiu. A on ze zdumieniem stwierdził, że

czuje się zraniony obojętnością dziewczyny, jak uczeń, który zobaczył, że obiekt jego westchnień idzie do lasu z wioskowym łobuzem. Zaraz potem nowy, znacznie bardziej szorstki głos płynący z ganku wyrwał go z zadumy.

– Hej, zamaskowany! – Myszołów uniósł głowę i zobaczył mężczyznę masywnego jak pień drzewa, z ogoloną głową, nagim torsem i ramionami grubszymi niż uda przeciętnego człowieka. – Mam na imię Ali! Będę cię szkolić i masz pracę do wykonania. Jego Wysokość chce, żebym uczynił z ciebie wojownika, i właśnie to zamierzam zrobić. Więc bądź czujny i ruszaj się. I nie przestawaj, dopóki ci nie powiem. To zarówno rozkaz, jak i moja szczerza rada. Słyszysz mnie?

Myszołów pokiwał głową.

– Dobrze – rzucił Ali. – Ponieważ ludzie, których zaraz spotkasz, są młodszy i silniejsi od ciebie. Musisz mi wierzyć, człowieku w masce: jeśli ty ich nie zabijesz, oni na pewno zabiją ciebie.

Nie przesadził. Następni dwaj skazańcy poddali Myszołowa próbie wytrzymałości, gdy usiłował ich zapędzić w miejsce, gdzie mieli być zdani na jego łaskę i niełaskę. Szósty mężczyzna miał kij i Myszołów musiał z nim walczyć. Siódmy zadał mu kilka porządnych ciosów – Myszołów był tak zmęczony, wolny i wyczerpany, że tylko głęboki strach przed dołączeniem do martwych rozrzuconych na dziedzińcu dał mu energię, żeby w końcu zyskać przewagę. Ostatnie słabe dźgnięcie zakończyło życie przeciwnika, a potem Myszołów osunął się na kolana, przesycony śmiercią i chory od zabijania. Był tak wycieńczony, że prawie nie czuł palców, które wyłuskały rapier z jego ręki. Tak zmęczony, że się zorientował, że ma opuścić to piekielne miejsce, dopiero wtedy, gdy poczuł szarpnięcie łańcucha, został podniesiony z ziemi i wywleczony z dziedzińca.

Był roztrzęsiony, głodny i spragniony. Kiedy wrócił do swojej kwatery, afrykański niewolnik wsunął dziobek dzbanka w otwór w masce. Myszołów pił chłodną wodę z rozpaczliwą, bezradną zachłannością. Niewolnik zdjął mu *dzelabę* i zaprowadzono go do gorącej kąpieli z kojącym olejkiem, który pomógł rozluźnić udużone mięśnie. Kiedy został wytarty i dostał czyste ubranie, nakarmiono go dużą miską rozgniecionej ciecierzycy, warzyw i mielonego mięsa, co było jego dziennym posiłkiem.

Później, gdy się trochę przespał, przyszedł do niego Jahan.

– Dobrze się dziś sprawiłeś – powiedział. – Od tej pory Ali codziennie będzie cię szkolić. Będziecie ćwiczyć sami, ale czasami będziesz zabierany do więzienia, żeby

wypróbować to, czego się nauczyłeś. Jest tam wielu ludzi, których można zabić, i nikt nie będzie za nimi tęsknił.

Podszedł do Myszołowa, położył rękę na jego ramieniu i bacznie mu spojrzał w oko.

– Alina jest nadzwyczajną kobietą, prawda? – zapytał niemal jak przyjaciel, jak jeden mężczyzna drugiego.

– Tak – odparł Myszołów. Na osobności wolno mu było rozmawiać z księciem.

– Czasami nie umiem zdecydować, czy jest wiedźmą, dziwką czy boginią... a może wszystkim naraz. To zdumiewające, że może sprawiać rozkosz nawet komuś takiemu jak ty. – Po chwili milczenia dodał: – Podnieciła cię, prawda? Na tyle, na ile możesz się podniecić.

– Tak – powtórzył Myszołów chrapliwym głosem.

– I jestem pewien, że chciałbyś, żeby zaspokoła cię jak należy.

– Boże, tak... proszę... tak.

Jahan obdarzył go smutnym uśmiechem.

– Tak myślałem. Ale będziesz musiał poczekać jakiś czas na tę podróż do raj, bo ani Alina, ani żadna z moich konkubin nawet cię nie dotknie, zanim nie osiągniesz celu swojego istnienia. Twoim celem jest doprowadzenie do śmierci kapitana Henry'ego Courtneya.

– Ale potem...? – zapytał Myszołów.

Jahan wciąż się uśmiechał.

– Jeśli zabijesz Courtneya, każąc mu zapłacić za wszystkie zniewagi, jakich nie szczędził nam obu, mojemu ludowi i naszej sprawie, wtedy dostaniesz ode mnie w darze jeden z klejnotów mojego haremu, może nawet Alinę, jeśli mi się znudzi. Będziesz mógł ją zatrzymać i robić z nią, co tylko zechcesz. Dzisiejszej nocy, gdy będziesz próbował sprawić sobie przyjemność palcami, myśl o tym, czego ona mogłaby dokonać swoimi delikatnymi dłońmi.

William Pett był pedantyczny – niektórzy powiedzieliby może, że u kogoś takiego to niezwykła cecha. Gdy Hal użył mu swojego mydła sporządzonego z oliwy i ze spopielonej solanki kolczystej, Pett dokładnie się wyszorował, spłukując ciało wiadrami morskiej wody, żeby zmyć z ciała warstwę brudu, potu i innych wydzielin, które się na nim nagromadziły w czasie zamknięcia w cuchnącej norze na *Delfcie*. Dbłość o higienę nie była jednak jedyną cechą, która go wyróżniała w towarzystwie co wieczór gromadzącym się przy stole kapitana.

W przeciwieństwie do innych mężczyzn, po latach spędzonych pod afrykańskim słońcem ogorzałych od wiatru i słonej wody, zbrązowiałych jak drewno *Golden Bough*, Pett był blady jak szlachetnie urodzony Europejczyk. Przebywał w Bombaju i wiele tygodni spędził na *Diuku of Cumberland*, lecz zyskał ledwie nikły kolor na policzkach, a późniejsze uwięzienie tylko pogłębiło ziemistość jego cery. Wymizerowana twarz i chude kończyny podkreślały jego trupią bladość.

Hal i załoga dojadali resztki świeżej żywności zabranej na pokład przed wyjściem w morze. Judith taktownie poradziła kucharzowi, żeby używał korzeni dla dodania ostrości i aromatu temu, co już na wpół zgniło.

Minęły dwa dni, odkąd Hal opowiedział swoją historię. W tym czasie wysłał kilku swoich marynarzy, żeby obsadzić *Delfta* pod komendą bosmana Johna Lovella, i dwa statki płynęły jeden za drugim, powoli, ponieważ wciąż właściwie nie było wiatru. Pojmani holenderscy marynarze przebywali w zamknięciu, podczas gdy Hal zastanawiał się, co z nimi zrobić, ale nie byli skuci, dostawali to samo jedzenie co reszta załogi i dwa razy dziennie mogli wychodzić na pokład, żeby rozprostować nogi, poczuć słońce na grzbietach i odetchnąć świeżym powietrzem. Co do Trompa, Hal przypomniał sobie uprzejmość ojca wobec tych, których pokonał, i doszedł do wniosku, że jeśli nawet holenderski ładunek fałszywych relikwii sugerował, że kapitan nie postępuje jak dżentelmen, to on powinien go traktować jak dżentelmena i zapraszać do kapitańskiego stołu.

Dzięki radzie kulinarnej Judith główne danie tego wieczoru, curry z baraniny podane z sucharem, okazało się w miarę smaczne. Wszyscy jedli łączywie, z wyjątkiem Petta, który w zasadzie tylko przesuwiał swoją porcję po talerzu. Takie dziwactwa mogły sprawić, że przestanie się cieszyć sympatią towarzystwa, ale jego profesja wymagała umiejętności dostosowywania się do innych w niemal każdej sytuacji, więc zadał sobie nieco trudu, żeby sprawiać wrażenie na tyle miłego, aby jego

obecność przy kolacji była przyjemna, a nie ledwie tolerowana.

Hal uśmiechał się, puszczając w obieg karafkę.

– Proszę przepłukać sobie gardło, panie Pett – powiedział. – Dwa dni temu pan mnie zmusił, żebym opowiedział moją historię. Teraz pańska kolej. Jakie koleje losu sprowadziły pana na te wody oceanu, z których kapitan Tromp... – Holender, zgodnie z sugestią Hala, został zaproszony na wspólną kolację – uprzejmie pana wyratował. I uczciwie ostrzegam, Tromp, pańskiej historii też będę chciał wysłuchać, ponieważ przypuszczam, że podróż nie przebiegała bez wypadków.

Holender skromnie wzruszył ramionami.

– Zdarzyły się... jeden czy dwa interesujące momenty – odparł z leniwym uśmiechem.

Pett nalał sobie pół kielicha wina i udał, że pociągnął łyk – bystry obserwator mógłby zauważyć, że nie wypił prawie ani kropli. Odchrząknął i zaczął:

– Jak być może pan pamięta, wypłynąłem z Bombaju na pokładzie *Diuka of Cumberland*. Byłem w Indiach, gdzie w imieniu Kompanii Wschodnioindyjskiej prowadziłem szereg negocjacji z miejscowymi osobistościami, zawierając umowy handlowe i tak dalej. Rozmowy dobiegły końca i kiedy w rezydencji gubernatora poznałem kapitana Goddingsa, łaskawie zgodził się znaleźć dla mnie miejsce na pokładzie swojego statku, który wypływał do Londynu z ładunkiem saletry.

Rozległ się świst, gdy Will Stanley i Duży Daniel hałaśliwie wciągnęli powietrze.

– Chętnie przyznam, że sam byłbym śmiertelnie wystraszony. To jak przemiana ładowni statku w jedną wielką prochownię czekającą na iskrę, żeby wybuchnąć – powiedział Stanley.

– Pańskie obawy byłyby całkowicie uzasadnione, co poświadczy moja opowieść – podjął Pett. – Ale gdy postawiliśmy żagle, wszyscy byli dobrej myśli. Kapitan Goddings okazał się radosnym, rubasznym człowiekiem. Wielce go bawiła, jak sobie przypominam, nazwa nadana statkowi przez załogę, mianowicie *Kielbasa*.

Zebrani odpowiedzieli uprzejmym śmiechem.

– Proszę mi wybaczyć, panie Pett, ale nie rozumiem żartu – wtrąciła się Judith.

– Proszę nie czuć się ani trochę zakłopotana, pani, bo muszę się przyznać, że sam nie miałem najmniejszego pojęcia, na czym może polegać dowcip. Kapitan Goddings dał do zrozumienia, że nazwa odnosi się do mięsa i rzeźni. Zdaje się, że mieszkańcy Cumberlandu słyną z wytwarzania kielbas wedle szczególnej receptury.

Inaczej nie potrafię tego wyjaśnić.

– Niech więc pan nam opowie o tej *Kielbasie*, czy jak tam się zwał ten statek – poprosił Ned Tyler, gdy zniecierpliwienie wzięło nad nim górę. – Był zatem dość przyzwoity?

Pett skinął głową.

– Tak bym powiedział. Pan Goddings z wielką przyjemnością zaznajomił mnie ze szczegółami jego konstrukcji. Przypuszczam, że chciał zaszcześcić we mnie przekonanie, iż przebywanie na pokładzie takiego statku jest przywilejem. W każdym razie powiadomił mnie, że zbudowano go z ponad dwustu drzew. Sosny na maszty i reje pochodziły z kolonii, ale jego sercem był dobry angielski dąb z Forest of Dean. A może New Forest... Wyznam, że nie pamiętam. Mogę jednak zapewnić, panie Tyler, że wszystko na statku, od masztów i olinowania do żagli i wielkich dział, było najwyższej jakości. Jeśli bowiem chodzi o interesy, statki zamawiane przez Kompanię muszą spełniać najwyższe wymagania, ponieważ jej zyski zależą od dostarczenia ładunku w jak najlepszym stanie.

– Nazwisko kapitana Goddingsa brzmi dla mnie znajomo – zauważył Hal. – Zdaje się, że znał go mój ojciec. Tak, przypominam sobie! Razem walczyli pod Scheveningen w pięćdziesiątym trzecim. Mówił, że dobrze było mieć go po naszej stronie w bitwie morskiej.

– Ach, Scheveningen, tam było naprawdę gorąco – wtrącił Ned Tyler, kręcąc siwą głową. – Tego dnia zbyt wielu dobrych ludzi poszło na dno, a razem z nimi dobre okręty. Powinniśmy zwracać większą uwagę na znaki. – Pocierał srebrny zarost na policzku, gdy wspominał wydarzenia sprzed lat. – Wiatr poprzedniej nocy był gwałtowny jak gniew samego Boga. Powinniśmy się domyślić, że Bóg próbuje nam coś powiedzieć.

– Dość tych dawnych opowieści, panie Tyler – przerwał mu Hal – bo inaczej nigdy nie usłyszymy zakończenia historii pana Petta. – Uniósł brew i spojrzał na gościa. – Musi pan wybaczyć panu Tylerowi. Z pewnością panu wiadomo, że żeglarze są zabobonni.

– I nie bez powodu – rzucił Tyler. – Kiedy pewnego razu wychodziliśmy z gospody w Plymouth, podeszła do nas rudowłosa ślicznotka i zaproponowała swoje usługi naszemu bosmanowi, zanim chłopak miał szansę wcisnąć słówko.

– A może wcisnąć coś innego, co? – zapytał Aboli z szerokim uśmiechem. Przeniósł spojrzenie na Judith. – Przepraszam.

– Nie ma potrzeby, Aboli. – Judith się uśmiechnęła. – Ubiegły rok spędziłam jako samotna kobieta w armii mężczyzn. Nie masz się czym przejmować, słyszałam znacznie gorsze rzeczy.

– Teraz ja jestem zbity z tropu – wyznał Pett. – Proszę mi wybaczyć, panie Tyler, ale jakie było znaczenie spotkania bosmana z damą podejrzaną konduity?

– Ned jest przekonany, że spotkanie rudzielca przed wejściem na statek przynosi pecha – wyjaśnił Hal. – Chyba że człowiek odezwie się do ognia rudego przeznaczenia, zanim ona albo on, bo przesąd dotyczy również mężczyzn, zagada do niego.

– Rozumiem. I co spotkało tego młodzieńca?

– Spadł z trapu i poszedł na dno jak kamień. – Ned znowu pokręcił głową i pstryknął palcami. – Tak po prostu. Biedak zaciągnął się na rejs do Przylądka Dobrej Nadziei, a skończyło się na tym, że utonął w porcie Plymouth.

– Nie przywiązuję większej wagi do przesądów, panie Tyler – oznajmił Pett. – Najpierw pokładam ufność w Bogu, a następnie w sobie. Ostatnie wydarzenia mnie przekonały, że moje zaufanie jest dobrze ulokowane. Przecież jestem tutaj z wami, cieszę się wybornym posiłkiem, natomiast kapitan Goddings, jego statek i cała załoga są tylko kośćmi i prochami na dnie morza.

Pomrukiwanie rozległo się wokół stołu na te ponure słowa, które wyczarowały obrazy nazbyt bliskie ludziom żyjącym w bezustannym ryzyku śmierci spowodowanej przez żywioły, wrogów i czysty pech. Ned Tyler chciał się odezwać, ale Hal obrzucił go ostrzegawczym spojrzeniem, każąc mu trzymać język za zębami.

– Nikt więcej panu nie przerwie, panie Pett – zapewnił. – Jeśli łaska, proszę dokończyć opowieść.

– Oczywiście, kapitanie. Jak mówiłem, kapitan Goddings żeglował do Londynu z ładunkiem saletry. I jak już zauważył pan Stanley, było to ryzykowane przedsięwzięcie i mam nadzieję, że nie posądzicie mnie o brak odwagi, gdy powiem, że nie wszedłbym na pokład *Diuka of Cumberland*, gdybym nie pragnął... i wciąż pragnę, pozwolę sobie dodać... jak najszybciej wrócić do Anglii, żeby złożyć sprawozdanie moim mocodawcom. Dość powiedzieć: na statku wybuchł pożar.

Pett powiódł wzrokiem po ponurych twarzach wokół stołu.

– Możecie kręcić głowami, panowie, ale nawet taki szczer lądowy jak ja wie, że na morzu ogień jest największym niebezpieczeństwem ze wszystkich. Przecież na zakończenie pańskiej opowieści, kapitanie Courtney, też usłyszeliśmy o takim

wypadku. Pan jednakże znał przyczynę pożaru, w którym zginął ten, hm... Myszołów, jak go nazywacie. Ja nie wiem, co spowodowało pożar na *Diuku of Cumberland*. Mogę tylko powiedzieć, że prowadziłem przyjemną rozmowę z kapitanem Goddingsem w jego kajucie, gdzie mieliśmy zwyczaj spotykać się po kolacji, kiedy do naszych uszu dotarły trwożne okrzyki. Chwilę później wpadł tam marynarz o oczach szeroko otwartych z przerażenia, z paniką w głosie krzycząc: „Pożar! Pożar! Szybko, kapitanie! Na litość boską, szybko!”. Kapitan, odważny człowiek, nie myślał o własnym bezpieczeństwie. Poczuwając się do obowiązku, świadom, że czeka go zguba, wyszedł z kajuty i pośpieszył w stronę ognia, który rozprzestrzeniał się po statku. Wyszedłem za nim na pokład. Ludzie biegali we wszystkie strony, wyglądali jak płonące pochodnie w ciemności. Płomienie wzbijały się wysoko w nocne niebo, śląc niezliczone iskry ku gwiazdom, a ich trzask brzmiał niczym zgrzytliwy oddech samego szatana.

– Jak więc pan uciekł, *mijnheer*? – zapytał Tromp. – Pan, któremu wedle własnych słów brakuje odwagi.

– Na Boga, panie, proszę o wycofanie tej sugestii.

– Może źle zrozumiałem. Zdaje się, że słyszałem, jak pan mówił, że nie chciał żeglować na statku pełnym saletry, ponieważ brakowało panu odwagi. – Holender rozejrzał się wokół stołu z miną zranionej niewinności. – Czy się mylę?

Atmosfera w kajucie nagle stała się napięta i Hal zdał sobie sprawę, że musi interweniować, zanim sprawy zajdą za daleko.

– Mylnie pan zrozumiał pana Petta. Poprosił, żebyśmy nie posądzili go o brak odwagi, gdyż jego zdenerwowanie w związku z przebywaniem na statku przewożącym niebezpieczny ładunek było jak najbardziej uzasadnione. Jestem pewien, że po wysłuchaniu mojego wyjaśnienia zgodzi się pan, że ani pan Pett nie przyznał się do tchórzostwa, ani też nikt rozsądny nie doszuka się błędu w jego odczuciach.

Tromp zaprezentował swój leniwy, czarujący uśmiech.

– Ach! Rzeczywiście źle zrozumiałem sens wypowiedzi w waszym języku. Proszę mi wybaczyć ignorancję serojada... tak nazywacie Holendrów, prawda?

– Mam panu wybaczyć? – zapytał pan Pett. – Niezrozumienie, owszem, to mogę wybaczyć. Ale zamknięcie w śmierdzącej norze za to tylko, że byłem rozbitkiem... Jestem daleki od wybaczenia, kapitanie Tromp. Naprawdę bardzo daleki.

– Jak wiele razy próbowałem powiedzieć, uczyniłem to wyłącznie z troski o

pańskie bezpieczeństwo.

– Panowie! Dość! Nie życzę sobie tego rodzaju dyskusji przy moim stole. Panie Pett, jeśli łaska, proszę dokończyć opowieść, w której brakuje tylko jednej informacji. Jak to się stało, że pan jako jedyny ze wszystkich ludzi na pokładzie *Diuka of Cumberland* zdołał uciec z płonącego statku?

Pan Pett milczał przez długą chwilę, wbijając zimne spojrzenie szarych oczu w kapitana Trompa. Nagle, jakby zbudzony ze snu albo nawet transu, poderwał głowę.

– Dzięki dwóm siłom, w których, jak wspomniałem wcześniej, pokładam zaufanie: łasce boskiej i własnej inicjatywie – powiedział. – Wyszło na to, że moje niedostatki okazały się błogosławieństwem. W żaden sposób nie mogłem wspomóc wysiłków załogi, która walczyła z ogniem. Przeciwnie, gdybym próbował cokolwiek zrobić, tylko wchodziłbym im w drogę. W związku z tym znalazłem się w rozterce. Czy powinienem zostać na pokładzie statku i ryzykować utonięcie, jeśli pójdzie na dno? A może spróbować uciec, wiedząc, że będę sam na środku pustego oceanu? Wtedy zwróciłem się do Boga o pomoc, a on mnie nie opuścił. Czulem Jego obecność i słyszałem Jego głos, gdy kazał mi salwować się ucieczką i wskazał niezbędne środki. Oto miałem przed sobą kapitańską koję, bardzo podobną do pańskiej, kapitanie Courtney, chociaż nieco węższą.

Humory się poprawiły, gdy wszyscy pomyśleli o tym, dlaczego koja Hala jest tak szeroka. Pett udał, że nie zwrócił na to uwagi, i podjął:

– Natychmiast zrozumiałem, co zrobić. Rozbiłem koją szybę iluminatora na rufie, wyrzuciłem koję do morza i natychmiast skoczyłem za nią. Nie umiem pływać...

Śmiech zamienił się w okrzyki zdumienia.

– Jak zatem...? – zaczął Duży Daniel.

– Wiem, panie Fisher, sam siebie o to pytam: jak w ciemności udało mi się znaleźć pływającą koję i do niej dotrzeć? Naprawdę nie mam pojęcia...

Przynajmniej to jest absolutną prawdą, pomyślał Pett.

– Powiem tylko – ciągnął – że znalazłem się na koi dryfującej po wodzie. Po krótkim czasie ujrzałem błysk światła tak jasnego, jakbym patrzył w słońce, tak wściekle intensywnego, że miałem wrażenie, iż płoną mi oczy. Po chwili dobiegł mnie dźwięk eksplodującej saletry, potworny niczym ryk trąb w dniu sądu. Był ogluszający. Później słyszałem tylko dzwonienie w uszach. Z czasem przeminęło i wtedy... wtedy nie pozostało już nic. Noc była spokojna, wiatr bardzo słaby i tym, co mnie uderzyło ze straszliwą siłą, była cisza. Statek i wszyscy ludzie na jego pokładzie, zniknęli,

zupełnie zniknęli, nie zostawiając po sobie śladu ani dźwięku.

Przy stole też zapanowała cisza, gdy wszyscy uzmysłowili sobie grozę tego, co usłyszeli. W końcu Pett podjął opowieść:

– Dryfowałem zdany na łaskę żywiołów, aż zauważył mnie marynarz z *Delfta*, którego byстрыm oczom winien jestem ogromny dług wdzięczności.

– Wiemy, co się stało później – powiedział Hal, chcąc zdusić w zarodku każdą kolejną próbę dalszych dyskusji. – Jestem pewien, że wszyscy chcemy się udać na...

– Proszę wybaczyć, kapitanie – przerwał mu Tromp.

– Tak?

– Poprosił pan, żebym opowiedział moją historię...

– Jestem pewien, że możemy z tym poczekać do jutrzejszego wieczoru.

– Jest bardzo krótka.

– Proszę, kapitanie, daj człowiekowi szansę – wtrącił Ned Tyler.

– Tak, i poczęstuj pozostałych kapką rumu! – dodał Duży Daniel.

– Bardzo małą kapką – ustąpił Hal. – Przecież usłyszeliśmy zapewnienie, że opowieść kapitana Trompa będzie bardzo krótka. Więc proszę, panie, skoro stół tego żąda, opowiedz swoją historię.

Tromp powiódł wzrokiem po twarzach słuchaczy. Odchrząknął i zaczął:

– W Batawii doszło do incydentu z pewną dziewczyną. Miała na imię Christina. Była córką admirała.

Hal okazał zaniepokojenie i rozbawienie, jak wszyscy inni przy stole. Członkowie załogi *Golden Bough* szeptem rzucili kilka dwuznacznych uwag, a Judith udawała, że ich nie słyszy, choć na jej ustach pojawił się uśmiech.

– Śmiało, proszę mówić dalej – zachęcił Holendra Hal.

Tromp się uśmiechnął.

– To najstarsza historia pod słońcem. Tańczyliśmy, śmialiśmy się, kochaliśmy... – Uniósł brew. – Pewnego dnia powiedziała mi, że jest w ciąży. Co gorsza, wyznała to również ojcu. Przyznam się, że pomyślałem, iż admirał wybuchnie jak ładunek prochowy z krótkim lontem. W miarę mnie lubił jako oficera na swoim statku, ale jako mężczyznę, który posiał nasienie w łonie jego najukochańszej córki...

– I wybuchnął? – zapytał Hal.

Tromp pokręcił głową.

– Nie, gorzej. Zachował spokój, był lodowaty jak Morze Północne w samym środku zimy. Wycodził, że nie może ścierpieć samej myśli o moim wejściu do jego

rodziny, niemniej jednak nie ma wyboru. Muszę poślubić dziewczynę w ciągu tygodnia.

– Więc pan uciekł.

– Nie kochałem Christiny i nie wierzę, że ona mnie kochała. Nie do końca. Dlatego oddałem się rozmyślaniu o czymś, co od jakiegoś czasu chodziło mi po głowie. Najpierw poszedłem do admirała. Powiedziałem: „Zgoda, poślubię pańską córkę. Ale ślub musi się odbyć jak należy, w kościele i z ucztą weselną, żeby ludzie wierzyli, iż jest to prawdziwe małżeństwo z miłości. Dlatego potrzebujemy co najmniej dwóch tygodni”. Nie chciał się zgodzić, ale rozumiał, że mam rację. Jeśli stanie na moim, wszystko będzie wyglądało znacznie lepiej, mniejszy wstyd dla niego i jego rodziny. Następnie odwiedziłem rzemieślników w Batawii i powiedziałem: „Zróbcie dla mnie relikwie, co najmniej po sześć każdego rodzaju, w dziesięć dni!”. Później udałem się na statek, na którym służyłem i na którym znałem całą załogę, i powiedziałem: „Mam plan. Dołączcie do mnie, a wszyscy będziemy bogaci!”.

– I uwierzyli panu? – zapytał Hal z powątpiewaniem.

– Ach! Uwierzyli w to, w co chcieli uwierzyć. Większość z nich miała dość służby. Nie chcieli gnić do śmierci w Indiach Wschodnich. Marzyli o powrocie do domu. Powiedziałem: „Zabiorę was do Holandii z mnóstwem złota w kieszeniach i wszystkie dziewczyny będą się za wami uganiać”.

Tromp relacjonował wydarzenia z takim entuzjazmem, że Hal nie miał kłopotów ze zrozumieniem, jak to się stało, że biedni, niewykształceni, w większości niepiśmienni marynarze przebywający tysiące mil od domu postanowili dla zysku wziąć udział w tym szalonym planie.

– To była załoga *Delfta*? – zapytał.

– Oczywiście! – odparł Tromp. – Z każdym dniem stawałem się coraz bardziej nerwowy. Wciąż myślałem: mój Boże, jeśli ci przekłęci tubylcy w porę nie zrobią relikwii, zostanę tutaj do końca życia z Christiną i jej ojcem... nie wspominając o matce, która była jeszcze gorsza. Ale dwa dni przed ślubem relikwie były gotowe. Załadowałem je na wóz i zawiozłem do doków. Ludzie czekali na mnie na pokładzie *Delfta*. Załadowaliśmy beczki i postawiliśmy żagle. Byliśmy wolni! Ale... i może to powinienem powiedzieć na samym początku.

Tromp się rozejrzał i pochylił, a inni poczuli, że muszą zrobić to samo, jakby fizycznie uczestniczyli w jego opowieści.

– *Delft* jest wyjątkowym statkiem. Nie okrętem, nawet nie statkiem

Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Należał do admirała, ojca Christiny. Był jego małą barką przyjemności.

Napięcie, jakie stworzył Holender, zostało przełamane przez wybuch śmiechu i ironiczne okrzyki.

– Wyrazy uznania, kapitanie – powiedział Aboli, kiedy jego ramiona przestały się trząść ze śmiechu. – Wziąłeś córkę wielkiego wodza. Przez ciebie utraciła cnotę...

– Co do tego nie mam pewności – zaznaczył Tromp. – Nie zachowywała się jak dziewczyna, która robi to po raz pierwszy.

– Ale napełniłeś jej brzuch nasieniem i pohańbiłeś ją w oczach ojca, matki i całego świata. A potem uciekłeś... na statku jej ojca. Dlaczego jeszcze żyjesz? Gdybyś zrobił coś takiego Monomatapie, naczelnikowi mojego plemienia, wysłałby za tobą swoich najzacieklejszych wojowników. Znaleźliby cię i... – Aboli westchnął z krwiożerczej przyjemności – zabili bardzo powoli i boleśnie, aż wrzeszczałbyś i błagał o śmierć.

– Proszę mi wierzyć, że właśnie to czuje ojciec Christiny. Mogę ręczyć, że każdemu kapitanowi każdego holenderskiego statku, który zawinął do Batawii od czasu mojej ucieczki, kazano na mnie polować. Wyznaczono cenę za moją głowę, dostarczoną na żywych, oddychających ramionach albo w zakrwawionym worku. Dlatego ma pan wybór, kapitanie. Jeśli chce pan nas wydać Holendrom, równie dobrze może pan nas zabić własną ręką. Ale proszę pomyśleć: pański okręt przez wiele miesięcy prowadził wojnę. Stracił pan ludzi. Może pan żeglować tylko dzięki temu, że zrobił pan marynarzy z afrykańskich wojowników. Ich miejsce jest tutaj, w Afryce. Pan obrał kurs na Przylądek Dobrej Nadziei. Dalej leży Atlantyk i tam może pan wziąć kurs na Anglię, tak, i również Holandię. Myślę, że chce pan wrócić do domu, kapitanie Courtney. Bedą panu potrzebni żeglarze, którzy znają zimne wody północy. Dlatego niech pan przyjmie mnie i moich ludzi jako swoją załogę, a zabierzemy pana do domu.

Pett słyszał głosy, które huczały mu w głowie. Czasami brzmiały jak chór, a kiedy indziej wydawały się kłótlive jak członkowie parlamentu. Żądza mordy była jednak czymś więcej niż kwestią głosów, choć obecność Świętego odgrywała w niej pewną rolę. Nie, potrzeba była czymś głębszym, czymś, co czuł w trzewiach, w sercu, w całym swoim jestestwie. Pragnienie płynęło w jego krwi. Wsączyło się w kości. Pod każdym względem był człowiekiem przez nie opętanym.

Nie umiałby powiedzieć, skąd się wzięło to uczucie, ale rozpoznał je w chwili, gdy nim owładnęło. Dlaczego tak prędko? – zastanawiał się. Od czasu, kiedy po raz pierwszy przyjął to boskie zlecenie, wiele miesięcy albo nawet lat poświęcał na przygotowanie jednego machnięcia swoją kosą zniwiarza. Nauczył się, że umiejętność czekania na właściwy moment i cierpliwość są niemal równie ważne, jak sam akt zabójstwa. Tym razem jednak minęło zaledwie kilka dni od czasu, kiedy udusił współwzięnia na pokładzie *Delfta*, a Goddingsa spotkał koniec nieco ponad tydzień wcześniej. Przerwy pomiędzy kolejnymi mordami były coraz krótsze, jak gdyby im więcej zabijał, tym mniejszą satysfakcję sprawiała mu każda kolejna śmierć. Teraz odczuwał przymus zrobienia tego samego i przyszło mu na myśl, że jeśli zdoła wysłać na tamten świat dwóch ludzi jednocześnie, może bardziej go to zaspokoi i na dłuższy czas odsunie konieczność powtórzenia aktu. Oczywiście, dwie potencjalne ofiary leżały obok siebie ledwie kilka kroków od jego maleńkiej kwatery – w kajucie kapitana.

Jednoczesne zabicie Courtneya i tej kobiety, Nazet, bez wątpienia będzie szaleńczo ryzykownym przedsięwzięciem. Po pierwsze, oboje byli doświadczonymi wojownikami, zdolnymi się bronić, i prawdopodobnie oboje przewyższali go pod względem umiejętności walki. Do tego dochodziła sprawa zatarcia śladów. Gdyby nie wyręczył go ogień, trudno byłoby mu podrzucić nóż, którym zabił Goddingsa, i skierować podejrzenia na kogoś innego. Tutaj załoga najwyraźniej uwielbiała swojego kapitana i jego panią – raczej nie znajdzie niezadowolonych, więc taki plan nie wchodził w rachubę.

Pett w gruncie rzeczy się tym nie przejmował. Po prostu musiał zrealizować swój zamysł. Wprawdzie głos Świętego jeszcze nie dołączył do zgiełku rozbrzmiewającego mu w czaszce, ale czuł, że jest to tylko kwestią czasu. Nie mógł zignorować głębokiego fizycznego pragnienia. I był pewien, że popełnienie podwójnego morderstwa jest możliwe. Zrobi to szybko i po cichu, a później, jeśli nie

nasunie mu się żaden inny pomysł, powtórzy swoją sztuczkę z kapitańską koją – byłaby ona znacznie przestronniejszą tratwą ratunkową – i popłynie w kierunku lądu. Od kilku dni często widział na zachodnim horyzoncie wybrzeża Afryki. Na pewno do nich dotrze bez większego trudu. Wskoczy za burtę i dopłynie w koi do brzegu, zanim ktokolwiek się zorientuje, że kapitan Courtney nie żyje.

Trochę go martwiła myśl o zabiciu kobiety, bo nigdy dotąd tego nie zrobił. Szczycił się, że jest człowiekiem cywilizowanym, który wypełnia dzieło boże, a kobiety jego zdaniem cechowała niewinność i słabość, co czyniło je niestosownymi celami. Z drugiej strony, podpowiadał mu kolejny głos, ta kobieta nie jest ani niewinna, ani słaba. Poszła na wojnę z własnej woli. Postanowiła maszerować i walczyć razem z mężczyznami i przeciwko nim, jakby sama była mężczyzną. Była więc odpowiednim celem.

Z pewnością tłumaczyłaby się, że to Bóg ją wezwał do obrony kraju i należącego do niego Tabernakulum. Ale Pett też miał powołanie, równie święte. Wiedział, że nie brakuje innych, którzy zabijają. Nikt jednak nie był równie dobry jak on i jego dzieło napawało go dumą. Kiedy inne dzieci grały w szpilki albo się ganiały, on uczył się posługiwania sztyletem, rapierem i stalową garotą. Badał właściwości różnych trucizn. Poznawał wiele fascynujących metod odbierania ludziom życia i wykazywał się wielkim talentem. Sprawa Courtneya i Nazet była po prostu kolejnym wyzwaniem.

A jeszcze nie trafiło się takie, któremu by nie sprostał.

Jako broń wybrał marspikiel, długie na stopę stalowe narzędzie przypominające wielką igłę do szycia, używane przez marynarzy do wykonywania splotów na linach. Ukradł go niedługo po wejściu na pokład *Golden Bough* i od tamtej pory ostrzył w nieczęstych chwilach samotności na zatłoczonym statku. Szpic zrobił się dość ostry, żeby przebić ludzką skórę i mięśnie i wnikać w miękkie narządy pod nimi.

Wsunął marspikiel w prawy rękaw koszuli po wewnętrznej stronie przedramienia, czując na ciele chłód ostrza, i wymknął się ze swojej kwatery. Jego drugim narzędziem był zwyczajny gwóźdź, który trzymał w ustach. Nie od razu ruszył do kapitańskiej kajuty. Najpierw poświęcił trochę czasu na ocenę sytuacji na statku, zwracając uwagę na wszystko, co mogłoby stanowić potencjalne zagrożenie dla jego planów. Gwiazdy jaśniały na niebie w tej nadzwyczajnej obfitości, która w tropikach zawsze robiła na nim wrażenie. Przez chwilę stał na pokładzie rufowym, w cieniu rzucanym przez takielunek, i słuchał ściszonych rozmów ludzi pełniących wachtę.

Rozpoznał niski, dźwięczny głos Afrykanina, Abolego, i przy grotmaszcie dostrzegł grupę *amadoda* kucających wokół wojownika, który snuł opowieść o lwie, chyba o lwie, bo miał wyciągnięte ręce z palcami wygiętymi jak pazury.

Zaskrzypiała deska i mięśnie Petta się napięły. Wstrzymał oddech. Ktoś nadchodził. Odgadł, że to Will Stanley robi obchód jako oficer wachtowy, wsunął się za drabinę na tylnym pokładzie i zamarł. Nie chciał, żeby Stanley go wypytywał, co tu robi w środku nocy, nie mówiąc o tym, że mógłby podejść i spostrzec gwóźdź wystający z jego ust. Najpierw zobaczył bosc stopy na drabinie, potem całą postać. Stanley stanął na głównym pokładzie tak blisko, że Pett czuł zapach żutego przez niego tytoniu, i obrócił głowę w stronę lewej burty.

Nie zobaczył go. Podszedł do relingu, stanął z rękami założonymi za plecy i patrzył na zatokę. Wystarczyłoby kilka szybkich kroków i Pett mógłby go dopaść, wbić głęboko marspikiel w nerkę i powlec go do cienia albo ukryć ciało w swojej kajucie.

Ale co będzie, jeśli zniknięcie Stanleya wywoła alarm, zanim on rozprawi się z Courtneyem? A jeśli bosman zdoła krzyknąć, zanim ucichnie na zawsze?

Stanley odwrócił się i Pett ujrzał jego twarz z profilu, gdy z grymasem niezadowolenia widocznym nawet w mroku spojrział w kierunku dziobu. Nie wiedział, co przykuło jego uwagę, ale to nie miało znaczenia. Najważniejsze, że Stanley mruknął coś pod nosem i pomaszerował po pokładzie. Pett powoli wypuścił powietrze, podczas gdy jego wyczulone na niebezpieczeństwo uszy wciąż łowiły nocne odgłosy.

„Teraz, zrób to teraz”, powiedział Święty i Pett zadrżał, wreszcie słysząc jego głos, głos nad głosami. Jego przewodnik i obrońca był z nim, więc wszystko będzie dobrze.

Wyszedł zza drabiny i przygarbiony pobiegł do kapitańskiej kajuty. Uniósł prawą rękę, żeby marspikiel wsunął się do rękawa, i wyjął gwóźdź spomiędzy warg. Jego broń i wytrychy poszły na dno z *Diukiem of Cumberland*, lecz była to tylko drobna niedogodność. Stary gwóźdź okrętowy, który specjalnie wykrzywił, z powodzeniem spełni swoje zadanie.

Nagle przysłała mu do głowy pewna myśl. Czy jego droga nie została wytyczona już wówczas, kiedy kapitan *Delfta* wyciągnął go z oceanu? Czy młody Courtney nie został mu podany jak na talerzu?

„Myślisz, że robimy wszystko za ciebie?”, zapytał Święty.

Pett nacisnął klamkę i, jak się spodziewał, usłyszał szcęk. Schował gwóźdź za pasek spodni, otworzył drzwi, wślizgnął się do kajuty i zamknął je za sobą, niemal się

śmiejąc z wyroków boskich. Nigdy nie mógł wyjść ze zdumienia, że Bóg dba o najbardziej znikome szczegóły, o tak przyziemne drobiazgi jak to, żeby człowiek zaniedbywał zamykania drzwi na klucz.

I oto miał przed sobą Courtneya, pogrążonego w głębokim śnie. Śniącego o złotej przyszłości, Pett byłby gotów się o to założyć. Śniącego o heroicznych czynach i podbojach. A może o swojej dynastii, bo przecież nie ulegało wątpliwości, że młody kapitan uważa się za męża przeznaczenia, podobnie jak jego ojciec. Obok Courtneya, po lewej stronie, spała jego kobieta, na boku, z twarzą wtuloną w jego szyję. Biel koszuli ostro kontrastowała z ciemną skórą jej nagich ramion i nóg. Pett przez chwilę na nią patrzył. Podeszedł bliżej.

Gdy pod jego stopą zaskrzypiała deska, zaklął w duchu i zamarł. Judith poruszyła się i ułożyła wygodniej, ale się nie przebudziła. Niedoświadczony człowiek miałby teraz przyspieszony oddech, nerwy brałyby nad nim górę, ale oddech Petta pozostał głęboki i naturalny. Obszedł koję, aż stanął nad Henrym Courtneyem, który spał na plecach, z twarzą zwróconą ku niskiemu sufitowi.

Pett napiął mięśnie brzucha i głęboko, bezgłośnie odetchnął, przepelniając krew energią i obniżając napięcie, które przed popełnieniem zabójstwa zawsze w nim narastało.

Oddech Courtneya był głęboki i miarowy, gdy Pett wysunął marspikiel z rękawa koszuli, zacisnął go w prawej ręce i uniósł, gotów do zadania ciosu. Marspikiel jako broń idealnie nadawał się do dźgania, ale nie do cięcia, i właśnie dlatego Pett musiał działać z wielką precyzją, pochylić się nad łóżkiem i w jednej chwili zacisnąć lewą rękę na ustach Courtneya, a prawą płynnie wbić ostrze w bok szyi za kością szczęki tuż pod uchem, żeby przeciąć prawą arterię szyjną. Będzie mnóstwo krwi, na ciele, na pościeli, na nim samym, i jeśli Pettowi nie uda się zadziałać błyskawicznie, kobieta się zbudzi i zobaczy koszmarną scenę. W takim wypadku będzie musiał dźgać z jak największą szybkością i brutalnością, żeby ją uciszyć, zanim Judith zdoła wrzasnąć o pomoc.

Kajutę zalało nikle srebrzyste światło i Pett spojrzał w iluminatory. Pasma chmury się rozerwało, odsłaniając gwiazdy i sierp księżyca. Blask oświetlił kwatere kapitańską i Pettowi krew zziębła w żyłach. Sącący się przez szybę snop jasności padał prosto na Biblię, która leżała na stole przy koi, i wykładany złotem krzyż lśnił na tle czarnej skórzanej okładki.

W tej chwili umysł Petta wzdrygnął się jak jego ciało, gdy wyskakiwał z

plonącego *Diuka of Cumberland*. Czy to znak zesłany przez Świętego? Czy w ten sposób Bóg mu mówi, że ma oszczędzić Henry'ego Courtneya? Na pewno nie. A jednak Święty dziwnie się uciszył. Zwykle w takich momentach jego głos brzmiał najwyraźniej, lecz teraz nie było go słyhać.

Pett czuł się porzucony, osamotniony. Stał ze stopami przyrośniętymi do desek niczym skorupiaki do dna kadłuba, pot wystąpił mu na czoło i spływał kroplami po twarzy.

Daj mi kolejny znak, poprosił w duchu. Jakikolwiek. Bodaj cię lichu, przecież to dobry moment! Spójrz na niego, jest bezradny jak niemowlę.

Chmura się przesunęła i kajutę znowu spowiała ciemność, a jednak Pett nie mógł zapomnieć tego, co widział: krzyża Chrystusa oświetlonego w chwili, gdy miał zabić człowieka, znak równie głośny jak huk gromu na niebie. Ale znak, żeby zabić czy żeby oszczędzić?

Przecież był tak blisko! Mogło się dokonać w jednej chwili. Dwa szybkie dźgnięcia, rozdarcie ciała, i po robocie. Coś jednak było nie w porządku. Zabijał wiele razy, lecz po raz pierwszy ogarnęły go wątpliwości i nie czuł tego dreszczu podniecenia, który mu towarzyszył za każdym razem, kiedy skrycie zabijał człowieka. Wiedział, że musi się pohamować, jeśli w grę wchodzi bodaj najmniejsze prawdopodobieństwo, że Bóg nie chce śmierci Henry'ego Courtneya. Ale jeśli go nie zabije, o ile bardziej natarczywy stanie się zgiełk w jego głowie, o ile przeraźliwsze staną się inne głosy, wrzaskiem żądające krwi, nawet jeśli sam Święty zachowa milczenie.

Powoli, wciąż z miarowym oddechem, wsunął marspikiel w rękaw i cofnął się od koi i śpiących w nim młodych kochanków. Był prawie przy drzwiach, już miał sięgnąć do klamki i wyjść, kiedy jego prawa stopa trafiła na luźną deskę. Deska zaskrzypiała. Nie głośno, na pewno nie głośniej niż wiele innych hałasów, jak łopot żagli na wietrze, szum fal bijących o kadłub, pojękiwanie drewna i lin, wszystkich tych dźwięków składających się na nieustający chór, który panuje na statku żeglującym po morzu. Ale ten hałas był inny i zbudził Hala Courtneya. Kapitan usiadł na łóżku z szeroko otwartymi oczami. Natychmiast zorientował się w sytuacji i bardziej ze zdumieniem niż strachem zapytał:

- Pett? Do diabła, co pan robi w mojej kajucie?
 - Co cię trapi, Henry? – mruknęła sennie Judith, która się przebudziła.
- Świadomość, że w kajucie jest jego kobieta, podsyciło złość Courtneya.

– Jak pan śmie?! – warknął. – Nie dość, że wszedł pan do kapitańskiej kajuty w środku nocy, to jeszcze zrobił pan to w czasie, gdy jest tutaj dama... Proszę się wytłumaczyć!

Pett osłupiał. Po raz pierwszy w życiu zawiódł go talent do udawania i stał w bezradnym milczeniu przez chwilę, która wydawała się wiecznością, aż... Chwała Bogu! Święty wrócił i mu podpowiedział: „Tromp! Wciągnij w to Trompa!”.

Nagle Pett odzyskał trzeźwość umysłu.

– Wybacz mi, kapitanie, to straszne wtargnięcie. To tylko... po prostu nie mogłem zasnąć, rozumie pan? Pewna sprawa nie daje mi spokoju, musiałem porozmawiać z panem na osobności, z dala od innych oficerów...

– W środku nocy? Czy pan oszalał? – Courtney patrzył na niego ze ściągniętymi brwiami. – Czy pan się upił?

– Nie, panie. Zapewniam, że alkohol nie miał żadnego wpływu na moje rozmyślenia czy poczynania, po prostu... – Pett skrzywił się w wyrazie głębokiego cierpienia. – Moja dusza była taka udręczona. Byłem... cóż... padłem ofiarą podłego oszczerstwa, panie! I na domiar złego okrutnie i niesłusznie się nade mną znęcano.

– Jakiego oszczerstwa?

– Chodzi o tego Holendra, Trompa. Wiem, że tylko udawał, że źle zrozumiał moje słowa, kiedy wyraźnie i jednoznacznie przy wszystkich kwestionował moją odwagę. Ale zdążyłem go poznać, podobnie jak jego znajomość angielskiego i umiejętność oszukiwania. Jak, panie, można uwierzyć w słowo człowieka chępiącego się tym, że będzie sprzedawał fałszywe relikwie, z których każda jedna jest bluźnierczym splunięciem w twarz Wszechmogącemu?

Courtney i kobieta milczeli. Pett poczuł przepelniającą go pewność siebie.

– Nazwanie człowieka tchórzem – kontynuował – w obecności równych mu ludzi jest samo w sobie wystarczającą obrazą. Ale ten człowiek zamknął mnie jak pospolitego zoczyńcę w obrzydliwej norze. Sam pan widział moją niedolę, kapitanie. Widział mnie pan przykutego łańcuchami do belek, leżącego w brudzie i nieczystościach, z trupem do towarzystwa. Jak dżentelmen o dobrej reputacji może pogodzić się z takim upokorzeniem?

Courtney przetarł oczy, żeby przepędzić resztki snu.

– Wysunął pan trafne argumenty, panie Pett. Ma pan powody, żeby się czuć niesprawiedliwie potraktowany. Ale wyznam, że nie rozumiem, dlaczego miałyby to pana skłonić do wchodzenia do mojej kajuty w środku nocy.

– Powód jest taki, panie, że mam prośbę, którą mogę przedstawić tylko na osobności, z dala od załogi i jeńców. Proszę... nie, nalegam, żeby zezwolił mi pan na wyzwanie kapitana Trompa na pojedynek, na tym statku, przy najbliższej okazji.

– Pojedynek?! – wykrzyknął Courtney.

– Panie Pett, jest pan pewien? – wtrąciła się Judith.

– Tak, pani, całkowicie pewien. Nie dam się odwieść od tego zamiaru. Honor mi na to nie pozwala.

– Ale, panie Pett, z największym szacunkiem, nie jest pan wojskowym... – Courtney urwał na sekundę, żeby rozważyć swoje słowa, po czym dla pewności zapytał: – Mam rację?

– Tak, panie, jestem człowiekiem interesów.

– Dobrze, w takim razie czuje się pan pewnie na placu targowym i w kantorze czy w innym miejscu, w którym prowadzi pan interesy. W przeciwieństwie do pana, jakkolwiek skandaliczne mogło być jego zachowanie, kapitan Tromp jest oficerem marynarki wojennej, który w bitwie czuje się jak w swoim żywiole. Bez względu na jego słabości moralne, przy czym zgadzam się z panem, że jego zachowanie pozostawia wiele do życzenia, widziałem go w walce i uważam go za przeciwnika godnego szacunku. Powiem wprost, panie Pett: obawiam się, że jeśli przystanę na pańską prośbę, przypieczętuję pańską śmierć.

– To bardzo szlachetne i taktowne obawy, kapitanie, ale zapewniam, że nie musi pan się zamartwiać z mojego powodu. Głęboko wierzę, że sprawiedliwość jest po mojej stronie, a skoro tak, Bóg będzie mnie strzegł.

– Pokonałam całe armie ludzi, którzy myśleli, że Bóg da im zwycięstwo, panie Pett – odezwała się Judith. – Niezbadane są Jego wyroki. Nie możemy poznać planów, jakie dla nas przygotował. Nie zamierzam podważać pańskiego przekonania. Po prostu chcę uchronić pana przed krzywdą.

– Dziękuję, pani, ale pozwól, że coś powiem. Kiedy szłaś w bój, wiedząc, że walczysz o samo Tabernakulum, czy nie czułaś maszerujących obok ciebie zastępów niebieskich?

– Tak, w istocie – odparła Judith.

– I czy ta myśl umocniła twoją wiarę w zwycięstwo?

– Tak.

– W takim razie skoro ty wierzyłaś, pozwól mi na to samo, proszę. Jeśli jest wola boska, żebym zginął, niech tak będzie. Wolę umrzeć bez plamy na honorze, niż

żyć z oszczerczym zarzutem o tchórzostwo. Może jestem człowiekiem interesów, ale jestem wciąż mężczyzną i kiedy nadejdzie pora, będę walczyć jak mężczyzna.

– Dobrze powiedziane, panie Pett – przyznał Hal. – Gorąco pragnę, żeby ta sprawa została rozstrzygnięta bez szkody dla pana czy kapitana Trompa. Wiele pojedynków kończy się ku satysfakcji obu stron bez rozlewania krwi albo przynajmniej bez śmierci któregoś z uczestników. Mam wielką nadzieję, że tak będzie w tym przypadku. Modłę się, nawet teraz, o znalezienie sposobu na pokojowe załatwienie tej sprawy. Ale skoro nie ma innego wyjścia, panie Pett, w takim razie tak, wyrażam zgodę na pojedynek.

– Jesteś pewien, kochanie? Czy musimy mieć więcej krwi, więcej śmierci? – zapytała błagalnie Judith.

– Mam nadzieję, że nie, kochanie. Ale to sprawa honoru, a honoru należy bronić.

Pett przez chwilę się martwił, że kobieta może przeforsować swoje stanowisko. Judith jednak nie próbowała dalej przekonywać kapitana. Ona, która dowodziła tysiącami mężczyzn, teraz się zdaje na tego jednego mężczyznę, pomyślał Pett, jednocześnie podziwiając Courtneya i nie mogąc się doczekać przyjemności, jaką będzie czerpał, kiedy nadejdzie właściwa pora na odebranie tak wysoko cenionego życia. Lecz na razie musiał, z pomocą Świętego, znaleźć sposób, żeby wybrnąć z tej wyjątkowo trudnej sytuacji. Jeśli zostanie dłużej w kapitańskiej kajucie, niczemu nie będzie to służyć.

– Dziękuję, kapitanie – powiedział i wyszedł.

Minęło dwanaście godzin od czasu, kiedy Hal przychylił się do prośby Petta o zgodę na pojedynek. Nie chciał, żeby nierozstrzygnięta sprawa jak ciemna chmura wisiała nad statkiem, dlatego pozwolił Pettowi wyzwąć Holendra na pojedynek. Nastąpiło to tuż po wschodzie słońca i odpowiedź napłynęła niedługo później. Teraz dwaj mężczyźni stali naprzeciwko siebie w odległości dwudziestu kroków, Pett plecami do rufy, kapitan Tromp plecami do dziobu. Członkowie załogi ustawili się wzdłuż nadburcia, wspięli się na drabinki, a nawet siedzieli okrakiem na rejach wszystkich trzech masztów, żeby mieć dobry widok. Z ładowni sprowadzono ośmiu holenderskich jeńców, a ci marynarze, których Hal oddelegował na *Delfta* zakotwiczonego po lewej burcie *Golden Bough*, wisieli na wantach, cierpliwie czekając na rozpoczęcie przedstawienia.

Wojownicy *amadoda* pokrzykiwali z radości i hałaśliwie gawędzili – większość z nich wybrała sobie miejsca w takielunku, radzili sobie bowiem na statku równie dobrze jak ludzie z Portsmouth czy Plymouth.

– Możesz to powstrzymać, Henry – powiedziała Judith. Stała obok Hala na pokładzie rufowym, patrząc w dół na mężczyzn, którzy sprawdzali pistolety, dostosowując długość lontu w taki sposób, żeby tłący się koniuszek spadł na panewkę, kiedy padnie rozkaz do oddania strzału.

Hal pokręcił głową.

– Już za późno. – Zastrzeżenia Judith poruszyły go bardziej, niż po sobie pokazywał, i dlatego zanim wydał ostateczną zgodę na stoczenie pojedynku, postanowił naradzić się z Abolim.

– Pozwól im walczyć, Gundwane – powiedział Afrykanin. – Pan Pett pragnie satysfakcji i dopóki jej nie otrzyma, obecność ich obu na pokładzie nikomu nie wyjdzie na dobre. Lepiej przeciąć wrzód i oczyścić ranę, niż pozwolić, żeby ropiała i zatruchiwała zdrowe ciało. Ten spór już spowodował kłopoty. Daniel musiał powstrzymać dwóch naszych ludzi, żeby nie zatłukli na śmierć jednego z Holendrów. Pozwól nam zobaczyć rozstrzygnięcie tej sprawy.

– Ale co będzie, jeśli Tromp zabije Petta? Ludzie nie będą zadowoleni. Czy to nie pogorszy sytuacji?

Aboli wzruszył ramionami.

– Sądzisz, że będą się tym przejmować? Pett jest Anglikiem, ale nie jednym z nas, nie należy do załogi *Golden Bough*. Nikt nie będzie po nim płakać. Niech walczą.

Daj załodze widowisko. Coś, o co się można zakładać. – Wyszczrzył zęby. – Chociaż oczywiście ich kapitan nie będzie wiedział, że obstawiają wynik.

Hal rozważył sprawę i doszedł do wniosku, że Aboli ma rację. Nierozwiązany spór mógł zatruć ducha załogi, natomiast obejrzenie jawnego pojedynku może go jej dodać. I tak oto pan Pett stał teraz naprzeciwko pana Trompa.

Holender próbował wyjaśnić sprawę bez uciekania się do przemocy.

– Nie przystoi, żebym pojedynkował się z przeciwnikiem, który nie może ze mną wygrać – dowodził kilkakrotnie, ale nie na tyle często, żeby stało się to pretekstem do posądzenia go o tchórzostwo. Dlatego w końcu przyjął wyzwanie, jakkolwiek z ciężkim sercem.

Ku jego zaskoczeniu Pett zostawił mu wybór broni.

– W takim razie wybieram pistolety – powiedział Holender.

– Jestem zaskoczony pańską decyzją – zauważył później Hal, kiedy stanęli razem na pokładzie tak blisko, że mogli rozmawiać bez ryzyka, że ktoś ich podsłucha. – Widziałem, jak dobrze walczy pan rapierem. Skoro woli pan pistolet, zakładam, że jest pan również doskonałym strzelcem.

– Przeciwnie, z rapierem byłbym znacznie pewniejszy swoich szans. I w tym problem. Naprawdę byłoby mi trudno nie ukatrupić tego tumana, gdybyśmy walczyli na rapiery. Co zaś się tyczy pojedynku na pistolety... cóż, są bardzo zawodną bronią i często wcale nie wypalają. Nawet kiedy pistolet wypali, kula rzadko trafia w cel, chyba że z bardzo bliskiej odległości. I tak sprawa wygląda na lądzie. Na morzu, na kołyszącym się pokładzie... cóż, jeśli Pett mnie zabije, to będzie znaczyło, że Bóg naprawdę stoi po jego stronie i nie jest ani trochę zadowolony z tych przeklętych relikwii.

Hal roześmiał się. Szczerze mówiąc, mimo całego swojego łotrostwa Tromp był człowiekiem znacznie sympatyczniejszym niż zimny, blady, bezkrwisty Pett. A jednak bez względu na jego wady, nikt nie mógł go nazwać tchórzem. Sama chęć zajęcia miejsca na pokładzie z pistoletem w ręce dowodziła, że nie można mu odmówić odwagi.

Ludzie kapitana Trompa stali wzdłuż relingu sterburty na śródkręciu, skuci jeden z drugim za kostki. Tromp zawołał do nich po holendersku, że przywróci im dumę, robiąc dziurę w głowie Anglika. Niektórzy krzyknęli na wiwat, ale większość zachowała milczenie, bo przecież kapitan doprowadził do ich nieszczęścia i mieli mu to za złe.

– Poci się jak dojrzały ser – zauważył doświadczony marynarz, Ralph Bigg, wskazując Holendra.

– Tak, rozmiękł jak pierogi z jabłkami w hiszpańskim burdelu! – zawołał inny, wywołując salwę śmiechu i grad obelg pod adresem Trompa.

– Ale spójrzcie na pana Petta – powiedział marynarz o nazwisku Bosely. – Na nim ani kropelki. Spokojny jak młyński staw.

– Bardziej – dodał inny. – Zimny jak szron na cycku czarownicy.

Obaj uczestnicy pojedynku mieli na sobie tylko obcisłe spodnie do kolan i koszule. Byli bosi i z gołymi głowami, podczas gdy większość ludzi na pokładzie nosiła kapelusze dla ochrony przed słońcem. Hal zdjął swój kapelusz z szerokim rondem i osuszył czoło chusteczką. Zbliżało się południe i robiło się gorąco. Nawet Judith zaczynała odczuwać skutki upału, choć urodziła się i wychowała pod afrykańskim słońcem, a Hal kazał rozpiąć dla niej markizę, żeby mogła wraz z dzieckiem przebywać w cieniu.

– Tromp się poci z gorąca, nie ze strachu – powiedział Hal, chociaż nie dałby sobie za to ręki uciąć. Holenderski kapitan zapewne się zastanawiał, dlaczego Pett, znacznie bieglejszy w interesach niż w walce, z taką pewnością siebie pozwolił mu na wybór broni i dlaczego teraz stał, oglądając brud pod paznokciami, jak gdyby nie miał żadnej pilniejszej sprawy do załatwienia.

– Jesteście gotowi, panowie?! – zawołał Duży Daniel, wisząc na wantach grotmasztu sześć stóp nad pokładem, blisko Petta i Trompa, ale z dala od linii ognia.

Obaj mężczyźni przytaknęli i na pokładzie powoli zapadła cisza. Zakłady zostały przyjęte, gwizdy i obelgi odpłynęły nad ocean jak uniesiony wiatrem dym prochu i scena była przygotowana.

– Nie zaczynajcie, dopóki nie powiem słowa „strzelać” – oznajmił Daniel. – Wtedy możecie strzelić raz, w dowolnej chwili. Pojedynek zostanie zakończony tylko wtedy, gdy jeden z panów odniesie poważną ranę i nie będzie w stanie oddać strzału albo gdy oba pistolety wypalą. Czy rozumiecie?

– Miejmy to z głowy – odparł kapitan Tromp.

Pett tylko pokiwał głową.

Hal odruchowo osłonił Judith własnym ciałem. Trzeba by wyjątkowo paskudnego strzału, oddanego może w chwili otrzymania rany, żeby trafić kogoś stojącego na pokładzie rufowym, on jednak wołał nie ryzykować.

Czas zdawał się rozciągać jak ocean. Ktoś głośno puścił wiatry, co wywołało falę

śmiechu i sprawiło, że Duży Daniel powstrzymał się z rozpoczęciem pojedynku. Obaj mężczyźni stali z wyciągniętymi przed siebie rękami i pistolet w dłoni Trompa zaczynał drżeć.

– Strzelać! – ryknął w końcu Duży Daniel i zapadła cisza. Ujrzeni błysk płomienia i smużkę dymu, po czym usłyszeli głośny huk pistoletu Trompa. Lewe ramię Petta zostało pchnięte do tyłu, choć stopy się nie poruszyły na pokładzie. Załoga zamruczała, widząc krew rozkwitającą szkarłatem na jego koszuli. Hal pomyślał, że oba pistolety wypaliły jednocześnie i że Pett chybił, ale po chwili zorientował się, że ten jeszcze nie strzelił, bo rękę wciąż miał wyciągniętą i trzymał pistolet z odciętym kurkiem i tłącym się lontem.

Pett prawie nie poczuł rany, z której krew spływała po boku. Nie poczuł, ponieważ rozkoszował się tą chwilą jak lord swoim najlepszym winem. Nigdy nie chybił z takiej odległości. Zawsze zabijał człowieka, którego miał zabić, i dlatego każdemu z nich kazał czekać, żeby mogli zobaczyć, jak to należy robić. Koncentrował uwagę wyłącznie na pistolecie i sylwetce Trompa, który stał z przerażoną miną – miną człowieka, który za późno zrozumiał, że dał się wystrychnąć na dudka i że zaraz poniesie konsekwencje. Pett nawet nie zauważył, że wszędzie zapadła cisza, nie tylko na pokładzie, ale również w jego głowie. Głosy milczały, co do jednego.

Nacisnął spust i dźwignia pociągnęła lont na panewkę. Nastąpił błysk i huk. Tromp się wzdrygnął, gdy kula rozorała ciało na lewym ramieniu.

– Jezu Chryste! – wybuchnął, szczerząc zęby w grymasie gniewu.

Pett wściekle spojrzał na swój pistolet, jakby ten go zdradził.

– Kordelasy byłyby znacznie lepsze – krzyknął ze złością marynarz zwany Logward, gdy spadło napięcie.

Hal był rad z wyniku pojedynku. Odetchnął przeciągle, z ulgą, zadowolony, że obaj mężczyźni przeżyli. Doskonale wiedział, że nawet draśnięcie może zabić, jeśli w ranę wda się gangrena, ale tym problemem zajmie się wtedy, kiedy będzie musiał, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Koniec! – oznajmił Duży Daniel. – Po wszystkim. – Obaj mężczyźni stali na swoich miejscach, mierząc się wzrokiem. Było jasne, że żaden nie został śmiertelnie raniony, chociaż trudno było stwierdzić, czy każdy z nich się cieszy, że żyje, czy raczej chciałby mieć więcej prochu i kulę, żeby spróbować jeszcze raz.

– Jest pan usatysfakcjonowany, panie Pett?! – zawołał Tromp, krzywiąc się z bólu w chwili, gdy zadał pytanie.

Pett oddał pistolet Dużemu Danielowi.

– Jestem usatysfakcjonowany, kapitanie Tromp – odparł. Jego głos i pozbawiona wyrazu twarz dramatycznie kontrastowały z burzą, która szalała mu w głowie.

– Aboli, idź do mojej kajuty po francuską brandy – polecił Hal.

– Świętujemy, kapitanie? – zapytał Will Stanley.

– To do przemycia ran, Stanley, ty tępaku – wtrącił się Ned Tyler.

– Mogę na nie naszczać, żeby zaoszczędzić brandy – zaproponował Aboli dość głośno, żeby go usłyszeli uczestnicy pojedynku. Jego przekonanie, że ludzki mocznik zapobiega infekcji ran, było dobrze znane wśród tych, którzy najdłużej z nim żeglowali, i niektórzy mieli nawet powody przyznać – przez zaciśnięte zęby i jeszcze mocniej zaciśnięty nos – że taka kuracja działa.

– Trzymaj swojego wielkiego czarnego węża w spodniach! – krzyknął Tyler. – Bo jak nie, to się założę, że pan Tromp będzie wolał zaryzykować pływanie z rekinami.

Załoga *Golden Bough* wybuchła śmiechem i Hal z zadowoleniem tego słuchał, ponieważ był to znak, że pojedynek spełnił swoją rolę. Nikt nie zginął, ale obaj mężczyźni krwawili, i kilku ludzi na pokładzie, między innymi John Lovell – sądząc po uśmiechu na jego twarzy – wygrało pieniądze, obstawiając taki właśnie wynik.

– Cieszę się, że już po wszystkim – powiedziała Judith niskim głosem i pokręciła głową. – Wy, mężczyźni, i ta wasza duma!

Hal błędnym wzrokiem po jej twarzy, napawając się widokiem jej oczu w kolorze miodu z długimi, podwiniętymi rzęsami, cery o barwie i blasku gumy arabskiej i wykroju pełnych ust.

– Może duma jest grzechem, jak twierdzą papiści, ale ja Petta za to nie potępiam – powiedział. – Wiem, co się czuje wtedy, gdy człowiek wszystko traci, jest traktowany jak zwierzę i dociera do krawędzi rozpacz. – Umilkł, wspominając dni i noce, gdy był skuty jak niewolnik na *Gull of Moray*, i późniejsze długie miesiące niewoli w Kolonii Przylądkowej. – Czasami, kochanie, duma jest wszystkim, co nam zostaje.

Odwrócił się i zszedł po drabinie z pokładu rufowego, żeby dołączyć do pana Petta przy grotmaszcie. Ten zdjął koszulę, żeby obejrzeć ranę w ramieniu.

– Tylko draśnięcie, kapitanie – oznajmił.

Hal pokiwał głową.

– Obaj mieliście szczęście. Muszę przyznać, że zrobił pan na mnie duże

wrażenie, pewnie trzymając pistolet i trafiając przeciwnika po odniesieniu rany. Nie mógłbym się spodziewać niczego więcej po moich ludziach, którzy przecież uczestniczyli w wielu walkach, podczas gdy pan nigdy nie widział działań wojennych.

– Mój ojciec walczył w bitwie pod Cheritonem w czterdziestym czwartym i rok później pod Naseby – rzekł Pett. Znajdujący się w pobliżu członkowie załogi zamruczeli, słysząc wzmiankę o tych krwawych bojach, bo wszyscy mieli przyjaciół albo bliskich, którzy zginęli w bratobójczych wojnach domowych. – Nauczył mnie strzelać, więc byłem rad, kiedy Holender wybrał pistolety. Obawiam się, że nie wytrzymałbym długo, gdyby się zdecydował na rapiery.

Hal się uśmiechnął.

– W takim razie wygląda na to, panie Pett, że szczęście pana nie opuszcza. – Spojrzał na Trompa, który pozwolił, żeby Duży Daniel obejrzał jego ranę. – Co więcej, mam francuską brandy na pańską ranę, środek zdecydowanie lepszy, jak pan z pewnością się zgodzi, niż siki Abolego.

– Nigdy nie próbowałem takiej kuracji, kapitanie Courtney – odparł z powagą Pett. – Może być zbawienna w skutkach.

– Dobrze. – Hal skinął głową. – A teraz, jeśli pan wybaczy, muszę zapędzić tych łotrów z powrotem do pracy. Zrywa się wiatr, panie Pett – dodał, patrząc na flagę łopoczącą na bezanie. – Kotwica w górę, panie Tyler. Panie Moone, panie Stanley! Proszę zabrać ten leniwy pomiot szatana na stanowiska i postawić żagle marszowe.

Po chwili *Golden Bough* stała się miejscem gorączkowej pracy. Marynarze wraz z *amadoda* wspięli się po wantach i przesuwali wzdłuż rei. Wiatr wydał płótna i mogło się zdawać, że statek zadrzał z podniecenia, jakby się nie mógł doczekać, kiedy znowu obróci dziób na południe i poczuje fale oceanu pędzące wzdłuż kadłuba.

Gdy Aboli łał dobrą francuską brandy na zakrwawioną ranę, pan Pett obserwował kapitana Courtneya i zastanawiał się, jaki plan ma dla niego Święty i kiedy go wezwie, żeby go zrealizował.

Co do kapitana Trompa, Pett nie mógłby powiedzieć, jak to się stało, że chybił z takiej odległości, ale wiedział, że Święty odegrał w tym jakąś rolę.

Obaj mężczyźni zostali oszczędzeni, podczas gdy Pett planował zabić obu. Nic takiego dotąd go nie spotkało. Wynioskował, że ten nadzwyczajny fenomen musi mieć jakieś znaczenie. Był pewien, że w odpowiednim czasie odkryje, co było przyczyną.

Od pojedynku minęły dwa dni i ani Pett, ani Tromp nie wyglądali na przejętych odniesionymi ranami. Po przecięciu wrzodu ich wzajemnej wrogości *Golden Bough*, niesiona rześkim wiatrem, żeglowała na południe i na okręcie panował dobry nastrój. Tromp wypatrzył Hala na pokładzie rufowym i uznał, że to doskonała chwila, żeby go zagadnąć.

– Mogę zamienić z panem słówko, kapitanie?

– Oczywiście – odparł Hal. Był panem statku, czuł ciepło słońca na plecach i wiatr na twarzy, i miał ukochaną kobietę u boku. Świat był dokładnie taki, jaki być powinien.

– Może pan pamięta, jak niedawno pytałem, czy pan pozwoli, żebym wraz z moją załogą dołączył do pańskiej. Oczywiście, miał pan inne zmartwienia... – Holender z drwiącym uśmiechem rzucił okiem w kierunku wysokiego chudzielca stojącego przy relingu na rufie, patrzącego na morze. – Czyż nie, panie Pett? – Po czym znów zwrócił się do Hala: – Miał pan czas rozważyć moją prośbę?

Hal się roześmiał.

– Nikt nie mógłby panu zarzucić piekielnego tupetu. Najpierw chciał pan nas zabić, a teraz chce pan z nami żeglować.

– Nigdy nie chciałem pana zabić – zaprotestował Tromp. – Po prostu chciałem zająć ten statek i zdobyć jedzenie.

Aboli podszedł i włączył się do rozmowy.

– Nie można go za to winić – skomentował, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Proszę mi pozwolić dołączyć do pańskiej załogi – kontynuował Tromp. – Jestem doświadczonym kapitanem, ale oczywiście ten statek należy do pana i widzę, że *mijnheer* Aboli jest pańskim zaufanym pierwszym oficerem. W takim razie niech pan mnie mianuje drugim oficerem. Znam te wody. Znam wybrzeże od Rogu Afryki na północy po Przylądek Dobrej Nadziei na południu. Żeglowałem na Wyspy Korzenne, więc indyjskie wody również nie są mi obce. Mam liczne kontakty handlowe, które rozwijałem przez lata, i z przyjemnością się nimi podzielę. Mam wielu przyjaciół, kapitanie.

– Nie wątpię, skoro jeszcze pan żyje po narobieniu sobie tylu wrogów – powiedział Hal.

Tromp spojrział na Courtneyę z nietypowym dla niego zadumanym, niemal poważnym wyrazem twarzy.

– Jest pan mężem przeznaczenia, kapitanie Courtney. – W jego głosie nie było śladu bez troski. – Każdy może zobaczyć, że nosi pan przeznaczenie jak piękną pelerynę. Służba pod pańskimi rozkazami byłaby dla nas zaszczytem.

Aboli i Ned Tyler, który stał przy sterze i słyszał każde słowo, spojrzeli na swojego kapitana. Holender konsekwentnie forsował swój pomysł. Nikt nie mógłby mu zarzucić, że źle mówi albo że przemawia w złej sprawie. Jak zareaguje kapitan?

Hal pograżył się w zadumie, rozważając słowa Trompa. To Judith przerwała milczenie.

– Czy nie mówiłeś, Henry, że brakuje ci ludzi?

– Mówiłem.

– W takim razie dlaczego nie przyjmiesz do załogi tych doświadczonych żeglarzy?

Tromp popatrzył na nią, wyraźnie zdumiony, że kobieta, której groził śmiercią, teraz staje po jego stronie.

– Jesteś wyjątkową istotą, moja droga – zwrócił się Hal do Judith, która przeniosła spojrzenie z niego na Holendra.

– Widziałam tyle śmierci... Jeśli jesteś w stanie ocalić życie tego człowieka i jego załogi, musisz to uczynić.

– Dziękuję, pani – powiedział Tromp.

Bez słowa skinęła głową, przyjmując wyrazy wdzięczności.

– Skąd mam wiedzieć, że przy pierwszej sposobności nie spróbuje pan zająć mojego okrętu? – zapytał Hal. – Wygląda mi pan na człowieka, który ma niewiele szacunku dla władzy. Dlaczego zatem chce pan mi służyć jak midszypmen?

Tromp uśmiechnął się tak, że jego niebieskie oczy się rozjaśniły.

– Zawdzięczam panu życie. Dwa razy, ponieważ mógł pan nakarmić mną rekiny w dniu naszego spotkania. Co więcej, jestem ambitnym człowiekiem. – Przenikliwie wpatrywał się w Hala. – Naprawdę jestem przekonany, że żeglowanie pod pańskimi rozkazami będzie moją największą szansą.

Hal przemyślał wszystko, co usłyszał. Prawdę mówiąc, nawet gdyby Tromp złamał słowo, pokonanie załogi *Golden Bough* i zajęcie okrętu byłoby dla Holendrów prawie niemożliwym przedsięwzięciem. Z drugiej strony, rzeczywiście brakowało mu ludzi i doświadczeni żeglarze byłiby mile widziani.

– Co pan sądzi, panie Pett? Czy mam pozwolić, żeby pan Tromp i jego ludzie dołączyli do mojej załogi?

Pett zrobił zaskoczoną minę.

– To nie moja sprawa, kapitanie – odparł i zmarszczył czoło. – Ale pańscy marynarze są przesądni, więc na pewno nie zaszkodzi mieć na statku szczęściarza.

– Szczęściarza, panie Pett? Jak to? – zapytał Hal.

– Owszem, szczęściarza – zapewnił go Pett. – Po pierwsze, trafił mnie z dwudziestu kroków, gdy staliśmy na kołyszącym się pokładzie. Po drugie, moja kula ledwie go drasnęła, a nie przywykłem chybiać w to, do czego celuję.

– To zaskakujące słowa, panie Pett... jak na człowieka interesu – zauważył Hal.

– Czy nie wspomniałem, że ojciec nauczył mnie używać broni palnej? Był surowym nauczycielem i dobrze mnie wyszkolił. Nie byłby zadowolony, widząc, że go zawiodłem.

– Rozumiem.

Hal spojrzał na Petta. Ten człowiek miał w sobie coś, co go niepokoiło. Wiedział, że nie jest osamotniony w tych odczuciach. Słyszał, jak członkowie załogi rozmawiali o dziwnym spokoju Petta podczas pojedynku; sam widział, że ledwie się wzdrygnął, gdy Tromp go postrzelił; czuł jego chłodną pewność siebie, z jaką celował w przeciwnika. Z drugiej strony Tromp zyskał wielką estymę dzięki odwadze, z jaką zmierzył się z przeciwnikiem, gdy stał po oddaniu strzału ze świadomością, że nijak nie może się bronić. A tymczasem chęć Petta, żeby grać na zwłokę, i wyraźna irytacja z powodu spudłowania bardziej zirytowały jego ludzi, niż zrobiły na nich wrażenie. Hal nie chciał, żeby ten człowiek przebywał na jego statku choćby sekundę dłużej, niż będzie to absolutnie konieczne. Wobec Holendra miał zupełnie inne odczucia.

– Zatem dobrze, panie Tromp, moja odpowiedź na pańskie pytanie brzmi „tak”. Przyjmę pana na drugiego oficera i będę wdzięczny, jeśli poda mi pan nazwiska wszystkich swoich ludzi i poinformuje mnie o posiadanych przez nich umiejętnościach.

Promienny uśmiech rozjaśnił twarz Holendra.

– Nie pożałuje pan swojej decyzji, kapitanie Courtney.

Hal też się uśmiechnął.

– Mam nadzieję, że tak będzie. – W jego słowach nie było jednak wesołości; mówił śmiertelnie poważnie. – Obdarzyłem pana zaufaniem. Ale proszę pamiętać, że jeśli kiedykolwiek pan je zdradzi, to klnę się na Boga, że gorzko pan tego pożałuje.

– Będę cię miał na oku, Holendrze – warknął Aboli.

– Dobrze, może wtedy nauczysz się paru rzeczy – zażartował Tromp.

Aboli szeroko otworzył oczy i niemal odjęło mu mowę na taką jawną beczelność.

– Licz się ze słowami, panie Tromp – przestrzegł Hal. – Jeden pojedynek w zupełności wystarczy. Nie chciałbym, żeby sprowokował pan następny.

– Tak jest, kapitanie – odparł Holender.

Hal odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że pan Tromp jest bardzo przydatny. Razem ślęczeli nad mapami, Holender dzielił się swoją wiedzą o wybrzeżu i ta wymiana doświadczeń mogła się w przyszłości okazać bezcenna.

Oczywiście było zbyt wcześnie, żeby powiadomić Trompa o Słoniowej Lagunie i ukrytych tam skarbach. Ale nie trzeba było mu mówić, że kierują się na południe, bo przecież wystarczył jeden rzut oka na słońce. Holender znał kilka bezpiecznych kotwicowisk pomiędzy Zanzibarem i Przylądkiem Dobrej Nadziei, gdzie angielska fregata mogła się zatrzymać w celu uzupełnienia zapasów słodkiej wody bez ryzyka, że zostanie zaatakowana przez omańskich wojowników czy flotylle piratów z Madagaskaru, polujących nawet na dobrze uzbrojone okręty.

Co do ludzi z *Delfta*, to pracowali ciężko, jeśli nie ciężiej niż ktokolwiek inny, i okazali się doświadczonymi żeglarzami albo „zaprawionymi majtkami”, jak z niechętnym szacunkiem zauważył Ned Tyler pewnego ranka, kiedy razem z Halem poddawali ich próbie: kazali im biegać po rejach grotmasztu, do krańca drzewca i z powrotem na dół, a potem od nowa, aż byli śliscy od potu i zgięci wpół łapczywie chwytali powietrze.

– Dadzą radę, panie Tyler – osądził Hal, zachowując satysfakcję dla siebie. – Czy nasi chłopcy ich zaakceptowali? To jest najważniejsze.

– Tak, chociaż oczywiście nie obywa się bez zwykłych docinków, bo przecież to serojady, ale jak pan wie, kapitanie, jest to dobrym znakiem.

Tyler starał się mówić lekkim tonem, Hal wyczuwał jednak, że coś przed nim tai.

– Coś cię trapi, Ned, przecież widzę. Powiesz mi, o co chodzi?

– Jestem pewien, że to nic takiego, kapitanie...

– Ja to osądzę. Mów.

Tyler westchnął ciężko, nabił ulubioną glinianą fajkę i przez chwilę pykał, żeby tytoń się rozżarzył. Hal, wiedząc, że ponaglanie siwego, ogorzałego sternika przyniesie odwrotne skutki, nie naciskał.

– Chodzi o pana Petta – odezwał się wreszcie Tyler. – Nie chcę okazywać braku

szacunku temu dżentelmenowi, ale się obawiam, że załoga za nim nie przepada. Naprawdę go nie lubią.

Hal został wychowany przez ojca w taki sposób, żeby zawsze się troszczył o swoich ludzi. „Chcesz, żeby się wspinali na wanty bramstengi w sztormowym wietrze i dokonywali abordażu na nieprzyjacielski statek, kiedy strzelają kartacze?”, mawiał Francis Courtney. „Zrobią to niechętnie, jeśli będą cię słuchać wyłącznie ze strachu. Ale jeśli będziesz ich dobrze traktować i zadbasz o ich potrzeby, nie okażą niechęci, ponieważ sami z siebie będą chcieli być ci posłuszni”.

Dlatego teraz Hal poważnie potraktował słowa Tylera.

– Czy jest coś w szczególności, czego nie lubią?

– Przede wszystkim uważają, że ma nie po kolei w głowie. Przy kolacji jest dość uprzejmy i trzeba mu oddać, że nawet umie przyzwoicie opowiadać. Ale wielu chłopców mówi, że gada do siebie, kiedy myśli, że nikt go nie słyszy, jakby rozmawiał z kimś, kogo tylko on widzi. Gada o Bogu, o aniołach i tak dalej.

– Nie ma niczego złego w okazywaniu głębokiej chrześcijańskiej wiary.

– Tak, kapitanie, to prawda. Tyle że u pana Petta chodzi o coś innego. Jest coś... – Tyler przez chwilę szukał odpowiedniego słowa. – Sam nie wiem – mruknął w końcu. – Po prostu jest nie taki jak trzeba. Dziwny, można by rzec.

Hal już otwierał usta, żeby się odezwać, ale Ned go uprzedził.

– Do tego ten pojedynek... Gdy pan Tromp go postrzelił, stał tak, jakby nie czuł bólu ani niczego innego. I jaką miał minę, kiedy celował w pana Trompa, zupełnie zimną, jakby się nie przejmował zastrzeleniem człowieka, jakby celował do szczura albo innego szkodnika. I kiedy nie udało mu się go zabić...

– ...był wyraźnie rozczarowany. Tak, też to widziałem – przyznał Hal. – I wiem, co masz na myśli, mówiąc, że załoga go nie lubi. Widziałem znaki, że ludziom coś doskwiera, ale do tej pory nie miałem pojęcia, o co chodzi. – Westchnął. – Naprawdę mam nadzieję uniknąć...

– W takim razie co będzie, kapitanie?

– Popłyniemy do Zanzibaru. Rządzą tam Omańczycy, ci sami ludzie, których statki z radością zatapiałiśmy na Morzu Czerwonym. Nie przypuszczam, żeby patrzyli życzliwym okiem na *Golden Bough*, jeśli zawinie do ich portu. Ale z drugiej strony...

Hal przez chwilę się zastanawiał.

– Ned – odezwał się w końcu – bądź łaskaw powiadomić pana Abolego, pana Trompa i pana Fishera, że chcę się z nimi zobaczyć, i oczywiście z tobą, w kapitańskiej

kajucie w południe.

Kiedy się zebrali – Judith też była obecna – Hal powiedział:

– Zwrócono moją uwagę na to, że pan Pett, z pewnością nieumyślnie, źle wpływa na morale załogi. Dlatego w Zanzibarze zejść z nim na ląd i odeskortuję go do tamtejszego konsula Jego Królewskiej Mości, żeby razem mogli obmyślić najszybszy sposób wyprawienia go do Anglii. Takie rozwiązanie wyjdzie na dobre również panu Pettowi i Kompanii Wschodnioindyjskiej, jeśli bowiem popłynie na północ do Suezu i stamtąd uda się łodem do Aleksandrii, skąd będzie mógł pożeglować do Londynu, podróż będzie znacznie krótsza, niż gdyby miał opłynąć Przylądek Dobrej Nadziei na pokładzie *Golden Bough*. Jak zapewne wnosicie z jego nieobecności, nie jest to propozycja, co do której będzie miał cokolwiek do powiedzenia. Poza tym jego zejście z okrętu położy kres animozjom między nim i panem Trompem.

– Nie czuję do niego animozji, zapewniam pana, kapitanie – zaznaczył Holender.

– A ja panu wierzę. Spełniliśmy nasz obowiązek, ratując pana Petta, zapewniając mu przyzwoitą kwaterę i regularne posiłki. Teraz powinniśmy zakończyć nasze zobowiązania, pomagając mu wrócić do kraju. Mam również pocztę, którą chciałbym wysłać do Wielkiej Brytanii. Wicehrabia Winterton ma prawo wiedzieć, co się stało z jego okrętem i z jego nieszczęsnym synem, bo jak się obawiam, mógł nie otrzymać wiadomości o śmierci potomka.

– Przybijemy *Golden Bough* do Zanzibaru? – zapytał Aboli. – Z pewnością jest tam wielu, którzy słyszeli o naszych wyczynach na Morzu Czerwonym. Co gorsza, niektórzy mogli być świadkami wydarzeń i rozpoznają okręt, który wyrządził im tyle złego.

– Zgadzam się. Dlatego zakotwiczymy co najmniej dzień żeglugi od miasta Zanzibar i popłyniemy tam na pokładzie *Delfta*. Może pan w tym celu objąć dowodzenie, panie Tromp. I zanim usłyszę, że pan też nie chce, żeby pański statek został rozpoznany, powiem, że są nikłe szanse, iż obecnie w Zanzibarze przebywa ktoś, kto widział *Delfta* na wodach Indii Wschodnich. Ponadto zmienimy nazwę statku. Uważam, że *Christina* w zupełności wystarczy. Wiem, że mimo wszystko czule wspomina pan to imię.

Mężczyźni się roześmiali, bo przecież tak miała na imię uwiedziona przez Trompa córka admirała, i tym bardziej polubili Holendra za to, że ochoczo im zawtórował.

– Przeklęta baba! – powiedział. – Myślałem, że zostawiłem ją na dobre w Batawii!

– Załoga jednakże będą ludzie ze *Golden Bough* – dodał Hal. – Będą mieli pana na oku, gdy zejdem na brzeg, a poza tym mogę ich potrzebować, jeśli nie zostaną przyjęty z otwartymi ramionami. Oczywiście będę się posługiwał przybranym nazwiskiem, ale konsul Grey od razu mnie pozna. Być może wciąż żywi do mnie urazę.

– Zdradziłeś go, Gundwane – zaznaczył Aboli. – Gdyby ktoś mnie to zrobił, nieprędko bym mu wybaczył.

– Nie zdradziłem go bezpośrednio – sprostował Hal. – Kupiłem list kaperski zezwalający mi na walkę z arabską flotą i pozwolę sobie dodać, że drogo za niego zapłaciłem. Oczywiście nigdy nie podniósłbym broni, żeby walczyć dla muzułmanów przeciwko chrześcijanom. Nie wierzę, że o tym nie wiedział, i jestem pewien, że nie został pociągnięty do odpowiedzialności za moje poczynania. A jeśli nawet, to konsul Grey zawsze będzie człowiekiem, który stawia pieniądze ponad lojalnością. Jeśli zajdzie taka potrzeba, uśmierzę jego ewentualne cierpienia złotem.

Aboli wciąż miał sceptyczną minę, ale zachował milczenie, nie chciał bowiem podważać autorytetu Hala w obecności członków załogi, bez względu na ich rangę czy zaufanie. Plan został przyjęty i oficerowie wyszli z kajuty, zostawiając Hala samego z Judith.

– Muszę cię o coś spytać – powiedziała.

– Oczywiście, skarbie. – Patrzył na nią, z zatroskaniem marszcząc brwi. – Dobrze się czujesz? – zapytał.

Uśmiechnęła się i uspokajająco położyła rękę na jego przedramieniu.

– Bardzo dobrze. Ale będę miała dziecko, co znaczy, że czasami jest mi niedobrze i czuję się zmęczona, i kiedy nadejdzie pora, będzie bardzo bolało.

– Nie! – krzyknął. – Nie pozwolę na to.

Judith łagodnie się zaśmiała.

– Są rzeczy, które nie podlegają twojej władzy, nawet na twoim statku. Poród jest trudny i bolesny. Dlatego się mówi o bólach porodowych. Szkoda, że nie ma na pokładzie kobiety, która by mi pomogła. Może kiedy nadejdzie czas, dobijemy do brzegu i znajdziemy akuszerkę.

– W Afryce to może być trudne, kochanie.

– Chyba że byłabym w domu. Miałabym do pomocy wszystkie kobiety z mojej rodziny i służące. Ale jakoś sobie poradzimy. Są pewne zioła i leki, które pomogą

złagodzić mdłości i uśmierzyć ból. Jestem pewna, że w Zanzibarze nie brakuje aptek, w których można je dostać.

– Oczywiście, rozumiem. – Hal pokiwał głową. – Po prostu powiedz, czego potrzebujesz, a ja to dla ciebie zdobędę.

– Nie, Henry, kochanie, nie zdobędziesz – powiedziała Judith głosem tak pełnym miłości, że ledwie zauważył, że jawnie mu się sprzeciwiła. – Masz inne, ważniejsze rzeczy do zrobienia, a poza tym jesteś mężczyzną, więc nie będziesz wiedział, co kupić, albo nie zrozumiesz, jeśli nawet ci powiem. W dodatku jesteś Anglikiem, więc nie możesz dyskutować o tych sprawach z aptekarzem, który zna wyłącznie arabski albo suahili.

– Możliwe, ale ty jesteś niegodziwą generał Nazet, która pokonała nie jedną, lecz dwie armie muzułmańskie. Każdy pobożny Zanzibarczyk cię nienawidzi.

– Nienawidzą mnie jako generała, to prawda. Uważają, że jestem potworem, wiedźmą, oblubienicą szejtana, która zstąpiła na ziemię w ludzkiej postaci. Kiedy będę chodzić po targu albo wstąpię do chłodnej, mrocznej apteki, szukając leków na kobiece dolegliwości, zobaczą godną szacunku, uprzejmą, skromną młodą kobietę z włosami pod welonem, zajętą zwykłymi sprawami. Kto, patrząc na nią, pomyśli, że to generał Nazet?

Hal uśmiechnął się cierpko.

– Dobrze. Umiem poznać, kiedy zostałem pokonany. W starciu przeciwko tobie mam szansę nie większe niż tamci arabscy generałowie. Udamy się razem, ty i ja, do Zanzibaru. I miejmy nadzieję, że również razem wrócimy.

Delft z nazwą *Christina*, byle jak wymalowaną na rufie, o świcie wszedł do portu w Zanzibarze. Szalupa przewiozła na brzeg Hala, Judith i Abolego – pan Pett dał do zrozumienia, że woli poczekać na pokładzie statku, dopóki nie zostanie umówione spotkanie z konsulem Greyem. Judith z zadowoleniem zobaczyła, że w jednym ze starych bielonych budynków na nabrzeżu przed murami fortecy mieści się apteka.

– To ma sens – skomentował Hal. – Z pewnością robi znakomite interesy z nerwowymi podróżnymi szukającymi lekarstwa na chorobę morską i marynarzami, którzy po prostu potrzebują leku na francę.

Nie cierpiąc na żadną z tych dolegliwości, nie widział potrzeby, żeby wchodzić. Czekał na zewnątrz, gdy Judith weszła, żeby poszperać wśród worków ziół, fiolek z miksturami i różnorodnych pigułek i proszków, które czcigodny właściciel o skórze tak suchej, brązowej i przejrzystej jak starożytny pergamin trzymał na półkach sięgających niemal sufitu i ciągnących się przez całą szerokość jednej ściany. Stały tam rzędy starannie opisanych słoików i butelek, a także setki ziołowych wyciągów: herbata z korzenia sasafrasu na oczyszczenie krwi, bieluń dziedzierzawa na reumatyzm, herbata z liści kasztana na astmę, herbata z mięty i krowiego nawozu na suchoty i wiele, wiele innych.

Judith wyjaśniła, że jest Egipcjanką należącą do Kościoła koptyjskiego i z mężem, angielskim kupcem, są w drodze do nowego życia w Indiach. Wspomniała też, że szukają kwatery na kilka nocy, dopóki nie przybędzie statek, który ma ich zabrać na następny etap podróży. Aptekarz wydawał się zainteresowany, więc powiedziała, że jej mąż z przyjemnością dobrze zapłaci za odpowiednie lokum.

Wiedział, że Judith ma fundusze, ponieważ już zamówiła znaczną ilość leków, naparów i mikstur uśmierzających, a także kosmetyków. Znalazłszy sklep, który okazał się istną skarbnicą potrzebnych jej rzeczy, zdecydowała zaopatrzyć się w to, co zapewni jej trochę wygody podczas długiej podróży.

– Mam kilka pokoi, które mógłbym wam wynająć. Są bardzo skromne i z pewnością znacznie gorsze od tych, do jakich jesteście przyzwyczajeni. Mogę je wam zaproponować za bardzo skromną zapłatę.

– Czy mogłabym je obejrzeć? – zapytała.

– Oczywiście, oczywiście... ale proszę mi wybaczyć, za chwilę wrócę.

Aptekarz zniknął i po chwili Judith usłyszała dalekie odgłosy małżeńskiej

dysputy, gdy aptekarz próbował przekonać żonę, że powinni wyprowadzić się z domu i kilka dni spędzić u córki, która najwyraźniej mieszkała po sąsiedzku.

Wiedząc, że rozmowa może potrwać jakiś czas, Judith odłożyła na bok swoje zakupy, wybrała parę rzeczy, których, jak uznała, będzie potrzebować jutro albo pojutrze, po czym wyszła na zewnątrz i swoim najśłodszy tonem – Hal dawno temu się nauczył, że ten ton oznacza „to rozkaz” – zapytała go, czy któryś z jego ludzi mógłby uprzejmie zabrać całą resztę na *Delfta*.

Wróciła do środka i przeglądała kolejne worki z nasionami o żywych kolorach, ziołami i płatkami kwiatów, kiedy wrócił aptekarz.

– Proszę za mną – powiedział i poprowadził ją obok gniewnie skrzywionej starszej pani do niewielkiego mieszkania składającego się z trzech skromnie umeblowanych izb, z płaskim dachem ocienionym starym płótnem żeglarskim. Z dachu roztaczał się widok na nabrzeże i morze. Judith nawet dostrzegła *Delfta* – czy raczej *Christinę* – kołyszącego się na kotwicy. Wiedziała, że Hal będzie rad, mogąc mieć oko na statek. Zorientowała się, że żona aptekarza musi być pracowitą gospodynią, bo mieszkanie było nieskazitelnie czyste. Miało również tę zaletę, że z tarasu napływała świeża morską bryza, a z apteki na dole uderzające do głowy zapachy ziół.

– Możliwe, że jestem zainteresowana – powiedziała oględnie, wiedząc, że okazanie zbytniego zadowolenia będzie fatalne dla jej nadziei na uzyskanie rozsądnej ceny.

Aptekarz podał skandalicznie wygórowaną sumę, na co Judith zaproponowała nędzne grosze. Spędzili kilka przyjemnych minut na targowaniu się i w końcu, oboje zadowoleni, zgodzili się na zapłatę, którą oboje od samego początku uważali za rozsądną.

Hal wrócił z dwoma marynarzami niosącymi skrzynię zawierającą garderobę i – ponieważ dobrze wiedział, że Zanzibar jest miastem, po którym nie można chodzić bez broni – rapier oraz piękną parę pistoletów niegdyś należących do jego ojca. Kiedy skrzynia została dostarczona na miejsce i Judith ją wypakowywała, Hal najpierw uregulował rachunek za jej zakupy, a potem usiadł, żeby napisać list do konsula Greya, przepraszając za nieporozumienia, do których mogło dojść z powodu jego poczynań podczas niedawnej, ale na szczęście zakończonej wojny w Etiopii; wyraził nadzieję, że konsul nie doznał zbyt wielu przykrości wskutek rzeczonych nieporozumień. Poprosił o spotkanie, wyjaśniając, że podróżuje w towarzystwie pana

Williama Petta z Kompanii Wschodnioindyjskiej, który będzie bardzo wdzięczny za pomoc w znalezieniu sposobu na szybki powrót do Anglii. Na koniec dodał, że ma korespondencję, którą należy wysłać do ojczyzny ich obu.

Jestem pewien, że świadomość, iż jesteśmy zjednoczeni jako prawdziwi Anglicy, wierni naszemu królowi i krajowi, przeważy nad wszelkimi drobnymi nieporozumieniami, do jakich doszło między nami w przeszłości.

– zakończył. Nie wspomniał słowem o Judith. Zanzibar był miejscem, gdzie nie mogło długo pozostać w sekrecie. Robienie czegokolwiek, co mogłoby zasugerować, że w mieście przebywa generał Nazet we własnej osobie, nie byłoby rozsądne.

Hal przeczytał list i zdecydował, że znakomicie spełni swoje zadanie. Wysłał jednego z najbardziej zaufanych ludzi, żeby własnoręcznie dostarczył wiadomość. Później z Judith i Abolim, oraz dwoma żeglarzami w roli strażników, wybrali się na zwiedzanie miasta, hałaśliwych bazarów i zatłoczonych suków.

– Niech Allah was błogosławi! – pokrzykiwali młodzi chłopcy, próbując chwycić Hala albo Judith za ręce, żeby ich zaprowadzić do straganów swojej rodziny. Aboli próbował ich odstraszać gniewnymi minami, lecz bez większego powodzenia.

Mijali stragany oferujące na sprzedaż kość słoniową i gumę arabską, substancję cenioną ze względu na słodycz, a także właściwości klejące. Były tam kosze pełne korzeni, bele połyskujących jedwabi i rulony dywanów z Maskatu, które sprzedawcy rozwijali dla Judith, wychwalając kunszt tkaczy. Nie brakowało również niewolników: mężczyzn, kobiet, chłopców i dziewcząt skutych w żalosnych szeregach, pilnowanych przez zbirów uzbrojonych w kordy czy pałki. Handlarze niewolników zachwalali swój ludzki towar, wskazując silne ramiona mężczyzn, biusty i zwinne ręce kobiet, czasami nawet części intymne dziewcząt, co tak zdegustowało Hala i innych, że odwracali głowy, żeby nie zachęcać handlarzy.

Gdzieniedzie ulice stawały się tak wąskie, że płynący nimi potok ludzi znacznie zwalniał, jak krew krzepnąca w żyłach miasta, i tam było chłodniej, ponieważ słońce rzadko znajdowało drogę, żeby dotrzeć na sam dół. Ci, którzy mieszkali na najwyższych piętrach, niemal mogliby dotknąć wyciągniętą ręką budynku stojącego naprzeciwko, a nad głowami hałasowały wrony i szpaki.

W jednym zwężeniu, gdzie minęli ulicznego sprzedawcę pieczonych ośmiornic,

kalmarów i ostryg, owoców morza doprawionych aromatycznymi przyprawami, na starej skrzynce stał ślepiec potępiający niegodziwość tych, którzy odwrócili się plecami do Jezusa, żeby podążyć za fałszywym bogiem i jego prorokiem Mahometem.

– Doczekacie końca świata! – krzyczał. Jego ślepe oko przywidło Halowi na myśl białawy miąższ owoców liczi, które wcześniej próbował im sprzedać jakiś chłopiec. – Spotkają was męczarnie i zostaniecie strąceni w wieczną otchłań, bo zdradziliście Tego, który nas stworzył na swoje podobieństwo!

Mijało go wielu muzułmanów, ale żaden nie zwracał na niego uwagi. Ślepiec z kolei nie zdradzał lęku o swoje życie, mimo że wyrażał się niepochlebnie o wierze tych, którzy władali Zanzibarem.

– Jest jak ibis białowąsy – zauważył Aboli. – Tyle gada, że się do niego przyzwyczaili. Po jakimś czasie przestają go słyszeć.

– Ta wyspa jest nadzwyczajna – powiedział Hal, chłonąc wzrokiem potok przepływających twarzy. Były czarne, białe, brązowe i żółte, i we wszystkich pośrednich odcieniach. Oczy miały kształt migdałów, były okrągłe i skośne, a nosy płaskie, haczykowane i garbate; włosy – wełniste albo jedwabiste, czarne lub złote. Istny tygiel narodów, w którym krew Europejczyków, Bantu i Arabów zmieszała się z krwią przybyszów z wielu innych krajów, wyrzuconych na te brzegi przez zachodnią część Oceanu Indyjskiego.

– Kiedy mój ojciec w imieniu naszego byłego cesarza, ojca Ijasu, wyruszył na czele poselstwa do Wenecji, przywykłam do widoku ludzi różnych nacji, tłumnie tłoczących się na *piazzach* albo pływających po kanałach. Muszę przyznać, że tamto było niczym w porównaniu z tym, co tutaj widzę. – Judith parsknęła gorzkim, ironicznym śmiechem. – Ale przecież Wenecja leży w Europie, a Zanzibar w Afryce. To gorętszy, dzikszy, bardziej brutalny kontynent.

Wzięła Hala pod rękę i pochyliła się ku niemu.

– Może powinnam zabrać zbroję – zażartowała i Hal sobie przypomniał, jak pięknie wyglądała w wypolerowanej kolczudze pod białą tuniką, gdy siedziała na karym arabskim ogierze w złotej zbroi końskiej, z pękiem strusich piór na głowie. Kiedy po raz pierwszy ujrzał Judith we wspaniałym bojowym rynsztunku, wziął ją za mężczyznę. Znał ją tylko pod imieniem generał Nazet i nigdy nie przyszło mu na myśl, że słynny wojownik i dowódca może być kobietą. Patrząc na nią teraz, gdy szła obok niego, i znając każdy cal jej idealnie kobiecego ciała, zachodził w głowę, jak mógł dać się tak zwieść.

– Będziesz musiał trzymać się blisko mnie, kapitanie Courtney – powiedziała. Jej oddech przy uchu sprawiał, że poczuł mrowienie w łądźwiach. Najchętniej zabrałby ją od razu do wynajętej kwatery i czekającego na nich miękkiego łóżka.

– Nie ma obawy, kochanie – odparł. – Przysięgam, że będę cię chronić. Ze mną jesteś całkowicie bezpieczna.

Ze skromnym uśmiechem pocałowała go w policzek, choć jednocześnie jej wzrok śmigał we wszystkie strony, gdy chłonęła otaczające ich widoki. Hala wyszczerzył zęby w uśmiechu, urzeczony tym, że ogląda Zanzibar jej oczami, jakby widział to miasto po raz pierwszy.

Nagły wybuch szyderstw i krzyków przerwał jego myśli. Tuż przed nimi tłum zebrał się wokół podestu handlarza niewolników. Handlarz, Portugalczyk w zardzewiałym kirysie, trzymał linę, na której końcu czarny chłopak miotał się i walczył niczym makrela na haczyku.

Przy wtórze wrzaskliwego śmiechu handlarz odchylił się do tyłu i szarpnął, więc chłopak padł jak długi na pylistą ziemię. Na targu byli Arabowie w pięknie haftowanych szatach i zawojach, cyniczni portugalscy kupcy, kapitanowie statków, agenci handlowi, rzemieślnicy szukający taniej siły roboczej i kwatermistrzowie wypatrujący niewolników, którzy już pracowali na pokładzie statków handlowych. Byli tam też przekupnie, przyciągnięci od swoich straganów przez zamieszanie.

Handlarz kopnął chłopaka w żebra wyraźnie zarysowane pod skórą, ale ten nawet nie krzyknął. Chwycił nogę Portugalczyka, otoczył ją chudymi rękami i trzymał z całych sił, których nie mógł mieć zbyt wiele, skoro tylko nieliczni składali ofertę kupna takiego dzikusa.

W pobliżu inni niewolnicy, trzech Afrykanów i Europejczyk, stali skuleni, bojąc się gniewu właściciela i wysokiego uzbrojonego strażnika, który trzymał wiążącą ich linę.

Męskie i kobiece głosy zlały się w kakofonię chrapliwych okrzyków i przeraźliwych pisków, gdyż wszyscy wyrażali swoje zdanie na temat tego, co się działo. Handlarz wyciągnął pistolet, złapał za długą lufę i zaczął ręką okładać chłopaka. Ten tymczasem wbił zęby w miękkie ciało gołej łydki swojego oprawcy, tak że mężczyzna ryknął z bólu.

– Dość! Zostaw go! – zawołała Judith po arabsku, przepychając się na czoło zbiegowiska, strząsnąwszy z ramion ręce Hala i Abolego, którzy próbowali ją zatrzymać.

– Co ci do tego? – zapytał Portugalczyk.

Hal się skrzywił. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, było ściąganie na siebie uwagi.

– Daj spokój – warknął na Judith, pociągając ją za ramię.

Nie ustąpiła.

– To, że nie lubię, gdy moi niewolnicy doznają uszczerbku, jeszcze zanim ich kupię.

– Chcesz kupić tego pędraka? – zapytał z zaskoczeniem handlarz.

Skinęła głową.

– Ale nie zapłacę więcej niż pół srebrnej rupii.

Zaskoczony chłopak uniósł głowę. Hal dopiero teraz mógł mu się dobrze przyjrzeć. Miał nie więcej niż dwanaście lat. Pod kurzem i brudem jego skóra miała ten sam odcień co karnacja Judith, ciemne złoto świeżej gumy arabskiej.

– Stoi! – krzyknął w pośpiechu Portugalczyk. – Sprzedany tej pięknej pani z dobrym okiem do handlu! – Dla potwierdzenia sprzedaży lufą pistoletu uderzył w drewnianą platformę, na której wystawiał swój towar.

Hal z rezygnacją wzruszył ramionami, wysupłał z sakiewki drobną monetę i rzucił ją handlarzowi, a ten postawił obutą stopę na grzbiecie chłopca i porządnie go popchnął. Chłopak śmignął jak zając, przemknął pod rozpostartymi rękami Judith i rzucił się do ucieczki.

Aboli wyciągnął jednak czarne ramię i złapał go za kark. Kiedy go podniósł, chłopak dziko wierzgał nogami w powietrzu.

– A dokąd to się wybierasz? – odezwał się całkiem uprzejmie Aboli. – Teraz należysz do mojej pani, Mossie.

– Mossie? – zdziwił się Hal.

– To znaczy wróbel. Sądzę, że to dla niego idealne imię – wyjaśniła mu Judith z uśmiechem. – Ale nie sądzą, mój Mossie, żebyś wybierał się bardzo daleko, prawda?

Chłopiec przestał wymachiwać chudymi jak patyki nogami i żałośnie zwiślał trzymany wielką dłonią Abolego. Nagle z wyraźnym wysiłkiem podjął próbę oporu.

– Nie będę dobrym niewolnikiem! – Gniewnie spojrzał na Judith. – Poczekaj, a się przekonasz.

Hal uznał, że pora wziąć udział w negocjacjach. Przysiadł na piętach, więc jego oczy znalazły się na wysokości oczu chłopaka.

– Na moim okręcie nie ma niewolników, a właśnie tam trafisz, na mój okręt.

Dlatego jeśli uprzesz się być niewolnikiem, będę musiał cię wyrzucić za burtę rekinom na pożarcie. Czy tego chcesz, Mossie?

Chłopiec wbił w niego gniewne, ponure spojrzenie, ale zaraz potem lży załśniły mu w oczach na znak, że wcale tego nie chce. Hal mrugnął do Judith, a ona zrozumiała, że prosi ją o wsparcie.

– Mossie, zapłacę ci miedziaka za każdy miesiąc pracy jako mojego strażnika na pokładzie okrętu i obiecuję, że nie będzie żadnych rekinów.

Chłopak poparzył na nią z nagle rozbudzonym zainteresowaniem.

Hal poczuł, że tkwiący w nim demon podżega go do jeszcze większej zabawy, więc znowu się wtrącił:

– Ja zapłacę ci dwa miedziaki za miesiąc.

Mossie ledwie zerknął w jego kierunku.

– Nie. – Pokręcił głową.

– Dlaczego nie? – zaciekawiał się Hal.

– Bo ona mówi w moim języku znacznie lepiej niż ty, a poza tym... – Urwał i z zakłopotaniem odwrócił wzrok.

– Poza tym? – zapytał Hal.

Mossie opuścił głowę i przyglądał się swoim brudnym bosym stopom. Jego głos opadł do szeptu.

– Ona ładniej pachnie i wygląda znacznie ładniej niż ty.

W drodze do wynajętej kwatery Judith nakłoniła Mossiego, żeby opowiedział o sobie. Syn rybaka, urodził się w wiosce w pobliżu Baraawe na południowo-wschodnim wybrzeżu Somalii. Został uprowadzony podczas napaści arabskich handlarzy niewolników na wioskę, a następnie sprzedany najpierw jednemu, potem drugiemu portugalskiemu handlarzowi w Zanzibarze; obaj nabywcy żałowali swojej decyzji. Wyglądało na to, że przedstawienie, jakiego byli świadkiem Hal, Judith i Aboli, nie było pierwszym tego rodzaju. Jeśli chodzi o pozytywne strony, Mossiego wleczono po całym mieście – na końcu liny albo łańcucha – na tyle długo i często, że poznał je tak, jakby się w nim urodził.

– Będę twoim przewodnikiem i zaprowadzę cię tam, gdzie zechcesz! – zaproponował z dumą.

– To bardzo miła propozycja – odparł Hal.

– Nie ciebie! – sprostował Mossie. – Chodziło mi o *mem*. – Był to skrót od *memsahib*, wielce zaszczytnego tytułu, którym nagroził Judith.

Chłopak trajkotał z zadowoleniem i bez przeszkód, aż doszli do apteki, przed którą stał marynarz wysłany wcześniej przez Hala z listem do konsula Greya. Towarzyszył mu pan Pett. Najwyraźniej czekali od dłuższego czasu.

– Zdaje się, że dopisało nam szczęście, kapitanie – odezwał się Pett. – Konsul z radością nas przyjmie. Co więcej, zaprosił nas na lunch.

– Dzisiaj? – Hal był zdumiony prędkością reakcji konsula. – W takim razie lepiej się pośpieszmy. Aboli, jeśli zaopiekujesz się generał Nazet i jej nowym niewolnikiem, ja pójdę z panem Pettem na spotkanie z konsulem. Kto wie, może jednak nie będziemy potrzebować kwatery. Być może przy odrobinie szczęścia wrócimy na *Delfta* dzisiaj wieczorem i złapiemy poranny odpływ.

Kiedy Grey dowiedział się o obecności Courtneya w Zanzibarze, natychmiast przystąpił do działania z prędkością zaskakującą u osoby tak korpulentnej budowy. Miesiące pecha i względnego ubóstwa sprawiły, że musiał zredukować liczbę służących. Wciąż jednak miał kucharza, a na ścianach jego rezydencji wisiało kilka obrazów i perskich kobierców, które mógł zastawić, chociaż przekonywał właściciela lombardu – człowieka coraz bardziej przyzwyczajającego się do wizyt zażywnego Anglika – że odzyskanie wszystkich rzeczy jest kwestią kilku dni.

– Mój los się odmieni, panie, wspomnisz moje słowa.

Z gotówką w sakiewce Grey mógł ponownie wynająć, przynajmniej na jakiś czas, część personelu, który wcześniej był zmuszony odprawić, i namówić służących, żeby zwerbowali do pomocy członków rodziny i przyjaciół, tak by dom sprawiał wrażenie siedziby zamożnego człowieka. Wysłał kucharza na rynek z poleceniem, że ma kupić najlepsze produkty i dania oferowane przez kramy i ulicznych handlarzy. W rezultacie, kiedy Hal Courtney i towarzyszący mu pan Pett przybyli na lunch, zostali podjęci prawdziwą ucztą. Był pilaw z jagnięciny z ziemniakami, cebulą, korzeniami, mleczkiem kokosowym i ryżem; steki z rekina grillowane na otwartym ogniu, z pieprzem i innymi przyprawami; danie zwane *pweza wa nazi*, czyli ośmiornica gotowana w mleczku kokosowym, curry, cynamonie, kardamonie, czosnku i soku z limonki; chleb z orzechami laskowymi, jajami i wanilią.

Grey jadł jak wilk, ale Hal z zainteresowaniem zauważył, że Pett jest znacznie bardziej powściągliwy, jeśli chodzi o konsumpcję. Ten kontrast wymownie świadczył o ich temperamentach. Konsul sprawiał wrażenie odprężonego i pewnego siebie aż do przesady. Kiedy powiedział Halowi, że nie żywi do niego urazy za jego działania na północy, Courtney przyjął to nieprawdopodobne zapewnienie bez mrugnięcia okiem.

W trakcie rozmowy Grey zdołał się dowiedzieć, że Hal zatrzymał się nad apteką na nabrzeżu. Nie padł dokładny adres, ale było mało prawdopodobne, że wiele tego rodzaju przybytków będzie odpowiadać podanemu opisowi. Konsul dowiedział się również, że Hal nie wszedł do portu na pokładzie *Golden Bough* i że zamierza wyruszyć nazajutrz krótko po wschodzie słońca, żeby wykorzystać poranny odpływ.

Courtney opuścił dom konsula po ciepłej wymianie najlepszych życzeń z gospodarzem i po mniej miłym, ale jak najbardziej uprzejmym pożegnaniu z Pettem, którego zostawił z korespondencją do Londynu w towarzystwie Greya.

Gdy tylko bramy domu zamknęły się za kapitanem, konsul przekazał listy

służącemu wraz z szeptanymi instrukcjami, że ma je odłożyć do późniejszego przejrzenia. Nieskazitelną uprzejmością maskował wewnętrzne wrzenie, jakie wywołały w nim pewność siebie i bezczelność Courtneya. Kapitan śmiał wpłynąć do Zanzibaru jakby nigdy nic, nie zapytawszy o pozwolenie, i beztrąsko założył, że może wykorzystać urząd człowieka, którego swoim niewiarygodnie nieszczęśliwym oszustwem naraził na poważne kłopoty. Na domiar złego zostawił mu na głowie tego uciążliwego Petta, człowieka nudnego i pozbawionego poczucia humoru jak nikt inny, kogo miał pecha poznać, co tylko dołało oliwy do ognia.

A jednak musiał grać swoją rolę, bo przedstawienie jeszcze się nie skończyło. Dlatego po raz ostatni zgrzytnął zębami, zmusił się do uśmiechu, udając zadowolenie, po czym klasnął i kazał przynieść więcej kawy dla dystyngowanego gościa.

– Zapewniam, panie Pett, że z wielką przyjemnością oderwę się od tutejszych codziennych trosk i znów zacznę działać jako konsul Jego Królewskiej Mości. Powiedz mi więc, panie, jak mogę ci pomóc. Ze zdawkowych słów kapitana Courtneya wnoszę, że pańska historia warta jest wysłuchania.

Pett zignorował kawę i milczał, zbierając myśli przed udzieleniem odpowiedzi.

– Przybyłem tu trasą, której raczej sobie nie wyobrażałem, kiedy wyruszyłem z Bombaju jako pasażer na pokładzie *Diuka of Cumberland*.

– A tak, *Diuk of Cumberland* niejedną raz zawijał do Zanzibaru w drodze do Indii albo z powrotem do Anglii – zauważył Grey. Wyciągnął pulchną rękę ku pełnej tureckich słodkości srebrnej tacy, która leżała na stole obok filiżanek z kawą. Sięgnął po mały widelczyk, nadział na niego dwie lepkie różowe bryłki i wepchnął je do ust. – Proszę mi przypomnieć nazwisko kapitana – poprosił z ustami pełnymi szarawego różu. – Giddings... Gadding... Coś takiego, jeśli dobrze pamiętam.

– Goddings.

– Tak, oczywiście! Jowialny jegomość, choć raczej skłonny do zbyt wielkiego zadowolenia z siebie. Pod tym względem wielce podobny do młodego Courtneya. Jak się miewa pan Goddings?

– Utonął, podobnie jak jego statek. Kilka tygodni po wyjściu z Bombaju na pokładzie wybuchł pożar. *Diuk of Cumberland* przewoził ładunek saletry. Połączenie okazało się zgubne w skutkach i statek zatonął wraz z całą załogą. Tylko ja ocalałem.

– Wielkie nieba! To straszne dla tych ludzi. I jakże fortunne dla pana.

– Rzuciłem się z płonącego statku do oceanu i liczyłem na ocalenie przez opatrność boską.

– Allah w istocie jest wszechpotężny i wszechmiłosierny – mruknął Grey.

– Nie o tym bogu mówiłem – zaznaczył Pett z zimnym spokojem, co sprawiło, że konsul po raz pierwszy postawił pod znakiem zapytania swoje pierwsze wrażenie dotyczące natury tego człowieka. – W każdym razie ocalałem – kontynuował Pett. – Uratował mnie holenderski statek, choć zaraz po tym dobroczynnym akcie nastąpił akt okrucieństwa. Otóż kapitan statku, Tromp, kazał mnie zamknąć w brudnej zarobaczonej celi.

– Dlaczego to zrobił?

– Twierdził, że czyni to dla mojego dobra. Załoga przymierała głodem. Powiedział, że się boi, iż jego ludzie, nie czując więzi ze mną jako cudzoziemcem, mogą się dopuścić kanibalizmu.

– Wygląda jednak na to, że nie przypadł im pan do smaku – skomentował Grey z chichotem, na co Pett ostentacyjnie nie raczył zareagować nawet cieniem uśmiechu.

– Z więzienia wyzwolił mnie kapitan Courtney, który był również łaskaw zezwolić mi na obronę honoru przez pojedynek z Trompem.

– Najwyraźniej z tego też pan wyszedł bez szwanku – zauważył konsul. – Zdaje się, panie Pett, że ma pan dar wychodzenia obronną ręką z najgorszych opałów.

– Wolę myśleć, że jestem pod dobrą opieką. Tak czy siak, chciałbym powrócić do Anglii. Z powodów, które jak mniemam, są oczywiste, w chwili obecnej nie posiadam żadnych funduszy. Mam tylko to, co noszę na grzbiecie. Ale po przybyciu do Londynu natychmiast odbiorę pięćset gwinei, należnych mi za usługi wyświadczone pewnemu znakomitemu dżentelmenowi.

– Pięćset gwinei... Proszę wybaczyć, naprawdę mam uwierzyć, że ktoś jest panu winien tak ogromną sumę? Czego pan dokonał, żeby tyle zarobić?

Pett skierował na Greya beznamiętne spojrzenie i odparł:

– Zabiłem kapitana Goddingsa.

Konsul skoczył na równe nogi ze zwinnością zdumiewającą u tak grubego człowieka.

– Precz! – warknął, wskazując drzwi. – Widzę, że Courtney cię na mnie nasłał z tą niewiarygodną, wyssaną z palca opowieścią o wybuchach, kanibalach i mordercach. Cóż, panie, wcale nie jestem rozbawiony. Racz natychmiast opuścić mój dom, zanim każę wyrzucić cię siłą.

Pett nawet nie drgnął, cień emocji nie odmienił wyrazu jego twarzy. Czekał, aż Grey skończy swoją tyradę, po czym bardzo spokojnie powiedział:

– Zapewniam pana, konsulu, że nie minąłem się z prawdą w ani jednym słowie. Mógłbym dowieść ich prawdziwości, w tym celu jednak musiałbym pana zabić, używając tego widelczyka, którym pan przed chwilą się posługiwał, albo srebrnej tacy, na której służący niedawno podał kawę i słodycze, a może gołych rąk, i zapewniam, że zrobiłbym to bez większego wysiłku.

Grey czuł, że krew odpływa mu z twarzy. Wypowiedź Petta cechował przerażająco zimny ton i powściągliwość. Ten człowiek po prostu rzeczowo oznajmił, że może i umie zabijać, i jego słowa brzmiały całkowicie przekonująco właśnie dlatego, że wcale nie próbował nikogo przekonywać.

– Mogę sprawić, że książę Jahan każe pana pojmać i osądzi za morderstwo! – krzyknął konsul i natychmiast zrozumiał, że jego deklaracji brakowało siły.

– Nie, panie Grey, nie możesz – rzekł na to Pett. – Nie popełniłem żadnego przestępstwa w Zanzibarze ani na ziemiach podlegających władzy księcia Jahana czy jego brata Wielkiego Mogoła. Nie znaleziono ciała ani broni. Jeśli spróbuje pan twierdzić, że się do czegoś przyznałem, wybuchnę śmiechem i oznajmię, że mówiłem żartem. Przecież sam pan powiedział, że zmyślam. I kto dowiedzie, że było inaczej? Dlatego nie traćmy czasu na puste pogroźki. Pozwoli pan, że powiem, iż miałem powód być szczerzy. Jestem przekonany, że mogę zarobić dość pieniędzy, żeby zapłacić za podróż do ojczyzny, a nawet wiele więcej, i że pan albo pańscy współpracownicy z radością mi je dostarczą. Dlatego niech mi pan powie, konsulu, co naprawdę pan myśli o kapitanie sir Henrym Courtneyu i jak bardzo chciałby pan się go pozbyć.

Poszło w miarę łatwo, pomyślał Pett, gdy patrzył, jak Grey pada na otomanę. Nic nie powiedział, wiedząc, że konsul już uzyskał wszystkie potrzebne informacje. Teraz pozostało mu tylko czekać, aż konsul przekona samego siebie do przyjęcia propozycji. I taki był plan Petta od chwili rozpoczęcia ich rozmowy.

Grey po raz kolejny sięgnął tłustą ręką do talerza tureckich smakołyków. Pett milczał. Konsul dłuższy czas jadł słodycze i zlizywał cukier puder z pulchnych ust, ale w końcu się odezwał:

– Skoro opowiedział mi pan swoją historię, proszę pozwolić, że powiem trochę o sobie...

Pett skinął ręką, jakby mówił: „Oczywiście”.

– Pochodzę z prostej rodziny i jestem z tego dumny. Urodziłem się i wychowałem w Hebden Bridge w West Riding w Yorkshire, z czego też jestem dumny, chociaż wiem, że może teraz nie wyglądam ani nie mówię jak osoba pochodząca z tego

hrabstwa. Moi rodzice mieli gospodę służącą podróżnym z jucznymi końmi na trasie z Halifaxu do Burnley. Czasami gościliśmy podróżnych z południa, nawet z Londynu, i nabiłem sobie do durnej młodej głowy, że chcę wyruszyć na poszukiwanie fortuny. Opuściłem dom, mając nie więcej niż kilka pensów w kieszeni... ach, tak, wciąż umiem mówić jak mieszkaniec Yorkshire! Niespełna dwa lata później zostałem pracownikiem Kompanii Wschodnioindyjskiej. Myśl, że ich syn jest urzędnikiem z nadzieją na awans, przekraczała najśmielsze wyobrażenia moich rodziców. Ale dla mnie był to tylko początek. Widzi pan, panie Pett, szczytę się swoją umiejętnością nawiązywania kontaktów z ludźmi ze wszystkich klas, od najwyższej do najniższej. Cieszę się osobistą znajomością, śmiem nawet rzec, że przyjaźnią, sułtanów i maharadzów. Przyjmowałem lordów i ich małżonki, jadałem kolacje z portugalskimi kupcami, których bogactwem byłby pan zdumiony. Przy jednej niezapomnianej okazji spotkałem się nawet z samym królem Anglii.

Wątpię, czy Jego Królewska Mość uznał to zdarzenie za niezapomniane, pomyślał Pett.

– Również na wyspie takiej jak Zanzibar – kontynuował Grey – nie można przetrwać, a co dopiero prosperować, bez umiejętności dogadywania się z typami spod ciemnej gwiazdy: rajfurami, rzeźmieszkami, rozbójnikami i handlarzami żywym towarem. Człowiek obyty w świecie z równą łatwością poradzi sobie w jakiejś ciemnej uliczce Kamiennego Miasta, robiąc interesy z ludźmi, którzy prędzej sprzedadzą rodzoną córkę, niż uczciwie przepracują bodaj jeden dzień, jak w kantorze szanowanego przedsiębiorcy...

– Różnica nie zawsze jest oczywista – zaznaczył Pett.

– Owszem, panie, dobrze powiedziane! – wykrzyknął konsul. – Ale chodzi mi o to, że każdy zawsze musi umieć zachować się w sposób odpowiedni do okoliczności. Nie osiągnąłbym dzisiejszej pozycji, panie, gdybym był bojaźliwy, łatwowierny albo w najmniejszym stopniu nieudolny.

– A jednak, za pańskim pozwoleniem, trudno nie zauważyć, iż obecnie pańska sytuacja jest mniej godna pozazdroszczenia, niż być może była w przeszłości. Gdy weszliśmy do tego salonu, rzuciły mi się w oczy puste miejsca sugerujące sprzedaż obrazów, które tam kiedyś wisiały. Pański dziedziniec jest bardzo przyjemny, ale rabaty wokół fontanny nie są odpowiednio pielęgnowane. Nie mogłem też nie spostrzec, że kilku służących, choć byli dość posłuszni, wydawało się niepewnych swoich ról i traktowało pana zupełnie inaczej niż ludzie zatrudnieni na stałe,

przywykli do spełniania życzeń swojego pana. Dlatego przyszło mi na myśl, że może pan ich tu ściągnął z okazji tego posiłku, chociaż być może kiedyś wchodzili w skład pańskiego personelu.

– Jest pan nadzwyczaj spostrzegawczy, panie Pett – rzekł cierpko Grey.

– To wymóg mojej profesji.

– W takim razie jest pan dobry w swoim fachu, bo ma pan rację. Podobnie jak pan, dobrze wiem, co to znaczy doznać niesprawiedliwego i krzywdzącego traktowania. Odniosłem się z powagą do słów kapitana Courtneya. Wierzyłem, że jest dżentelmenem, za jakiego się podaje.

– Rozumiem, że podstępem uzyskał od pana informacje.

– Otóż to. Przyszedł tutaj, twierdząc, że jest moim przyjacielem, a jednak zabrał statek, żeby walczyć przeciwko Jedyńemu Prawdziwemu Bogu, i ludzi, których zaprzysiął do udzielenia mu wsparcia.

Pett zacisnął zęby i pozwolił, żeby bluźnierstwo uszło konsulowi bezkarnie, przynajmniej na razie. Głosy w jego głowie wołały o zemstę na tym nikczemnym odstępcy, który się wyrzekł Boga i Chrystusa na rzecz pogańskiego bożka. Ale Pett miał zadanie do wykonania i jego realizacja wymagała współpracy konsula, dlatego był zmuszony zachować milczenie i maskę opanowania, mimo że z powodu wrzasku Świętego ledwie słyszał głos konsula.

– Przypuszczam, że nie brakowało takich, którzy niesłusznie obwinili pana za szkody, jakie Courtney wyrządził ich sprawie – powiedział Pett.

– Właśnie! Drzwi zostały przede mną zamknięte, drzwi, które kiedyś pozwalały mi na dostęp do najwyższych, najświetniejszych warstw społeczeństwa. Moja fortuna, jak pan wnikliwie zauważył, srodze ucierpiała. Jestem teraz tak nisko, jak kiedyś byłem wysoko. A Courtney, po tym, jak mnie potraktował, miał czelność pokazać tu swoją twarz. Gdyby przyszedł do mnie ze szczerymi przeprosinami, pragnąc odbudować mosty, wynagrodzić mi lekceważenie, z jakim mnie potraktował... cóż, jestem rozsądnym człowiekiem i może dałbym mu drugą szansę. Ale okazać ledwie cień skruchy i rzucić zdawkowe przeprosiny? Na Boga, panie, trzeba być bez skrupułów!

– Składam to na karb młodości. Courtney po prostu nie rozumiał powagi zła, jakie panu wyrządził. Wciąż czasami zachowuje się tak, jakby prowadził grę i wierzył, że dzięki urokowi osobistemu i dobroduszości wykaraska się z każdych tarapatów. Wyraźnie widziałem, że sam kładzie głowę pod topór, ale zachowałem swoje zdanie

dla siebie.

– Tylko dlatego, że chciał pan być katem.

– Jestem pewien, panie Grey, że rozumie pan potrzebę zarabiania na życie.

– Ależ tak. Jest ona tym większa, że na Zanzibarze są inni, którzy czują się równie, jeśli nie bardziej niż ja, poszkodowani przez Henry’ego Courtneya. Naprawdę byliby niezmiernie zadowoleni, gdybym mógł ich od niego uwolnić, i szczerzy dla każdego, kto pomoże mi tego dokonać.

– W takim razie z przyjemnością służę pomocą. W tym przedsięwzięciu jest jeszcze jeden element, nad którym warto się zastanowić. Courtney nie jest sam na Zanzibarze. Towarzyszy mu jego kobieta, brzemienna.

Grey szeroko otworzył oczy, jakby właśnie zobaczył talerz wyjątkowo apetycznego jedzenia.

– Jest tutaj? Proszę mi powiedzieć, czy plotki o niej są prawdą? Czy Courtney naprawdę odszedł z generała Nazet, niezrównaną wojowniczką, która pokonała potężnego omańskiego generała El Granga i posadziła na tronie tego gówniarza Ijasu?

– Poruszył upierścienionymi palcami. – Powinienem rzec, Jego Wielce Chrześcijańską Wysokość, Króla Królów, Władcę Galli i Amhary, Obrońcę Wiary Chrystusowej i tak dalej, i tak dalej. Courtney wiezie do domu piękną pamiątkę z Etiopii, lśniąca czarna perłę, która wywoła poruszenie od najelegantszych salonów Westminsteru po najpodlejsze tawerny Southwark.

– Tak, to rzeczywiście generał Judith Nazet i wiem, gdzie można ją znaleźć. Może teraz powinniśmy przedyskutować, jak należy postąpić. Oczywiście potrzebuję okazałej sakiewki i będę miał różne inne wymagania. *Diuk of Cumberland* poszedł na dno, zabierając ze sobą wszystkie narzędzia mojego rzemiosła. Sugeruję również, że znacznie łatwiej będzie rozprawić się z Courtneyem i Nazet, gdy nie będą razem. Zaaranżowanie rozstania będzie wymagało podstępu. Oczywiście wysłucham pańskiej rady w tej konkretnej sprawie.

Grey się uśmiechnął.

– Wiem, co może rozdzielić nasze dwie zdradzieckie papużki nierozłączki. To coś, na czym obojgu im zależy, coś, w związku z czym złożyli solenne przysięgi i o co oboje walczyli. Na pewno nie chce pan się napić *bhang thandai*? To chłodzący napar spożywany przez Hindusów. Smak jest przyjemnie słodki, ale złamany odrobiną pieprzu, korzeni i *bhangu*, mieszaniny liści i pączków tego, co mieszkańcy Lewantu zwą haszyszem i co rozkosznie odpręża. Mamy wiele do przemyślenia i uważam, że

ten napój dobrze nam zrobi.

Pan Pett odmówił, ale konsul kazał przynieść dzbanek *thandai* i skutki okazały się dokładnie takie, jak zapowiedział: po kilku godzinach rozmowy mieli opracowany plan działania i uzgodnili, czego będzie wymagać jego realizacja. Zanzibar leży niedaleko równika, wskutek czego słońce zawsze zachodzi pomiędzy szóstą i siódmą wieczorem, więc kiedy Pett wyszedł z budynku, panował mglisty zmierzch i skwar dnia złagodniał.

Grey uciął sobie drzemkę, a po przebudzeniu miał jasny umysł i czuł się wielce orzeźwiony. Niezwłocznie ruszył do pałacu księcia Jahana. Kiedy wyjaśnił strażnikom przy bramie, że ma informacje dotyczące miejsca pobytu kapitana Courtneya i generała Nazet, został wpuszczony znacznie szybciej i powitany o wiele serdeczniej, niż zdarzyło się to od długiego czasu. Jahan przyjął go sam, ale niedługo później posłał po stworzenie – Grey już nie myślał o nim jak o człowieku – które kiedyś było Angusem Cochranem. Razem podjęli dalsze ustalenia. Posłaniec ruszył do pewnej kawiarni z instrukcjami od samego księcia i sakiewką pełną monet dla właściciela na znak, że jego usługi będą docenione. Właściciel kawiarni, przytłoczony łaską okazaną mu przez majestat, wylewnie zapewnił, że wszystko się odbędzie zgodnie z wymaganiami Jego Wysokości. Dalsze przygotowania poczyniono w samym pałacu.

Wreszcie Grey, Jahan i Myszołów z radością uznali, że wszystko zostało opracowane ku ich wspólnemu zadowoleniu. Konsul życzył im dobrej nocy, ale przed wyjściem zwrócił się do księcia z ostatnią prośbą:

– Wasza Wysokość, oczywiście jestem pewien, że nasze plany się powiodą, lecz przyszło mi na myśl, że jeśli ludzie Courtneya zaczną podejrzewać, iż ich kapitana spotkało coś złego, mogą przyjść do mnie szukać odpowiedzi. Jestem pewien, że powierzył swoje plany najbardziej zaufanym członkom załogi. Będę znacznie spokojniejszy, jeśli przydzielisz mi kilku krzepkich ludzi, tuzin w zupełności wystarczy, żeby strzegli mojego domu i nie dopuścili, żeby spotkała mnie krzywda.

Jahan się uśmiechnął.

– Chcesz, konsulu, żebym cię chronił przed twoimi rodakami?

– Niezupełnie myślałem w ten sposób, Wasza Wysokość, choć przypuszczam, że tak można to ująć.

– Dobrze, przydzielę ci straż. Ale sądzę, że wystarczy sześciu ludzi.

– Czy Wasza Wysokość może zwiększyć liczbę do dziesięciu? – Grey spróbował się targować.

– Ośmiu i ani jednego więcej – zdecydował Jahan. – Ale nie kłopotz się, Grey. Czuję, że nie będziesz ich potrzebować.

– Masz rację, Wasza Wysokość, jak zawsze. Niemniej jednak gorąco ci dziękuję za bezgraniczną wspaniałomyślność.

Tak oto Grey znalazł się pod oficjalną ochroną Jahana i ten znak łaski świadczył o tym, że odzyskał swoją pozycję w społeczeństwie. Nieśpiesznie idąc ulicami, na których po zelzeniu skwaru panował większy tłok niż wcześniej, konsul Jego Królewskiej Mości po raz pierwszy od wielu miesięcy odczuwał prawdziwą radość. Los się do niego uśmiechnął. Jego sytuacja finansowa, jakże niepewna rankiem, pod koniec dnia wydawała się w pełni zabezpieczona. Przekonany, że nadchodzą lepsze czasy, bez cienia poczucia winy wydał większą część pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży swoich rzeczy osobistych na wyjątkowo ładnego chłopca – wysokiego jak na swój wiek, mającego uroczo wielkie brązowe oczy i tylko meszek nad górną wargą – i zabrał go do domu. Gdy tylko wszedł przez bramę na dziedziniec, zawołał o jedzenie i picie. Miał przed sobą długą aktywną noc, więc musiał się wzmocnić przed czekającymi go rozkoszami.

Grey był ostrożnym człowiekiem. Istniała możliwość, że nic nie pójdzie zgodnie z planem, dlatego polecił wynajętym służącym zostać na noc. Daleko im było do wyszkolonych żołnierzy, ale gdyby doszło do walki, kilka dodatkowych ciał pomiędzy nim a ludźmi ze *Golden Bough* na pewno nie zaszkodzi.

Hal stał na tarasie mieszkania nad apteką, rozmawiając z Abolim i patrząc na port, gdzie pochodnie i latarnie oświetlały statki i migotały na czarnej jak atrament wodzie. *Delft* kotwiczył w głębi zatoki, ale Hal wiedział, że jedna z jego szalup stoi zacumowana do kamiennego pachołka na nabrzeżu – załoga czekała, żeby ich zabrać z powrotem na statek albo w wypadku alarmu przybyć na ratunek. Próbował przekonać Judith, żeby tego wieczoru wróciła na pokład *Delfta*, ale kiedy go zapytała, czy zamierza opuścić Zanzibar pod osłoną ciemności, odparł, że wyruszą dopiero o brzasku.

– W takim razie chciałabym spędzić noc na łądzie – oznajmiła. – Lepiej się wyśpię w prawdziwym łóżku... i inne rzeczy też będą znacznie lepsze.

Hal już miał zejść na dół, gdzie Judith haftowała dziecięcy kocyk, obserwowana tylko przez zafascynowanego Mossiego, i zabrać się do tych „innych rzeczy”, kiedy ukochana pojawiła się w drzwiach prowadzących na taras.

– Pan Pett chce się z tobą widzieć – powiedziała. Jej ton brzmiał w miarę uprzejmie, ale przewróciła oczami, dając do zrozumienia, że nie jest zadowolona z wizyty przedstawiciela Kompanii Wschodnioindyjskiej.

– Dobry wieczór, panie Pett! – zawołał, patrząc na znajomą tyczkowatą postać idącą ku niemu po wyłożonej płytkami podłodze. – Czy konsul odmówił panu pomocy?

– Ależ nie, kapitanie – odparł Pett, uprzejmym skinieniem głowy witając Hala i Abolego. – Przeciwnie, zapewnił mnie, że dołoży wszelkich starań, żeby umożliwić mi powrót do Anglii, i był zadowolony, przyjmując moje poręczenie jako przedstawiciela Kompanii. Co więcej, nawet pożyczył mi pewną sumę pieniędzy, co prawda skromną, ale wystarczającą, żebym mógł się odwzajemnić za gościnę, jakiej uprzejmie mi pan udzielił. Może obaj z panem Abolim dołączycie do mnie przy kolacji albo, jeśli to panu nie odpowiada, wypijemy razem po szklance herbaty, kawy bądź jakiegoś innego napoju?

Zanim Hal mógł odpowiedzieć, Pett pochylił się ku niemu i znacznie ciszej dodał:

– Gdy byłem u konsula, dotarła do niego ważna wiadomość. Jestem pewien, że chciałby jej pan wysłuchać, ale szczerze radzę, żeby panna Nazet nie była przy tym obecna. Przypuszczam, że będzie pan chciał się głęboko zastanowić przed podzieleniem się z nią informacjami.

– Nie ma niczego, czego nie powiedziałbym panie Nazet – oświadczył Hal.

– Nawet czegoś, co mogłoby ją skłonić do powrotu do Etiopii, bez względu na to, czy będzie jej pan towarzyszył?

Hal ściągnął brwi.

– Nie ma czegoś takiego. Na litość boską, panie Pett, proszę przestać mówić zagadkami i wyznać, o co panu chodzi.

Pett westchnął, rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje, po czym powiedział:

– O Graala, kapitanie Courtney. Być może wiadomości dotyczą Świętego Graala. Teraz pan rozumie, dlaczego musimy porozmawiać na osobności?

Hal obrócił głowę, żeby spojrzeć ku niewidocznemu w ciemności horyzontowi. Błądził myślą daleko na północy, za klifami czerwonej skały i wzgórzami Zatoki Adeńskiej, po starożytnym królestwie Etiopii. Przelano wiele krwi i zginęło wielu ludzi, żeby odzyskać Graala, kielich, do którego spłynęła krew z ran Chrystusa, talizman poszukiwany przez chrześcijan od czasu ukrzyżowania. Judith w imieniu chrześcijańskiego cesarza Etiopii przysięgła chronić Graala i sam Hal złożył podobną przysięgę jako Rycerz Nawigator. Razem pomogli odzyskać kielich, kiedy został skradziony z kryjówki głęboko w sercu Etiopii. Jeśli znów coś mu groziło, Pett mógł mieć rację: honor każe Judith zrezygnować z nowego życia i wrócić do Etiopii. To samo nakazywałyby honor jemu.

Myśli Abolego musiały biec podobnym torem.

– Powinniśmy pójść z Pettem, Gundwane – poradził Halowi. – Jest taki czas, kiedy mężczyzna musi poświęcać uwagę swojej kobiecie. Ale tak jak kobiety rozmawiają między sobą o ważnych dla nich sprawach, ta rozmowa ma męski charakter.

Hal skinął głową.

– Dobrze, panie Pett. Możemy pożegnać się z panem po naszej krótkiej, jakkolwiek obfitującej w wydarzenia znajomości. – Zszedł z tarasu do domu i ścisnął dłoń Judith. – Moja droga, pan Pett chce się odwzajemnić za okazaną mu uprzejmość, zapraszając mnie i Abolego do kawiarni na pożegnalny poczęstunek. Zapewniam, że niebawem do ciebie wrócimy.

Judith nie trzeba było mówić, że żadna szanująca się niezamężna kobieta nie powinna towarzyszyć mężczyznom w takiej sytuacji.

– Dopilnuj, żeby tak się stało – rzuciła, a potem zawołała: – Proszę długo nie

zatrzymywać kapitana Courtneya, panie Pett! Wkrótce znów będę musiała się nim dzielić z całą załogą. Chciałabym do tego czasu mieć go wyłącznie dla siebie.

– Najzupełniej panią rozumiem i zapewniam, że zależy mi tylko na krótkim spotkaniu, żeby wyrazić kapitanowi Courtneyowi podziękowania za wyratowanie mnie z niewoli i późniejszą uprzejmość – odparł Pett.

Hal sięgnął do haka na ścianie po pas i pochwę z rapierem Neptuna i ją przypasał.

– Nie ma takiej potrzeby, kapitanie – powiedział Pett. – Nie przypuszczam, żeby groziło nam jakieś niebezpieczeństwo przy napojach i ciastkach.

– Wychodzę nocą do cudzoziemskiego miasta, panie – odparł Hal. – Kto wie, co może się zdarzyć?

Pett spojrzał na niego zagadkowo.

– Jak pan sobie życzy, kapitanie. Proszę ze mną.

Poprowadził Abolego i Hala w głąb ulicy. Skręcali w kolejne boczne uliczki i wąskie alejki, aż dotarli na plac, przy którym mieściła się kawiarnia ze stołami wewnątrz i pod gołym niebem. Pett wskazał pusty stolik na skraju ogródka, z widokiem na plac i mieszkańców Zanzibaru, którzy odbywali wieczorną przechadzkę.

– Konsul Grey zapewnił mnie, że to szacowny lokal, przynajmniej wedle miejscowych standardów, w którym można zjeść i wypić bez strachu o przykrości związane z trawieniem – oznajmił. – Zdaje się, że właściciel zna parę słów po angielsku, co będzie dla mnie pomocą, bo nie znam arabskiego.

– Tym pan nie musi się przejmować. Wprawdzie nie władam biegle tym językiem, ale potrafię się w nim porozumieć – zapewnił go Hal. W ostatniej chwili powstrzymał się przed dodaniem, że Aboli dobrze mówi po arabsku. Tę kartę wolał trzymać przy orderach i jedno spojrzenie nad stołem mu powiedziało, że Afrykanin pomyślał to samo. – Muszę pana przeprosić, Pett, że zaznajomiłem pana z człowiekiem o wątpliwej moralności.

– Jeśli pan nawiązuje do niewolnictwa, przyznam, że uważam to za obrazę Boga, który wszystkich nas stworzył na swoje podobieństwo. Tyle też, mogę dodać, powiedziałem konsulowi Greyowi, kiedy mu się wymknęło, że maczał palce w takim procederze.

Hal wzruszył ramionami.

– Niewolnictwo, między innymi... Smutne, że my, Anglicy, nie mamy innego wyboru, jak tolerować Greya, ponieważ jest jedynym przedstawicielem naszego

monarchy na południe od Aleksandrii. Ale proszę mi powiedzieć, jakie ma pan wiadomości dotyczące Graala.

– Zaraz wszystko opowiem – odparł Pett, wstając od stołu. – Najpierw jednak, jeśli pan pozwoli, zamówię napoje. Alkohol oczywiście jest w islamskich przybytkach zakazany, ale Grey dał mi radę, co powinienem wybrać. Pozwólcie, proszę, znajdę tego mówiącego po angielsku właściciela i złożę zamówienie na najlepszy poczęstunek. Wrócę za chwilę.

– Ale, panie Pett... – zaprotestował Hal.

Zanim mógł skończyć zdanie, Pett zniknął w głębi kawiarni, zostawiając go patrzącego za nim ze zdziwieniem i irytacją.

– Powinniśmy iść, Gundwane – powiedział Aboli. – Nie ufam temu człowiekowi.

– Być może masz rację, ale teraz nie wypada tego zrobić – odparł Hal. – Wzgardzenie jego gościnnością byłoby krańcowo nieuprzejme, a pan Pett jest człowiekiem, który nie przyjmuje życzliwie czegoś, co uważa za zniewagę. Tromp może to poświadczyć. Nie, powinniśmy zostać, lecz nie dłużej, niż to absolutnie konieczne.

Po chwili Pett wrócił w towarzystwie korpulentnego, brodatego Araba w białej szacie i zawoju, wyszczekującego rozkazy stadku służących.

– To pan Azar, właściciel – przedstawił go Pett. – Kiedy mu powiedziałem, że moim gościem jest wielki angielski żeglarz, nalegał, żeby złożyć wyrazy uszanowania.

Hal wstał, żeby przywitać się z Azarem, podczas gdy słudzy przyciągnęli drugi stół i zastawili oba filiżankami kawy i szklankami herbaty miętowej, tacami smakowitych ciast i innych słodczy, a przed Pettem i Abolim postawili fajkę wodną.

Pett zobaczył, że Hal pytająco patrzy na wysoki, zdobiony mosiężny przedmiot, z którego podstawy wystawała długa, skierowana w górę rurka.

– Nie zna pan nargile? – zapytał. Nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Z takim sposobem palenia tytoniu spotkałem się w Indiach. Uznałem, że to bardzo przyjemne...

– Mój ojciec zawsze był przeciwnikiem palenia tytoniu – wszedł mu w słowo Hal. – Nie wierzył, żeby z napełniania płuc dymem, kiedy można wdychać świeże morskie powietrze, mogło wyniknąć coś dobrego.

– Z pewnością pański ojciec był godnym podziwu człowiekiem, kapitanie Courtney, ale odszedł i musi pan samodzielnie kształtować swoje poglądy. Poza tym

celem tego urządzenia jest przyjmowanie tytoniu w znacznie korzystniejszej dla zdrowia postaci, zmieszanego z melasą i doprawionego różnymi smakami, w zależności od upodobania. Pan Azar, jak się zdaje, lubi miazdżone liście mięty i skórkę cytrynową. Co więcej, dym przechodzi przez naczynie z wodą, która usuwa wszelkie zanieczyszczenia. W rezultacie, mogę pana zapewnić, jest znacznie przyjemniejszy niż, powiedzmy, wdychanie cuchnących wyziewów na dolnych pokładach statku, i nie przypuszczam, żeby był bardziej szkodliwy dla organizmu.

– Kiedyś paliłem nargile z sir Francisem – wtrącił Aboli. – Smakowało.

– Więc dlaczego mi mówił, że nie palił? – zapytał Hal.

Aboli się uśmiechnął.

– Jak się przekonasz, Gundwane, to, co mężczyzna mówi swojemu synowi i co sam robi, rzadko jest tym samym.

– Mam propozycję – powiedział Pett. – Jeśli dołączycie do mnie i razem zapalimy, opowiem wam wszystko, co wiem o... – rozejrzał się, jakby sprawdzał, czy ktoś nie podsłuchuje – o Graalu.

Hal pokręcił głową.

– Żałuję, ale wciąż obowiązuje mnie obietnica, którą złożyłem ojcu. Kiedy mnie z niej zwolni, chętnie do pana dołączę. Do tego szczęśliwego dnia pozwolę, żeby Aboli dotrzymał panu towarzystwa. Ale teraz, panie, nalegam...

– Oczywiście... Wygląda na to, że ślepy prorok, którego widzieliście na targu, wczoraj mówił wszystkim przechodniom o porwaniu Graala przez zwolenników omańskiego generała Ahmeda El Granga, króla Omańczyków władającego ziemiami graniczącymi z Cesarstwem Etiopskim.

– Wiem, kim jest El Grang – rzucił Hal. – Toczyłem wojnę z jego flotą.

– No tak... W każdym razie prorok mówił, że te wydarzenia zapowiadają koniec świata. Że kradzież świętego kielicha pogrąży nas wszystkich w ciemności.

Hal septycznie skrzywił usta.

– Cóż... Nie jestem skłonny przywiązywać większej wagi do słów tego ślepego, bełkoczącego starego chudzielca.

– Podobnie jak konsul. Był jednak na tyle zaciekawiony, że postanowił się dowiedzieć, czy słowa proroka mają jakieś uzasadnienie. Przeprowadził dochodzenie, a jak pan wie, ma liczne powiązania i, jak wspomniałem wcześniej, otrzymał wiadomości, kiedy u niego byłem. Pan Grey rozmawiał po arabsku z dżentelmenem, który je dostarczył, i z każdym kolejnym słowem wyraz jego twarzy stawał się coraz

poważniejszy. Kiedy zostaliśmy sami, zwrócił się do mnie i powiedział: „A zatem to prawda, jak się obawiam. Bezcenny chrześcijański skarb, o który kapitan Courtney i generał Nazet tak dzielnie walczyli, ponownie wpadł w ręce El Granga”. Wyznam, że słysząc takie słowa z ust kogoś, kto podaje się za muzułmanina, byłem zaskoczony, i przyznałem się do tego konsulowi. A on na to, cytuję: „Może się nawróciłem na jedyną prawdziwą wiarę, panie Pett...”. Aż się wzdrygnąłem, słuchając, jak Anglik w ten sposób mówi o wierze innej niż chrześcijańska. „Ale pragnę pokoju pomiędzy wszystkimi”. Uśmiechnął się i dodał: „To lepsze dla interesów”.

– Tak, zgadzam się, to pasuje do pana Greya – skomentował Hal. – Jego wiara w złoto przeważa nad wiarą w jakiegokolwiek boga. Ale czy powiedział coś więcej?

– Owszem. Poinformował mnie, że etiopski cesarz chłopiec, a raczej biskup, który mu doradza...

– Fasilides.

– Tak, właśnie tak się nazywa... Więc ten Fasilides rozesłał emisariuszy we wszystkie strony, żeby szukali generał Nazet.

Hal, wyraźnie zatrwożony, szeroko otworzył oczy.

– Nie powiedział mu pan, prawda? O jej obecności w Zanzibarze?

– Ależ skąd, kapitanie Courtney! Zapewniam, że po pańskim wyjściu byłem równie dyskretny jak wówczas, kiedy obaj siedzieliśmy przy stole konsula. Wybacz mi pan, lecz poczułem się dotknięty pańskim powątpiewaniem w moją dyskrecję. Jak może panu mówiłem, właściciele Kompanii pozwalali mi uczestniczyć w wyjątkowo poufnych rozmowach na najwyższym możliwym szczeblu i...

– Proszę o wybaczenie, panie Pett. Powoduje mną troska mężczyzny, który się boi o ukochaną kobietę. Nie zamierzałem pana obrazić.

– Tak, tak... prawdopodobnie nie. – Pett sapnął i uniósł brwi. – Panie Aboli... czy jest pan niezdrów?

Hal obrócił głowę, żeby spojrzeć na swojego pierwszego oficera, i z niepokojem zmarszczył czoło.

– Aboli? Co ci dolega?

Twarz potężnego wojownika *amadoda* nabrała szarawego odcienia, miał nieskupione oczy i niewyraźną mowę, gdy zaczął dziwnie klekotać, posługując się ojczystym językiem ludzi dżungli. Hal znał go od dzieciństwa, mimo to miał kłopoty ze zrozumieniem. Ogólny sens był jednak dość jasny.

– Nie jest dobrze. Z jakiegoś powodu się rozchorował. Proszę mi wybaczyć,

panie Pett, ale sędzę, że to dym, który, jak pan przysięgał, jest taki dobroczynny, doprowadził go do tego stanu.

Pett westchnął z niepokojem.

– To możliwe. Bóg stworzył nas równymi, lecz najwyraźniej nie wszyscy jesteśmy tacy sami. Widziałem ludzi z wielu ras hinduskich, palących nargile bez złych skutków. Arabowie, Persowie i inni mieszkańcy Lewantu ręcą za korzystne właściwości fajki. Niewykluczone jednak, że Afrykaninowi ona nie odpowiada. Równie dobrze mógłby ucierpieć z powodu złego powietrza albo spożycia skażonej żywności.

– Niezależnie od przyczyny, nie możemy tu siedzieć i omawiać sprawy. Muszę go zabrać do naszej kwatery, gdzie będzie miał odpowiednią opiekę. Może aptekarz znajdzie jakieś zioła albo tynkturę, która postawi go na nogi.

– Możliwe. Proszę, pomogę panu.

Podnieśli się, stanęli po bokach Abolego i pomogli mu wstać, a on się ślaniał między nimi jak wysokie drzewo na silnym wietrze.

– Idziemy, panie Aboli – zarządził Pett, wciskając lewe ramię pod prawą pachę Afrykanina, podczas gdy Hal zajął miejsce po drugiej stronie. – Postaramy się zabrać pana do domu... Proszę się nie martwić o zapłatę za poczęstunek, kapitanie. Wrócę w stosownym czasie i ureguluję rachunek.

W swoim czasie wyrównam rachunki, możesz na to liczyć, pomyślał Pett, gdy we trójkę szli chwiejnym krokiem przez plac w kierunku wąskiej uliczki, która oznaczała początek trasy do domu aptekarza. Uśmiechnął się do siebie. Ten zdegenerowany stary bluźnierca Grey miał rację; dodatek haszyszu i opium do tytoniu podziałał zgodnie z jego przewidywaniami.

W połowie uliczki natknęli się na wylot wąskiego zaułka.

– Tędy – rzucił Pett, prowadząc Hala i Abolego w mrok panujący pomiędzy wysokimi murami.

– Jest pan pewien, że to właściwa droga? – zapytał Hal, stękając z wysiłku, gdy podtrzymywał ciężar Abolego.

– Całkowicie – odparł Pett zwięźle, co miało sugerować, że po prostu brak mu siły i tchu na więcej słów. W rzeczywistości kierował uwagę w głąb siebie, ponieważ wyraźniej niż od wielu tygodni słyszał głos Świętego, który go naglił: „Teraz, zrób to teraz! To czas i miejsce, które Bóg wyznaczył na usunięcie Henry’ego Courtney’a z tego świata. Czekałeś długo i cierpliwie. Nadszedł koniec czekania. Zrób to!”.

Ogarnął go wielki spokój, który był jak ciepły, kojący balsam przydający mu energii, wyostrowający zmysły i skupiający umysł. Miał wrażenie, że Afrykanin, choć potężny, jest dla niego ciężarem nie większym niż dziecko. Wsunął rękę do kieszeni spodni, gdzie czekał ostry nóż, który wcześniej leżał obok jego talerza, umieszczony tam przez Azara, właściciela kawiarni. Jakże łatwo było stanąć po właściwej stronie, z wolną prawą ręką. I jak satysfakcjonujące było zniweczenie przewagi, jaką zapewnił sobie Courtney, w ostatniej chwili decydując się na zabranie tego przekłętą rapiera. Prawa ręka kapitana, która opasywała plecy Abolego, dźwigała cały ciężar, więc dobyte broni będzie prawie niemożliwe – równie dobrze mogłoby nie mieć broni, skoro nie zdoła jej użyć.

Pett zacisnął dłoń na rękojeści noża. Powoli, bez nagłych ruchów czy przenoszenia ciężaru własnego ciała, wysunął ostrze z kieszeni, po czym opuścił rękę.

Byli już w połowie uliczki, w miejscu tak wąskim, że nikt nie mógłby się z nimi minąć. Nadeszła idealna chwila.

„Zrób to!”, wrzasnął Święty.

William Pett zaatakował, jak zawsze bez ostrzeżenia i z prędkością, z jaką nie mogła się równać żadna z jego ofiar. Wysunął się przed Abolego, kreśląc prawą ręką zamaszysty łuk, żeby skrupulatnie wyostrzony szpic z pełną siłą uderzył w bezbronny Henry’ego Courtneya.

„Patrz w oczy, Gundwane!”, tak go kiedyś pouczał Aboli. „Jeśli będziesz patrzeć na ostrze, zawsze zareagujesz za późno. Ostrze ci mówi, co twój wróg robi w danej chwili. Oczy ci powiedzą, co zrobi w następnej”.

Godzina po godzinie, dzień po dniu, rok po roku Aboli wbijał nauki do głowy swojego ucznia, aż stały się one jego drugą naturą. Hal już nawet nie był świadom tego, co musi zrobić. Po prostu to robił.

I dlatego obserwował oczy Petta podczas wielkiego przedstawienia, jakim było zastawianie stołu, osobiście nadzorowane przez właściciela kawiarni; przez całą rozmowę, gdy Pett zachwalał korzyści płynące z palenia fajki wodnej; a od chwili, kiedy Aboli źle się poczuł, obserwował je jeszcze intensywniej.

To sposób, w jaki Pett relacjonował przebieg rozmowy z konsulem, przekonał Hala, że narastająca w nim podejrzliwość jest w pełni uzasadniona. Mogłoby uwierzyć, że Grey wyposażył Petta w środki umożliwiające mu drogę powrotną do domu, jeśli uznał, że to mu zapewni względy pryncypałów Kompanii Wschodnioindyjskiej. Ale myśl, że ten zdemoralizowany, handlujący niewolnikami muzulmański pederasta

nagle się zaprzyjaźnił z purytańskim, anglikańskim ekscentrykiem, była po prostu nie do przyjęcia.

Chyba że Grey i Pett nie byli tymi, na kogo wyglądali. Hal ogromnie się bał, że popełnił poważny błąd, zakładając, że konsul nie będzie zbyt przejęty oszustwem, które doprowadziło do walki *Golden Bough* za sprawę etiopską, a nie arabską. Teraz nabierał pewności, że Grey był nie tylko poważnie wzburzony, ale też chętny do szukania odwetu. Co do Petta, im dłużej Hal rozmyślał nad jego pojedynkiem z Trompem – o tej dziwnej wizycie, kiedy po przebudzeniu zobaczył go stojącego przy nogach koi, o bezzwzględnej determinacji, z jaką Pett zmusił do walki Holendra, pod każdym względem będącego znacznie groźniejszym przeciwnikiem, o dziwnym spokoju, z jakim przyjął kulę w ramię, a potem strzelił z lodowatą rozwagą, o kompletnym zaskoczeniu i niezadowoleniu, jakie go ogarnęło, gdy zrozumiał, że jego strzał nie był zabójczy – tym bardziej dochodził do przekonania, że nie były to reakcje spokojnego, miłującego pokój człowieka, który zarabia na życie prowadzeniem rozmów o interesach w imieniu spółki handlowej. Były to reakcje zabójcy.

Później Pett poprowadził ich przez ciemny zaułek i Hal już nie widział jego oczu. Nagle uświadomił sobie, że rapier jest ściśnięty pomiędzy nim a Abolim. Wrócił myślą do skwapliwości, z jaką Pett zajął pozycję po prawej stronie jego przyjaciela, zostawiając sobie wolną prawą rękę. Tyle że Pett nie nosił rapiera. To oznaczało, że musiał mieć do dyspozycji coś innego, jakąś ukrytą broń.

Z każdym krokiem w głąb zaułka światła ubywało. Nie widzę! – pomyślał Hal. A skoro nie widzę...

Nagle gdzieś nad nimi otworzyły się okiennice. W blasku, który wylał się z okna wraz z cuchnącą zwartością nocnika, Hal zerknął na Petta.

I zobaczył.

Zareagował błyskawicznie, z prędkością nieskrępowaną przez świadome podejmowanie decyzji, kierując się wyłącznie instynktem wojownika. Pchnął Abolego do tyłu, żeby usunąć przyjaciela z linii ataku. Jednocześnie wyciągnął prawą nogę i podciął Abolego. Afrykanin runął jak wysoka sosna, upadając na Petta i przyciskając go do pylistej, pokrytej skorupą brudu ziemi. Przez sekundę Hal obawiał się, że rzucił przyjaciela prosto na ostrze, ale zaraz potem w niemal zupełnym mroku zobaczył ręce Petta rozrzucone po obu stronach ciała przyjaciela i nikły, błękitny błysk noża leżącego tuż poza jego zasięgiem. Odkopnął nóż, podczas gdy Aboli, który powoli odzyskiwał świadomość, chwycił i unieruchomił ręce Petta. Hal znowu usłyszał

klekoczący język lasów, ale tym razem słowa brzmiały wyraźnie:

– Zabij go, Gundwane.

Pett był bezbronny. Są przeciwnicy, których każdy może traktować jak ludzi honoru i w ich przypadku okazanie łaski jest wyrazem nie tylko miłosierdzia, ale również mądrości. Hal wiedział, że Pett nie zalicza się do tej kategorii. Wyciągnął z pochwy rapier.

Bardziej poczuł, niż zobaczył, że Pett wlepia w niego zimne, bezduszne oczy. Wiedział, że nie usłyszy błagania o łaskę. Nie zawiódł się, gdyż dobiegły go bezdźwięczne, wyprane z emocji słowa:

– Idź do diabła, Henry Courtneyu. Ty i cały twój pomiot.

Hal chwycił rapier oburącz, sztychem w dół, po czym całą siłą grzbietu i ramion wbił go w odsłonięte gardło tak głęboko, że hartowana tolekańska stal przecięła nie tylko tchawicę, ale, znajdując chrząstkę pomiędzy kręgami, również stos pacierzowy, i uśmierciła Petta na miejscu.

Rozejrzał się. Uliczka była pusta. Okiennice ponad nimi były szczelnie zamknięte. Nikt niczego nie widział ani nie słyszał i istniała szansa, że do rana nikt nie odkryje ciała. Aboli chwiejnie podniósł się z ziemi, jakby niezupełnie wierzył w swoją zdolność do samodzielnego utrzymania się na nogach. Ale Hal nie miał chwili do stracenia. Popatrzył na przyjaciela i powiedział:

– Judith!

I ruszyli biegiem.

– Zbudź się, pani! Musisz się zbudzić! – Judith się ocknęła, słysząc błagania Mossiego, który starał się mówić cicho, ale wyraźnie nie mógł opanować paniki. – Boję się! Nadchodzi džinn! Co zrobimy?

Judith zamrugnęła, przepędzając senność z oczu. Przez chwilę myślała, że chłopca nękają koszmary, bo przecież nie ma džinnów, złych duchów – nie na tym świecie. I to wahanie skazało ją na porażkę, kiedy bowiem drzwi sypialni zostały otworzone kopniakiem, wciąż leżała w łóżku. Chciała się obrócić i sięgnąć po miecz *kaskara*, który leżał pod poduszkami, ale była okryta prześcieradłem i zanim się podniosła, do pokoju wpadło pięciu uzbrojonych mężczyzn, wszyscy z wymierzonymi w nią nagimi rapierami.

Zaraz potem zjawił się szósty i gdy spojrzała na groteskową skórzaną głowę, która wyglądała tym bardziej koszmarnie we wpadającej przez okno srebrzystej księżycowej poświacie, zrozumiała, że Mossie mówił szczerą prawdę. Jeśli na ziemi istniało ucieleśnienie zła, to właśnie je miała przed oczami. Przelotna myśl przemknęła jej przez głowę: Gdzie jest Mossie? Gdzie on się podział? Czym prędzej zdusiła tę myśl, żeby przypadkiem nie zdradzić intruzom, że nie jest tu sama. Może chłopiec przeżyje, jeśli nikt się nie dowie o jego obecności.

Zamaskowany mężczyzna odezwał się głosem, który brzmiał niczym zgrzyt zardzewiałej broni dobywanej z suchej jak pieprz pochwy.

– Nie próbuj walczyć, generale Nazet. – Ranga została wypowiedziana z niewysłowioną pogardą. – Jeśli to zrobisz, umrzesz. Tak, ty i dziecko w twoim brzuchu.

Wiedziała, że człowiek w masce ma rację. Przywykła do tego, żeby się bronić jak mężczyzna, ale teraz intuicja jej mówiła, żeby stawiała opór w kobiecy sposób, nie walcząc, lecz ulegając. Mężczyźni muszą się martwić wyłącznie o siebie. Matka zawsze żyje z myślą o dziecku, znacznie bardziej troszcząc się o nie niż o siebie.

Odłożyła miecz i wstała z łóżka. Miała na sobie tylko koszulę nocną z płótna tak delikatnego, że było niemal przejrzyste.

– Mogę narzucić suknię? – zapytała.

– Nie, nie możesz – odparł zamaskowany mężczyzna i pochylił się nad nią, przekrzywiając głowę z boku na bok, żeby dokładnie ją obejrzeć przez jedyny otwór na oko. Było coś ohydnie sugestywnego w długim dziobie, który sterczał jak szpiczasty fallus. Judith żałowała, że nie ma zbroi, która osłaniałaby ją przed jego głodnym

spojrzeniem i spojrzeciami jego ludzi. Czuła się jak naga, zupełnie bezbronna, miękka i słaba – ona, która dowodziła armiami, zabijała mężczyzn w walce wręcz i tratowała zwłoki rozgromionych wrogów, teraz z trudem panowała nad płaczem.

Nie, na Boga, nie dam mu tej satysfakcji! – pomyślała i zmusiła się, żeby stać prosto i patrzeć na tego złowrogiego człowieka–ptaka.

– Już mnie rozpoznałaś, he? – zapytał. – Och, dlaczego miałabyś rozpoznać? Przecież nie żyję. Widziałaś, jak umieram.

Miała mętlik w głowie. Wyobraziła sobie bitwę morską i płonącego człowieka, gdy szedł na dno wraz ze swoim statkiem. Nie! To niemożliwe! Ale ktoś by inny...

– Myszołów – powiedziała, starając się, żeby jej głos brzmiał głucho, bo chciała mu odebrać przyjemność, jaką mogłoby mu sprawić jej zdumienie. Znalazła sposób, żeby odnieść kolejne małe zwycięstwo, jakkolwiek nieznaczące.

– Owszem. Przeżyłem... jeśli można mówić o życiu w przypadku tego, kim jestem, kim się stałem za sprawą tego łajdaka Henry'ego Courtneya. Och, zemszczę się na tym piękniśiu, i niech Bóg mnie przeklnie, jeśli tego nie dokonam. Ale jeszcze nie... nie, najpierw trzeba zrobić coś więcej, żeby upadł tak nisko, że się więcej nie podniesie. Ktoś chce cię poznać. Teraz możesz się ubrać. Kiedy skończysz, pójdziesz ze mną.

Myszołów uklonił się jak lokaj w arystokratycznym domu, mówiąc:

– Powóz czeka, pani...

Judith zniknęła. Mieszkanie było puste. Hal przeklinał się za głupotę i wściekał na tego, kto zabrał jego ukochaną, gdy nagle usłyszał w sypialni coś innego: dźwięk stłumionego płaczu dziecka. Płynął spod łóżka. Podniósł rzucone prześcieradło, które jak kurtyna spływało z łóżka do podłogi, i znalazł Mossiego. Chłopiec leżał zwinięty w kłębek i szlochał.

Hal wyciągnął do niego rękę.

– Nie bój się – powiedział łagodnie. – Możesz wyjść. Już jest bezpiecznie.

Dziecko patrzyło na niego w osłupieniu. Hal spróbował jeszcze raz, lecz bez większego powodzenia. Zmienił więc taktykę.

– Mossie, pomożesz mi? Naprawdę chcę wiedzieć, co się stało z Judith. Uważam, że będziesz mógł mi powiedzieć, co się wydarzyło. Pomóż mi ją odzyskać, a będę bardzo, ale to bardzo zadowolony.

Takie podejście pomogło, bo Mossie wyczołgał się spod łóżka i opowiedział, co się stało, chociaż na początku Hal nie bardziej niż Judith rozumiał jego słowa o

dżinnie.

– Ten dżinn mówił! – dodał Mossie. – Rozmawiał z moją panią i ona chyba go znała, bo odpowiedziała, i chyba podała jego imię. Nazwała go Mszłów.

Hal ściągnął brwi, nie rozumiejąc tego słowa, więc chłopiec je powtórzył:

– Mszłów! Mszłów!

Niedowierzanie Hala ustąpiło miejsca przerażeniu, gdy próbował dopuścić do siebie możliwość, że jego śmiertelny wróg powstał z martwych.

– Czy powiedziała „Myszolów”? – zapytał, bardzo wyraźnie wypowiadając to słowo i mając jeszcze nadzieję, że usłyszy przeczenie.

Chłopiec kilka razy pokiwał głową i pisnął:

– Tak! Tak! Myszolów!

Hal na chwilę pogrążył się w zadumie, rozpamiętując pozornie oderwane wypadki ostatnich godzin, i nagle dostrzegł wzór, który miał sens. Greya i Myszołowa, zdrajców swoich krajów, króla i Boga, zjednoczyła jedna rzecz: nienawiść do kapitana sir Henry’ego Courtneya. Razem, choć z pewnością nie bez pomocy kogoś innego, obmyślili plan, który miał się zakończyć jego śmiercią i uprowadzeniem Judith. Cóż, on przeżył, ale nie było nikogo, kto mógłby mu powiedzieć, dokąd porywacze zabrali jego kobietę.

– Mossie, przynieś moje pistolety – poprosił, pokładając ufność w Bogu, że Myszołów ich sobie nie przywłaszczył.

– Co chcesz zrobić? – zapytał go Aboli.

– Pójdę do konsula Jego Królewskiej Mości – odparł. – Ty pójdiesz ze mną, podobnie jak wszyscy inni, których mamy w Zanzibarze. Albo powie mi wszystko, co chcę wiedzieć, albo go wykastruję i przerobię na przeklętego eunucha.

– Nie. – Aboli pokręcił głową. – To zły pomysł. Zastanów się, Gundwane. Dom konsula jest strzeżony. W chwili kiedy Grey się dowie, że żyjesz, zabarykaduje drzwi. Musielibyśmy walczyć, żeby się wedrzeć do środka, i straż miejska ściągnęłaby niczym stado hien zwabionych zapachem krwi.

Hal wrzał z gniewu, ale wiedział, że Aboli ma rację. Nie mogli się spodziewać, że jakby nigdy nic wmaszerują do apartamentów konsula i zażądają odpowiedzi. Grey był wpływowym człowiekiem, który zawsze się chełpił swoimi znajomościami w Zanzibarze. Hal potrzebował wojny z miejscowymi Omańczykami nie bardziej niż *Golden Bough* narażania się na gniew wielkich armat na murach fortecy.

– Co zatem proponujesz? – zapytał, zawiązując w pasie czerwoną jedwabną

szarfę, za którą zatknął przyniesione przez Mossiego dwa pistolety.

Aboli ściągnął brwi.

– Może pytanie brzmi, nie jak wielu ludzi potrzebujemy, ale jak niewielu.

– Chcesz powiedzieć, że podstępnie zdołamy dokonać tego, czego nie możemy zrobić siłą?

– Otóż to – przytaknął Aboli z szerokim uśmiechem.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut. Później zabrali ze sobą Mossiego i poszli do szalupy zacumowanej obok schodków wiodących z nabrzeża. Hal kazał chłopcu do niej wsiąść i zostać tam, cokolwiek by się działo. Następnie wraz z Abolim przedstawił plan załódze.

Zaczekali, aż ulice miasta opustoszeją i ludzie położą się spać. Hal i Aboli z dwoma najbardziej nieustraszonymi zabijakami ze *Golden Bough*, Dużym Danielem Fisherem i Willem Stanleyem, wzięli ze sobą zwiniętą linę i ruszyli w noc.

Judith została przewieziona przez ulice Zanzibaru w powozie z zasłoniętymi oknami, więc nie miała pojęcia, dokąd jedzie. W pewnym momencie usłyszała wyszcze kiwane rozkazy i skrzypnięcie otwieranej bramy, a potem tętent kopyt i grzechotanie kół zasugerowały, że przecinają otwarty dziedziniec. Przejechali przez drugą bramę i stanęli.

Drzwi powozu się otworzyły i zobaczyła krzepkiego mężczyznę w średnim wieku z brodą równie gładką jak wygolona czaszka.

– Za mną – powiedział wysokim, kobiecym głosem. – Jego Wysokość chce się z tobą zobaczyć, ale nie w takim stanie.

Eunuch, pomyślała Judith. Zaprowadzono ją do dużego pomieszczenia z marmurową posadzką zarzuconą miękkimi kobiercami w misterne wzory. W powietrzu unosił się odurzający zapach róż, bursztynu i piżma, płynący ze świec, które zalewały złotym blaskiem na wpół nagie kobiety leżące w pozach bezczynności i nudy na poduszkach i otomanach. Zrozumiała, że trafiła do haremu.

Mężczyzna poprowadził ją do komnaty, gdzie pośrodku znajdował się basen pełen łagodnie parującej wody z pływającymi na powierzchni płatkami róż. Czekają na nią dwie młode kobiety, służące, jak przypuszczała.

– Dopilnujcie, żeby została odpowiednio przygotowana na spotkanie z Jego Wysokością – rozkazał eunuch tonem nie tyle mężczyzny, ile nadąsanego dziecka.

– Kąpiel przygotowana, pani – oznajmiła jedna ze służek. – Mogę zabrać twoją szatę?

Judith odruchowo chciała rzucić: „Nie, nie możesz!”, ale wyklócanie się z podwładnymi, którzy nie mieli na nic wpływu, na pewno w niczym by nie pomogło. Jej wrogiem był człowiek, który nimi władał, i wiedziała, że zobaczy się z nim tylko pod warunkiem, że zrobi to, co eunuch uzna za konieczne. Dlatego wykąpała się i wytarła, a służące wmasowały w jej skórę wonny olejek. Jedna z nich kazała jej usiąść, obrysowała oczy Judith smolście czarnym proszkiem antymonowym, nałożyła róż na jej usta, podpięła włosy i przybrała je sznurami pereł będącymi bajecznie ekstrawagancką wersją tych, które Judith zaledwie kilka tygodni wcześniej włożyła na powitanie Hala w Mitsiwie. Dziewczęta wpięły nabijane klejnotami kolczyki w jej uszy i poprosiły, by wstała, żeby mogły ją ubrać.

– Pani, jesteś taka piękna... – szepnęła jedna, gdy Judith stała przed nią naga.
– Księciem o władnie żąda.

– Alina oszaleje z zazdrości! – dodała druga z chichotem. – Zostaniesz jego nową faworytą!

Ubrały ją, jeśli to można nazwać ubraniem, w bluzkę z krótkimi rękawami. Judith widziała takie na ulicach Zanzibaru u Hindusek, noszone pod sari. Zwykle jednak szyto je z bawełny lub jedwabiu, ta natomiast była z ledwie widocznej przezrzystej gazy usianej złotymi cekinami i maleńkimi klejnotami, które ledwie osłaniały jej piersi. Nie było jej jednak dane zachowanie skromności, bo dostała nie sari, lecz tylko luźne szarawary, wiszące nisko na biodrach, zebrane w kostkach i usiane jeszcze większą ilością skrzących się ozdób. Stroju dopełniły jedwabne tureckie pantofle haftowane złotą nicią.

– Chodź... spójrz, jak wspaniale wyglądasz – powiedziała pierwsza służka, prowadząc ją za rękę do stojącego po drugiej stronie komnaty wysokiego lustra w bogato rzeźbionej ramie. Judith, widząc swoje odbicie, ze świstem wciągnęła powietrze. Myślała, że nie szczędziła trudów, żeby ładnie wyglądać dla Hala, lecz tutaj ujrzała coś zupełnie innego i była zszokowana, ale też zafascynowana jawnym erotyzmem swojego przeobrażenia. Stała się tancerką, hurysą, konkubina i rzeczywiście wyglądała nadzwyczajnie. Gdyby to Hal na nią czekał, byłaby podekscytowana. Sama świadomość, jakie zrobi na nim wrażenie, wystarczyłaby, żeby ją podniecić, jeszcze zanim stanęłaby naprzeciwko niego. Ale prezentowanie się w taki sposób obcemu, który sprowadził ją tu siłą, było formą zniewolenia, jakby gwałt, którego się obawiała, już się zaczął.

Wciąż była zagubiona w niespokojnych myślach, kiedy pojawił się eunuch. Obejrzał ją, z zadumą odymając usta, rzucił cicho: „Ha!”, jakby zaskoczony jej prezencją, i powiedział:

– Za mną.

Zabrał ją z powrotem do wielkiego salonu, gdzie czuła na sobie spojrzenia wszystkich innych kobiet i miała wrażenie, że ją oceniają i decydują, jaką zajmie wśród nich pozycję. Eunuch skinął pulchną ręką, żeby ją ponaglić, i poprowadził długim korytarzem do dwuskrzydłowych drzwi. Otworzył je, kazał jej wejść i zamknął.

Judith znalazła się w mniejszej, ale urządzonej z niesłychanym przepychem wersji tamtego salonu, gdzie konkubiny czekały na wypadek, gdyby ich pan zapragnął z którąś z nich zażyć rozkoszy. Wszystkie powierzchnie były pokryte rzeźbami i inkrustacjami: otaczała ją obfitość złota, marmuru, onyksu, nefrytu, czarnego obsydianu, czystego błękitnego lapis-lazuli, lśniącej macicy perłowej i skrzącego się

lustrzanego szkła. Gdy mijała zwierciadło, zobaczyła blask okrywających ją cennych kamieni, cekinów oraz pereł i poczuła się jak kolejna idealna ozdoba służąca do urzeczenia zmysłów zblazowanego człowieka, dla którego to wszystko zostało stworzone.

Eunuch nisko się uklonił przed złotą otomaną, na której siedział mężczyzna.

– Wasza Wysokość, oto kobieta, którą przyprowadzono do mnie dzisiejszego wieczoru – powiedział. – Mam nadzieję, że spełni twoje oczekiwania.

To rzekłszy, czmychnął, zostawiając Judith z jej porywaczem. Książę, jak zwyła go służyć, był w stroju, który pod względem ilości klejnotów niemal dorównywał jej fatałaszkom, ale w przeciwieństwie do nich przystojnie okrywał jego ciało. Miał na sobie jaskraworóżowy kaftan z pasującymi do niego spodniami i turban z broszą z największym brylantem, jaki Judith w życiu widziała, osadzonym w złotej oprawie i otoczonym wianuszkiem mniejszych kamieni, z pysznią się nad nim egretą z czaplich piór.

Oceniła go na trzydzieści kilka lat. Jego urodziwa twarz miała ostre rysy, które dopiero zaczynał rozmiękczać tłuszcz będący skutkiem życia bez umiaru. W młodości musiał być naprawdę bardzo atrakcyjny. Nawet teraz oddawanie mu się z pewnością nie było dla kobiet straszliwą torturą, oczywiście pomijając wstyd i upokorzenie wiążące się z byciem konkubina.

Jednakże kobieta, która przycupnęła na otomanie u boku księcia, skubiąca mu ustami ucho i swawolnie błędząca ręką po jego udach i kroczu, nie wydawała się ani zawstydzona, ani upokorzona. Przeciwnie, pomyślała Judith, te zabiegi wyraźnie sprawiają jej przyjemność.

Przypuszczała, że gdzieś w pobliżu są strażnicy i służący, i skądś płynęła muzyka, ale poza księciem i jego konkubina widać było tylko jedną osobę: Myszołowa. Stał za otomaną, z ręką zwieszoną wzdłuż boku, w charakterystyczny dla siebie ptasi sposób kiwając i kręcąc głową.

– Moja droga generał Nazet – odezwał się książę.

Judith zauważyła, że Alina – bo założyła, że ma przed sobą faworytę, o której wspomniały służące – znieruchomiła na słowo „generał” i gniewnie spojrzała w jej stronę.

– Jakże to dziwne, że nasze życie i losy były tak ściśle splecione przez ubiegłe dwa lata, a jednak dopiero teraz spotykamy się po raz pierwszy – powiedział książę. – Jestem maharadża Sadyk Chan Jahan. Twój stary przeciwnik, sułtan Ahmed El

Grang, przywódca Omańczyków, służył mi tak, jak ty służyłaś dziecku, które zwie się cesarzem Etiopii. – Książę westchnął i pokręcił głową. – Wiesz, taka piękna kobieta naprawdę się marnowała na polu bitewnym.

– Nie – odparła Judith. – Żołnierz o moim doświadczeniu marnuje się w tym przepysznie urządzonym lupanarze.

– Wybacz, kochanie, nie rozumiem – odezwała się Alina, siadając prosto. – Dlaczego zwiesz tę kobietę generałem? Dlaczego ona mówi, że jest żołnierzem?

– Ponieważ, mój skarbie, nie dość, że tobie dorównuje pod względem urody, to jeszcze dorównywała El Grangowi jako żołnierz. Dowodziła armiami, podczas gdy ty dowodzisz tylko strażnikiem, który staje na baczność pomiędzy moimi nogami. A teraz odejdź! Muszę porozmawiać z generałem. Wezwę cię później, jeśli będę cię potrzebować.

– Nie zwlekaj za długo – zamruczała Alina. – Bo każda godzina bez ciebie jest dla mnie wiecznością.

Wstała z otomany i zmysłowym krokiem, kołysząc biodrami, wyszła z pokoju. Zwolniła tylko odrobinę, gdy mijała Judith, ale zdążyła ją obrzucić wrogim spojrzeniem, które wśród kobiet oznacza wypowiedzenie wojny, tak samo jak wtargnięcie jednego władcy na terytorium królestwa drugiego mężczyzny.

Po odejściu swojej zabawki książę się uśmiechnął, zadowolony z siebie, a później, pochylony, popatrzył wprost na Judith.

– Jestem człowiekiem cywilizowanym i szcycę się tym, że postępuję honorowo i zgodnie z prawem boskim – oświadczył. – Wyznam jednak, że znalazłem się w rozterce. Gdybym pojmał cię w bitwie jako generała, wziąłbym cię do niewoli. Gdybym uznał, że to bezpieczne, zaproponowałbym ci zapłacenie okupu i pozwolił na powrót do rodziny w zamian za żadaną sumę i pod słowem honoru, że nigdy nie podniesiesz oręża przeciwko mnie ani mojemu ludowi. Oczywiście, okupem za tak wybitnego dowódcę byłoby tyle złotych rupii, że wątpię, czy skarbnik samego cesarza Etiopii mógłby wypłacić taką sumę. Wtedy pozostałaby mi mniej przyjemna możliwość zadania ci szybkiej i honorowej śmierci. Nie byłabyś torturowana ani źle traktowana i umarłabyś jak mężczyzna.

Książę milczał przez chwilę.

– Ale nie jesteś mężczyzną i to komplikuje sprawę... Oba nasze narody darzą cię pełnym szacunku i strachu podziwem, jakiego nie wzbudziłby żaden mężczyzna, jakbyś była czarodziejską istotą. Młoda kobieta, właściwie jeszcze dziewczyna, która

prowodzi wielkie armie ku zwycięstwu, naprawdę musi być kimś więcej niż zwyczajnym śmiertelnikiem. Twój lud... oczywiście mówię tutaj o pospólstwie, nie o wyżej wykształconych, dobrze urodzonych osobach... twój lud wierzy, że przysłaś do nich z nieba, jak anioł.

– A twoi myślą, że jestem demonem z piekła rodem. Dobrze mi o tym wiadomo – wtrąciła Judith. – Nie jestem ani aniołem, ani demonem. Jestem kobietą, skromną i prostą. Więc co zamierzasz ze mną uczynić?

Księżę westchnął z zadumą.

– Oto pytanie... Przyznam, że dużo myślałem, przez wiele miesięcy, co bym zrobił, gdybyś wpadła w moje ręce. Niejeden raz zmieniałem zdanie i może znowu je zmienię.

– I...?

Wzruszył ramionami.

– Pokusa sprzedania cię w niewolę temu, kto da więcej, jest bardzo silna. Sama myśl, że ktoś, kto był wyniesiony tak wysoko jak ty, nagle upadł na samo dno ludzkiej egzystencji... Kto wśród tych, którzy ucierpieli z twoich rąk, nie czerpałby z tego przyjemności? Ale pozbycie się siebie w taki sposób... co za strata! I jaką ja miałbym z tego przyjemność? Z drugiej strony, jesteś wyjątkowo piękną kobietą i jak słyszałem, płodną. To cenne cechy i mógłbym zyskać wielką przychylność, ofiarując cię jako konkubinę mojemu bratu, Wielkiemu Mogołowi, albo nawet sułtanowi Konstantynopola. Gdybyś któremuś z nich dała syna, jakiż mógłby wyrosnąć z niego mężczyzna! Ale dlaczego miałbym pozwalać, żeby jeden z nich zyskał taką korzyść? Przecież skoro cię mam, mogę cię zachować dla siebie.

Judith nie tyle powiedziała, ile wysyczała swoje następne słowa:

– Wolalabym umrzeć, niż zostać twoją konkubiną. I prędeż zabiję również własne dziecko, niż pozwolę, żeby wychowało się na twoim dworze i pod twoim bogiem.

– Tak, tego się obawiałem. – Księżę pokiwał głową. – Poza tym raczej nie mogę cię zatrzymać w moim haremie, chyba że w odosobnieniu. Już zyskałaś śmiertelnego wroga w osobie Aliny, która choć śliczna jak kocię, jest niebezpieczna niczym tygrysyca. Muszę również wziąć pod rozwagę moje inne konkubiny. Te młode kobiety pochodzą z wielu krajów, ale wszystkie są niskiego rodu. Życie, jakie tu wiodą, jest rajem w porównaniu z tym, które zostawiły za sobą, i wszystkim, co muszą robić w zamian, jest posłuszeństwo i sprawianie mi przyjemności. Nie wątpię, że to uczciwy

układ, i dlatego nie próbują się buntować. Ty jednak możesz im posiać w głowach ten pomysł, co sprawi, że staną się nieszczęśliwe, nieposłuszne i niechętne sprawianiu mi przyjemności. Byłoby to dla mnie wielką niewygodą, między innymi dlatego, że musiałbym kazać zabić je wszystkie i szukać innych na ich miejsce.

– Wiedz, że sama myśl o narażaniu cię na takie niewygody jest dla mnie nieprzyjemna – powiedziała Judith z sarkazmem. – Ale skoro już wymienileś odrzucone możliwości, to może wreszcie wyjawisz, jaki los dla mnie wybrałeś?

– Najpierw będziesz mi towarzyszyć przy kolacji. Chciałbym usłyszeć twoją relację z etiopskich kampanii, o rozmieszczeniu twoich wrogów, o zaplanowanej z wyprzedzeniem taktyce, o nagłych decyzjach, jakie musiałaś podejmować w gorączce bitewnej i tak dalej. Będę traktować cię z szacunkiem i nie poproszę o więcej, jak tylko o spostrzeżenia natury militarnej. Czy moja propozycja jest do przyjęcia?

– Nie licz, książę Jahanie, że będę się dobrze bawić w twoim towarzystwie. Ale tak, wezmę udział w rozmowie.

– Jesteś nadzwyczaj uprzejma, pani. Po zakończeniu naszej rozmowy zostaniesz odprowadzona do swojej kwatery, gdzie spędzisz następne trzy tygodnie. Niczego ci nie zabraknie, stosownie do twojej pozycji. Niestety, będę zobowiązany wystawić cię na sprzedaż na targu niewolników, ale się nie obawiaj, nie mam zamiaru pozwolić, żeby ktoś cię kupił.

– W takim razie po co to udawanie, że chcesz mnie sprzedać? Chyba że zależy ci na moim upokorzeniu.

– Pomyśl, upokorzenie wielkiej Nazet samo w sobie jest czymś nadzwyczajnym – odparł książę. – Wiadomość, że zostałeś wystawiona na aukcję w Zanzibarze, gdzie targowano się o ciebie jak o pierwszego lepszego niewolnika, odbije się szerokim echem w całej Afryce, Indiach i Lewancie. Możesz sobie wyobrazić, jak to wpłynie na morale twojego ludu... i mojego. Ale moim prawdziwym celem jest coś innego. Zostaniesz wystawiona na widok publiczny po prostu jako przynęta...

– ...żeby przyciągnąć sir Henry'ego Courtneya, jeśli jeszcze żyje.

Książę pokraśniał z zadowolenia.

– Właśnie! Ach, jakąż przyjemność sprawia rozmowa z kobietą, która rozumie takie sprawy! Tak, będę miał was oboje w niewoli. Co później? Cóż, wyznam, że jeszcze nie powziąłem decyzji, ale może gdy sir Henry wpadnie w moje ręce, zaproponuję ci bardzo prosty wybór: oddaj mi się, inaczej go zabiję.

– Nie... Prędzej...

– ...odbiorę sobie życie? Pomyśl: jeśli się zabijesz, wtedy ja zabiję jego. Natomiast gdy mi się oddasz w pełni, na całą noc, sir Henry nie tylko przeżyje, ale będziecie mieć szansę na zakończenie rozłąki.

– Jaką szansę?

– To proste. Wystawię sir Henry'ego do walki z tym tutaj stworzeniem... – Książę skinął ręką w stronę Myszołowa. – Jeden śmiertelny wróg przeciwko drugiemu, obaj uzbrojeni w rapiery, walka na śmierć i życie. Będziesz się temu przyglądać, bez względu bowiem na to, który z twoich zalotników przeżyje, dostanie cię w nagrodę.

Zza skórzanej maski dobiegło chrząknięcie.

– Sza, Myszołowie – uciszył go książę. – Ani słowa. Wiesz, na jakich warunkach tu jesteś. Jeśli się odezwiesz, przypłacisz to życiem. Ale spójrz na oferowaną nagrodę: śmierć człowieka, którego nienawidzisz, i ciało jego ukochanej.

– Ten... ten potwór nigdy, przenigdy nie dostanie mojego ciała.

– Tak, tak, wolałabyś umrzeć, ciągle to powtarzasz – warknął książę z irytacją. – Ale ci nie wierzę. Jaka matka zabiłaby siebie i dziecko? Matka zrobi wszystko, wszystko zniesie, ścierpi największe zniewagi, żeby ochronić życie dziecka. Naprawdę jesteś inna? Co do ciebie, Myszołowie, dobrze się dzisiaj sprawiłeś. Sprowadziłeś generał Nazet. Daruję ci coś w zamian. Idź do miasta. Znajdź jakieś miejsce, żeby się napić z pokrewnymi ci niewiernymi duszami. Znajdź sobie kobietę, jeśli jakaś zechce się do ciebie zbliżyć. Przez tę jedną noc udawaj, że nadal jesteś mężczyzną.

Jeśli Zanzibar był wyspą, na której brzegi wymyśli zostali ludzie z połowy znanego świata, to Trés Macacos, czyli Trzy Małpy, były miejscem, gdzie osiadły same szumowiny. Był to szynk przy bocznej uliczce w centrum najstarszej, najbrudniejszej dzielnicy miasta. Omańskie władze przestrzegające nauk Koranu oficjalnie zakazywały wyszynku, ale przymykały oko, pod warunkiem że alkohol sprzedawano tylko niewiernym. Również wielkie łapówki wręczane znaczącym osobom przyczyniały się do zachowania ciągłości istnienia gospody, tym bardziej że rzeczono osoby regularnie ją odwiedzały. Jak wielu Zanzibarczyków, przychodziły do Macacos nie dla trzcinowego spirytusu uchodzącego za rum, nie dla gryzącego octu sprzedawanego jako wino, ale dla walk kogutów i psów, które się odbywały na brudnej, na wpół zgniłej arenie cuchnącej od ptasich odchodów, pełnej psiego łajna i krwi.

W głównym pomieszczeniu szynku gościła zbieranina piratów, przemytników, handlarzy niewolników, najemników, kupców i żeglarzy wszelkiego pokroju, rangi i ras, obsługiwanych przez wulgarnie wymalowane dziwki z dziobami po ospie. Powietrze było gęste od oszałamiającej woni tytoniu, niemytych ciał, zwiędzłego alkoholu i przeczyszczających zatoki pachnideł, którymi panie zlewały się po przyjęciu każdego klienta. Ale nawet w tej brudnej świątyni zdeprawowania i rozkładu przybycie Myszołowa w towarzystwie osobistego niewolnika i dwóch strażników, których obecność miała go chronić i zniechęcać do snucia planów ucieczki od księcia Jahana, spowodowało, że nagle zapadła cisza i nawet najbardziej zblazowane, znudzone światem, wszystkowiedzące głowy obróciły się w jego stronę. Jeden pijany dowcipniś okazał się dość głupi, żeby zawołać:

– Wybacz, ptaszku, tu nie serwują robaków!

Sekundę później ostrze Myszołowa spoczywało na jego karku i mężczyzna w uniżeniu dukał przeprosiny.

Myszołów podszedł do szynkwasu.

– Rumu – zgrzytnął. Machnął ręką, przywołując niewolnika, który trzymał jego naczynie służące do picia. – Lej, do pełna. Jeśli chcesz pieniędzy, proś księcia Jahana, bo ja ich nie noszę.

Zdjęta grozą dziewczka służebna w milczeniu kiwała głową. Jak wszyscy Zanzibarczycy wiedziała, że księżę poskromił dżinna będącego na wpół człowiekiem, na wpół ptakiem. Słyszała również o zabójstwie chłopca, którzy rzucił w potwora

łajnem, i o zarzniętych przez niego przestępcach z miejskiego więzienia. Jeśli chciał rumu, ale nie mógł za niego zapłacić, nie zamierzała z nim dyskutować i wiedziała, że karczmarz też będzie do tego nieskory.

Niewolnik Myszołowa napełnił poidło i poszedł za swoim panem przez izbę do jednego z nielicznych wolnych stołów. Wsunął, jak zwykle, dziobek w otwór w masce i Myszołów łapczywie pił alkohol, którego nie miał w ustach od miesiący.

Gdzieś w izbie ktoś był dość głupi, żeby zachichotać. Myszołów gniewnym ruchem nadgarstka odtrącił dziobek, wstał i rozejrzał się; nos obracał się przed nim jak bukszpryt halsującego statku, a głowa podskakiwała jak bukszpryt na każdej nowej fali. Wszystkie śmiechy ucichły, podobnie jak rozmowy. Nagle głowa Myszołowa znieruchomiała. Stał i wlepił oko w jeden stół. Głowy obróciły się w tę samą stronę. Myszołów ruszył przez karczmę, a pełne blizn, posiwiałe, twarde niczym tek zbiry ze strachem umykały mu z drogi.

Myszołów podszedł do stołu, który przyciągnął jego uwagę. Siedział tam samotny mężczyzna z butelką wina i cynowym kuflem. Nie wzdrygnął się, widząc podchodzącego Myszołowa. Siedział i patrzył prosto w oczy wymalowane na skórzanej masce.

– Nie stchórzę – oznajmił z piekielnie upartą miną. – Jeśli chcesz kogoś przestraszyć, lepiej poszukaj gdzieś indziej.

Myszołów zrobił coś, czego nikt w karczmie nie przewidywał. Stał przy stole, przyciągnął krzesło, usiadł i powiedział:

– Kapitan Hamish Benbury, jak żyję i oddycham! Jak się miewasz, zręczliwy stary sukinsynu?

Cisza się pogłębiła, napięcie jeszcze bardziej wzrosło, gdy Benbury siedział nieruchomy i cichy jak grób. Nagle uniósł głowę, splunął na wysypaną trocinami podłogę, spojrzął na Myszołowa i powiedział:

– Miło cię widzieć, Cochranie. Moja matka mawiała, ciesz się życiem, póki je masz. Najwyraźniej miała rację. – Pociągnął długi łyk wina i dodał: – Myślałem, że nie mógłbyś być szpetniejszy. Najwyraźniej nie miałem racji.

Myszołów zaczął się śmiać, co było dla niego nowym doświadczeniem, i szybko stwierdził, że jego płuca i gardło sobie nie poradzą. Przez kilka sekund zmagął się z gwałtownym, bolesnym atakiem kaszlu, co sprawiło, że trzasnął pięścią w stół na znak frustracji i protestu przeciwko swojej dolegliwości. Rozejrzał się w poszukiwaniu niewolnika, który wciąż stał przy poprzednim stole, i wściekłym gestem przywołał go

do siebie. Niewolnik był w połowie izby, gdy zdał sobie sprawę, że zostawił rum, skoczył po niego i gorączkowo podbiegł do swojego pana, żeby znów wetknąć dziobek w otwór maski.

Całe to szaleńcze przedstawienie było tak niedorzeczne, że przełamało napięcie i powróciły przerwane rozmowy, przekomarzania się i wściekłe obelgi. Po chwili zaczęły się walki kogutów i tłum w izbie się przerzedził, gdy goście wychodzili na zewnątrz, żeby oglądać rzeź. W ten sposób Myszołów i kapitan Benbury zyskali więcej spokoju.

Przez kilka minut Myszołów opowiadał o tym, jak przeżył, został uratowany i zwerbowany przez księcia Jahana. Przedstawił siebie w najlepszym świetle, podkreślając, że szkolenie przywróciło mu umiejętność władania bronią, i w sprośnych słowach opowiedział o konkubinach, które widział w haremie księcia.

– Naprawdę? – zapytał Benbury, gdy Myszołów opisał spotkanie oko w oko i ciało w ciało z faworytą księcia. – Zawsze słyszałem, że jedynymi mężczyznami, którym wolno wchodzić do sułtańskich haremów, oczywiście poza sułtanami, są tylko eunuchowie. Musiałem zostać źle poinformowany, bo to chyba nie znaczy, że jesteś eunuchem, co Cochran?

Myszołów gwałtownie zaprzeczył tej niedorzecznej sugestii i wyjaśnił, że wizyta w haremie była oznaką wyjątkowej łaski księcia.

– Tak, z pewnością – przytaknął Benbury, choć widział kłódki na masce i pierścień na szyi, nie wspominając o tym, że dwóch strażników ani na chwilę nie spuszczało oka z Myszołowa. Uznał, że obecnie hrabia Kumbrii nie dorównuje pozycją parowi Angielskiej Korony, ale jest czymś pośrednim między więźniem, niewolnikiem i tańczącym niedźwiedziem.

Myszołów widział sceptycyzm swojego towarzysza. Widział, że Benbury zatrzymał spojrzenie na obroży, i w głębi duszy chciał krzyknąć: „Tak! Może mnie prowadzić jak przekłętą psa. I co z tego?”. Ale czy to by coś dało? Lepsze milczące porozumienie niż ciągnięcie sprawy, przynajmniej na razie. Doszedł do wniosku, że nadszedł czas na zmianę tematu.

– Więc, Benbury, wysłuchałeś mojej opowieści – rzekł. – Teraz ty mi powiedz, co sprowadza ciebie i twojego *Pelicana*, bo przypuszczam, że nadal jesteś jego kapitanem, do tej ropiejącej nory.

– Owszem, Cochranie, wciąż jestem dumny, mogąc się zwać kapitanem *Pelicana* – odparł Benbury. – I przyszło mi na myśl, że być może będziesz

zainteresowany, co tutaj robię, i że może obaj odniesiemy z tego korzyść.

Myszołów pochylił się i przekrzywił głowę, żeby móc świdrować wzrokiem siedzącego naprzeciwko mężczyznę.

– Jak?

– Cóż, biorę udział w swego rodzaju spekulacji. Znasz portugalskiego dżentelmena, niejakiego Balthazara Loba?

– No tak, znam.

– Jest niezwykłym dżentelmenem. Z pewnością nie muszę ci mówić, że od wielu długich lat Portugalczycy rządzą portami wzdłuż całego wybrzeża Suahili, uniemożliwiając innym białym handel złotem wydobywanym w tubylczych królestwach w głębi lądu.

– Wiem o tym wszystko, Benbury. Tak, widziałem mijający mnie portugalski statek, ciężki od złota w ładowniach, i przeklinałem zakończenie wojny z Portugalią, bo to odebrało mi powód, żeby go zaatakować.

– Posłuchaj, przez wszystkie te lata Portugalczycy trzymali się swoich portów i rzadko zapuszczali się w głąb lądu. Owszem, tu i ówdzie założyli kilka faktorii i misjonarze wyruszali na poszukiwanie pogańskich dusz, żeby je nawracać, ale wydobyć złota zostawili tubylcom. Tenże Balthazar Lobo zdecydował, że nie ma ochoty czekać na złoto sprowadzane na nabrzeże. Nie, ruszył prosto w głąb lądu, do miejsca zwanego królestwem Manyika, żeby samemu kopać przeklętą rudę.

– Wyobrażam sobie, że miejscowa starszyzna nie była tym zachwycona.

– Przypuszczam, że Lobo dobrze im zapłacił. Założył kopalnię i, na Boga, znalazł złoto w skałach. Jest teraz bogaty jak Krezus.

– Jesteś na jego usługach, Benbury? Czy na tym polegają twoje interesy?

– Nie, nie płaci mi... jeszcze nie. Ale mam nadzieję, że zacnie. Widzisz, *señor* Lobo ma maleńki problem. Nie może znaleźć kobiety, która da mu dziecko.

– Może problem nie leży po stronie kobiet.

– Tak, zapewne masz rację, Cochran. Ale przypuśćmy, że ktoś znajdzie kobietę, o której wie, że jest brzemienna, po czym sprzeda ją Lobowi, zanim jej stan się uwidoczni? Lobo pomyślałby, że to jego dziecko, i czy nie byłby szczerze wdzięczny człowiekowi, który przyprowadził mu matkę tego małego cudu?

– Tak, z pewnością, i przypuszczam, że jego wdzięczność przełożyłaby się na wymierne korzyści.

– Próbowałem znaleźć idealną dziewczkę, żeby ją sprzedać Lobowi. Przybyłem

tutaj, żeby zobaczyć, czy nie ma takiej w Zanzibarze. Ale gdy słuchałem twojej opowieści o haremie sułtana, zacząłem się zastanawiać. Ciekawe, co się dzieje, kiedy twój sułtan znudzi się dziewczyną? Myślę, że ją sprzedaje innemu mężczyźnie. Jeśli tak, wtedy może ty, Cochranie, mógłbyś użyć swoich wpływów i nakłonić potężnego księcia Jahana, żeby mi sprzedał jedną ze swoich dziewczyn, a ja nagrodzę cię za fatygę.

Myszolów rozciągnął usta w uśmiechu niemal równie szerokim jak ten wymalowany na masce, która skrywała jego twarz. Oto tutaj w mało sympatycznej osobie Hamisha Benbury'ego ujrzał rozwiązanie wszystkich swoich problemów, koniec udręk i okazję na rozpoczęcie nowego życia, uwolnienie się od księcia i dokonanie zemsty na Courtneyu.

– Tyle mogę zrobić, a nawet więcej, Benbury. Mogę sprawić ci sukę, która da Lobowi szczenię już noszone w brzuchu. I nie będzie cię to kosztować złamanego grosza... z wyjątkiem połowy pieniędzy, jakie Lobo ci za nią zapłaci.

– Dlaczego miałbym się z tobą dzielić?

– Ponieważ ta kobieta warta jest bająńskiej sumy i, na Boga, sprawi, że Lobo poczuje się jak król, gdy ją dostanie.

Myszolów zaczął mówić. Mówiąc, wypił całe poidło rumu, potem drugie, a następnie osuszył z Benburym butelkę wina. Po zakończeniu rozmowy i picia uścisnęli sobie ręce na znak zgody i Myszolów wyszedł z Três Macacos ze swoim niewolnikiem i strażnikami, czując się znacznie lepiej niż w chwili, kiedy tam przybył, lepiej niż kiedykolwiek od czasu, jaki minął od zatonięcia *Gull of Moray*. Tak dobrze, że spojrzał w niebo i szepnął kilka słów do swojego Stwórcy.

– Dziękuję, bardzo dziękuję, ty stary łajdaku. Najwyższy czas, żebyś wyświadczył mi przysługę.

Trzech ludzi sunęło niczym duchy po dachach miasta. Bosi i cisi jak cienie, Hal, Duży Daniel i Will Stanley przeskoczyli przez wąską lukę na płaski dach domu stojącego za rezydencją konsula Greya. Dotarcie aż tutaj wcale nie było łatwe. Niektóre dachy były kryte dachówkami, które albo grzechotały pod ręką czy nogą, albo okazywały się zdradliwie poluzowane, więc od czasu do czasu któryś z nich się ześlizgiwał z zatrzymującym serce hałasem. Tylko długie doświadczenie, jakiego nabyli na masztach i rejach kołyszącego się okrętu, chroniło ich przed śmiertelnym upadkiem. W końcu udało im się dotrzeć do punktu obserwacyjnego leżącego może pięć stóp wyżej niż dach domu Greya.

W przeciwieństwie do frontowej ściany z okazałymi mahoniowymi drzwiami, misternie rzeźbionymi w islamskie motywy, tyły rezydencji prezentowały się znacznie skromniej. Najważniejsze, że były tam okna, a pod nimi biegły gzymsy. Niektóre okna wychodziły na balkony z prostymi drewnianymi balustradami. Jeden z nich miał umożliwić im wejście.

– Widzicie go? – zapytał Daniel.

Oczy Hala, zawsze bystre jak jastrzębie, omiatały mrok w poszukiwaniu Abolego. Tutaj nie sięgało światło latarń z dołu, a nocne niebo przysłaniały chmury, zza których od czasu do czasu wyglądał księżyc, zalewając dachy srebrzystym blaskiem.

– Jeszcze nie – odparł Hal. Za to widział strażników: dwóch Afrykanów w białych szatach stojących przy bramie pośrodku tylnego muru, przeznaczonej dla handlarzy i służby. Strażnicy mieli garłacze. Uznał, że to przemyślnie wybrana broń, ponieważ ryczała jak wszyscy diabli, zawiadamiając o zaistniałych kłopotach całą okolicę.

Naprzeciwno nich dwaj mężczyźni powoli chodzili po dachu z jednej strony na drugą. Nie było ich tam, kiedy Hal przyszedł z Pettem na spotkanie z konsulem. Ale przecież Grey zawsze był człowiekiem umiejącym dbać o swoją skórę. Chciał mieć pewność, że jeśli coś pójdzie źle z nocną brudną robotą, on będzie miał dobrą ochronę.

– Tam! – szepnął Hal.

Duży Daniel i Stanley przyczołgali się do niego.

– Jezus Maria, naprawdę nie brak mu śmiałości – syknął ten pierwszy.

Nisko pochylony Aboli z nożem w ręce mknął po dachu szybko i płynnie jak

ptasi cień, zachodząc od tyłu jednego ze strażników.

Hal wstrzymał oddech, pewien, że strażnik się odwróci. Że wypali z garłacza. Ale Aboli rzucił się na niego jak lampart na antylopę. Lewą rękę zacisnął mu na ustach i nosie, a drugą wbił nóż w szyję pod uchem z taką siłą, że ostrze wyszło z drugiej strony. Pociągnął nożem, rozcinając gardło, i gdy nogi strażnika się ugięły, bezszelestnie położył go na dachu.

Znów był w ruchu, lecz drugi strażnik dotarł do wschodniego skraju dachu i już się odwracał. Stanley zaklął pod nosem.

– Nie uda mu się – mruknął Duży Daniel.

Strażnik poderwał garłacz, lecz nie był dość szybki. Aboli wbił mu nóż w serce, wyrwał ostrze i chlasnął po szyi, zanim mężczyzna zdążył wrzasnąć. Chwycił garłacz, gdy strażnik jeszcze stał, dławiąc się własną krwią, już martwy, zanim jego nogi się o tym dowiedziały. Aboli go położył, przeszedł na skraj dachu i rozwinął linę, którą miał okreconą w talii jak szarfę.

Daniel westchnął.

– Bóg świadkiem, że kocham go jak brata, ale jest bardziej zabójczy niż przeklęta ospa.

Podnieśli się, gdy Aboli stanął na krawędzi dachu i cisnął zwój liny Halowi, który chwycił go w locie. Afrykanin okręcił się w pasie swoim końcem, po czym się zsunął i zawisł, trzymając się dachu. Chwilę później opadł na wąski gzyms pod oknem na najwyższym piętrze, gdzie znajdowały się kwatery służących. Jeśli ktoś wewnątrz go usłyszy albo zobaczy cień w oknie, Aboli będzie skończony, nie wedrą się do domu i Hal być może nigdy się nie dowie, dokąd zabrano Judith.

– Niech Bóg ma go w opiece – szepnął Duży Daniel.

– Znacznie lepsze byłoby coś, do czego można przywiązać linę – zauważył Stanley.

Hal obawiał się, że Stanley ma rację, był tam bowiem tylko gzyms i okno, z którego ciepły żółty blask sączył się w noc.

Ale gdy tyko padły te słowa, Aboli zeskoczył z gzymsu i miękko wylądował na małym balkonie dobrych dziesięć stóp niżej. Uwolnił się od liny i przywiązał ją do drewnianej balustrady. Za wysokim oknem z zamkniętymi okiennicami panowała ciemność.

– Teraz nasza kolej – oznajmił Duży Daniel, okręcając się liną i cofając, aż się napięła. Na płaskim dachu nie było niczego, do czego mogliby ją przywiązać, więc

Duży Daniel, wielki i silny, miał służyć za kotwicę, która utrzyma ciężar Hala i Stanleya, gdy będą się zsuwać.

– Na pewno starczy ci siły? – zapytał Stanley z półuśmiechem.

– Jeśli nie, zaraz się o tym dowiesz – odparł sternik.

– Podobnie jak ty, Danny, jeśli ten węzeł jest nie taki, jak trzeba – wtrącił Hal, przygotowując się do tego, co zaraz musieli zrobić. – Ja pójdę pierwszy – oznajmił, gdy Aboli pomachał ręką, zapraszając ich do przeprawy. Hal chwycił linę w ręce i owinał ją nogami; przez chwilę wisiał jak upolowany jeleń na drągu. Duży Daniel ciągnął, prężąc potężne ramiona i nogi silne jak dęby, żeby lina była mocno napięta.

– No to ruszaj, kapitanie – rzucił.

Hal z wiszącym u boku rapierem i pistoletami zatkniętymi za szarfę zaczął opuszczać się w noc. Nie było już gadania, tylko koncentracja, mięśnie i ścięgna. Mając nogi skrzyżowane na linie i używając ich tylko jako haków, przesuwał się nad leżącą w dole ulicą. Połowę życia spędził na masztach i oczywiście nie miał lęku wysokości, ale jeśli któryś z pozostałych strażników wyjdzie z domu albo ktoś przypadkiem wyjrzy przez okno na tyłach rezydencji, wtedy żeglarskie umiejętności go nie uratują.

Zawieszony w ciemności, niewiele widział wokół siebie. Słyszał w uszach bicie swojego serca, szczekanie psów na uliczkach Zanzibaru, cykanie świerszczy i płynące z dali łagodne westchnienia morza. Czekał na krzyk alarmu albo trzask ognia z pistoletu. Nic takiego się nie stało i dotarł na koniec liny żywy, przez nikogo niezauważony.

Przerzucił nogę przez balustradę, wciągnął się na balkon i stanął twarzą w twarz z Abolim. Mężczyźni skinęli do siebie na znak, że doceniają swoje dotychczasowe dokonania, spojrzeli nad uliczką i patrzyli, jak Will Stanley opuszcza się po linie. Akurat wtedy chmury się rozstąpiły i zimne światło księżyca skąpało dachy Zanzibaru. Stanley zamarł na moment, ale zaraz ruszył dalej, przekładając dłonie na linie; potężne mięśnie jego ramion połyskiwały w poświacie. Nagle lina zadrżała i Hal usłyszał przekleństwo Dużego Daniela, który stracił oparcie i sunął ku krawędzi dachu. Stanley gwałtownie opadł, ale nie puścił liny. Duży Daniel odchylił się do tyłu i napiął linę, aż ponownie stała się sztywna niczym drzewce. Stanley znów zaczął szybko przekładać ręce.

Gdy dostał się na balkon, Aboli już stał przy oknie, trzymając sztylet, którym tak wprawnie rozprawił się ze strażnikami. Teraz uderzył rękojęścią w jeden z małych

oprawionych w ołów rombów i wcisnął rękę przez otwór, żeby odsunąć zasuwkę. Okno się otworzyło i Aboli wskoczył do środka z uniesionym nożem, gotów zlikwidować każdego, kogo tam zastanie.

Pokój okazał się pusty, wyjąwszy kilka sztuk mebli okrytych płachtami. Hal i Stanley dołączyli do Abolego i ruszyli do wyjścia. Hal powoli, jak najciszej uchylił drzwi i spojrzał przez szczelinę. Zobaczył dokładnie to, na co miał nadzieję: krużganek biegnący na wysokości pierwszego piętra wzdłuż trzech ścian dziedzińca, z drzwiami prowadzącymi do pokoi. Na czwartej, na wprost pomieszczenia, w którym teraz stali, nie było krużganka. Tam pokoje były znacznie większe, zajmując całą szerokość budynku, i miały okna przedzielone ozdobnymi metalowymi filarkami z rozpiętą pomiędzy nimi delikatną jak koronka kratą. Uznali, że to najświetniejsze komnaty rezydencji, i śmiało mogli założyć, że zajmuje je konsul. Hal dostrzegł za oknami migotliwy blask świec, co sugerowało, że Grey jeszcze nie śpi. Cholera! – zaklął w duchu. Jeśli ma towarzystwo, to skomplikuje sprawę.

Gestem przywołał pozostałych i razem wyszli na krużganek. Wiedział, że na zewnątrz, przy głównym wejściu, jest jeszcze dwóch strażników, ale na krużganku i dziedzińcu nie dostrzegł żywego ducha.

Ruszyli wokół dziedzińca. Miękki plusk fontanny w basenie pod nimi maskował szmer ich stóp na wyłożonej kafelkami podłodze. Dotarli do łuku w kształcie cebuli, w którym były osadzone drewniane drzwi. Hal dobył rapier i trzymał go w pogotowiu, lewą ręką przesuwając rygiel. Mocno pchnął drzwi ramieniem i gdy się otworzyły, wskoczył do komnaty, a za nim Aboli i Stanley.

Usłyszał piskliwy krzyk trwogi i ledwie krok dalej zobaczył nagiego konsula, okrytego tylko przez puszyste włosy porastające tors; widział jego wydatny brzuch i krocze.

– Sir Henry... – wyjąkał Grey. Jego zwiotczały członek chował się we włosy łonowe jak ryjkowiec w suchara, z którego przed chwilą wyglądał. Na łóżku za nim leżał nagi afrykański chłopiec. Jego ciało w kolorze kawy lśniło od olejku, a białka oczu jarzyły się w świetle lampy. W drobnej dłoni trzymał szpicrutę. Grey wyrwał mu ją i zamierzył się na intruzów w żalonym pokazie oporu.

– Panie konsulu... – Hal odwzajemnił powitanie, kierując w jego stronę rapier.

– Ktoś idzie, Gundwane – powiedział Aboli. Usłyszeli szuranie stóp na kamiennych schodach i zrozumieli, że krzyk Greya kogoś zaalarmował.

Ktoś dwa razy zapukał do drzwi i zawołał:

– Panie konsulu! Wszystko w porządku? Panie konsulu?

Grey przeniósł spojrzenie z Abolego na Hala i ostrze rapiera, które unosiło się kilka cali od jego pępka. Następnie z twarzą zastygłą ze strachu i niezdecydowania popatrzył na drzwi.

– Pomocy! – ryknął. Drzwi się otworzyły i do komnaty wpadło dwóch mężczyzn w długich szatach, z nagimi szablami.

Aboli rzucił się na jednego, owinął mu ręką gardło i szarpnął do tyłu. Hal poderwał miecz, żeby sparować cięcie wymierzone w jego twarz. Ostrza zaśpiewały i zanim strażnik mógł znowu się złożyć do ciosu, Stanley zaatakował go od tyłu i wbił mu nóż w nerkę, po czym rozplątał mu gardło, uwalniając gejzer krwi. Strażnik upadł, jego szata zrobiła się szkarłatna, krew bluzgała z szyi na podłogę. Stanley odwrócił się w stronę łóżka i spiorunował wzrokiem chłopaka, który się wczołgał pod jedwabną narzutę i naciągnął ją na głowę.

Przy drzwiach Aboli udusił drugiego strażnika.

– Idź z Allahem – rzekł cicho i delikatnie położył trupa z wywieszonym opuchniętym językiem.

Konsul się zmoczył. Strumień moczu rozbryzgiwał się po deskach podłogi i spływał po jego nodze. Był zbyt przerażony, by wiedzieć, co zrobił.

– Gdzie jest Judith? Dokąd ją zabrali? – zapytał Hal, przykładając sztych rapiera do pękatego brzucha konsula.

Aboli zamknął drzwi komnaty i oparł się o nie plecami.

Grey nie podjął próby udawania, że nic nie wie o porwaniu Judith. Musiał sobie zdawać sprawę, że jest na to za późno. Nie był jednakże skłonny do mówienia. Krople potu spływały po jego twarzy, podwójny podbródek mu drżał, lecz konsul milczał jak zaklęty.

Hal ręką rapiera uderzył go w twarz. Grey zatoczył się, ale utrzymał się na nogach. Wyprostował się, na jego policzku już rozkwitał siniak.

– Dokąd zabrali Judith? – powtórzył Hal.

Tym razem użył pięści, waląc nią w skroń Greya.

Konsul stracił równowagę, a kiedy ją odzyskał, szeroko otwierał oczy ze strachu.

– Chcesz mnie zabić, Hal, prawda? Daj spokój, chłopcze, chyba możemy pójść na kompromis w tej sprawie.

– Nie zapytam znowu, panie – oświadczył Hal stanowczo. – Masz mi

powiedzieć, co Myszołów i jego ludzie zrobili z Judith.

– Ta zabawa ciągnie się zbyt długo – wtrącił Aboli.

– Idź do diabła, Courtney – warknął Grey, wreszcie zbierając się na odwagę. A może po prostu wyzbył się nadziei, że przeżyje tę noc.

Hal uniósł rapier, żeby znów uderzyć go rękojeścią.

– Czekaj, Gundwane – powstrzymał go Aboli. Hal opuścił broń i spojrzał na swojego towarzysza. – Mogę go zmusić do wyjawienia tego, czego chcesz się dowiedzieć.

Kapitan się zawahał.

– Spędzimy tu całą noc – przekonywał go Afrykanin. – Chyba że mi pozwolisz nakłonić go do mówienia.

Hal marzył o tym, żeby wbić sztych rapiera w serce konsula, ale takie posunięcie nie ocali Judith. Dlatego spróbował uciszyć gniew, który w nim płonął.

– Bierz go, Aboli.

Wojownik podszedł do krzesła, na którym leżały schludnie złożone spodnie i koszula. Odciął pas materiału z koszuli i wcisnął go w usta Greya, głęboko wpychając kciukiem, aż konsul się zakrztusił. Aboli przestawił krzesło na środek pokoju i posadził na nim Greya, po czym podarł bawełniane prześcieradła na pasy. Skręcił je w cienkie sznury i przywiązał nogi konsula do nóg krzesła. Hal wiedział, do czego zmierza. Afrykanin wziął pas Greya i skrępował nim jego ręce za oparciem krzesła.

Ten wlepił w niego wytrzeszczone oczy. Cała lewa strona jego twarzy przybierała ciemnopurpurowy kolor portweinu. Tłuste nogi dygotały.

Aboli kucnął za krzesłem, niemal znikając z pola widzenia, i nożem zabrał się do pracy. Grey wrzasnął, chociaż spod knebla popłynął tylko zduszony bełkot, a Aboli stęknął, gdy wyteżał siły, żeby przeciąć kość. Kiedy skończył, uniósł rękę i Hal zobaczył czubek tłustego palca. Aboli się podniósł i obszedł krzesło, żeby pokazać konsulowi paznokieć z kawałkiem ciała i kości.

– Powiedz kapitanowi, co chce wiedzieć, panie Grey – zachęcił. – A może wolisz skończyć jako głuchy i ślepy? Czy mam ci odciąć język i wyłupać oczy? Wtedy nie będziesz się bawić.

Konsul gorączkowo pokiwał głową, dając do zrozumienia, że będzie mówić. Aboli położył odcięty palec na podłodze w widocznym miejscu i wyciągnął knebel. Grey wyglądał jak człowiek bliski omdlenia.

Hal wziął z komody dzban wina i przyłożył do jego ust. Konsul się napił i

prychnął, wino spłynęło po jego wielkim brzuchu.

– Dokąd Myszołów zabrał Judith? – zapytał Hal i tym razem Grey pokiwał głową, jakby nie chciał niczego więcej, jak tylko wszystko wyznać.

– Prawda, kapitanie Courtney... – Znacząco spojrział na dzban wina, pragnąc uśmierzyć ból, i Hal wlał mu następną porcję do gardła. – Prawda – podjął konsul, ciężko oddychając – jest taka, że nigdy więcej nie ujrzysz tej czarnej dziwki. Trafiła do księcia Jahana, który ją sprzeda na comiesięcznym targu niewolników, tu, w Zanzibarze. Tam gdzie się wystawia na aukcję wszystkie najlepsze ogiery i największe ślicznotki.

Gniewnie spojrział na Hala, z twarzą bladą i śliską od potu, po czym dodał:

– Kiedy zostanie sprzedana, nigdy jej nie znajdziesz. Kupcy ściągają z całego Lewantu, Afryki Północnej i nawet z Indii, więc może trafić do każdego miejsca od Konstantynopola po Kalkutę. Następny Courtney urodzi się i umrze jako niewolnik. A jego matka do końca swego nieoświeconego żywota będzie żałować, że śmiała się sprzeciwić woli księcia Jahana i armiom Jedynego Prawdziwego Boga.

Nagle Grey rzucił się do tyłu i krzesło się przewróciło, zanim Hal czy Aboli zdążyli je złapać. Konsul runął na deski, obrócił twarz ku podłodze i zaczął krzyczeć co sił w płucach.

Hal usłyszał tupot nóg, krzyk: „O!” i łoskot, gdy ktoś upadł na drewnianą podłogę. Odwrócił się i zobaczył Stanleya, który leżał jak długi, i błysk nagiej skóry, gdy chłopak Greya uciekał tak szybko, jak tylko nogi go mogły ponieść.

– Chciałem złapać małego łajdaka, ale był śliski jak piskorz – burknął Stanley.

Skądś dobiegł stłumiony krzyk. Wydawano rozkazy.

– Nadciąga ich więcej – powiedział Aboli z uchem przy drzwiach.

– W takim razie pora się zmywać – zarządził Hal. Przystanął przy drzwiach, gdy Aboli i Stanley wybiegli na kruzganek.

Grey wciąż był przywiązany do krzesła. Wciąż krzyczał w deski i podrygiwał jak złapana ryba, żeby robić jak najwięcej hałasu.

– Powiedz Judith, żeby nie traciła wiary – warknął do niego Hal. – Bo ją znajdę i uwolnię.

Wyszedł z pokoju i pomknął za swoimi towarzyszami. Z dziedzińca napływał gwar głosów, ktoś krzyknął na alarm. Parę sekund później padł strzał i z kolumny przed Halem posypały się marmurowe odpryski. Zaraz potem rozbrzmiały kolejne krzyki i tupot stóp. Hal dopędził Abolego i Stanleya, gdy zniknęli w pokoju, przez

który weszli do budynku. Zatrzasnął za sobą drzwi, zerwał płachtę z dużej komody i krzyknął:

– Szybko! Pomóżcie mi zatarasować wejście.

W szaleńczym pośpiechu przesunęli komodę. Pobiegli do okna, wyszli przez nie na balkon i zamknęli je za sobą. Hal spojrzął przez lukę pomiędzy budynkami i zobaczył, że Daniel, wyraźnie zaniepokojony zamieszaniem panującym w domu konsula, stoi na skraju dachu z już napiętą liną, mocno wygięty do tyłu.

– Ty pierwszy, Stanley – rozkazał Hal.

Chwilę później bosman przesunął się już po linie. Gdy dotarł do połowy z wnętrza budynku dobiegło łomotanie – pościg próbował wdrzeć się do pokoju. Nagle grad drzazg uderzył w okna, gdy ktoś wypalił z pistoletu, wyrwijąc dziurę w drzwiach.

– Ty następny, Aboli – powiedział Hal.

– Ale, Gundwane...

– Ruszaj! To rozkaz. Mam jeszcze to.

Hal wskazał pistolety zatknięte pod szarfą. Afrykanin z niechęcią skinął głową, chwycił linę i zaczął się przeprawiać. Hal stał na balkonie plecami do ściany przy oknie, patrząc na przyjaciela i nad słuchując pościgu. Wyjął pistolet.

Aboli zbliżał się do dachu po drugiej stronie ulicy, kiedy zabrzmiał trzask drewna i triumfalny okrzyk. Hal policzył do trzech, obrócił się, otworzył okno i wymierzył. Jego celem był mężczyzna przełazący przez komodę nie więcej niż dziesięć czy dwanaście stóp dalej. Hal zmusił się do zachowania absolutnego spokoju w panującym zamęciu, unieruchomił rękę i nacisnął spust. Mężczyzna wrzasnął z bólu i głową naprzód spadł z komody. Hal wsunął pistolet za szarfę i chwycił drugi. Wycelował w dziurę w drzwiach, przez którą widział roztrajkotanych, gestykulujących ludzi. Strzelił i w odpowiedzi usłyszał wycie, które zdawało się trwać bez końca.

Nie wiem, w co trafiłem, ale zabolalo, pomyślał, odwracając się ku balustradzie i chwytając linę. Zyskał kilka cennych sekund, gdy ludzie konsula dochodzili do siebie po utracie dwóch swoich towarzyszy. Ale zaraz potem ktoś, kto najwyraźniej wiedział, co robi, objął dowodzenie i tchnął w nich trochę ducha walki. Do Hala dotarło, że chwila wytchnienia dobiegła końca. Zwisiał na linie i się podciągał, kiedy znowu usłyszał trzask pękającego drewna i pierwszy strzał z muszkietu, gdy ludzie się wdarli do pustego pokoju. Wykręcił szyję i spojrzął na daleką ścianę. Pokonał jakieś dwie trzecie drogi.

– Pośpiesz się, kapitanie! – ponaglił go Duży Daniel.

– Są już na dachu, panie! – krzyknął Will Stanley. – Na Boga, mają pistolety zabitych kamratów!

Hal usłyszał trzask broni palnej, dwa strzały, i poczuł podmuch, gdy kula minęła go o cal, zanim ugrzęzła w murze.

Na balkonie zabrzmiał radosny okrzyk. Hal nagle opadł, zakołysał się i uderzył o ścianę.

Przecięli cholerną linę!

Poczuł, że się zsuwa, i wiedział, że Daniel, zmuszony do dźwigania całego ciężaru, ma kłopoty z trzymaniem liny.

– Nie martw się, kapitanie! – zawołał Daniel. – Trzymamy cię. Tylko się pośpiesz.

A żebyś wiedział! – pomyślał Hal i zaczął mknąć w górę z prędkością człowieka, dla którego wspinaczka po linie jest równie naturalna, jak wchodzenie po schodach. Z ulicy napłynęły kolejne krzyki i huk strzałów, ale on już się przetoczył przez murek na dach.

– Dobra robota, Danny – powiedział. – Cholernie dobra robota!

– Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni, kapitanie – zaznaczył Duży Daniel.

Hal wyszczerzył zęby.

– W takim razie ruszajmy do łodzi.

Pobiegli, już nie dbając o zachowanie ostrożności, napędzani potrzebą znalezienia się na pokładzie *Delfta*, zanim konsul Grey powiadomi omańskich żołnierzy w miejskim garnizonie. Uciekali na zachód w kierunku morza po krytych dachówką dachach, przeskakując z jednego na drugi. Wreszcie krzyki pościgu ucichły i gdy zyskali pewność, że wysłiznęli się ze stryczka, zbiegli po kamiennych schodach na oświetloną przez księżyc alejkę dwie ulice od nabrzeża. Stanęli u stóp schodów, z rękami na kolanach i pochylonymi głowami, oddychając ciężko.

Po chwili znów ruszyli biegiem.

Pędzili wzdłuż nabrzeża, mając po lewej stronie morze upstrzone bielą w blasku księżyca, w kierunku stopni pomostu, przy którym czekała szalupa. To oznaczało, że zmierzali ku fortecy strzegącej portu i garnizonu, który z pewnością był już zmobilizowany – konsul Grey pociągał za sznurki.

Byli w odległości jakichś dwustu jardów od białych murów fortu, kiedy wielkie okute żelazem drzwi ze szczękiem się otworzyły i wypadł przez nie pluton omańskich

żołnierzy potrząsających bronią. Oficer ich zauważył i kilku jego ludzi przystanęło, żeby się złożyć do strzału; długa broń bluznęła ogniem w noc. Hal, słysząc kule drące powietrze wokół nich, skulił głowę i przyspieszył biegu.

– Naprzód! – krzyknął. – Nie zatrzymywać się!

Biegli przed siebie, prosto ku gromadzie odzianych na biało żołnierzy, którzy wylewali się z bramy fortu.

– Za Boga i króla! – ryknął Hal z rapierem w prawicy i pistoletem skałkowym w lewej ręce. – Za Boga i króla!

Nagle dało się słyszeć kilkanaście nowych głosów, gdy załoga szalupy przybiegła po schodach. Marynarze wpadli na nabrzeże, strzelając z pistoletów w zdeorientowaną gromadę żołnierzy. Ta niespodziewana interwencja spowodowała wybuch zamętu w szeregach Arabów. Gdy salwa powaliła kilku z nich, ci, którzy jeszcze stali na nogach, odwrócili się w stronę niespodziewanego zagrożenia.

– Za Boga, króla i *Golden Bough!* – wrzasnął dowodzący szarżą Duży Daniel, zamaszystym cięciem korda ścinając głowę żołnierzowi.

Pozostali marynarze dołączyli do potyczki, siekąc i dźgając jak wcielenie furii.

– Za *Golden Bough!* – ryknął Hal, tnąc rapierem twarz żołnierza. Gdy mężczyzna upadł, Courtney szybko się rozejrzał. Zobaczył, że stracili przewagę zaskoczenia i że wróg ma znaczną przewagę liczebną. – Wygląda na to, chłopcy, że nadużyliśmy gościnności! – krzyknął. – Obsadzić szalupę, panie Danielu!

Podzwanianie i zgrzyt stalowych ostrzy, stęknienia i krzyki ludzi walczących o życie napełniły zanzibarską noc. Hal widział, jak marynarz, którego znał przez całe życie, zginął od zakrzywionego sztyletu, który rozplątał mu gardło, i jak drugi runął na ziemię z czaszką rozbitą kolbą muszkietu. Widział, jak Will Stanley odcina rękę Arabowi, widział, jak Aboli zabija trzech Arabów w czasie, w jakim uczeń liczy do trzech.

Ale z fortu nadciągali kolejni żołnierze.

– Do łodzi! – wrzasnął w panującym zgiełku.

Hal wskakiwał do drugiej łodzi, kiedy usłyszał, że omański oficer rozkazuje otworzyć ogień. Zagrzmiała salwa i młody marynarz wpadł do wody.

– Zabierajcie nas na *Delfta*, jeśli łaska, panowie! – zawołał Hal, stojąc wyprostowany i z uniesioną głową, gdy kule z pistoletów i muszkietów smagały morze dokoła nich.

Nieprzyjacielski ostrzał stawał się coraz bardziej chaotyczny i dziki, gdy

zwiększali odległość, aż w końcu weszli na pokład czekającego statku.

– Ruszamy, panie Tromp – rzucił Hal, gdy wspiał się po bakburcie. – Kierunek: kanał, jeśli łaska. Przy pierwszej sposobności popłyniemy z wiatrem w zawody.

– Kierunek: kanał, panie kapitanie. – Tromp potwierdził rozkaz, pociągając rumpel. Płótna strzeliły równie głośno jak dalekie strzały na murach fortu, gdy wydeła je silna nocna bryza.

– Pan najlepiej zna statek, panie Tromp, więc proszę postawić takie żagle, jakie pan uzna za odpowiednie. Byle szybko, proszę pamiętać. Lepiej nie zwlekajmy pod tymi gapiącymi się na nas działami.

Tromp wydał szereg komend i *Delft* zareagował jak pełnokrwisty koń wyścigowy, drząc po sam kil, gdy ruszył lewym halsem; jego żagle połyskiwały bielą na tle nocnego nieba, kiedy nabierali prędkości.

W tym czasie kanonierzy na murach fortecy zmieniali ustawienie dział. Zanim skończyli, statek znajdował się poza ich zasięgiem i skręcał na południe, żeby płynąć z wiatrem.

– Dobra robota, panie Tromp – powiedział Hal, gdy wyspa Zanzibar została daleko za nimi. – Proszę nas zabrać na *Golden Bough*, jeśli łaska.

Sztorm nadciągnął z północnego wschodu, od Indii i wysokich Himalajów, niczym zemsta Boga. Młody Sam Awdy wysoko na grocie dostrzegł go jako pierwszy. Wrzasnął ku tylnemu pokładowi, że kilka mil na rufą *Golden Bough* niebo się zmienia. Zciemniał je ogromny, wypiętrzony wał chmur i gdy tylko Hal zwrócił lunetę na tę złowieszczą masę, ocean pod nią zaczął wrzeć; biała piana odrywała się od pędzących grzywaczy.

– Nie uciekniemy, panie Tyler! – krzyknął i spojrzał na Trompa. – Lepiej zrefować za wcześnie niż za późno, prawda, panie Tromp?

Holender uśmiechnął się, słysząc starą żeglarską mądrość.

– Zrefuj za późno, a nigdy więcej nie zrefujesz, kapitanie – zgodził się.

– Nie zostawiaj mu zbyt wiele płótna do zabawy, panie Tyler! – zawołał Hal. – Ustaw go dziobem na wiatr i przywitamy się, jak na dżentelmenów przystało.

Tyler wydał rozkaz. Ludzie wspięli się po wantach i przesuwali po rejach, żeby zrefować żagle, podczas gdy sternik napierał na rumpel, żeby obrócić okręt dziobem ku temu, co nadchodziło.

Kapitan poszedł na rufę, żeby obserwować kolosalny wał chmur i deszcz smagający morze. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że płynący za nimi John Lovell zdejmuje żagle z *Delfta* i ustawia statek na wiatr, powtarzając ruchy *Golden Bough* jak tancerka z partnerem, i Hal znów skierował uwagę na swój okręt.

– Panie Stanley, proszę uszczelnić luki. Danielu, niech pan z łaski swojej sprawdzi, czy wszystkie działa są porządnie zabezpieczone. – Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, była kolubryna tocząca się po pokładzie armatnim, miażdżąca ludzi albo wybijająca dziurę w kadłubie.

– Idzie prosto na nas, chłopcy! – krzyknął. – I sądząc z wyglądu, ma zęby.

Gdy załoga pędziła na stanowiska i zabierała się do pracy, dla niewprawnego oka na pokładzie panował chaos, ale dla żeglarza widok był piękny. Każdy człowiek – czy z plemienia *amadoda*, czy z Limburgii w południowej Holandii, czy z Devonshire – sumiennie wypełniał obowiązki, żeby zapewnić sobie, innym członkom załogi i *Golden Bough* największe szanse na wyjście w tej próbie bez szwanku.

– Kapitanie, nie sądzi pan, że to kara? – zapytał Robert Moone. – Że czeka nas sąd za to, co tam mamy? – Skinął w stronę głównego pokładu, ale Hal wiedział, że mówi o tym, co się znajduje w ładowni, o beczkach z fałszywymi kośćmi, kawałkami Krzyża Prawdziwego, skrawkami skóry świętych i różnaitością Graalów.

– Jeśli zostaniemy osądzeni, panie Moone, to nie za ten ładunek, ale za zamiary w naszych sercach. Za nasze poczynania.

Moone ściągnął brwi.

– Skoro pan tak mówi, kapitanie...

– Czy nie ocaliliśmy jedyne prawdziwego Kielicha Chrystusa z rąk niewiernych, panie Moone? – zapytał Hal. – Nasz ładunek jest środkiem do celu, niczym więcej.

Nie podobało mu się przeniesienie dziwnego ładunku z *Delfta* na *Golden Bough* i szczerze mówiąc, od tamtej pory czuł się nieprzyjemnie. Ale ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, była załoga obawiająca się sądu bożego. Żeglarze byli dość przesądni nawet bez lęku, że ściągnęli na siebie zgubę, szukając zysku ze sprzedaży fałszywych relikwii. Hal skupił spojrzenie na pędzącej ku nim burzy.

– Panie Moone, nie ma pan nic do roboty? – zapytał.

Mężczyzna przeprosił i poszedł sprawdzić, czy szalupy są zabezpieczone.

Nie było czasu, żeby załoga zeszła na dół i włożyła smołowane płócienne kurtki. Żaden żeglarz z prawdziwego zdarzenia w takiej chwili nie myślał o własnej wygodzie, bo wszyscy wiedzieli, że ten szybki szkwał może się okazać dla okrętu zabójczy. Chmury kłębiły się groźnie, pędząc ku nim niczym lawina.

– Szybciej, panie Tyler, jeśli łaska! – Hal czuł nerwowe skurcze w brzuchu. – Nie guzdrać się! Mamy niewiele czasu!

Odwrócił się i popatrzył w niebo.

– Jestem gotowy! – rzucił mu wyzwanie i przeniósł spojrzenie na szczyt grotmasztu. – Na dół, Awdy! – wrzasnął, bo chłopak wciąż tkwił w bocianim gnieździe. – Przeklęty głupiec! – Podczas walki bocianie gniazdo jest najbezpieczniejszym miejscem, ale przebywanie tam podczas sztormu równa się samobójstwu.

– Burza go zabierze – zakrakał Aboli, popatrując w górę.

Hal już czuł wiatr na twarzy, gdy Ned Tyler obrócił dziób w kierunku sztormu.

– Trzymaj się! – ryknął, wyprostowany i zuchwały. Zacisnął ręce na relingu po odwietrznej, gdy lunął deszcz. Okręt położył się na burtę i fala przelała się nad relingiem po zawietrznej; zbijała ludzi z nóg, a tym, którzy nie upadli, sięgała do pasa. Ludzie czepiali się want, walcząc o życie.

– Aboli! Pomóż Nedowi! – krzyknął Hal.

Afrykanin posłusznie przedarł się do rumpla, żeby użyć swojej siły. W tej

chwili przeważała zdolność *Golden Bough* do utrzymywania się na powierzchni: okręt się podniósł i przechylił na drugą burtę. Ludzie ślizgali się po pokładzie, szukając oparcia dla rąk i nóg, póki reling ich nie zatrzymał. Hal przez straszną chwilę znajdował się pod wodą, mając wrażenie, że rozrywa mu płuca. Gdy obciążony ołowiem kil wyprostował fregatę, nawet w ryku wichury usłyszał przeraźliwy krzyk. Awdy wystrzelił z bocianiego gniazda niczym kamyk z procy. Spadł do wody i zniknął, jakby nigdy nie istniał, pochłonięty przez rozszalały ocean.

Hal nie usłyszał wrzasków ani dzikich krzyków spod pokładu, domyślił się więc, że wielkie kolubryny są porządnie zabezpieczone i kadłubowi nic nie zagraża. Zaraz potem dobiegło go rytmiczne poskrzypywanie pomp, gdy ludzie na dole usuwali wodę, która zalewała zęzy.

Nadeszły fale, wielkie góry wodne pędzone z północy, i kiedy uderzyły, Hal wiedział, że mimo skrupulatnych przygotowań będzie miał szczęście, jeśli nie straci masztu albo reje nie zostaną połamane jak chrust na rozpałkę.

– Ojcie, bądź z nami! – ryknął, mrugając, żeby się pozbyć słonej wody z oczu; zwracał się zarówno do swojego ojca, jak i do Boga w niebiesiech.

Następna fala była wysoka jak grotmaszt, z kotłującym się grzebieniem, łamiąca się w kaskadzie białej piany. Afrykańscy wojownicy, z których żaden nigdy nie przeżył czegoś takiego, wychodzili z siebie ze strachu; wrzeszczeli i wyśpiewywali wezwania do swoich leśnych bogów.

– Statek da radę! – krzyknął Hal, żeby podnieść na duchu załogę. – Widział gorsze rzeczy w swoim życiu. Przetrzyma tego łajdaka!

Ale świat jeszcze bardziej pociemniał i kapitan ujrzał sunącą na nich ścianę wody. Przygotował się na uderzenie.

Gdy fala runęła, w ciemności i szalejącej wodzie pomyślał, że słyszy wołający do niego znajomy, ukochany głos: „Trzymaj się, kochanie. Jesteś nam potrzebny. Ja i nasze dziecko cię potrzebujemy. Proszę, nie opuszczaj nas teraz. Proszę, nigdy nas nie opuszczaj”.

– Przeżyję! Przeżyję! – zawołał do niej. – Czekaj na mnie, Judith, ukochana! Czekaj na mnie!

Sztorm szalał przez dwanaście godzin. Kiedy wreszcie się skończył, zostawił *Golden Bough* w oplakany stanie, ale wciąż na powierzchni. Stracili tylko Sama Awdy’ego. Ludzie byli oszołomieni, wdzięczni Bogu i Halowi, że przetrwali.

Tylko on był przygnębiony. Sztorm rzucił jego złożoną z dwóch statków flotyllę

daleko na południe, daleko od Zanzibaru, i oddalił od Judith.

– Wiatr słabnie, Gundwane. – Aboli próbował go rozweselić. – Popłyniemy na północ i z pewnością dotrzemy na Zanzibar, zanim... – Chciał powiedzieć: „Judith zostanie sprzedana”, zdołał się jednak w porę powstrzymać. – Przed dniem targu – dokończył.

– Nie wątpię, że będziemy w pobliżu Zanzibaru – odparł Hal. – Ale czy na Zanzibarze? Jahan i jego ludzie będą się nas spodziewać. Każdy urzędnik portowy i celnik, każdy handlarz, każdy tragarz... wszyscy mieszkańcy będą mnie wypatrywać, mnie albo kogokolwiek innego podejrzanego o to, że śpieszy na ratunek Judith Nazet.

– Tyle że pan nie chce ratować Judith Nazet – wtrącił Tromp, jakby stwierdzenie było oczywiste, a nie absurdalne.

– Co pan ma na myśli, mówiąc, że nie chcę jej ratować? Oczywiście, że chcę! – warknął Hal.

– Nie, panie, nie chcesz. Chcesz ją kupić. W ten sposób możesz ją zabrać bez wyrządzania komukolwiek krzywdy. Będzie twoją własnością... chociaż – dodał z charakterystycznym uśmiechem Holender – jeśli nie masz nic przeciwko, powiem, że ta kobieta nigdy nie będzie niczyją własnością.

– Kupić...? – mruknął Hal z zadumą. – Tak... tak... rozumiem, do czego pan zmierza. To dobry pomysł, panie Tromp. Ale podtrzymuję moje zastrzeżenia. Będziemy ludźmi ściganymi, to znaczy na pewno Aboli i ja. Jak możemy wziąć udział w licytacji, jeśli w chwili, gdy któryś z nas otworzy usta, zostanie pojmany i najpewniej też trafi do niewoli?

– A jeśli nie pan będzie licytować? Jeśli będzie to ktoś znany w Zanzibarze, czyja obecność nie wywoła żadnych komentarzy?

Hal popatrzył na niego z zastanowieniem.

– Mówi pan tak, jakby już miał na myśli odpowiednią osobę.

– Tak. Znam pewnego człowieka i nie jesteśmy daleko, najwyżej dwa dni żeglugi od miejsca, gdzie spodziewam się go znaleźć. Ale, kapitanie, muszę ostrzec, że jeśli mnie pan uważa za łajdaka, to ten człowiek jest znacznie gorszy. Jest piratem. Sprzedałby rodzoną matkę na tym samym targu, gdyby uznał, że na tym zarobi, i jeśli pan wejdzie mu w drogę, bez namysłu poderżnie panu gardło.

Zapadła cisza, gdy Hal rozważał ostrzeżenie Trompa.

– W takim razie pozwoli pan, że o coś zapytam. Czy ten pański człowiek, jeśli zawrzemy umowę i ja się wywiążę, zrobi to samo?

– Jeżeli jest pan człowiekiem dotrzymującym słowa, to tak, na pewno. Ale lepiej, żeby pan włożył głowę w paszczę rekina, niż dał mu powód do podejrzewania pana o zdradę.

– W takim razie, panie Tromp, dotrzymam słowa i jeśli byłby pan taki dobry, proszę mi powiedzieć, gdzie mogę go znaleźć.

Jebediah Rivers, kapitan wyposażonej w szesnaście dział brygantyny *Achilles*, stał oparty o szorstki pień palmy, ciesząc się cieniem zapewnianym przez liście, które szeleściły na ciepłym wietrze. Ocean skrzył się i oślepiająco migotał pod ostrym afrykańskim słońcem. Fale docierały niemal do bosych stóp ludzi, którzy zgromadzili się na plaży. Wielu wciąż było na wpół pijanych po wczorajszej libacji.

Jeb Rivers, zirytowany ich krzykami, zaczynał tracić cierpliwość. John McCawley wprowadzał tu zamęt jak dziwka na kościelnym spotkaniu. Ale przecież Ilha Metundo nie jest miejscem dla świętoszków, pomyślał z cierpkim uśmiechem. A jednak ten McCawley wysoko mierzył: chciał zostać kapitanem. Rivers domyślał się tego od jakiegoś czasu, lecz teraz McCawley jawnie pokazywał karty.

– Kiedy ostatnio zdobyliśmy przyzwoite łupy, co? – pytał napastliwie. – Nie zamustrowałem się po to, żeby skrócić kark, dźwigając kłody i kamienie jak jakiś przeklęty niewolnik! – Poparło go kilku mężczyzn stojących za jego plecami, niektórzy już trzymali dłonie na rękojeściach kordelasów i pistoletów. To zachęciło prowodyra. – Zaciągnęliśmy się, bo obiecano nam wolność, równość i braterstwo. Pewnie nikt tutaj mi nie powie, gdzie jest jedno, drugie i trzecie. Ja nie czuję żadnej wolności, równości ani cholernego braterstwa!

Nie patrzył wprost na Riversa, ale też nie musiał, bo każdy dobrze wiedział, komu rzuca wyzwanie.

– Wszyscy wiemy, jak to działa. Nie ma przyzu, nie ma zapłaty. Niczego nie zdobędziemy, jeśli będziemy tu tkwić jak przeklęte szczury lądowe. – Wskazał za siebie na rozmigotany błękitny ocean. – Powinniśmy być tam i polować. Zamiast tego harujemy jak zwyczajni robotnicy.

– Chodzi panu o upijanie się do nieprzytomności i tarzanie z kurwami, panie McCawley – poprawił go kwatermistrz George Dowling, po czym zacisnął kciukiem prawe nozdrze i z lewego wydmuchnął lśniąca wstążkę śluzu na piasek u swoich stóp. Dowling, potężny jak bizon, był groźnym zabijaką.

McCawley też całkiem dobrze radził sobie w burdach i teraz krew wrzała mu w żyłach.

– Dlaczego nie jestem zaskoczony, panie Dowling? Postawiłbym ostatni grosz... chociaż diabeł świadkiem, że go nie mam... postawiłbym na to, po czyjej opowiesz się stronie – wycedził McCawley. – Miałeś reprezentować nas, cholerny panie Dowling. Nie jego!

Kwatermistrz, który zawsze dowodził atakiem podczas abordażu, zerwał kapelusze i wachlował nim łysą głowę, jakby jego jedyną troską było zapewnienie sobie ochłody.

– Jeśli zdecydujecie się na głosowanie, poprę je niezależnie od wyniku. – Wzruszył ramionami.

McCawley pokiwał głową i odetchnął z ulgą, kiedy usłyszał tę deklarację, bo kwatermistrz pełnił funkcję rzecznika całej załogi, będąc na statku swego rodzaju sędzią pokoju. Skoro opowiedział się za pomysłem głosowania, a przynajmniej nie był mu przeciwny, to umocniło jego stanowisko.

Wyglądało na to, że od Riversa odwróciła się cała załoga, stu pięciu ludzi, a także sześćdziesięciu obsadzających trzy zdobyte dawy, które wraz z *Achillesem* tworzyły małą groźną flotyllę. Statki stały na kotwicy po zawietrznej Ilha Metundo, niewidoczne dla żaglowców, które płynęły po otwartym morzu. Wyspa ciągnęła się na południowy zachód, zwężając się w ogon widoczny tylko podczas odpływu: rafa koralowa, patrosząca statki na płycznach, właśnie się wyłaniała w odległości jakiejś mili, przy małej Ilha Quifuqui. Obie wyspy rozciągały się na turkusowym morzu jak hamak i kapitan Rivers wątpił, czy gdziekolwiek istnieje lepsza baza dla człowieka jego profesji.

– Wyduś to wreszcie, McCawley! Mózg gotuje mi się w czaszce niczym gulasz w garnku! – zawołał białowłosej wilk morski, niejaki Arthur Crumwell.

Poparły go pomruki tłumu: „Tak, tak” i „Śmiało, gadaj”.

McCawley skrzywił się i pokiwał głową na znak, że przechodzi do sedna sprawy. Wiele kobiet, które mieszkały na wyspie ze swoimi mężczyznami, również zeszło na plażę, żeby we wszystkim uczestniczyć. Były ciekawe, czy rzucone wyzwanie doprowadzi do tego, że McCawley jutro rano zbudzi się w kapitańskiej kajucie na *Achillesie*.

– Przyjmujemy, że ten, kto jest kapitanem, ma władzę absolutną podczas walki, pościgu albo ucieczki – powiedział McCawley. – Żaden z nas tego nie podważa. Ale w innych sprawach kapitan musi się podporządkować życzeniom większości załogi.

– Tak, zrobiliśmy swoje. – Crumwell pokiwał głową. – Nikt nie może temu zaprzeczyć. Na dowód mamy dziury! – Uniósł ręce, żeby pokazać blizny pod każdą z nich, jedną od kuli z pistoletu, drugą prawdopodobnie od kordu.

Kapitan Rivers nabijał fajkę tytoniem i spoglądał na morze, podczas gdy jego

podwładni gardłowali jeden przez drugiego. Udawał, że skupia uwagę na petrelach i mewach krążących po niebie, na papugach i papużkach nierozłączkach, które hałaśliwie skrzeczały wśród namorzynów niczym dziwne echo głosów ludzi na plaży.

– To my decydujemy, czy łup jest wart nadstawiania za niego karków – mówił McCawley. – To my zawisniemy, żeby zatańczyć gigę na konopnym sznurze, jeśli któryś z królewskich admirałów sprowadzi tu fregaty, aby nas wyłuskać z naszego gniazda. – Zwrócił spojrzenie na kapitana, krzywiąc pokrytą bliznami twarz w wyrazie sprzeciwu. – To my decydujemy, kto ma być naszym kapitanem. – Zrobił długi, głęboki wdech i wypuścił powietrze, sycząc jak jadowita kobra. – Zarządzam głosowanie i proponuję siebie na nowego kapitana tej załogi.

– Bardzo dobrze! – Były to pierwsze słowa, jakie Rivers wypowiedział od czasu, kiedy wyszedł ze swojej chaty za linię drzew, żeby posłuchać skarg ludzi. – Dotarcie do sedna zajęło ci sporo czasu. – Rivers pokiwał głową, uderzając fajką w pień palmy, żeby wytrząsnąć popiół. Wskazał cybuchem na McCawleya. – Chcesz mojego statku?

– *Achilles* jest naszym statkiem – zaprotestował McCawley, choć bez przekonania. Miał rozbiegane oczy, już nie patrzył na Riversa.

– *Achilles* jest mój – oświadczył Rivers tak twardym głosem, że nawet najzagorzalsi poplecznicy McCawleya spuścili wzrok. Wszyscy wiedzieli, że Czarny Jeb Rivers zapracował na swoje przezwisko sprawnym posługiwaniem się pistoletem i kordelasem podczas wojny domowej. Niektórzy powiadali, że zabił więcej ludzi niż ospa, a inni twierdzili nawet, że tej nocy, kiedy tysiąc trupów zasłało pole pod Edgehill, powstał z martwych.

McCawley jednak zabrnął za daleko, żeby rzucić kotwicę i zatrzymać to, co rozpoczął. On też słyszał te opowieści, o czym świadczyło bezustanne przymrużanie prawego oka, a także otwierająca się i zamykająca dłoń, jakby się szykował do zaciśnięcia jej na rękojeści kordu. Rivers niemal go podziwiał. Nikt inny nigdy nie ośmielił się rzucić mu wyzwania, żeby zostać dowódcą załogi. A jednak wiedział, że z McCawleyem jako kapitanem, zanim rok się skończy, wszyscy pójdą na dno albo zawisną na szubienicy.

– Będziemy głosować – oznajmił McCawley. – Kwatermistrz Dowling dopilnuje, żeby głosowanie przebiegło uczciwie i sprawiedliwie.

Dowling skinął głową. Rivers zobaczył, że główni poplecznicy McCawleya szepczą do otaczających ich ludzi, ostrzegając przed oddaniem głosu w niewłaściwy sposób.

– Twój czas dobiegł końca, stary – powiedział McCawley.

W połowie miał rację, Rivers musiał mu oddać sprawiedliwość. Mając czterdzieści sześć lat, nie zaliczał się do młodzieniaszków. Jego rzadniejące włosy, splecione w długi warkocz pod kapeluszem z dużym rondem, były już srebrne, a kości skarżyły się co rano, kiedy wstawał z koi. Ale czy jego czas dobiegł końca? Nie, co do tego McCawley się mylił.

Rivers dotknął runda kapelusza, co było umówionym sygnałem, i wierni mu członkowie załogi zabrali się do roboty. Bendall próbował wyciągnąć kord zza pasa, ale sztylet w sercu odebrał mu siłę i upadł na kolana na piasek. Była to istna rzeź. Wśród zarzynanych Rivers dostrzegł Laneya. Mężczyzna stał, patrząc prosto na niego z ponurym czerwonym uśmiechem w poprzek gardła, z którego krew spływała na nagi tors.

Rivers ruszył i ludzie się przed nim rozstępowali, jednocześnie odsuwając się od Johna McCawleya; uciekali jak stonogi, kiedy ktoś podpali zamieszkiwaną przez nie kłodę. McCawley zobaczył, że Rivers idzie ku niemu, wyjął pistolet i odciągnął kurek.

– Do diabła z tobą! – ryknął i strzelił.

Kapitan poczuł, że kula śmignęła tuż przy jego lewym uchu, ale nawet nie mrugnął. Przecież od zawsze tak wielu ludzi próbowało go zabić i nie wyszło im to na dobre. McCawley rzucił pistolet na piasek i uniósł kord, ale w tym momencie Rivers wyciągnął z pochwy swój pałasz o długiej, szerokiej głowni. Broń nie należała do szczególnie praktycznych podczas abordażu, ale na brzegu była odcinającym kończyń zabójcą.

McCawley zamierzył się w jego głowę, lecz Rivers sparował i trzasnął go koszykowym jelcem w twarz. McCawley zatoczył się do tyłu, a kapitan do niego przyskoczył i dźgnął sztychem. Gdy głownia po rękojeść wniknęła w jego pachę, buntownik powoli rozchylił palce i kord upadł na piasek u jego stóp. Rivers pochylił się i wolną ręką objął go za szyję jak kochanek. Poruszył rapierem, powiększając ranę, przecinając serce, i krew trysnęła szerokim szkarłatnym strumieniem.

Kiedy pod McCawleyem ugięły się nogi, kapitan wyrwał z jego ciała długie ostrze i odsunął się.

– Jeszcze ktoś? – zapytał lekkim tonem.

Otoczyli go zwolennicy. Rivers dobrze wiedział, kogo przekupił McCawley, kto od tygodnia był zajęty wabieniem innych groźbami i łapówkami, i ci ludzie w tej

chwili byli niczym więcej niż mięsem dla krabów.

– Kapitanie! – krzyknął ktoś ostrzegawczo i Rivers przez chwilę myślał, że może jednak dzisiejsza rzeź się nie skończyła.

– Kapitanie! Statki! – zawołał mężczyzna, wskazując na morze.

Rivers przepchnął się przez gromadę i ręką ocienił oczy, żeby lepiej widzieć zbliżające się żagle.

– Ta fregata na przedzie jest piękna! – zauważył z podziwem Dowling. – Szybka, lekka i potężna. Dumna jak żadna inna. A za nią żegluje śliczna mała karawela.

Fregata nie płynęła tak szybko, jak mogłaby płynąć, bo miała postawionych tylko połowę żagli. Najwyraźniej jej kapitan miał dość rozsądku, żeby zachować ostrożność tak blisko wyspy. Spuszczał sondy i czuwał nad prędkością, jego statek o głębokim kilu już prawie wszedł pomiędzy płycizny i rafy. Ale dlaczego się zbliża? – zapytał się w duchu Rivers. Większość żaglowców omijała wyspę z daleka, trzymając się głębszych części kanału albo nawet nie odpływając dalej niż na półtora mili od głównego lądu.

– Czy to kolejny ambitny jegomość, który przybył rozprawić się z piratem Riversem i jego morderczą załogą? – Dowling dumiał nad swoim pytaniem, obrzucając kapitana kpiarskim spojrzeniem.

– Złapmy fregatę w naszą sieć, a będziemy bogaci niczym królowie. – Ktoś inny wyraził na głos myśli kapitana.

Rivers niemal czuł, jak jego ludzie się stroszą, szykując się do polowania niczym drapieżniki, którymi wszak byli.

– Ma dwa razy więcej dział niż my – zauważył Dowling. – Nawet z naszymi dławami będzie twardym orzechem do zgryzienia. – A jednak żądza zalśniła w oczach kwatermistrza na widok statku. – Stracimy ludzi. I najpewniej też łodzie.

Rivers pokiwał głową, ponieważ tak wyglądała prawda. Ale jego ludzie łaknęli łupu i chciał im go dać.

– Przepłyną i nigdy się nie dowiedzą, że tu jesteśmy. – Umyślnie rozminął się z prawdą, żeby ich podjudzić. – Albo...

Nie dokończył zdania. Wiedział, że niebawem kapitan zauważy Ilha Quifuqui na południu i zwróci dziób ku zachodowi, żeby ominąć wyspę, dzięki czemu zyskają czas na zastawienie pułapki.

– Wyślemy dawy przez kanał, żeby odciąć fregatę na południe od Quifuqui. W

tym czasie zrobimy coś, co da jej kanonierom do myślenia. Gdy fregata będzie flirtować z *Achillesem*, załogi dāw się podkradną i wejdą na pokład od dziobu i rufy.

Dowling pokiwał głową. Wcześniej taka taktyka się sprawdzała i Bóg da, że dzisiaj znowu się powiedzie.

Rivers miał wydać rozkaz zajęcia stanowisk, kiedy stało się coś, co kazało mu czekać.

– Zmienia kurs, panie Dowling – powiedział, marszcząc brwi nie z powodu oślepiającego słońca, lecz dlatego, że coś było nie w porządku. Fregata skręcała nie na zachód, żeby ominąć Ilha Quifuqui, ale na wschód. W ich stronę.

– Psiamać, dostrzegli nas! – jęknął Dowling.

Rivers pokręcił głową.

– Wiedzieli, że tu jesteśmy – powiedział z dziwnym przekonaniem.

– Może król Karol przysłał swoich siepaczy, żeby nas powywieszali – zasugerował któryś z piratów.

– Na to nie starczy im lin! – krzyknęła jakaś kobieta.

Ale teraz nie było wątpliwości. Piękny, potężny okręt płynął prosto na nich. Jeśli nawet zatrzyma się milę od brzegu, żeby uniknąć mielizn, będzie mógł ustawić się burtą i ostrzelać *Achillesa* i dāwy na kotwiczowisku.

– Lepiej zwiewajmy, kapitanie – poradził Dowling. – Przez lukę i gdzie oczy poniosą. Musimy zrobić to teraz, nie tracąc ani minuty.

Natarczywość w głosie kwatermistrza graniczyła z paniką, bo choć fregata była jeszcze daleko, zajęcie miejsc na statkach przez wszystkich mieszkańców wyspy będzie wymagać czasu. Rivers nie ruszył się z miejsca. Nie wydał rozkazów innych niż ten skierowany do młodego chłopaka, żeby pobiegł do jego chaty i przyniósł lunetę, choć przewidywał, że gdy ją dostanie, już mu nie będzie potrzebna. Statek go intrygował. Mimo rafy dzielącej go od wyspy wciąż płynął, jakby jego kapitan znał wszystkie głębokie kanały.

A może nie kapitan, lecz ktoś, kogo dostrzegł na dziobie; ktoś stojący blisko marynarza z sondą i wykrzykujący rozkazy sternikowi.

Nagle Rivers zobaczył sygnał. On, nie jeden z młodszych mężczyzn czy chłopaków o bystrym wzroku, ale on, którego oczy były zmęczone przez życie w dymie z armat i muszkietów i które patrzyły na tyle potworności, że dziw, iż same się nie wyrzekły zdolności widzenia. Na szczycie masztu fregaty łopotały dwie bandery. Jedna z nich miała pomarańczowe, białe i niebieskie barwy Republiki Holenderskiej,

a druga była flagą brytyjską. Dlaczego kapitan wciągnął dwie flagi? Wprawdzie Anglicy zawarli pokój z Holendrami – choć nikt nie wiedział, na jak długo – ale Rivers jeszcze nigdy nie widział statku pod barwami obu krajów ani się nie spodziewał, że kiedyś zobaczy.

Usłyszeli grzmot: trzy strzały z trzech wielkich mosiężnych kolubryn fregaty. Bryza rozwiała kłęby dymu.

– A niech mnie... – mruknął Dowling i rozciągnął usta w uśmiechu. To nie była salwa burtowa, tylko salut. Chwilę później wrzeszczał za tymi, którzy już biegli po plaży w kierunku *Achillesa* i dawał, że wszystko w porządku, że dzisiaj nie będzie więcej walki.

– Dzień dobry, *mijnheer* – mruknął do siebie Rivers, patrząc na fregatę. Salut z trzech dział był umówionym powitaniem kapitana Michiela Trompa, z którym w przeszłości prowadził sporo interesów.

– Ciekawe, co tu porabia ten serojad? – zapytał Dowling, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Ale wygląda na to, że był zajęty.

Rivers pokręcił głową.

– To nie jego statek, chłopcze. Chciwy z niego skurwysyn i niegorszy żeglarz, ale nawet on nie jest na tyle głupi, żeby rzucać się na taki przyz po zawarciu przekłętą pokój pomiędzy Jego Królewską Mością i serojadami. – Ściągnął brwi, niezupełnie przekonany przez własny argument. – Poza tym niby jak miałby tego dokonać? – Skinął głową w stronę fregaty, której dziób zwracał się teraz prosto ku ludziom zgromadzonym na plaży. – Taka ślicznotka rozbije w drobny mak każdy statek, na którym Tromp kiedykolwiek będzie kapitanem.

– Więc... może... – John Blighton szukał słów. – Może Tromp przeszedł na drugą stronę i sprowadził tu jakiegoś angielskiego kapitana, żeby spalić nasze cholerne łajby i wykurzyć nas jak cholerne szczury z zęzy.

– Spokojnie, chłopcze. – Rivers pokręcił głową. – Tromp nie zrobiłby czegoś takiego – zapewnił, chociaż czuł, że na myśl o zdradzie prężą mu się mięśnie szczęki. – Wie, że gdyby to zrobił, powiesiłbym go na jego własnych flakach. – Zwrócił się do kwatermistrza: – Panie Dowling, wiesz, co robić.

Ten skinął głową i odmaszerował po plaży.

Hal nie po raz pierwszy zaufał człowiekowi, który do niedawna był jego wrogiem. Tromp znów okazał się godny tego zaufania i zrobił na nim wrażenie swoją sztuką żeglarską, gdy bez mapy przeprowadzał ich pomiędzy mieliznami i rafami. Trwał przyplływ i większość z tych pułapek była ukryta pod wodą, ale Holender miał pamięć lisa wracającego do swojej nory. Prowadził ich, udzielając wskazówek Tylerowi, który stał u steru, podczas gdy Hal i John Lovell mieli oko na wiatr w żaglach, co rusz zerkając na *amadoda*, którzy wisieli wysoko na szczytach masztów, gotowi zdjąć już nieliczne płótna *Golden Bough*.

Reszta załogi wstrzymywała oddech i języki, wyteżając słuch, czekając na złowieszczy zgrzyt kilu okrętu o rafę koralową. Podeszwy stóp na pokładzie były nieruchome jak pająki na jedwabnych sieciach, gotowe wyczuć najłżejsze drżenie, które zapowie ugrzęźnięcie na mieliznie. Jednakże z trzewi statku nie dobiegło dudnienie gromu ani nie zadrżały deski. Hal i oficerowie wymienili pełne ulgi spojrzenia i pokiwali do siebie głowami na znak, że doceniają ten żeglarski wyczyn. Tutejsze wody były niebezpieczne i nic dziwnego, że Rivers i jego załoga założyli bazę na wyspie, która ciągnęła się wśród płycizn.

– Dziesięć sążni, kapitanie! – krzyknął marynarz, wyciągając ołowianą sondę z głębin i szykując się do ponownego rzutu. – Siedem, kapitanie!

– Bliżej nie można podejść, kapitanie – powiedział Tromp, podchodząc do Hala i nerwowo ocierając pot z czoła. – Stąd mogą płynąć tylko szalupy.

– Dziękuję, panie Tromp – odparł Hal i odwrócił się, żeby wydać rozkazy. – Zwinąć marsle, chłopcy!

Afrykańscy wojownicy popędzili po rejach, zwinni jak wiewiórki na dębie.

– Panie Tyler, proszę rzucić kotwicę. Jesteśmy tak blisko, jak chcieliśmy. – Jakies ćwierć mili przejrzystej, turkusowej wody dzieliło ich od białej plaży. Za plażą, nie więcej niż siedem jardów nad poziomem morza, bujna roślinność tworzyła nieprzenikniony parawan, za którym musiała znajdować się piracka osada.

Hal na przekór sobie podziwiał wybór takiej kryjówki.

– Przeplływający statek może dostrzec tę brygantynę, ale gdyby nie stała na kotwicowisku, Ilha Metundo wyglądałaby na równie bezludną, jak każda inna wyspa w archipelagu Quirimbas – powiedział.

Gdy również *Delft* zwinął żagle, *Golden Bough* zwolniła, tracąc pęd, i zaczęła się kołysać na leniwych falach. Kotwica wpadła do ciepłej wody i łańcuch śpiewał,

rozwijany z kabestanu. Okręt łagodnie się obrócił i znieruchomiał. Ci z załogi, którzy nie mieli zajęcia, zebrali się przy relingu bakburty, żeby mieć dobry widok na ludzi zgromadzonych na plaży, pożądliwie patrzących na *Golden Bough*.

– To ich mała armada, prawda? – zapytał Hal, patrząc na okazałą brygantynę stojącą na kotwicy obok trzech dużych dław i kilku mniejszych łodzi w osłoniętej zatoce.

– *Achilles* – powiedział Tromp. – Może nie wygląda na statek, który sprawia, że kapitanowie trzęsą gaciami, ale zdobył więcej łupów, niż mu się należało.

– Uwierzę panu na słowo, panie Tromp. Założę się, że jest szybki.

– *Ja*, jak jaskółka – potwierdził Holender. – A kanonierzy obsługują te półkolubryny i falkony jak każda inna załoga.

Działa *Achillesa* nie były długimi na osiem stóp zabójcami statków jak te na *Golden Bough*, ale też nie musiały być. Częściej ładowano je kartaczami niż kulami.

– Kapitan Rivers zdobywa złoto, opanowując statki abordażem – wyjaśnił Tromp. – Jego ludzie są wcielonymi diabłami, kapitanie Courtney. *Ja*, większość załóg woli wyskoczyć za burtę, niż podjąć z nimi walkę.

Hal rozmyślał o piracie, z którym przybyli się spotkać. Znał nazwisko Riversa. Inni kapitanowie, przyjaciele jego ojca, wspominali o tym człowieku. Był uczestnikiem wojny domowej, renegatem, który uciekł z Anglii i obecnie, gdy pozwalał na to monsun, grasował na Oceanie Indyjskim od Przylądka Dobrej Nadziei po wybrzeże wschodniej Afryki na północ od Madagaskaru; polował na statki kupieckie i niewolnicze niezależnie od tego, pod jaką flagą żeglowały.

– Jest zabójcą, sir Henry – przestrzegł go Tromp.

– Tak słyszałem. – Hal w zadumie pokiwał głową. Opadła go większa niż dotąd niepewność w związku z pomysłem układania się z mordercą i wrogiem Korony Angielskiej.

– Ale mam z nim porozumienie – zapewnił Holender.

– Tak, obaj jesteście piratami. – Hal obrzucił Holendra twardym jak krzemień spojrzeniem.

Tromp otrząsnął je z siebie jak wodę z nasączonego olejem sztormiaka.

– Coś, co łączy dwóch ludzi, często staje się smarem, który pomaga obracać koła handlu. – Uśmiechnął się na widok zakłopotanej miny Hala. – Mimo wszystko widzę, że dla pana, szanowanego angielskiego baroneta, myśl o prowadzeniu interesów z takim człowiekiem jest... Jak mam to ująć? Niesmaczna.

Hal westchnął, obserwując piratów stłoczonych na plaży. Niemal go kusiło, żeby krzyknąć do Neda Tylera, by podniósł kotwicę, ustawił żagle na wiatr i wyprowadził *Golden Bough* z powrotem na głębokie, uczciwe wody.

– Nic na to nie poradzę, ale wciąż się zastanawiam, co pomyślałby o tym mój ojciec – powiedział.

– Zdaj się w tej sprawie na mnie, kapitanie. – Tromp starał się powstrzymać od uśmiechu. – Zawrę umowę z kapitanem Riversem, a pan będzie miał czyste ręce.

Hal obrzucił go sceptycznym spojrzeniem. Holender uspokajająco uniósł rękę.

– W każdym razie prawie czyste – poprawił się.

Jesteśmy tutaj, pomyślał Hal, patrząc na plażę. Więc załatwmy tę sprawę. Chciał zrobić to po swojemu.

– Panie Lovell, proszę przygotować łodzie! – rozkazał.

Tromp mógł sobie wierzyć piratowi Riversowi, on jednak nie ufał mu ani trochę. Zaraz popłynię na brzeg, w sam środek pirackiego gniazda, w przeklętej łódce. Nie, weźmie szalupę z obrotowymi działkami na nadburciach i załogą uzbrojoną w muszkiety z zapalonymi lontami.

– Czy to on, panie Tromp? – zapytał, choć wiedział, że niepotrzebnie strzępi sobie język. Nie ulegało wątpliwości, że wysoki mężczyzna o długich siwiejących włosach zaplecionych w warkocz to Rivers. Był w płóciennych portkach i bawełnianej koszuli, jak prawie każdy inny na brzegu, ale twarz i postawa nawet z daleka zdradzały jego tożsamość.

– *Ja*, to on.

– Nie będzie zachwycony, że sprowadził pan okręt do jego kryjówki. Nie tylko pokazał mi pan drogę przez rafy, ale z tej odległości mógłbym rozwalić *Achillesa* na drobne kawałki, gdybym tak postanowił.

– Może nie będzie – zgodził się Holender. – Ale flakonik ze łzami Maryi Panny powinien go ułagodzić. – Zaskrzyły mu się oczy. – Taki skarb sprzeda się za sto funtów albo tyle złotych i srebrnych rupii, żeby zapełnić jeden z pańskich butów.

Hal odchrząknął sceptycznie, po czym spojrział na swojego bosmana.

– Panie Danielu, chcę mieć czterdziestu ludzi z muszkietami. I proszę kazać przynieść beczki, które zabraliśmy z *Delfta*. Wszystkie, jeśli łaska. Z radością się z nimi pożegnam.

– Tak jest, kapitanie! – Duży Daniel potwierdził rozkaz, po czym wybrał oddział płynący na brzeg i posłał *amadoda* do ładowni po rzekome relikwie.

– Panie Tyler, niech kanonierzy zajmą stanowiska. Proszę trzymać pod ręką moją lunetę. Na pierwszy znak kłopotów zatopi pan brygantynę i otworzy bramy piekielne przed tymi piratami.

Ned Tyler zaprezentował szczerbaty uśmiech.

– Jeśli któryś z tych szubieniczników choćby spojrzy na pana krzywym okiem, kapitanie, proszę wypalić z pistoletu, a następnym, co pan zobaczy, będą kawałki tamtego statku spadające z nieba niczym krwawy deszcz.

– Dobrze. – Hal odwrócił się i mijając zajętych ludzi, poszedł do swojej kajuty. Postanowił włożyć strój odpowiedni dla baroneta, kapitana fregaty tak pięknej jak *Golden Bough* i człowieka wiernego Koronie Angielskiej. Na Boga, pomyślał, jeśli ten pirat Rivers spróbuje ich oszukać, zapłaci za to życiem.

– No więc, Tromp, co cię tu przyniosło? – Rivers skinął ręką na chłopca, który przybiegł z kapeluszem przybranym pękiem białych piór. – I do tego, na Boga, na takiej pięknej fregacie. – Włożył kapelusz na głowę, żeby już nie mrużyć oczu w słońcu i jego odbiciu na powierzchni morza za plecami Hala i jego grupy.

Większość ludzi ze *Golden Bough* stała w wodzie po kostki, a czterech zostało w na wpeł wyciągniętych na plażę szalupach, obsadzając obrotowe działka załadowane siekańcami. Aboli stał przy prawym ramieniu Hala, trzymając topór abordażowy, i nie uszło uwagi kapitana, że Afrykanin wygląda bardzo naturalnie wśród tych łajdaków i renegatów każdego koloru skóry i wyznania.

– Dostanę ją, kapitanie? – zapytał Rivers.

– Ha! – parsknął Tromp. – Nawet gdyby była moja, nigdy bym się z nią nie rozstał. – Kiedy Hal zatrzymał się, czekając na właściwy moment, Holender podszedł wymienić uścisk dłoni z piratem. – Poza tym już nie jestem kapitanem – dodał bez cienia zakłopotania. – Mogę przedstawić naszego kapitana, sir Henry’ego Courtneya?

Rivers zwrócił niebieskie oczy na Hala, oceniając go, zanim wyciągnął rękę. Hal nie kwapił się jej ująć z obawy, że okryje hańbą siebie i swoją krew. Wyczuł, że Tromp się spina. Słyszał, jak ludzie za jego plecami dmuchają na wolno tłące się lonty, żeby węgielki były rozgrzane do czerwoności na wypadek, gdyby sytuacja się skomplikowała.

– Gundwane – szepnął Aboli.

Hal zrobił krok do przodu i ujął dłoń kapitana piratów.

– Cieszy się pan złą sławą, kapitanie Rivers – powiedział.

Pirat zachował niezmacony spokój, słysząc tę zniewagę.

– W moim rzemiośle zła reputacja jest na wagę kości słoniowej, złota, niewolników, czego tylko pan zechce. Statek kupiecki, który nie rozpozna mojego okrętu ani mojej flagi, może podjąć głupią decyzję, żeby ze mną walczyć.

Spojrzał na Trompa.

– To rzadkość, ale się zdarza – dodał. – Kapitan nagle zaczyna przedkładać honor nad życie swoich ludzi. Zwykle jest to ostatni błąd, jaki popełnia. – Ściągnął brwi. – Ale ja też słyszałem pańskie nazwisko, kapitanie. Jest pan synem Franky’ego Courtneya. Dlaczego sam nie dowodzi tym wspaniałym okrętem? Czyżby miał jeszcze większy?

– Mój ojciec został zabity – wyjaśnił Hal. – Holenderscy osadnicy na Przylądku Dobrej Nadziei fałszywie oskarżyli go o piractwo, po czym poddali torturom i zamordowali.

Rivers wskazał cybuchem na Trompa.

– Holendrzy zabili pańskiego ojca, a jednak sprzymierzył się pan z jednym z nich?

– Pan Tromp nie był zamieszany w śmierć mojego ojca.

– Zbyt zajęty robieniem zamieszania gdzieś indziej, jak mniemam. Czy nie mam racji, *mijnheer* Tromp?

Holender z uśmiechem wzruszył ramionami.

– Ach, znasz mnie zbyt dobrze, Rivers.

– Owszem. Dlaczego zatem nie powiesz, co cię tu sprowadza, zanim zacznę podejrzewać, że może coś knujesz, i zajmę wasze statki?

– Proszę nawet nie myśleć o próbie takiego pochopnego manewru, Rivers. Działa moich okrętów są załadowane i stoi przy nich załoga z zapalonymi lontami.

– Jest pan młody, kapitanie Courtney – rzucił Rivers bez śladu zatroskania. – Naprawdę godne podziwu, że taki młokos posiada taki statek. Aha, skoro o tym mowa, słyszałem, że Arabowie narzekali na spustoszenie, jakie pan siał wśród nich na Morzu Czerwonym podczas wojny etiopskiej. Jak pana nazywali? El Tazar, czyli Barakuda, prawda?

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z obecną sytuacją.

– W zasadzie nic, poza tym, że nawet barakuda z tymi swoimi ostrymi zębami w pysku od czasu do czasu wpada w sieci. W pułapkę, można by rzec. Tak jak pan teraz.

– Co ma pan na myśli?! – krzyknął Hal, gdy huk kolubryny *Golden Bough*

poniósł się nad wodą.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na swój okręt, i ujrzał kłęby dymu płynące z ambrazury na śródokręciu. Ned Tyler oddał strzał ostrzegawczy i powód jego decyzji stał się oczywisty. Zza cypla, który osłaniał zatokę, wychynęła flotylla czółen i od lewej burty podchodziła do *Golden Bough*; wioślarze jak szaleni wymachiwali wiosłami. Hal naliczył cztery łodzie, w każdej po pięciu czy sześciu ludzi, a także jedną dużą, ciężką płaskodenkę zwaną przez Hiszpanów *piragua*, obsadzoną może przez dwudziestu pięciu piratów.

– Wchodzą pod nasze działa, więc pan Tyler nie może ich ostrzelać – mruknął Aboli.

Hal zaklął. Łodzie wzięły się znikąd, a ludzie na nich byli uzbrojeni w muszkiety wycelowane w reling *Golden Bough*, gotowe plunąć śmiercionośnym ogniem w załogę. Odwrócił się i zobaczył, że Rivers wbił sztych masywnego pałasza w piasek. Następne słowa pirata odebrał jak kopnięcie w brzuch.

– Mój kwatermistrz, pan Dowling, i jego ludzie mają granaty, sir Henry, którymi z radością obrzucą pański okręt.

Eksplodujące bomby – czy to żelazne kule, czy szklane butelki wypełnione czarnym prochem i zapalane lontem – mogły ogłuszyć, oślepić i spalić załogę. Hal i Aboli wymienili zatrwożone spojrzenia.

– I kiedy pańscy ludzie zaczną biegać po pokładzie jak kury z lisem w kojcu, moi ludzie uszkodzą ster.

Wielu piratów krzyknęło z radości, już się ciesząc na myśl o zdobyciu takiego przyzu bez konieczności wychodzenia w morze.

Hal byłby przeklęty, gdyby biernie słuchał gróźb Riversa.

– Zapomniał pan o działach na *Delfcie*, byłym statku kapitana Trompa – powiedział. – Nie wspominając o tych na moich dwóch szalupach, wymierzonych prosto w pana, kapitanie Rivers. W tej sytuacji każdy z nas może wyrządzić drugiemu wielką krzywdę. I skoro już to ustaliliśmy, może zechce pan wysłuchać, z jakiego powodu tu jestem.

Rivers przez sekundę patrzył na niego w ciszy, która zapadła nad zatoką. Niespodziewanie parsknął śmiechem.

– Na Boga, jesteś synem Franky’ego, bez dwóch zdań! Był zimnokrwistym łotrem, dokładnie jak ty. I nie patrz na mnie z wyższością, panie Courtney. Możesz się tytułować „sir” i jestem pewien, że twój tata miał listy kaperskie podpisane przez

samego króla Karolka, dające mu prawo do rozwalenia każdego Holendra czy Portugalczyka, gdy tylko go najdzie ochota. Ale prawda jest taka, że atakował statki dla pieniędzy i skarbów. Był piratem tak samo jak ja.

– Mój ojciec był człowiekiem honoru, panie, Rycerzem Nawigatorem Świątyni Zakonu...

– Bla, bla, bla! – przerwał mu Rivers. – Twój ojciec był cholernie dobrym żeglarzem i jeszcze lepszym zdobywcą cudzych statków. Gdy patrzę na tę fregatę, gotów jestem się założyć, że komuś ją zabrałeś. Zaprzecz, jeśli możesz...

– Zabrałem ją człowiekowi, który zasłużył, żeby ją utracić.

– Ha! Czy nie jest tak zawsze? – Rivers popatrzył na Hala. – Jesteś aroganckim szczeniakiem, prawda, chłopcze? Pójdę o zakład, że wkurzyłeś wielu mężczyzn dwa razy starszych od ciebie na tyle, żeby pragnęli twojej śmierci.

– A jednak jestem tu i żyję.

– Tak, jesteś tutaj. – Kapitan Rivers pyknął z fajki. – Mam za sobą długi męczący dzień, więc bardzo chciałbym wyciągnąć się w hamaku i chwilę odpocząć w cieniu, jak każdy rozsądny człowiek, kiedy słońce praży. Może więc powiesz swoim chłopcom, żeby wrócili na statek, a ja rozkażę moim wrócić na brzeg? Nie stało się nic złego, nikt nie został ranny. Co do ciebie, synu Franky'ego, to czy zakon, do którego należą Courtneyowie, zakazuje picia mocnych trunków?

– Jestem rycerzem, nie muzułmaninem. Więc tak, napiję się z panem. – Hal ustąpił, próbując powstrzymać się od uśmiechu.

– W takim razie dobrze, wróć o zachodzie słońca. Sam. Wtedy pogadamy. Powiesz mi, czego chcesz... bo gdybyś czegoś nie chciał, z pewnością by cię tu nie było... a ja ci powiem, czy to dostaniesz.

To rzekłszy, Rivers wyrwał pałasz z piasku, wsunął go do pochwy na lewym biodrze, odwrócił się plecami do Hala i ruszył w górę plaży.

Pochodnie tkwiły w piasku, płomienie migotały i tańczyły w ciepłej bryzie. Hal miał załadowane pistolety skałkowe i rapier schowany w pochwie. Zdecydował, że jeśli kapitanowi Riversowi chodzi po głowie zdrada, to on, Hal, polegnie, ale walcząc niczym wcielony diabeł.

Tak jak go poproszono, przybył sam. Aboli i inni oficerowie nie kryli niezadowolenia, lecz Hal w krótkim czasie znajomości z kapitanem Riversem dowiedział się o nim dość, żeby być pewnym, że pirat albo zrobi coś po swojemu, albo nie kiwnie palcem. I tak oto usiedli razem przy stoliku na plaży z butelką madery,

rumem i dwoma kryształowymi kieliszkami, niegdyś będącymi własnością portugalskiego kapitana, którego statek wpadł na rafę na południe od wyspy. Ponad nimi rozciągało się bezkresne niebo w całej swojej wspaniałości. Rozsiane na nim gwiazdy płonęły niczym klejnoty i Hal się zastanawiał, czy Judith patrzy na te same konstelacje, czy może jest uwięziona w jakimś ciemnym, dusznym lochu i nie widzi nieba we dnie ani w nocy.

– Więc Tromp próbował zająć pański statek? – zapytał kapitan piratów, nalewając rumu do jego kieliszka.

– Próbował i poniósł porażkę – odparł Hal.

Aboli, Tromp i Duży Daniel zostali przy łodzi na brzegu. Uzbrojone szalupy wróciły na *Golden Bough*. Hal był pewien, że jeśli łodzie Riversa znowu się pojawią, pan Tyler je ostrzela, zanim będą miały okazję wejść pod działa. Co do jego ludzi, żadnego nie widział, chociaż się domyślał, że są gdzieś w ciemności.

– Jednak od tamtej pory okazał się wielce użyteczny – dodał.

Rozejrzał się. Jedynymi znakami życia były małe kraby pomykające po piasku i od czasu do czasu śmiech ludzi bawiących się za ścianą roślinności.

– Jak pan wie, moi wrogowie kogoś mi zabrali. – Samo wypowiedzenie tych słów sprawiło mu ból. – Kogoś drogiego mojemu sercu. Odzyskam ją, kapitanie, i zabiję sprawców porwania. Lecz nie mogę zrobić tego sam.

Przez kilka minut opowiadał o uprowadzeniu Judith. Dodał, że zostanie wystawiona na sprzedaż podczas następnego dużego targu niewolników w Zanzibarze i że można ją odzyskać tylko w jeden sposób: biorąc udział w licytacji i przebijając wszystkie inne oferty. Wyjaśnił, że on nie może tego zrobić.

Rivers słuchał w zamyśleniu, a gdy Hal umilkł, zapytał:

– Skąd pewność, że zostanie wystawiona na aukcję akurat wtedy?

– Moi ludzie i ja uzyskaliśmy informacje od konsula Greya.

– Od człowieka, który zdradził pana na samym początku?

– Tego samego.

– Dlaczego zatem miałby mu pan wierzyć? Czy nie przyszło panu na myśl, że ta gadka o aukcji mogła być tylko przynętą, żeby zwabić pana w pułapkę?

– Oczywiście, ale zaraz potem zadałem sobie pytanie: co za różnica? Być może będę miał małe szanse na odzyskanie kobiety, którą kocham, jeśli wyślę kogoś na targ, ale nie będę miał żadnych, jeżeli tego nie zrobię.

– I na czym miałyby polegać moja rola?

– Chciałbym, żeby w moim imieniu wziął pan udział w licytacji. Ja nie mogę się tam pokazać, jak zresztą nikt inny, kto jest ze mną kojarzony. Ale pomiędzy panem i mną nie ma żadnego związku, a przynajmniej nikt spoza tej wyspy nie wie o naszej znajomości. Przypuszczam, że jest pan dobrze znany handlarzom na targu niewolników.

– Owszem.

– I że na Zanzibarze nie jest pan ścigany za swoje przestępstwa.

– Dopilnowałem, żeby nie obrazić władców wyspy, i dopóki to się nie stanie, mam prawo tam przebywać. Jak się pan przekonał, Zanzibar sam sobie stanowi prawo. Prawa świata nie mają tam zastosowania. Ta wyspa jest jak wielki bazar. Można tam kupić wszystko i prawie każdego. Ale to już pan wie, skoro chce pan kupić swoją kobietę.

– A raczej chcę, żeby pan zrobił to za mnie.

– Niby z jakiego powodu miałbym się na to godzić, wiedząc, że powiązanie z panem nie wyjdzie mi na dobre? Nie mam nic przeciwko nadstawianiu karku, Courtney. Nie byłoby mnie tutaj, gdybym był tchórzem. Ale jeśli mam podejmować ryzyko, to na korzystnych dla mnie warunkach.

Hal spojrzął na pirata, który siedział w otoczce dymu z fajki. Wiedział, że błaganiami i okazywaniem zbyt wielkiej desperacji niczego nie wskóra. Musiał zachować spokój, nawet jeśli każda sekunda rozłąki z Judith rozdzierała mu serce.

– Czy Tromp rozmawiał kiedyś z panem o swoim handlu relikwiami? – zapytał. Rivers pokiwał głową.

– Tak. Mówił, że papiści zapłacą fortunę za każdy stary kawałek szmaty, o którym będą mogli powiedzieć, że należał do Jezusa albo Maryi Panny. I choć raz jestem skłonny mu wierzyć. W Composteli widziałem pielgrzymów ustawiających się w kolejce, żeby zobaczyć relikwie świętego Jakuba. O ile mi wiadomo, równie dobrze mogły to być po prostu stare kości kurczaka. Na takich głupcach można sporo zarobić. Szkoda, że Trompowi się nie udało. Mógłbym się zgodzić na udział w zyskach.

– Wciąż pan może – zapewnił go Hal. – Kiedy Tromp próbował zająć *Golden Bough*, on i jego ludzie przymierali głodem. Widzi pan, nie było go stać na odpowiednie zaprowiantowanie statku przed wyjściem z Batawii, ponieważ wydał... albo, jak on to widzi, zainwestował wszystkie swoje pieniądze w relikwie. Kiedy więc zająłem *Delfta*, znalazłem w ładowni beczki pełne relikwii. Były tam flakoniki ze łzami Matki Boskiej, kawałki Krzyża Prawdziwego, nawet pewna liczba napletków naszego

Zbawiciela z dnia obrzezania. Nie mógłbym się zmusić do handlowania podrobionymi relikwiami, ale nie wątpię w ich wartość. I jestem gotów się zgodzić, żeby pan zabrał cały ładunek, jeśli w zamian będzie pan licytować za mnie w Zanzibarze.

– Czyżby pan sugerował, że brak mi moralności?

– Z całym szacunkiem, kapitanie Rivers, sugeruje to całe pańskie życie.

– Z całym szacunkiem, kapitanie Courtney, gada pan bzdury. Ma pan rację, z przyjemnością opchnąłbym te relikwie jezuitom, pielgrzymom, nawet samemu przekłętemu papieżowi, gdyby tylko chciał je kupić, bo uważam wiarę katolicką za dzieło antychrysta i chętnie przyłożyłbym rękę, żeby ją obalić, w każdy możliwy sposób. Podczas wojny walczyłem po stronie parlamentu, ponieważ nienawidziłem Stuartów nie tylko jako tyranów, lecz również papistów. Dlatego wezmę pańskie relikwie, sprzedam je i z czystym sumieniem zgarzę pieniądze. Ale relikwie to za mało.

– Tromp zapewnia, że są warte wiele setek, może nawet tysiący funtów.

– Nie wątpię. Lecz mój kark jest wart jeszcze więcej.

– Co zatem chce pan wziąć, żeby pański kark czuł, że dostaje odpowiednią nagrodę?

Rivers pykał z fajki, rozważając pytanie. Odchylił się do tyłu i spojrzał w niebo, wydmuchując smugę dymu w nocne powietrze. Popatrzył znów na Hala i odparł:

– Wezmę relikwie. I wezmę też statek, z którego pochodzą.

– Przecież *Delft* jest wart pięćset gwinei!

– *Delft* został skradziony, czyż nie? Równie dobrze sam pan mógł mi o tym powiedzieć. Tromp wydał wszystkie swoje pieniądze na relikwie. Skoro nie było go stać nawet na prowiant, to nie mógłby przecież kupić takiej pięknej karaweli.

– Skąd ją wziął, to jego sprawa, nie moja.

– Dopóki nie będzie pan chciał jej sprzedać. Bo jeśli ktoś odkryje, że sprzedaje pan statek należący do holenderskiej marynarki wojennej, zajęty po zawarciu pokoju przez Anglię i Holandię, zostanie pan powieszony za piractwo, prawda?

Rivers miał rację, ale Hal wciąż się wzdrygał przed spełnieniem wszystkich jego żądań. Jakby czytając mu w myślach, Rivers dodał:

– Uspokój się, chłopcze. Wiem, że nie jesteś zachwycony tą sytuacją: szlachetny rycerz targujący się ze starym piratem. Ale weź pod uwagę, że nie chcesz tych relikwii i nie masz żadnego pożytku ze statku. Natomiast bardzo chcesz odzyskać swoją kobietę. Jeśli więc wymienisz dwie rzeczy, których nie potrzebujesz, za jedną,

której pragniesz z całego serca, czy to będzie naprawdę taki zły interes?

– Może i nie – przyznał Hal.

– W każdym razie rozważam pańską propozycję tylko dlatego, że sam kiedyś kogoś utraciłem. – Rivers, zatopiony w myślach, wlał do swojego kieliszka resztki madery i wypił wino jednym haustem. – Jak ma na imię ta pańska kobieta? – zapytał w końcu.

– Judith. – Brzmienie jej imienia było torturą dla uszu Hala, przedsmakiem piekła dla jego duszy.

– Jest dobrą kobietą?

– Najlepszą, jaka kiedykolwiek żyła.

– Najlepszym, co może mieć mężczyzna, jest dobra kobieta, która go kocha – powiedział Rivers.

Na Boga, pomyślał Hal, a jednak ten szorstki stary łajdak ma serce. Ale ta chwila sentymentalizmu szybko przeminęła, ponieważ następne słowa Riversa brzmiały:

– Jak planuje pan za nią zapłacić? Będzie sporo kosztować, jeśli jest tak piękna, jak pan mówi.

– Już zna pan odpowiedź.

– To znaczy?

– Sam pan wspominał o moich sukcesach podczas wojny etiopskiej. Zdobyłem wiele arabskich dāw z wszelkiego rodzaju ładunkiem na pokładzie. Jak pan powiedział, jestem synem i dziedzicem sir Francisa Courtneya. I choć możemy się kłócić, czy był zbrodniczym piratem, czy szlachetnym korsarzem, powodzenie jego przedsięwzięć jest niekwestionowane.

– Zatem to wszystko, co muszę wiedzieć. Dlatego moja odpowiedź brzmi „tak”, kapitanie Courtney. Popłynę z panem na Zanzibar. I kiedy tam będę, kupię dla pana pańską kobietę.

Sprzedaż najcenniejszych i najwyżej cenionych okazów na targu niewolników była tematem rozmów w Zanzibarze, bo, jak z dumą powiadali mieszkańcy miasta, nigdzie indziej w całej Afryce, a prawdopodobnie na całym świecie, nie wystawiano na licytację ludzkiego ciała tak wysokiej jakości. Po południu przed wielkim wydarzeniem zaprowadzono Judith do tymczasowego baraku z zagrodami przeznaczonymi dla niewolników spędzanych przed licytacją jak bydło. Co dziwne, przyzwyczała się do haremowych kostiumów, które nosiła jako więzień księcia Jahana, i teraz przeżyła szok, gdy rozebrano ją do naga. W fartuszkowi zasłaniającym łono, zapewniającym tylko pozory przyzwoitości, ze związanymi rękami i z pętlą zarzuconą na szyję została wyprowadzona z zagrody, żeby mógł ją obejrzeć tłum handlarzy, którzy sprawdzali towar przed wystawieniem na sprzedaż.

Judith musiała stać nieruchomo jak kamień i milczeć, gdy szorstkie ręce obmacywały jej piersi w taki sposób, w jaki gospodynie sprawdzają warzywa na targowisku. Zmuszono ją do skłonu w rozkroku, pośladkami w stronę handlarzy, żeby mogli zobaczyć jej części intymne. Mężczyźni nawet rozchylali jej usta i oglądali zęby, jakby była koniem.

Przez cały czas wspominała rozmowę, którą pewnego wieczoru prowadziła z Halem i Abolim na pokładzie *Golden Bough*. Temat zeszedł na doświadczenia obu mężczyzn z okresu, kiedy byli więźniami, a praktycznie rzecz biorąc, niewolnikami Holendrów w Kolonii Przylądkowej.

– Wiesz, na czym polega twój problem, Gundwane? Zawsze chciałeś walczyć. Ale niewolnik powinien przede wszystkim nauczyć się tego, że przez walkę niczego nie zyska. W najlepszym wypadku panowie cię wychłuszczą. W najgorszym wpakują do klatki albo skrzyni, albo dziury w ziemi, i będą tam trzymać w palącym słońcu lub na deszczu monsunowym, dopóki nie umrzesz albo nie opanujesz ich lekcji. Dlatego nie sprawiaj im tej przyjemności. Nic nie mów. Ścierp w milczeniu ich okrucieństwo, obelgi i to, że traktują ludzi gorzej niż zwierzęta. Ścierp, żebyś mógł przeżyć, ty i twoje dzieci. I módl się, żeby pewnego dnia odzyskać wolność.

Dlatego Judith zacisnęła zęby i milczała. Wypatrywała w tłumie Hala po prostu po to, żeby wiedzieć, że po nią przybył, chociaż nie miała pojęcia, czy naprawdę chce go zobaczyć ani czy widok jej upokorzenia nie okaże się dla nich obojga zbyt trudny do zniesienia. Było jej ciężko, czuła gorycz i sytuację pogarszał fakt, że oglądający ją mężczyźni bez skrępowania mówili o tym, co widzą, jakby była po prostu zwierzęciem.

W przeszłości towarzyszyła ojcu podczas misji dyplomatycznych nie tylko w Wenecji, ale bywała również na wielu innych wielkich dworach w Europie. Będąc młoda i mając ku temu wrodzone zdolności, nauczyła się podstaw, a w niektórych przypadkach osiągnęła całkiem biegłą znajomość kilku europejskich języków i władała nimi jak amharskim i arabskim, które stanowiły część jej dziedzictwa. Teraz jednak ten dar okazał się przekleństwem, bo zrozumiała, co jeden Holender powiedział do drugiego:

– Wiedziałaś, że ta krowa jest cielna? *Ja, z białym mężczyzną.*

I rozmowę portugalskich kupców:

– Dlaczego sułtan sprzedaje taki czarny klejnot? Gdyby była moja, przywiązałbym ją do łóżka!

– Słyszałem pogłoskę, że chodzi o jakąś zemstę. Można poznać, że jest wysokiego rodu. Spójrz na jej delikatne ręce, ani jednego odcisku. Chodzą słuchy, że jej tożsamość zostanie ujawniona, kiedy stanie na podeście. Powiadają, że samo jej nazwisko podniesie cenę o dziesięć tysięcy srebrnych rupii.

– Zatem kim ona jest, królową Saby?

– Nie obchodzi mnie, jak się nazywa, poświęciłbym jej każdy jeden dzień tygodnia.

Potem, kiedy znowu stała pochylona, odsłaniając intymne części ciała, ktoś po arabsku powiedział:

– Nie była kastrowana, spójrz na jej wargi i nietknięty pączek. Wciąż odczuwa przyjemność.

Ktoś inny skomentował:

– To wstyd i nieczystość, kiedy krzyczą i jęczą, ale takie kobiety rozpaczliwie pragną mężczyzny. Im częściej są brane, tym są szczęśliwsze.

– Więc weźmiesz udział w licytacji?

– Po co wydawać pieniądze? Kobieta taka jak ta odda ci się za darmo!

Judith spędziła noc pełną przerażenia, niepokoju i płaczu. Rankiem dostała miskę kaszy jaglanej, później wylano jej na głowę wiadro wody, a następnie znudzona gruba Afrykanka w średnim wieku wklepała tłuszcz w jej skórę, żeby nabrała połysku, i zrobiła to w taki sposób, że Judith poczuła się niemal wdzięczna za delikatność, z jaką dziewczęta w haremie przygotowywały ją na spotkanie z księciem.

Godziny mijały powoli. Jej zagroda, znajdująca się bezpośrednio za podestem licytatora, stopniowo pustoszała, gdy jednego niewolnika po drugim wyprowadzano

na sprzedaż. Słyszała słowa Omańczyka, kiedy po arabsku opisywał każdą nową sztukę żywego towaru i nakłaniał chętnych do licytowania. W końcu do zagrody przyszedł Afrykanin, niewolnik człowieka prowadzącego aukcję, złapał sznur zwisający pomiędzy jej piersiami i poprowadził ją ku podestowi. Nagle zrozumiała, że licytator mówi o niej:

– A teraz, szlachetni panowie, oferuję wam bezcenną perłę, własność samego sułtana Sadyka Chana Jahana, pojmaną w chwili, kiedy była dość głupia i dumna, by wierzyć, że może potajemnie szpiegować w Zanzibarze. Ta kobieta to generał Judith Nazet!

Z tłumu licytantów i gapiów doszły stłumione okrzyki zdumienia, szybko zastąpione podekscytowanym gwarem. Licytator musiał podnieść głos, żeby było go słychać.

– Jest dumą niewiernych Etiopii, plagą wiernych, zabójczynią tych, którzy kochają Boga... ale nasz wielki książę rzucił ją na kolana i teraz w swej bezbrzeżnej wspaniałomyślności oferuje tę kobietę każdemu mężczyźnie, który postanowi mieć ją dla siebie.

Rozległ się potężny okrzyk i licytator zaczął, aż hałas ucichł.

– Jest coś więcej – podjął. – Ta kobieta jest nie tylko mściwym demonem. Jest dziwką, ladacnicą, która rozłożyła nogi dla mężczyzny i przyjęła w siebie jego nasienie. Nosi dziecko, które zostanie sprzedane wraz z nią... dziecko angielskiego kapitana Henry'ego Courtneya, zwanego El Tazar, ponieważ jak barakuda zabijał bez litości, uderzając na statki wiernych. Panowie, następnym przedmiotem na aukcji jest generał Judith Nazet!

W chórze radosnych okrzyków, gwizdów i sprośnych propozycji wykrzykiwanych w niezliczonych językach niewolnik wyprowadził Judith z zagrody i kazał jej wejść na podest, gdzie miała zostać sprzedana.

Hal otarł pot z czoła i nie szczędził starań, żeby zapanować nad szybko bijącym sercem. Z jednej strony targowiska stała kryta trybuna, dość wysoka, żeby najbogatsi kupcy mogli w pewnej wygodzie obserwować przebieg licytacji. W połowie trybuny zbudowano specjalną lożę dla sułtana i wybranych gości, osłoniętą przed wzrokiem tłumów. Hal ukrył się wśród pospólstwa i hołoty – w pełnym blasku południowego słońca na nieocienionym placu stłoczyło się kilkuset ludzi, krzyczących, żartujących i wciąż się przepychających, żeby lepiej widzieć niewolników wystawianych na sprzedaż. Naprzeciwko niesfornej ciżby stał podest, na który prowadziły trzy schodki.

Sprzedawany niewolnik wchodził na samą górę, żeby kupujący mieli jak najlepszy widok. Prowadzący aukcję zwykle zajmował miejsce na drugim stopniu, ale od czasu do czasu wchodził na trzeci, jeśli chciał zobaczyć licytanta na obrzeżach tłumu. Na dole czuwało jego dwóch największych, najbardziej umięśnionych zaufanych niewolników z długimi, ciężkimi pałkami przeznaczonymi do bicia niewolnika, który okaże się na tyle głupi, żeby zeskoczyć z podestu i próbować uciec.

Hal stał trochę dalej niż w połowie tłumu. Nie golił się od czasu, kiedy opuścił Zanzibar w noc uprowadzenia Judith, i miał rozpuszczone włosy. Włożył swój najlepszy strój, co miało sugerować, że może jest nagannie niemoralny, ale też na tyle bogaty, żeby zamawiać ubrania u drogiego krawca. Innymi słowy, chciał wyglądać na handlarza niewolników.

Aboli nie posiadał się z wściekłości, bo kazał mu zostać na *Achillesie* wraz z Dużym Danielem i tyloma zaprawionymi w boju marynarzami ze *Golden Bough*, żeby zatrzymali Riversa i jego załogę, gdyby w razie jakichś komplikacji pirat postanowił uciec i zostawić jego, Hala, na łasce losu.

– Przykro mi, stary przyjacielu, ale za bardzo się rzucasz w oczy i wiele osób wie o naszej znajomości – powiedział Abolemu. – Gdyby ktoś cię rozpoznał, natychmiast by wywnioskował, że ja też tu jestem. Pan Tromp będzie mi towarzyszyć. Tak będzie bezpieczniej.

Oczywiście obaj doskonale wiedzieli, że byłoby znacznie bezpieczniej, gdyby w ogóle nie schodził na brzeg, zostawiając Riversowi kupno Judith i sprowadzenie jej na statek. Ale Hal nie mógł znieść myśli, że jego ukochana będzie przechodzić piekło bez pociechy, jaką mogła jej zapewnić jego obecność, a nadto nie ufał Riversowi na tyle, by nie dopuszczać do siebie możliwości oszustwa. Przecież Rivers był zawodowym złodziejem. Zakładanie, że nie spróbuje ukraść Judith, gdy się nadarzy okazja, byłoby czystą głupotą.

W końcu po sprzedaży licznych nieszczęśników licytator zapowiedział ostatnią i najświetniejszą osobę i podał imię Judith. Opisał ją w ponizający, zniesławiający sposób i nawet powiedział, kto jest ojcem jej dziecka... I oto stanęła na podeście, ze sznurem na szyi, z rękami związanymi za plecami, nie mogąc się osłonić przed pożądanymi spojrzeniami mężczyzn postrzegających ją tylko jako coś, co można kupić, a potem używać.

Hala przepełniła wściekłość potężniejsza niż kiedykolwiek. Krew pulsowała mu w skroniach, ćmiło mu się w oczach, które zasnuła czerwona mgła, a jego oddech stał

się wytężony i chrapliwy. Był bliski szału bojowego, w który czasami wpadał w najgorętszych chwilach bitwy, i o krok od przypuszczenia samotnej szarży na podest, kiedy poczuł silną rękę zaciśniętą tuż nad łokciem.

– Nie! – syknął Tromp. – Nie! Wiem, co czujesz. Wiem, że chcesz walczyć z nimi wszystkimi. Musisz zachować cierpliwość. Niech Rivers zrobi, co trzeba. Jeśli teraz ściągniesz na siebie uwagę, wszyscy przegramy.

Hal lewie słyszał jego słowa, ale hamująca go ręka i brzmienie głosu wystarczyły, żeby go powstrzymać, dopóki furia trochę nie zelżała.

Zapanował nad swoim ciałem i głosem. Powtarzał sobie, żeby nie panikować, kiedy zaczęła się aukcja i cena rosła. Rivers jeszcze nie dołączył do licytujących; zapowiedział, że będzie czekać na stosowny moment, zanim wejdzie do gry. Ale Hal spojrzawszy jego oczami prosto na Judith i w myśli krzyknął: Jestem tu, ukochana! Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Jestem tutaj!

Na aukcji, jak zresztą wszędzie w Zanzibarze, nie brakowało uliczników próbujących sprzedawać brudne owoce zgłodniałym widzom i opróżniających kieszenie tym samym ludziom albo po prostu zaspokajających ciekawość, bo tylko publiczne ścięcie głowy mogło rywalizować z wielką aukcją niewolników jako rozrywka dla każdego rodowitego Zanzibarczyka.

Jeden z uliczników jednak nie podejmował próby pozyskania pieniędzy ani na drodze handlu, ani kradzieży. Nie był też zainteresowany przebiegiem aukcji, choć od czasu do czasu zwracał smutne oczy w kierunku Judith Nazet. Całą uwagę poświęcał jednemu mężczyźnie. Otrzymał jasne rozkazy. „Cokolwiek zrobi albo dokądkolwiek pójdzie, masz iść za nim. Ani na chwilę nie spuszczać go z oka, dopóki razem z wami, z nim albo z tobą nie oddamy cum i nie odpłyniemy z wyspy”.

Jedno spojrzenie w oczy mężczyzny, który wydał mu rozkaz, wystarczyło, żeby przekonać łobuziaka – gdyby nawet od samego początku nie był przekonany – że ma wypełnić rozkaz co do joty.

Grey przekonał księcia Jahana, że to on powinien szukać Courtneyę w tłumie.

– To prawda, Myszołów zna Courtneyę jeszcze lepiej niż ja – dowodził. – Ale widok tego zamaskowanego potwora rozproszy uwagę tłumu i ludzie zaczną gadać, co może ostrzec nasz prawdziwy cel. Ja natomiast jestem znany jako człowiek, którego zawsze interesowało piękne ludzkie ciało. Przez wiele lat handlowałem niewolnikami i mój widok nikogo nie zaskoczy. Znam Courtneyę na tyle dobrze, żeby go rozpoznać. A gdybym nawet go nie rozpoznał, nie będzie to miało znaczenia, bo zamierzam

wypatrzeć nasz cel bez przyglądania się każdej twarzy w tłumie.

Tak oto siedział w pierwszym rzędzie krytej trybuny z kapitanem sułtańskiej gwardii u boku, obserwując Nazet, gdy oferty rosły coraz wyżej. Kusilo go, żeby wziąć udział w licytacji, bo, na Allaha, była piękną kobietą, niemal wystarczająco piękną, żeby odwieść mężczyznę od rozkoszy, jakie zapewniali mu młodzi chłopcy. Nie patrzył jednak na nią ani jak kupiec, ani jak przyszły kochanek. Wpatrywał się w jej piękną twarz w innym, ściśle określonym celu.

Judith postanowiła nie dać się upokorzyć mężczyznom, którzy byli niewiele lepsi od zwierząt. W jej żyłach płynęła szlachetna krew. Miała rangę generała. Zachowa godność i hart ducha niezależnie od tego, jak bardzo te bestie będą próbowały odebrać jej jedno i drugie. Ale rozpaczliwie pragnęła zobaczyć Hala; musiała wiedzieć, że przybył, żeby z nią być w tych strasznych chwilach i w końcu ją uratować. Wiedziała, że przybędzie. Wiedziała, że się zjawi, nie bacząc na niebezpieczeństwo. Gdzie on jest?

Będzie w przebraniu, powiedziała sobie. Wypatruj tego, czego nie można ukryć. Głębokie, zielone jak morze oczy, dumna krzywizna nosa, postawa młodego króla. Wypatruj tego, co kochasz w swoim mężczyźnie.

Nagle go zobaczyła. Daleko w tłumie dwoje oczu przyciągnęło jej wzrok i zwarło się z nim, i od razu wiedziała, ponieważ w głębi duszy czuła, że mogą należeć tylko do człowieka, którego kochała. Odpowiedziała spojrzeniem i leciutko się uśmiechnęła, ponieważ nie mogła ukryć radości, która wezbrała w jej sercu.

I wtedy konsul Grey też się uśmiechnął. Prześledził kierunek spojrzenia Nazet i zobaczył wysokiego, ogorzałego, rozczochranego mężczyznę w niedorzecznie eleganckim stroju: ubranie szlachcica na ciele dzikusa. Po chwili ujrzał jego profil i wyraz jego oczu, gdy patrzył na Judith. Zwrócił się do kapitana straży i udając, że prowadzi lekką pogawędkę, powiedział:

– Tam jest twój człowiek. To kapitan Courtney. Każ swoim ludziom go sprowadzić.

Myszolów stał za lożą księcia z niewolnikiem, który ostatnio wszędzie mu towarzyszył, i ukrywał się w cieniu, żeby jego obecność nie zaalarmowała tłumy. On również wypatrzył wśród zgromadzonych Hala Courtneya, ale przecież obaj z Hamishem Benburym dobrze znali jego miejsce pobytu i odgadli, co planuje, kilka godzin po tym, jak wczoraj niesiony wieczornym przypiływem *Achilles* zawinął do Zanzibaru.

Wkrótce po tym, kiedy Benbury i Myszołów przeprowadzali poważną rozmowę z właścicielem Três Macacos, Rivers wszedł do gospody i zamówił butelkę rumu. Trzej kapitanowie, którzy wzajemnie się znali, byli bowiem ulepieni z tej samej gliny, zaczęli rozmawiać. Gdy Rivers przeszedł do drugiej butelki, a potem trzeciej, wyszło na jaw, że przybył do Zanzibaru kupić niewolnika. I to nie było jakiego niewolnika, ale cenną zabawkę sułtana.

Tylko że Rivers był przede wszystkim piratem, a nie handlarzem niewolników, tak samo jak stolarz rzadko bywa drukarzem. Jeśli nagle zmienił jeden fach na drugi, musiał być ku temu powód. Kiedy Benbury wysłał swoich dwóch najbardziej zaufanych ludzi na nabrzeże, żeby obejrżeli *Achillesa* i sprawdzili, kto jest na pokładzie, powód stał się oczywisty.

Tak więc teraz, gdy aukcja osiągnęła punkt kulminacyjny i Rivers wreszcie włączył się do licytacji, Myszołów zrobił kilka kroków, żeby mógł go zobaczyć każdy, kto patrzył na prywatną lożę księcia Jahana, skinął zamaskowaną głową i cofnął się w cień. Później bez jednego słowa wyslizgnął się przez drzwi w głębi loży i zszedł po schodach z niewolnikiem podążającym za nim jak cień, tyle że parę kroków z tyłu. Strażnicy u stóp schodów rozstąpili się, żeby ich przepuścić, bo wiedzieli, że jest stworzeniem księcia, posłusznym pod każdym względem. Niewiele o nim myśleli, gdy Myszołów skręcił w prawo i z placu, na którym tłoczył się tłum, udał się do baraku za podestem.

Rivers miał doskonale wyczucie. Został tylko jeden uczestnik licytacji i cena osiągnęła oszałamiające wyżyny trzech lakhów srebra, znacznie więcej, niż kiedykolwiek zapłacono za jednego niewolnika. Courtney musiałby sprzedać statek, wydać rodzinną fortunę i zastawić swoje jaja, żeby zebrać takie pieniądze, ale akurat tym Rivers nie musiał się przejmować.

Miał zamiar podać ofertę, która, jak czuł, zakończy licytację, kiedy ktoś chwycił go za rękę i czubek noża ukłuł go w plecy przez ubranie.

– Wybacz, kapitanie – warknął ktoś do jego ucha. – Kapitan Benbury przesyła pozdrowienia i mówi, że jeśli natychmiast stąd odejdziesz i wrócisz na swój statek, grzecznie i spokojnie, nie będziemy zmuszeni cię zabić.

– Możesz powiedzieć swojemu przekłętemu kapitanowi... – zaczął Rivers. Urwał, pomyślał i wziął pod uwagę fakt, że przecież *Delft* już należy do niego i że woli żyć, żeby się cieszyć dodatkową siłą ognia w swojej prywatnej flocie, dlatego szybko zmienił zdanie. – Powiedz, że życzę mu miłego dnia i będę wielce zobowiązany, jeśli

pozwole mi odejść, ponieważ wierzę, że jestem potrzebny na pokładzie statku.

Grey jednym okiem obserwował przebieg aukcji, jednocześnie dyskretnie zerkając w kierunku Courtneya. Kapitan gwardii miał z jednej strony placu tajną grupę ludzi ubranych po cywilnemu. Konsul wiedział, że się przesuwały w kierunku Courtneya, ale nie mógł ich wypatrzeć, co dobrze świadczyło o ich przebraniach. I skoro on, wiedząc o ich obecności, nie mógł ich rozpoznać, jak mogłaby tego dokonać ich zwierzyna?

Hal skupiał całą uwagę na przebiegu aukcji. Napięcie stworzone przez licytację było nie do zniesienia. Gdy cena rosła, przestał się martwić o to, czy będzie go stać, żeby ją zapłacić. Zostanie nędzarzem, tyle było jasne. Nie wyjdzie z długów przez wiele lat, może nawet do końca życia. Ale jeśli będzie miał obok siebie Judith i syna – bo przecież na pewno nosi chłopca – to będą wystarczające bogactwa.

Odwrócił głowę w stronę Trompa, szukając krótkiej chwili wsparcia moralnego, ale Holender zniknął. Hal nie zaprzętał sobie tym głowy. Ludzie poruszali się na placu jak fale bijące o brzeg, w stałym rytmie przyplływania i odpływania, i rozdzielenie się dwóch osób w bezustannym zamieszaniu nie było niczym dziwnym.

Skierował spojrzenie z powrotem na aukcję. Po sekundzie zdał sobie sprawę, że licytacja ustała. Licytator wołał do „angielskiego dżentelmena”, pytając, czy chce podnieść ofertę. Chodzi mu o Riversa, pomyślał Hal. Do diabła, co on kombinuje?

Nagle coś uderzyło go w brzuch, wypierając mu dech z piersi i sprawiając, że zgiął się z bólu. Zaraz potem otrzymał cios w potylicę.

I były to ostatnie wrażenia Hala Courtneya z aukcji niewolników.

Ludzie, którzy wpełchnęli się na plac zaraz po otwarciu bramy, wiedzieli, że będą musieli długo czekać, zanim zacznie się aukcja. Dlatego też wielu przyniosło pojemniki z wodą i żywność, żeby zaspokoić pragnienie i głód, a nawet po kapce rumu. Sześciu marynarzy, którzy rozbili mały obóz przed trybuną, wyprawilo sobie prawdziwą ucztę z prowiantu przyniesionego ze statku i świeżo kupionych produktów. Mieli nawet dwie beczułki zawierające „cienkie piwo”, czyli rozcieńczony porter, tradycyjnie używany do poprawiania smaku wody i sprawiający, że jej picie było mniej ryzykowne dla zdrowia. Druga baryłka została wtoczona pod pierwszy rząd ocienionych ławek. Ponieważ wszędzie wokół kręcili się ludzie, trzeba by rzeczywiście bystrego oka, żeby dostrzec czarną kreskę prochu ciągnącą się od otworu szpuntowego przez kilka kroków do miejsca, gdzie marynarze stali, jedli, pili i nawet kurzyli fajki, obserwując przebieg aukcji.

Jeden z nich wcale nie patrzył na podest, na którym stawali kolejni niewolnicy. Skupiał spojrzenie na łożu księcia. Kiedy Myszołów się pokazał i skinął głową, marynarz pyknął z fajki, żeby ją rozpalić, wsunął do główki kawałek papieru i czekał, aż się zajmie ogniem, po czym przysunął płomień do kreski prochu.

Płomień popędził do baryłki i zapalił nasączone w smole szmaty, które były w nią wciśnięte. Sekundę później na trybunach podniósł się krzyk:

– Pali się! Ratunku! Pożar!

Aukcja nie została zakończona, ale licytator nie czekał na ostatnią ofertę. Chwyił Judith, niemal zrzucając ją z podestu, i wraz ze swoimi niewolnikami zawłókł ją do zagrody, z której została wyprowadzona niewiele minut wcześniej.

Tam czekał na nich mężczyzna w masce.

– Zabieram ją – oświadczył stanowczym tonem.

Licytator się zawahał. Jego niewolnicy szeroko otworzyli oczy na widok maski ze złymi ślepiami i ostrymi zębami.

– Ale to moje pieniądze – zaprotestował. – Zapewniono mnie, że dostanę prowizję, jeśli nawet nie dojdzie do sprzedaży.

– Przyjdź rankiem do pałacu. Dostaniesz swoje pieniądze. Zabieram ją – powtórzył Myszołów. Złapał sznur, którym była skrepowana Judith, i dodał: – Mogę cię zawlec albo możesz biec jak człowiek, ale tak czy inaczej pójdiesz ze mną.

Judith słyszała dochodzące z placu spanikowane głosy.

– Zabierasz mnie do pałacu? – zapytała.

Myszołów przytaknął. Poszła za nim przez barak, oddalając się od chaosu spowodowanego przez pożar i zmierzając ku bramie na końcu kompleksu. Tam czekał powóz księcia, ten z zasłoniętymi oknami.

– Wsiadaj – polecił Myszołów. – Będziesz bezpieczniejsza, jeśli nikt cię nie zobaczy.

Judith zrobiła, co kazał, w duchu przyznając mu rację. Jeszcze przed pożarem wyczuła dziwne napięcie w powietrzu. Na placu było tylu mężczyzn, tyle tłumionego pożądania, chciwości i prymitywnej męskiej energii. Spędziła dość czasu wśród żołnierzy, by wiedzieć, że te składniki łatwo mogą doprowadzić do wybuchu przemocy.

Dobry Boże, proszę, chroń Hala, modliła się. Znalazła pociechę w prostej myśli: Jeśli on będzie bezpieczny, a ja wrócę do pałacu księcia, może nie będziemy razem, ale przynajmniej nie zgaśnie nadzieja.

Dopiero w powozie przestała rozmyślać o Halu i zaczęła się zastanawiać, dlaczego wciąż ma ręce skrepowane za plecami i pętlę na szyi. Nigdy nie traktowano jej w ten sposób, gdy była więźniem księcia. Dlaczego teraz Myszołów zostawił ją w więzach, zupełnie bezradną?

Myszołów kazał wsiąść Judith do powozu i wepchnął za nią swojego niewolnika. Podeszedł do kozła i wyciągnął rękę do stangreta.

– Pomożesz mi, proszę? – zapytał, dziobem wskazując wolne miejsce na koźle. Stangret wyciągnął rękę, żeby go wciągnąć.

Myszołów chwycił i bez ostrzeżenia szarpnął z całej siły, ściągając z kozła zaskoczony mężczyznę.

Puścił go w locie, błyskawicznie wyciągnął rapier i przeciągnął nim po jego gardle.

Gdy woźnica leżał na ziemi, dusząc się w kałuży własnej krwi, Myszołów wskoczył na kozioł, chwycił lejce w trójpalczystą dłoń i wrzasnął na konie. Zwierzęta musiały wyczytać w jego głosie gniew i niecierpliwość, bo ruszyły z kopyta, unosząc powóz w głąb ulicy.

Grey siedział tylko kilka kroków od miejsca, gdzie wybuchł pożar. Jako jeden z pierwszych krzyknął na alarm i pierwszy rzucił się do ucieczki.

Kapitan gwardii wiedział, że jego głównym obowiązkiem jest zorganizowanie ewakuacji księcia. Kiedy zobaczył, że jego pan jest bezpieczny w powozie i już jedzie do pałacu, wrócił na plac aukcyjny, żeby pilnować porządku.

Grey znalazł go kilka minut później. Dopytawszy dla formalności, czy księżę nie poniósł szwanku, zadał mu najważniejsze pytanie:

– Macie Courtneya?

Gwardzista pokręcił głową.

– Nie. Moi ludzie wypatrzyli go tam, gdzie powiedziałaś. Ruszyli do tego miejsca, ale zaraz potem wybuchł pożar. Zanim tam dotarli, Courtneya już nie było.

– Zatem musiał uciec ze wszystkimi innymi, którzy opuszczali plac.

Kapitan pokręcił głową.

– Nie. Moi ludzie patrzyli. Obserwowali tłum na placu i później na ulicach. Nigdzie nie znaleźli El Tazara.

– W takim razie sam będę musiał go znaleźć – powiedział konsul i pomyślał, nie mówiąc tego głośno: Bo od tego zależy moja przyszłość.

Powóz się zatrzymał, drzwi otworzyły się i stanął przed nimi Myszołów.

– Wsiadaj – warknął.

Judith ściągnęła brwi. Myszołów prawie zasłaniał widok na świat, ale w tym, co widziała, nie doszukała się podobieństwa do pałacu.

– Gdzie jestem? – zapytała.

Nie odpowiedział.

– Brać ją – rozkazał.

Odsunął się, odsłaniając dwóch mężczyzn, białego i Afrykanina. Obaj sięgnęli w głąb powozu. Judith się odsunęła, otworzyła drugie drzwi i wyskoczyła...

Prosto w ramiona trzeciego mężczyzny. Chwycił ją i trzymał w powietrzu, jakby była ciężarem nie większym niż dziecko. Krzyknęła z przerażenia, a on zarzucił ją na ramię i pobiegł po brukowanym dużymi kamieniami nabrzeżu do płaskodennej łodzi. Skoczył i wylądował na małym pomoście, jakby miniaturowym pokładzie rufowym. W chwili gdy jego stopy zetknęły się z deskami, krzyknął:

– Do wiosła, sukinsyny, wiosłować!

Grey wrócił do domu, wezwał służących, podał każdemu z nich listę nazwisk – od szacownych handlarzy dywanami po zwyczajnych przestępców – powiedział, gdzie najprawdopodobniej można znaleźć wymienione osoby, po czym rozesłał ich po całym mieście. Następnie sam też ruszył na ulice, chociaż ludzie, z którymi pragnął się spotkać, w przeciwieństwie do tych poszukiwanych przez służbę należeli do najznamienitszych w Zanzibarze.

Okazało się, że zamożni kupcy i omańscy arystokraci, z którymi rozmawiał,

mieli niewiele do powiedzenia, jeśli chodzi o miejsce pobytu kapitana Courtneya. Ale kiedy służby wrócili do domu, kilku z nich podzieliło się z nim ciekawymi informacjami. Doprowadziły go one do kilku nowych nazwisk, a od nich do konkretnej dzielnicy miasta. W końcu konsul się dowiedział, co spotkało Courtneya. Przez chwilę myślał o osobistej interwencji, lecz doszedł do wniosku, że próba byłaby daremna, a możliwe, że nawet fatalna w skutkach. Potrzebował pomocy.

A skoro tak, to powinien jej szukać u człowieka, który miał najwięcej do zaoferowania. Z tą myślą ruszył do pałacu księcia Jahana.

Hal oprzytomniał i otworzył oczy. Nic nie widział. Próbował się odezwać, ale nie mógł mówić. Zrozumiał, że ma chustkę ciasno okreconą wokół głowy i knebel w ustach. Siedział na podłodze, plecami oparty o ścianę. Miał związane ręce i nogi. Krótko mówiąc, był zupełnie bezradny.

Zachował jednak zmysły słuchu i węchu, które mu powiedziały, że jest w miejscu cuchnącym psami i ich odchodami i że w pobliżu jest pies, duży, sądząc po warczeniu.

Czysty strach wstrząsnął jego ciałem. Jeśli pies go zaatakuje, nie będzie mógł nic zrobić. Usłyszał płynący z niedaleka krzyk, później stłumione ujadanie. To pobudziło psa i po wybuchu hałaśliwego warczenia zabrzmiały krzyki człowieka próbującego go uciszyć, trzask bicia i żalosne skamlenie.

Zapadła krótkotrwała cisza i myśli Hala z bezpośredniego otoczenia zwróciły się ku ludziom, którzy go tutaj wpakowali. Rivers go zdradził. Czy mogło istnieć inne wyjaśnienie? A potem napłynęło ostatnie wspomnienie, zanim stracił przytomność: odwrócił się i stwierdził, że Tromp zniknął.

Przekłety głupiec ze mnie! Dlaczego tego nie przewidziałem? Holender doprowadził mnie do Riversa i oczywiście obaj uknuli spisek przeciwko mnie.

Gdy mdlące poczucie zdrady skręcało mu trzewia, usłyszał dobiegający zza ściany albo drzwi stłumiony męski głos, któremu wtórował narastający chór okrzyków i wiwatów. Niezupełnie rozumiał, co mówi mężczyzna; miał wrażenie, że najwyraźniej to jakaś mowa wprowadzająca. Przez chwilę myślał, że może wciąż jest na aukcji niewolników, że będzie następny na podeście. Ale to nie był głos licytatora, a okrzyki wydawało mniej ludzi niż na placu; ci tutaj przebywali w zamkniętej przestrzeni. Nagle zgiełk znowu narósł – Hal odgadł, że otworzono drzwi – a pies zaczął szczekać i warczeć jak szalony, zupełnie nie reagując na rozpaczliwe krzyki właściciela lub tresera i powtarzający się trzask bicia. Drewno zaskrzypiało, szczęknął przekręcany klucz i nagle pies zniknął. Hal usłyszał, że szczekanie i warczenie powróciło po drugiej stronie ściany i drzwi. Radosne okrzyki stały się jeszcze głośniejsze.

Walka psów! – pomyślał. Ale, do diabła, co ja tutaj robię?

Zanim mógł wymyślić odpowiedź na to pytanie, ktoś złapał go za ramiona i podniósł. Hal podjął bezcelową próbę wrzaśnięcia na znak protestu, rzucił się do tyłu i uderzył w ścianę. Trzymający go mężczyźni nie puścili i dokładali starań, żeby go poskromić, gdy wił się i wierzgał.

Zrezygnował z walki. Nic nie mógł teraz zrobić: lepiej oszczędzać siły na to, do czego będzie mógł je wykorzystać lepiej. Znowu opadł go strach, który brał się z niewiedzy, co go czeka, i z wyobrażenia sobie najgorszego. Nie chciał pozwolić, żeby ci ludzie dostrzegli jego słabość, dlatego zdusił atak paniki, zanim zupełnie mu uległ. Spowolnił oddech. Odciął się od wszystkiego, skupiając umysł jak oko patrzące przez lunetę. Myślał o oceanie i swoim okręcie. Później pomyślał o swoim ojcu, który został poddany najokrutniejszym katuszom, a jednak jakoś znosił ból i upokorzenie, zachowując godność i honor do chwili śmierci. W tych przerażających wspomnieniach znalazł przykład, który powinien mu teraz przyświecać. Nie podda się, nie, dopóki serce bije mu w piersi.

Ktoś pochwycił go za ręce i przeciął więzy. Gdy prawa ręka opadła, lewa została pociągnięta do przodu. Na nadgarstku zatrzasnęła się żelazny pierścień i Hal poczuł ciężar przymocowanego do niego łańcucha.

Znowu pierwsze fale strachu musnęły najdalsze zakamarki jego umysłu jak fale liżące piaszczysty brzeg.

– Jestem Courtney – powiedział głośno, bardziej do siebie niż do towarzyszących mu ludzi.

Nie było odpowiedzi. Ludzie nie zrozumieli, co powiedział, albo, co bardziej prawdopodobne, wcale ich to nie obchodziło.

Kakofonia ludzkich i zwierzęcych głosów osiągnęła punkt kulminacyjny, a później, po ostatnim wybuchu braw i gwizdów, ucichła do niskiego pomruku rozmów. Walka psów się skończyła.

Poczuł szarpnięcie łańcucha i zrobił kilka kroków, potem ktoś mocno pchnął jego głowę w dół, aż Hal prawie zgiął się wpół – z pewnością przechodził przez drzwi, którymi wyprowadzono psa – i nagle świat, którego nie widział, został zalany przez ryk tłumu. Rozpoznał zapach świeżej krwi w powietrzu i mimowolnie zadrżał, starając się nie wyobrazać sobie rzezi, do jakiej tu doszło ku uciesze ludzi. Potem usłyszał coś innego. Gdzieś w pobliżu szamotał się człowiek, jego stłumiony ryk protestu mieszał się z przekleństwami strażników próbujących go obezwładnić.

– Wasze ekscelencje, panowie! – Piskliwy, wysoki głos mówiącego po arabsku mistrza ceremonii przebił się przez niski ryk widzów niczym nawoływanie muezina nad tłoczonym targowiskiem. – Przygotujcie się na zdumiewające widowisko! Skierujcie wzrok na walkę, jakiej nigdy dotąd tu nie mieliśmy. Nie będzie ucieczki. Nikt nie może się ukryć. Może być tylko krew!

– Masz, weź to – usłyszał Hal i poczuł rękojeść rapiera w prawej dłoni. W głowie rozbrzmiewały mu nauki Abolego z czasów, gdy był jego uczniem.

„Nie trzymaj rękojeści jak pałki, Gundwane, bo to czyni broń ciężką, martwą. Chwyć musi być lekki, żebyś mógł palcami kierować ostrzem. W ten sposób może się ono stać płynnym przedłużeniem twojego ramienia”.

Podniósł rapier, obrócił go w ręce, rozchylając i zaciskając dłoń, żeby głownia uniosła się i opadła, gdy wypróbowywał jej ciężar. Rozpoznał kord: prostą, prymitywną i brutalną broń. Była dość ciężka, więc zdecydował się na chwyt trzy czwarte, obejmując kciukiem karbowaną rękojeść, zamiast położyć go wzdłuż niej, co zrobiłby w wypadku lżejszego oręża.

„Dobrze, Gundwane”. Znowu usłyszał głos Abolego. „Teraz możesz z łatwością zmieniać kierunek swojego ataku. Broń trzymana w ten sposób żyje”.

Uniósł kord do twarzy, przyłożył chłodną mosiężną rękojeść do policzka i poczuł dużą żłobkowaną muszlę gardy. Na końcu rękojeści wyczuł głowicę mocującą gardę i zauważył, że ma kształt piramidy. Wykonał w powietrzu kilka cięć na próbę, nieco podniesiony na duchu, że przynajmniej ma dobrą broń w ręce, choć również na wpół przerażony na myśl, że niewidoczny dla niego człowiek na drugim końcu łańcucha prawdopodobnie robi to samo.

– Być może wielu z was widziało dzisiaj niewierną dziwkę Nazet wystawioną na sprzedaż na targu. – Mistrzowi ceremonii odpowiedział radosny okrzyk. – Niestety, ogień, bez wątpienia podłożony przez wrogów Zanzibaru, uniemożliwił zakończenie licytacji. Nazet znikła, rozplynęła się w powietrzu.

Nie! – wrzasnął Hal w knebel. Nie mogła zniknąć. Nie mogą mi znów jej odebrać. Byliśmy tak blisko, patrzyliśmy sobie w oczy. Nie mogę znowu jej stracić!

– Ale zapewnimy wam coś jeszcze lepszego niż sprzedaż Nazet. Obejrzenie śmierć El Tazara! On to bowiem stoi przed wami, on, który walczy o życie... i który będzie walczyć przeciwko jednemu człowiekowi, a potem następnemu, dopóki w końcu nie zginie!

Mistrz ceremonii zaczekał, aż ucichnie kolejna burza okrzyków, po czym podjął przemowę:

– Jeśli któryś z was spróbuje zdjąć opaskę z oczu albo wyciągnąć knebel, zostanie zastrzelony na miejscu i rzucony psom na pożarcie. – Jego głos zagrzewał do walki: – Gotuj się!

Hal przyjął postawę, rozsuwając stopy na szerokość barków, jedną wysuniętą

do przodu, a drugą ustawioną do niej pod kątem prostym. Ugiął kolana, żeby środek ciężkości znalazł się pośrodku między piętami.

Widzowie się uciszyli. Lewą ręką chwycił łańcuch i pociągnął; ogniwa brzęczały, gdy go napinał.

Usłyszał krzyk: „Walczyć!” i tłum ryknął ze zwierzęcym podnieceniem.

Nagle łańcuch zawisł luźno. Hal wiedział, że przeciwnik idzie ku niemu, więc przesunął się w prawo, unosząc kord, żeby osłonić twarz, gdy drugie ostrze uderzyło, wydzwanając pierwszego kuranta walki. Potem mężczyzna znów zniknął i łańcuch się napiął.

Uszy Hala segregowały hałasy, które zdawały się wirować wokół niego, ale nie usłyszał niczego, co mogłoby mu pomóc – ani kroków przeciwnika, ani jego oddechu – więc mógł tylko zgadywać, gdzie on jest. Przesunął się do przodu, luzując łańcuch, a potem nagle się cofnął i szarpnął, wykręcając się i ciągnąc całym ciężarem ciała. Przeciwnik stawiał opór. Hal skoczył do przodu, tnąc rapierem w lewo i prawo, wysoko i nisko, podczas gdy tłum krzyczał, śmiał się i gwizdał.

W nic nie trafił i nawet nie wiedział, czy w ogóle się zbliżył do przeciwnika, czy jego ostrze minęło go o włos. Wypuścił łańcuch z ręki, oddychając ciężko przez nos z powodu knebla wciśniętego w usta.

Gdzie jesteś? Chodź, przyjacielu, połóżmy temu kres.

Wyczuł ruch po prawej stronie i machnął kordem, blokując cięcie, które o mało nie zdjęło mu głowy z ramion. Nagle się znaleźli, ostrza śpiewały, zderzając się, obaj atakowali i parowali, gdy instynkt i długie doświadczenie wzięły nad nimi górę.

Stal się pocałowała ze stalą i Hal przesunął głównię wzdłuż główki przeciwnika, żeby gardą uderzyć go w twarz. Poczul, że jego cios odrzucił do tyłu głowę mężczyzny, i ogarnęła go dzika radość. Ostrza zadźwięczały i usłyszał stłumione stęknięcie, więc z wyciągniętym przed siebie rapierem rzucił się w stronę dźwięku, atakując. Tym razem poczul, że ostrze dotknęło ciała, zanim przeciwnik odbił je w bok.

Hal zranił go, nie miał co do tego wątpliwości, i wiedział, że musi wykorzystać uzyskaną przewagę. Musi uderzyć znowu, zanim mężczyzna zdąży dojsć do siebie. Ruszył wzdłuż łańcucha, machając kordem w lewo i w prawo. Teraz, gdy serce waliło mu z wysiłku i mięśnie odczuwały napięcie walki, odkrył nowe utrudnienie. Knebel uniemożliwiał oddychanie przez usta, a powietrze wciągane przez nos nie wystarczało płonącym płucom. Gdy organizm domagał się bezcennego powietrza, umysł zniewalało przerażenie powodowane przez ślepotę. Rozum wrzeszczał, każąc mu

uciekać przed ostrą stalą, która szukała jego ciała, każąc mu się skulić, ukryć. Tylko że nie miał gdzie się schować, więc znów zaatakował. Kord, zgodnie z dawnymi naukami Abolego, stał się przedłużeniem jego ręki, a ostrze żywym stworzeniem łaknącym krwi.

Tym razem znalazło stal, nie ciało, i będący skutkiem zderzenia ból przeniknął ramię do szpiku kości. Przeciwnik szarpnął łańcuch i Hal zatoczył się do przodu, tracąc równowagę. Tamten przemknął obok jego prawego ramienia, znalazł się za nim i okręcił łańcuch wokół szyi Hala, dławiąc go.

Obaj upadli. Hal wił się jak węgorz, nie mógł się jednak uwolnić. Nie mógł oddychać. Czuł blisko twarz mężczyzny. Zbyt blisko. Łokieć uderzył go w plecy. Przeciwnik, ciągnąc łańcuch, próbował nogami owinać nogi Hala, żeby go unieruchomić. Był silny. Hal wierzgał i kopał, jego pięty bębniły po ziemi. Ogromne ciśnienie narastało mu w głowie. Zaraz eksploduje czaszka. Oczy wyskoczą z orbit.

Arena zniknęła. Ryczący tłum zniknął. Została tylko cisza macona przez łoskot tętna w uszach. Bicie serca zwalniało.

„Umieram”.

„Nie, Henry. Nie umrzesz tutaj. Zapomnij o tym”.

„Ojczy?”.

„Wstawaj, Henry. Zabij tego człowieka i wstań. Natychmiast, mój synu”.

Czy wciąż trzyma broń? Tak. Ale tracił siły. Musi uderzyć teraz. Mocno. Rozluźnił dłoń, obrócił kord i ścisnął rękojeść kłykciami palców u góry, jakby trzymał młot. Wrzeszcząc pod kneblem, szybko poderwał rapier i uderzył znad głowy, z całej siły waląc głowicą w czaszkę mężczyzny.

Przeciwnik jakoś to wytrzymał – wciąż zaciskał łańcuch na jego szyi, lecz sił mu ubywało. Hal zdołał wcisnąć najpierw dwa, potem trzy palce pomiędzy żelazne ogniwa i swoją skórę. Wystarczyło, żeby zaczerpnąć tchu, i wraz z oddechem nowe życie wlało się w jego żyły. Ponownie uniósł kord i znowu żelazną rękojeścią uderzył w czaszkę wroga, i teraz cała dłoń znalazła się pod łańcuchem. Zerwał go z szyi i odczołgał się od mlójących powietrze kończyn przeciwnika. Chwiejnie stanął na nogach, wciąż na wpół oszołomiony z braku powietrza.

Wiedząc, że musi skończyć, podążył za łańcuchem, tnąc ziemię przed sobą jak oszalały rzeźnik. Tłum dziko ryczał, głośniejsz z każdym kolejnym ciosem, gdy Hal zbliżał się do drugiego mężczyzny. Nagle usłyszał grzechot łańcucha i zrozumiał, że przeciwnikowi jakoś udało się wstać. Wysoko zamachnął się rapierem i głownia

zadzwońiła o głownię. Uderzył znowu. I jeszcze raz, zbijając broń tamtego w dół, przepełniony żądzą krwi i radością, gdyż czuł, że przeciwnik traci siły.

Następne pchnięcie trafiło w próżnię, ale przy kolejnym kord uderzył w ciało i kość. Hal wyrwał ostrze z osuwającego się ciężaru, czując, że zadał śmiertelny cios.

Hałas wokół niego ucichł, co potwierdziło zakończenie walki i jego wygraną. Zatknął zakrwawiony kord pod lewe ramię i zdarł opaskę z głowy.

Zaraz potem rzucił broń i wyrwał knebel z ust, bo żołądek mu podszedł do gardła, gdy oczy ogarnęły scenę.

Walczył z Trompem.

Holender klęczał, twarz miał zalaną krwią, która płynęła z dwóch strasznych ran w czole zadanych przez piramidkę na głowicy kordu. Miał też rozcięte ramię i zmiążdżony nos. Najgorsza okazała się długa na stopę rana cięta, przez którą widać było połyskujące białą żebra. Krew jeszcze jej nie zalała, ale było to kwestią czasu.

Na Hala runęła fala mieszanych emocji: zgrozy i poczucia winy, że wyrządził krzywdę człowiekowi, który został jego przyjacielem, a także straszego wstydu, że niesłusznie go podejrzewał o zdradę. Tromp pozostał lojalny i jaka go za to spotkała nagroda? Hal podszedł i padł przed nim na kolana. Holender próbował zdjąć opaskę z oczu. Brakowało mu siły albo sprawności, żeby tego dokonać, a Hal, rozdarty, nie wiedział, co począć. Był zawstydzony swoim postępkami do tego stopnia, że pomyślał, iż pozwoli mu umrzeć z opaską na oczach, bez świadomości, z czyjej zginął ręki. Bo Holender właściwie już był martwy. Pozostałe mu uderzenia serca można by zliczyć na palcach obu rąk.

Pozwól mu umrzeć, błagał Hal w duchu, patrząc w niebo zapelniające się chmurami.

Powiódł wzrokiem wokół areny, jakby tam mógł znaleźć odpowiedź, ale napotkał tylko morze wrogich, nieznanomych twarzy. Na dole było z nim czterech ludzi: wszyscy uzbrojeni, wszyscy patrzący prosto na niego, jakby go zachęcali, żeby się na nich rzucił. W pewnej chwili dostrzegł pełne łez oczy dziecka. Wydawały się znajome, ale umysł miał tak przeciążony tym wszystkim, co się stało, że nie mógł ich skojarzyć. Ponadto co dziecko miałoby robić w takim miejscu? Próbował się skoncentrować na tym, co na pewno jest prawdziwe i co musi zrobić. Wyciągnął drżące ręce, chwycił mokry od krwi jedwab i zdjął go z oczu Trompa.

– Wybacz – mruknął. – Chryste, wybacz mi... przyjacielu.

Wzrok Holendra jakby się wyostrzył, gdy poczuł dotknięcie, i skupił na Halu.

Zaraz potem oczy mu zmatowiały, jakby pokryła je warstewka lodu. Tromp pochylił się i Hal go złapał. Rozwiązał węzeł z tyłu jego głowy i wyjął knebel. Pozwolić, żeby umarł bez możliwości zabrania głosu, bez możliwości przeklęcia go za odebranie mu życia, wydawało się niewłaściwe.

Ale żadne słowa nie padły. Hal położył przyjaciela na ziemi i przez łyżę spojrzął na stojących wokół niego czterech uzbrojonych mężczyzn.

– Zabrać go do psiarni – polecił mistrz ceremonii.

Dwóch podniosło Hala na nogi. Gdy się wyprostował, znów spojrzął na tłum i rzucił desperackie wyzwanie:

– Jestem! Żyję! Co teraz, przekłęci? Co teraz, obłąkane sukinsyny?

Tłum odpowiedział mu gwizdami i wulgarnymi gestami, a także gradem na wpół obgryzionych kości i czerstwych bułek. Ale pogardliwe krzyki szybko ustąpiły zaniepokojeniu. Ludzie rzucili się do wyjść i nawet strażnicy rozglądali się z paniką w oczach. Nagle Hal zobaczył przyczynę: na podwórzu, gdzie znajdowała się arena, wpadła kompania uzbrojonych żołnierzy, co najmniej trzydziestu. Przedzierali się przez tłum, tłukąc, i dźgając każdego, kto im stanął na drodze. Strażnicy odwrócili się do ucieczki i Hal miał zamiar zrobić to samo, ale gdy się rozejrzał, szukając wyjścia, zorientował się, że jest już za późno. Żołnierze go otoczyli. Na brudną, pełną krwi i ekskrementów arenę wszedł mężczyzna w hełmie z pióropuszem, ubrany w olśniewający mundur dowódcy.

– Kapitanie Courtney, proszę ze mną – powiedział. – Jego Wysokość maharadża Sadyk Chan Jahan pragnie cię poznać.

Hal spędził w celi tylko kilka godzin, zanim książę Jahan złożył mu wizytę. Przygotowywał się na brutalne przesłuchanie, więc pierwsze pytanie kompletnie go zaskoczyło.

– Pański rodak – zaczął książę – ten, którego zwą Myszołowem, czy zawsze miał moralność świni, nawet kiedy był człowiekiem?

Zmęczony Hal próbował się roześmiać.

– Urodził się zdrajcą, złodziejem i łajdakiem. Ma to we krwi.

– Tak. Właśnie tak myślałem. Ukradł Judith Nazet. To mnie rozgniewało, ponieważ była moją własnością.

– Ona nie jest niczyją własnością. Jest wolną kobietą.

– Mylisz się, sir Henry. Obecnie jest więźniem Myszołowa na statku żeglującym na południe. To moja wina. Powinienem być mądrzejszy. Widziałem, jak Myszołów za pieniądze zdradza swojego boga. Człowiek, który to robi, nie ma honoru, nie ma wstydu. Gdyby był muzułmaninem i gdyby rozeszła się wieść, że w taki sposób zdradził Proroka, błogosławiony niech będzie on i Allah, wszechwiedzący i wszechmiłosierny, wtedy nawet gdyby umierał po tysiącokroć, to by nie wystarczyło. Ale ty jesteś inny. Walczysz za swojego boga.

– Za mojego Boga, za wolność i za kobietę, którą kocham.

Jahan westchnął ze smutkiem i pokiwał głową.

– Ach, nie mogę mieć o to do ciebie pretensji, El Tazar. Jest królową wśród kobiet. Była tutaj, w moim haremie, i swoim pięknem zaćmiewała nawet najpiękniejsze konkubiny. Nie, nie obawiaj się, nie zhańbiłem jej, choć byłem wystawiony na ciężką próbę, jak chyba każdy mężczyzna.

– Dlaczego? Przecież mogłeś ją zniewolić. Co cię powstrzymało?

– To dobre pytanie, ponieważ oczywiście masz rację. W tych murach, a nawet poza nimi, mogę robić, co tylko zechcę. Więc co właściwie myślałem...? – Książę po chwili zadumy podjął: – Rozmawialiśmy. Powiedziałem jej, że czekam, dopóki nie zostaniesz pojmany. Że ją zmuszę, żeby mi się oddała, ponieważ jeśli tego nie zrobi, oboje umrzecie. Nie martwiła się o siebie, oczywiście, bo jest dzielna jak mężczyzna. Ale nie chciała, żebyś ty przez nią ucierpiał.

– Czy tak uwodzisz kobiety, groźbami przemocy, jeśli ci odmawiają? – Głos Hala ociekał pogardą.

Jahan, dotąd wyniośle życzliwy, nagle stał się zimny jak lód.

– Albo jesteś bardzo odważnym człowiekiem, albo bardzo głupim, żeby wysuwać taką sugestię, bo mogę cię za to zabić.

– I tak mnie zabijesz, nie wątpię, jeśli tego zechcesz – rzucił Hal.

– Tak – zgodził się z nim książę. – Ale cokolwiek sobie myślisz, w przeciwieństwie do wielu innych nie jestem człowiekiem, który się upaja władzą nad życiem i śmiercią. Krzywdzenie kobiet albo zmuszanie, żeby się poddały mojej woli, też nie sprawia mi przyjemności. Na przykład, kobiety mojego haremu należą do mnie. Istnieją po to, żeby mi dogadzać, na tym polega ich rola i muszą ją wypełniać. Ale ich nie biję, nie grożę im i możesz być pewien, że inne są zawsze zazdrosne o tę, która jest moją wybranką, i żalują, że nie one się cieszą moimi względami. Dlatego zniewolenie Judith Nazet nie sprawiłoby mi przyjemności i chociaż rozgniewały mnie klęski zadane przez nią armiom, które przeciwko niej wysłałem, wcale nie żywię do tej kobiety nienawiści. Szanuję ją, choć bowiem jest niewiastą, walczyła z hartem prawdziwego wojownika. Gdyby zginęła w bitwie, byłbym uradowany. Ale doszedłem do wniosku, że gdybym wziął ją groźbami albo przemocą, to ja byłbym najbardziej upokorzony.

– Piękna mowa, nie wątpię, lecz mimo to postawiłeś ją na podeście handlarza niewolników.

– To było konieczne... środek, żeby cię zwabić z powrotem do Zanzibaru. Chciałem, żebyś stanął tutaj, przede mną, żebym mógł zobaczyć tę barakudę, która atakowała moje statki jak bezradne sardynki. Chciałem wystawić cię do walki z jednorękim potworem, którego stworzyłem. Myślałem, że to mnie rozbawi. – Książę miał taką minę, jakby niemal sam sobie współczuł, jakby szukał współczucia u Hala. – Wiesz, człowiekowi o mojej pozycji trudno jest znaleźć jakąś nową rozrywkę.

– A potem twój potwór cię zdradził.

– Owszem. I ty możesz mi wyświadczyć wielką przysługę, zabijając go.

– Najpierw muszę go znaleźć.

– W tym ci pomogę – oznajmił Jahan. – Myszołów sprzymierzył się z Anglikiem, niejakim Benburym.

– Znam go, jest kapitanem *Pelicana* – powiedział Hal. – Ale nie jest Anglikiem. Jest Szkotem.

– Czy to nie to samo?

– Nie, ani trochę.

– Ha – mruknął książę, zaskoczony, że uczy się czegoś nowego. – W każdym

razie, kiedy napadliśmy na tawernę, gdzie cię znaleźliśmy, żołnierze pochwycili członka załogi tego Benbury'ego. Przekonaliśmy go, żeby powiedział nam wszystko o planach swojego pana.

– W nocy słyszałem wrzaski.

– Perswazja często tak działa. Wygląda na to, że ten kapitan Benbury i Myszołów mają nadzieję sprzedać twoją kobietę Portugalczykowi o nazwisku Lobo. Znam tego człowieka. Ma kopalnię złota. Mogę cię tam dostarczyć.

– Jak?

– Wyruszysz w podróż, która zapewne nie sprawi ci przyjemności, ale za to umożliwi zbliżenie się do Loba. Jeśli spróbujesz go zaatakować, poniesiesz porażkę. Jeśli złożysz mu towarzyską wizytę, odprawi cię z kwitkiem albo po prostu zabije. Jest tylko jeden sposób na dostanie się do jego kopalni, choć możesz tego żałować. Bo każe ludziom pracować, dopóki nie umrą. Dlatego zawsze potrzebuje nowych...

Hal wzruszył ramionami, jakby go to w ogóle nie obchodziło.

– Wiem, co to ciężkie roboty. Mam na dowód ślady po biczu. Przeżyję.

– Możliwe – rzekł Jahan. – Ale najpierw musisz się tam dostać. Nie będzie to łatwe, ponieważ człowiek, który cię zabierze, nie zawaha się, żeby cię zabić.

– Brzmi to tak, jakbyś bardziej pragnął śmierci mojej niż Myszołowa – skomentował Hal.

– Ha! – Książę Jahan miał minę człowieka, który zamówił szereg apetycznych dań i próbując je, stwierdzał, że każde kolejne smakuje gorzej niż poprzednie. – Chcę, żebyście wszyscy szczęśliwi, wszyscy Anglicy, Szkoci... Ty w moich oczach jesteś tu równie niepożądany. W ciągu godziny znajdziesz się na pokładzie statku. Co do tego, który z was umrze i kiedy, nie mnie o tym decydować. Niech wola Allaha będzie waszym sędzią...

Późnym popołudniem po licytacji niewolników Mossie siedział w kapitańskiej kajucie na *Golden Bough*, która stała na kotwicy u zanzibarskiego wybrzeża, dość daleko od miasta, żeby uniknąć ciekawskich oczu. Zgarbiony i ze spuszczoną głową kolejny już raz opowiadał historię przerywaną wybuchami płaczu.

– Powinienem coś zrobić. Pani Judith została porwana, kapitan Henry zakuty w łańcuchy, a pan Tromp nie żyje. Ale nie wiedziałem co!

– Nie obwiniaj się, Wróbelku – pocieszał go Aboli. – Zrobiłeś dokładnie to, o co prosiłem. Szedłeś za kapitanem tak blisko, jak mogłeś, dopóki nie opuścił wyspy. Dzięki tobie wiemy, co się stało, dzięki tobie mogłem posłać ludzi do portu, żeby się

dowiedzieli, który statek zabrał kapitana Courtneya. Wiemy, że jest na *Madre de Deus* zmierzającej do Quelimane. Wiemy, że jest wśród niewolników, którzy mają trafić do kopalni złota. Bez ciebie, Mossie, nie mielibyśmy pojęcia, co się z nim stało, rozumiesz?

Chłopiec pokiwał głową, czując się dzięki tym zapewnieniom trochę lepiej.

– Dobrze – kontynuował pierwszy oficer. – A teraz posłuchaj, jak uratujemy kapitana Courtneya.

Mossie gorliwie pokiwał głową, jakby słuchał ekscytującej bajki przed snem.

– Najpierw popłyniemy za statkiem, na którym nasz kapitan jest więźniem. Jeśli go dopędzimy na morzu, przypuścimy atak i odbijemy kapitana – powiedział Aboli.

– Zabijesz złych ludzi, którzy go zabrali?

– Tak, spojrzę na nich w ten sposób... – Aboli skrzywił pokrytą bliznami twarz w przerażającym wojowniczym grymasie, tak że Mossie pisnął ze strachu i podniecenia. – Potem nadziejemy ich na nasze miecze i włócznie, tak... – sugestywnie machnął ręką – i tak, i tak!

– A jeśli nie dopędzisz w porę tego statku?

– Wtedy zejść na brzeg z moimi braćmi *amadoda*. Kopalnie, do których zmierza kapitan, a może też pani Judith, leżą niedaleko naszej ojczyzny, królestwa Monomatapa. Będziemy znali okoliczne ziemie jak palce własnych rąk. Odbijemy kapitana i jego panią, po czym sprowadzimy ich na wybrzeże, gdzie będziesz na nas czekać z panem Tylerem, panem Fisherem i całą załogą *Golden Bough*.

– Więc sprowadzisz do nas panią Judith i kapitana Henry’ego, całych i zdrowych? – chciał się upewnić Mossie.

– Tak.

– Obiecujesz?

Aboli spojrzał na niego z głęboką powagą w oczach i powiedział:

– Znam kapitana, odkąd był maleńki. Jest dla mnie jak syn i nigdy nie pozwolę, żeby spotkała go krzywda. Więc tak, Wróbelku, obiecuję. Sprowadzę do ciebie kapitana i panią Judith.

– Musisz jeść – powiedziała dziewczyna, wskazując ser i owoce przyniesione z targu w Zanzibarze i godzinę temu nałożone na talerz.

Judith osłabła z głodu, ale nie tknęła jedzenia, bo przyjęcie żywności od człowieka, który ją uprowadził, byłoby aktem kapitulacji. Dziewczyna patrzyła na nią błagalnie.

– Pomyśl o maleństwie. Nawet jeśli nie możesz znieść myśli o jedzeniu, musisz jeść, żeby zachować siły.

Gdy Judith podniosła ser i ugryzła kawałek, dziewczyna obdarzyła ją pełnym napięcia uśmiechem, zerkając na drzwi kajuty, jakby się obawiała, kto albo co może przez nie wejść.

Zapadł zmierzch i *Pelican* rzucił kotwicę, co oznaczało, że niebawem Myszołów do nich zajrzy: zajrzy do Judith.

W Zanzibarze wnieśli ją na pokład, wepchnęli do ciemnej ładowni w trzewiach statku i zatrzasnęli luk. Dostała drewniany kubel, żeby miała do czego się załatwiać, obszarpane spodnie i kaftan z szorstkiego płótna, kiedyś należące do chłopca okrętowego – „Zmarł na malarię, huncwot”, powiadomił ją marynarz – a potem została zupełnie sama, pomijając te chwile, kiedy przynoszono jej jedzenie i wodę. Hal ją nauczył obliczania upływu czasu na podstawie uderzeń w dzwon okrętowy. Wiedziała, że spędziła w ładowni dwa dni i dwie noce i że minęła dziesiąta rano, czyli cztery szklanki przedpołudniowej wachty, kiedy do ładowni zszedł marynarz, kazał jej pójść za sobą i zaprowadził ją do kajuty w forkasztelu. Było tam ciasno i wilgotno, ale znacznie lepiej niż w ładowni. Judith zyskała też towarzyszkę, bo jakiś czas po niej do kajuty wepchnięto młodą kobietę.

– Będę przygotowywać posiłki i opróżniać nocnik – wydukała dziewczyna, drżąc ze strachu, ponieważ stał przy niej Myszołów. – Zrobię wszystko, co tylko można zrobić na pokładzie statku, żeby ci było wygodniej.

– Dziękuję – odparła Judith, po czym zwróciła się do Myszołowa: – Dokąd mnie zabierasz?

Jedyne oko lypało przez otwór, uśmiechnięta maska drwiąco szczyrzyła zęby. Judith rozejrzała się po mrocznej kajucie, szukając czegoś, czego mogłaby użyć jako broni, choćby tylko dla samej satysfakcji uderzenia w ohydny maskę i jeszcze bardziej odrażającego człowieka, który się za nią czaił. Niemal czuła fale przemocy płynące od Myszołowa i będąc nieuzbrojona i bezbronna, zrozumiała, że boi się go jak nigdy

wcześniej żadnego innego mężczyzny. Nienawidziła tego strachu i gardziła sobą, że go odczuwa, jednak nie mogła temu zaradzić. Przebiegł ją dreszcz i osłoniła rękami nienarodzone dziecko, jakby się bała, że Myszołów chwyci nóż, otworzy jej brzuch i wyrwie je z łona.

– Przymknij się, kobieto – zgrzytnął głosem szorstkim jak stara lina. – Ciesz się, że dałem ci tę dziewczuchę. Na pokładzie jest wielu takich, którzy chętnie by się z nią zabawili, chociaż nie grzeszy urodą. – Zostawił je, zamykając za sobą drzwi.

Minął jakiś czas, zanim dziewczyna się odezwała.

– Mówili mi, że nosisz dziecko. Też miałam dziecko, nie tak dawno temu. – Na te słowa łzy trysnęły jej z oczu i nic więcej nie powiedziała.

Judith jadła i zaprosiła dziewczynę, żeby do niej dołączyła. Kiedy raz zaczęła jeść, nie skończyła, dopóki talerz nie opustoszał, chociaż się podzieliła jedzeniem. Dowiedziała się, że dziewczyna, Ann Missen, płynęła do Bombaju na statku należącym do Kompanii Wschodnioindyjskiej, kiedy marynarz w bocianim gnieździe dostrzegł *Pelicana*, który dryfował przy południowym cyplu Madagaskaru z grotzagle w strzępach, jakby miał za sobą morderczy szkwał. Zakładając, że to karawela kupiecka w kłopotach, kapitan kazał podpłynąć i zapewnił kapitana Benbury'ego, że zrobi wszystko, by pomóc, a mianowicie da mu swój zapasowy żagiel z ładowni. Wtedy z luków *Pelicana* wyskoczyli ludzie i wdarli się na pokład z pistoletami i kordelasami, masakrując załogę; mąż Ann, pracownik Kompanii w drodze do objęcia prestiżowego stanowiska w biurze w Bombaju, walczył dzielnie i zastrzelił człowieka, lecz zaraz potem został posiekany na kawałki na oczach swojej młodej żony.

– Nie wiedziałam, że był taki odważny – powiedziała Ann, opisując przebieg wydarzeń.

Judith podejrzewała, że wciąż jest odrętwiała z szoku, że jeszcze się nie pogodziła z myślą, że mąż odszedł od niej na zawsze. Nie śmiała jej pytać o dziecko; wolała mieć nadzieję, że zmarło, zanim małżonkowie opuścili Anglię z szansą na nowe życie.

Gdy siedziały na krzesłach z pełnymi brzuchami jak po uczcie złożonej z pięciu dań, Ann poprosiła:

– Opowiedz mi więcej o sobie.

Odkąd Myszołów podczas jednej z wizyt w kajucie drwiącym tonem nazwał Judith „generał Nazet”, Ann nabrała nienasyconego apetytu na opowiadania o jej

przeszłości: o dzieciństwie na wzgórzach Etiopii, o podróżach po Europie, o kampaniach militarnych.

– Nie rozumiem, jak to się stało, że zostałeś generałem. To znaczy, dlaczego mężczyźni pozwolili, żeby dowodziła nimi kobieta?

– Może dlatego, że nie zostałam wychowana na kobietę – odparła Judith. – Byłam jedynym dzieckiem i ojciec, nie mając syna, przekazał mi wszystko, czego chciałby nauczyć chłopca. Nauczył mnie jeździć konno, walczyć na miecze i na pistolety. Przed snem słuchałam nie bajek o księżniczках, ale historii o wielkich wodzach, takich jak Aleksander, Juliusz Cezar i Hannibal, największy ze wszystkich afrykańskich generałów.

– Poza tobą – wtrąciła Ann, bo Judith stała się jej heroiną.

Judith się roześmiała.

– Nie byłam żadnym Hannibalem! Ale nauczyłam się, jak toczyć i wygrywać bitwy. Ponieważ mój ojciec był naczelnikiem plemienia, jeździłam z mężczyznami, a oni mnie zaakceptowali jako jego następcę, jakbym była synem. Kiedy więc napłynęło wezwanie, żeby żołnierze ruszyli na północ do walki dla cesarza przeciwko arabskim najeźdźcom, to ja poprowadziłam mój lud, ponieważ ojciec był zbyt stary i chory, żeby dowodzić. Zanim dołączyliśmy do trzonu armii, napotkaliśmy wojska El Granga i je pokonaliśmy. Wieść o zwycięstwie szybko się rozeszła, kiedy więc przybyliśmy do głównego obozu, wszyscy żołnierze krzydzeli na wiwat, a kobiety, które podążały za wojskiem, rzucały kwiaty. Tak oto żołnierze mnie przyjęli i uznali za swoją. Zostałam ich przywódcą, ale też maskotką, niemalże talizmanem, i nagle znalazłam się na czele całej armii, bo nie chcieli słuchać nikogo innego.

– Jestem pewna, że mężczyźni, którzy byli generałami, naprawdę cię za to znienawidzili – zauważyła Ann.

Zanim Judith zdążyła cokolwiek powiedzieć, klucz przekręcił się w zamku, drzwi kajuty się otworzyły i wszedł Myszołów, przynosząc z kubryku smród niemytych ciał i jeszcze paskudniejszych rzeczy.

– Nadchodzi sztorm – oznajmił, zamknąwszy za sobą drzwi. Zerknął na puste talerze na stole, potem wlepił wzrok w Judith, jak każdego wieczoru, kiedy do niej zaglądał.

Ann odsunęła się od niego jak ręka od płomienia, on jednak nie był nią zainteresowany.

– Dokąd mnie zabierasz? – Judith powtórzyła pytanie, jak zawsze, kiedy

pojawił się w kajucie.

– Nie tam, gdzie będziesz się dobrze bawić – odparł, świdrując ją jedynym okiem, oceniając ją, jak mężczyzna ocenia niewolnicę, zanim zadecyduje, czy weźmie udział w licytacji.

– Hal Courtney cię zabije – powiedziała. – Znajdzie cię i wypatroszy jak tchórzliwe stworzenie, którym jesteś.

Myszolów ruszył, chociaż nie w jej stronę. Chwycił Ann za gardło i pchnął, przyciskając ją do wilgotnej grodzi. Dziewczyna próbowała krzyknąć, ale z jej ust popłynął tylko żaloszny jęk. Człowiek w masce uderzył ją pięścią w brzuch i odsunął się od niej, a ona upadła na podłogę.

Podszedł do Judith, która chroniła brzuch, ale nie cofnęła się ani o krok. Stała naprzeciwko niego z uniesioną głową, zachęcając go do uderzenia jej w twarz.

Był tak blisko, że owładnął nią strach, że ostrym dziobem może wyłupać jej oczy, i dokładała wszelkich starań, żeby nie spuścić powiek.

– Patrz, co się dzieje z dziewczyną, kiedy mnie nie słucha. – Zgrzytliwy głos dobiegł ze szczeliny na wysokości ust. Za jego plecami Ann leżała w ciemnym kącie, skulona, łapczywie chwytając powietrze. – W moim interesie leży, żebyś była żwawa i zdrowa niczym cenny pies. Ale ona... – Kiwnął głową. – Ona jest niczym. Mogę z nią zrobić, co zechcę.

– Jesteś tchórzem – syknęła Judith.

Myszolów się odwrócił i podszedł do dziewczyny, która szlochała, unosząc ręce w obronnym geście. Pochylił się, odtrącił jej rękę i spoliczkował ją z taką siłą, że uderzyła głową o deski. Wyprostował się i wrócił do Judith.

– Widzisz, co się tu dzieje?

Judith dałaby wszystko, żeby móc się na niego rzucić i rozedrzeć jego ciało gołymi rękami. Nie, nie wszystko. Nie dziecko.

Pokiwała głową.

– Dobrze. Kiedy uderzy sztorm, będziesz w miarę bezpieczna, jeśli usiądziesz na podłodze, trzymając się nogi koi – powiedział, wskazując jej miejsce do spania. Ann nie miała koi, tylko kilka koców na gołych deskach. – Albo możecie się trzymać jedna drugiej – dodał, przekrzywiając głowę, gdy nad tym rozmyślał. Zrobił trzy kroki, otworzył drzwi i stanął na progu kajuty.

– Nie trać sił na modlenie się o ratunek z rąk twojego szlachetnego młodego bohatera i o jego zemstę na nas wszystkich – powiedział. – Courtney nie żyje.

Zaprowadzono go na egzekucję jak byka do rzeźni.

I z tymi słowy odszedł.

Madre de Deus była pływającym piekłem. Portugalski trójmasztowy statek kupiecki kursował po morzach w niekończącej się pętli, wymieniając tandetne towary handlowe na Afrykanów, których następnie przewoził w ładowniach na targi niewolników w Nowym Świecie, Indiach Wschodnich albo imperium osmańskim. Dla jego właściciela i kapitana João Barrosa nie miało znaczenia, kogo i dokąd przewozi ani kto w końcu kupi ładunek. Dopóki otrzymywał zapłatę, nic go to nie obchodziło.

Maharadża Sadyk Chan Jahan nie zapłacił mu za przewiezienie Anglika twierdzącego, że jest Courtneyem, słynnym Tazarem, do Quelimane. Po prostu przysłał urzędnika z żołnierzami, którzy odeskortowali więźnia na nabrzeże.

– Jego Wysokość został powiadomiony, że płyniesz z transportem do Quelimane – powiedział po arabsku urzędnik.

– To prawda – odparł Barros w tym samym języku, pocierając jasnoróżową bliznę, która biegła z kącika ust do linii włosów. Był to nerwowy nawyk, którego nie mógł się pozbyć.

– *Señor* Lobo ich kupił do pracy w kopalniach.

– To prawda.

– Dobrze, proszę dodać tego do transportu – polecił urzędnik i strażnicy pchnęli Hala, żeby stanął naprzeciwko Barrosa. – Jest Anglikiem. Jeśli przetrwa podróż, Jego Wysokość pragnie, żeby *señor* Lobo otrzymał go w prezencie.

– Piękny dar – zauważył Barros. – Nie dość, że biały, to jeszcze wygląda na silnego i zdrowego. Dobre zęby. *Señor* Lobo wykorzysta go do rozplodu, jak mniemam.

– Całkiem możliwe – zgodził się z nim urzędnik, po czym dodał: – Jego Wysokość jest świadom, że podróże morskie są najeżone niebezpieczeństwami, wobec czego nie będzie żywił do ciebie urazy, jeśli ta podróż okaże się zgubna w skutkach dla tego osobnika.

– Mówisz, że mogę z nim zrobić, co zechcę?

– Otóż to. Jego Wysokość zarządził, że los tego człowieka ma spoczywać w rękach Allaha, wszechwiedzącego i miłosiernego.

– Interesujące zarządzenie – skomentował Barros. – Przez cały czas będę je miał na względzie.

Tak oto po raz drugi w swoim krótkim życiu Hal Courtney znalazł się w duchocie, ciasnocie, ciemności i potwornym smrodzie pokładu dla niewolników,

przykuty do osadzonego w belce pierścienia, uwalany płynnymi ekskrementami innych ludzi.

Oceniał, że od Zanzibaru dzieli ich sześć dni, kiedy do ładowni zszedł członek załogi Barrosa – mężczyzna, który wśród przerażonych, na wpół zagłodzonych, chorych i konających niewolników szybko zasłynął z gorliwości, z jaką okładał ich pejczem. Towarzyszyło mu dwóch marynarzy, gdy przy świetle latarni z rogowymi szybkami trącał i poszturchiwał niewolników trzonkiem bicia, którego chyba nigdy nie wypuszczał z ręki.

Czego szuka ten łajdak? – zapytał się Hal w duchu, mrużąc oczy w nagłej nieprzyjemnej jasności.

Portugalscy żeglarze zakrywali nosy zgiętymi w łokciu rękami i jeden przeklinał smród. Dozorca dźgnął trzonkiem między łopatki wycieńczonego Afrykanina, który siedział zgarbiony tak mocno, że niemal dotykał czołem wysmarowanych nieczystościami desek. Kiedy niewolnik nie zareagował, mężczyzna się pochylił i zadarł mu głowę. Afrykanin jęknął i otworzył oczy. Dozorca wymruczał przekleństwo i poszedł dalej.

– Ten wygląda na silnego – powiedział po portugalsku jeden z towarzyszących mu żeglarzy, wskazując kordem na innego Afrykanina.

– Ja też mam tu jednego – odezwał się drugi. – Wygląda na hardego młodego kutasa.

Hal znał portugalski na tyle, żeby natychmiast pożałować, że siedział wyprostowany, z wyzwaniem w oczach patrząc na handlarzy niewolników. Mężczyzna przyjrzał mu się uważniej i dodał:

– Czekaj! Chyba jest biały.

– Tym lepiej. Zabierzcie obu na górę – polecił ten z biczem.

Hal i Afrykanin weszli za portugalskimi marynarzami po specjalnie poszerzonej drabinie, żeby dwóch niewolników mogło wchodzić i schodzić bez zdejmowania łańcuchów, które skuwały ich kostki.

– Aha, Anglik – powiedział kapitan Barros, po czym przeniósł spojrzenie na wyższego, bardziej muskularnego z dwóch niewolników. – Ten drugi też wygląda na silnego. Dobrze. Doskonały wybór. Czarny przeciwko białemu. Jest w tym pewna... sztuka.

Barros stał ze swoimi oficerami i chłopcem okrętowym przy grotmaszcie; wszyscy, nawet chłopiec, mieli szerokie kapelusze dla ochrony przed słońcem.

Chłopak tak bardzo przypominał Barrosa, łącznie z aroganckim przekrzywianiem głowy, że musiał być jego synem.

– Ruszaj się, Fernandes, kuternogo! – ryknął Barros do siwowłosego garbusa, który kuśtykał po pokładzie, stukając drewnianą nogą. – Przysięgam, stary capie, że nie mógłbyś się bardziej guzdrać, gdybyśmy ci odjęli drugiego kulasa.

– Powiem chirurgowi, żeby przyniósł piłę – wtrącił oficer o końskiej twarzy. – I przy okazji na to też porobimy zakłady.

Odpowiedział mu śmiech, szczególnie głośny z ust chłopca.

Garbus niósł instrument, który Portugalczycy i Hiszpanie zwali *viola da mano*, czyli ręczne skrzypce, ponieważ grało się na nim palcami, nie smyczkiem. Ze złością podrzucił go w powietrze.

– Idę tak szybko, jak mogę, Barros, ty wredny sukinsynu! – warknął, podchodząc do grotmasztu i wyrzucając z siebie stek plugawych przekleństw.

Kapitan Barros posłał Halowi pełne zmęczenia spojrzenie. Wyraźnie ignorując fakt, że zwraca się do człowieka, który wygląda jak zarośnięty, rozczochrany żebrak powalany własnymi i cudzymi ekskrementami, powiedział:

– Tylko jemu pozwalałam tak do mnie mówić, bo był przyjacielem mojego ojca i jest w miarę przyzwoitym muzykiem. – Wskazał instrument z długą rzeźbioną podstrunnicą i sześcioma parami strun. – Równie dobrze ta *viola da mano* mogłaby być jego żoną. Należała, zdaje się, do jego dziadka.

– Pradziadka, chociaż już wtedy był stary – poprawił go Fernandes.

Kapitan machnął ręką.

– Rzecz w tym, że wątpię, by nasz młody Anglik kiedykolwiek widział taki instrument.

– Tylko na obrazach – odparł Hal, dołączając do tej farsy. Obaj udawali, że są dżentelmenami prowadzącymi konwersację w eleganckim salonie, a nie kapitanem i więźniem na pokładzie statku niewolniczego.

Barros pokiwał głową.

– Szkoda, że *viola da mano* dawno temu wyszła z mody. My jednak wciąż od czasu do czasu cieszymy się jej brzmieniem, prawda, panowie? – Pięciu oficerów pokiwało głowami, szczerząc zęby w uśmiechach. – Znajomość instrumentu świadczy o tym, że wy, Anglicy, jesteście cywilizowaną nacją. Wyznacznikiem każdej cywilizacji jest umiłowanie muzyki, nie sądzi pan?

Obrócił głowę w stronę człowieka z biczem i wskazał mu żelaza na kostce Hala.

Mężczyzna odpiął klucz od pasa i pochylił się, żeby otworzyć okowy.

– Spójrz, jak łypie ślepiami – powiedział Barros, odwracając się w stronę muskularnego czarnego niewolnika. – Gapi się na mnie tak, jakby chciał mi urwać głowę.

– To będzie równa walka – zawyrokował inny oficer, ze ściągniętymi brwiami przyglądając się stojącym przed nim niewolnikom.

Hal z doświadczenia wiedział, że większość niewolników zachowuje się potulnie i dokłada starań, żeby nie wyglądać groźnie, po prostu po to, aby przeżyć. Spuszczali oczy i chowali swoje myśli dla siebie. Ten jawnie przyglądał się kapitanowi, prężąc dobrze umięśnione ciało, nagie z wyjątkiem przepaski biodrowej, jakby się szykował do walki o życie. Hal zastanawiał się, czy zdoła wygrać z takim dumnym, dzikim przeciwnikiem. Wyglądało na to, że zaraz się o tym przekona.

A jednak nie walkę kapitan João Barros miał na myśli.

Mężczyźni się odsunęli. Hal i muskularny niewolnik zostali na otwartej przestrzeni pokładu o długości i szerokości kilku kroków. Obaj ciężko oddychali nie z wysiłku czy strachu, ale ponieważ po wielu dniach spędzonych pod pokładem wciągali świeże morskie powietrze, rozkoszując się nim jak spragniony wodą.

– Zatańczycie dla nas – powiedział im Barros. – Będziecie tańczyć do muzyki Fernandesa i nie przestaniecie, dopóki stary nie skończy grać. Tak, możecie przerwać, jeśli się zmęczycie, ale uczciwie ostrzegam, że ten, kto ustanie pierwszy, poniesie konsekwencje.

Mężczyzna stojący obok Hala nie okazał, że zrozumiał choćby jedno słowo. Barros posłał po jednego z czarnych żeglarzy, a ten przybiegł z kubryku i przełożył mowę kapitana na język znany niewolnikowi.

– Jakie konsekwencje? – zapytał Hal.

Barros skinął w kierunku oficera, który stał z bosą stopą na wielkim zwoju liny.

– Pierwszy, który przestanie doceniać talent Fernandesa, zostanie wyrzucony za burtę na końcu tej liny – odparł. Następnie zwrócił się do swoich ludzi: – Ci, którzy stracą pieniądze, stawiając na wynik konkursu, będą mogli je odzyskać, obstawiając wynik połowu. – Wyszczrzył zęby, odwrócił się w stronę Hala i rozpostarł ręce. – Czy nie jestem sprawiedliwym człowiekiem? – zapytał. – Dlatego załoga mnie kocha.

Inni już robili zakłady, przekrzykując się wokół kwatermistrza, który się dwoił i troił, żeby wszystko notować.

Hal spojrzał na grotzagiel *Madre de Deus*. Kapitan Barros uczynił to samo.

– Ach – mruknął. – Ma pan nadzieję, że utrzymamy tę prędkość. Osiem węzłów, nieprawdaż?

Hal myślał o rekinach tygrysiach, które płyną za statkiem, żerując na wyrzucanych za burtę odpadkach i nieczystościach z latryny.

– Obliczyliśmy, że rekiny płyną ze średnią prędkością dwóch węzłów – podjął kapitan Barros. – Ale na krótkich odcinkach potrafią płynąć znacznie szybciej. – Zwrócił się do oficerów: – Co powiecie?

– Zauważyliśmy, że mogą wyciągnąć ponad osiem węzłów, kapitanie, ale nie wytrzymują długo – odparł kwatermistrz.

Barros skinął głową i zwrócił się do Hala:

– Oczywiście nie musi pan się tym przejmować, dopóki nie przestanie pan tańczyć. – Obrócił się na pięcie i machnął ręką w kierunku garbusa, kazać mu zaczynać. – *Jamajka*, jeśli łaska, Fernandesie. Ale żywo. Anglicy uwielbiają skoczną gigę.

Fernandes zaczął długimi, pozółkłymi paznokciami szarpać struny z baranich jelit.

Afrykanin spojrział na Hala, Hal na niego.

– I jak? Zaczynać! – rozkazał kapitan Barros i dozorca na zachętę machnął biczem w ich stronę.

Hal zaczął tańczyć.

– Z pewnością rozumiesz, że nie możemy zawinąć do Quelimane ani do żadnego innego portu wzdłuż wybrzeża. – Benbury patrzył na Myszolowa, gdy stali oparci o reling na rufie *Pelicana*. Przeniósł spojrzenie na wznoszący się i opadający dziób. Pokiwał głową. – Przekłęci Portugalczycy kontrolują większość z nich i nie pozwalają handlować nikomu innemu z wyjątkiem Arabów. A wysadzenie niewolnika na brzeg jest uznawane za handel.

– Wysadzenie skradzionego niewolnika na brzeg jest uznawane za przestępstwo karane śmiercią – sprecyzował Myszolów zgrzytliwym głosem. – Masz jakiś pomysł?

– Mój drugi oficer, Pereira, wie, gdzie są kopalnie, i przysięga na wszystkie świętości, że może je znaleźć, jeśli będzie miał sekstans do wyznaczania kursu. Kiedy dotrzecie na miejsce, może dla ciebie tłumaczyć, bo jak przypuszczam, ten Lobo nie zna innych języków oprócz portugalskiego i bełkotu tubylców. Wysadzę was na brzeg przy delcie rzeki, gdzie z tego, co wiem, nie będzie białych ludzi. Tereny są podmokłe,

ale łodzią można pokonać spory kawałek drogi. W ten sposób znajdziesz się bliżej kopalń, niż gdybym cię zabrał do Quelimane.

– Ja mam wyruszyć w tę podróż?

– Jeden z nas musi – odparł Benbury. – Ja jestem kapitanem statku.

– Czy wędrówka przez połowę Afryki nie zaszkodzi dziewiczej urodzie Judith Nazet? – Myszołów miał zastrzeżenia.

– Och, tym się nie kłopotz! Nie jest jakąś wydelikacaną białą damulką. Jest czarna, tak samo jak cała reszta. Będzie się czuła jak u siebie w domu.

Hal zaczął powoli, podobnie jak Fernandes, pomimo rozkazów kapitana, że tempo ma być żwawe. Palce siwobrodego pieściły struny instrumentu, jego kostki i ścięgna się rozgrzewały, przypominając sobie radość wyczarowywania muzyki z gładkiego korpusu w kształcie ósemki, wystruganego z cyprysu i cedru. Dostosowywał się do melodii w swoim tempie, jak dama opuszczająca się do gorącej kąpieli, i szarpał struny, żeby śpiewały swoją słodką, łagodną pieśń.

Hal stopił się z melodią, jego mięśnie nabierały siły, umysł próbował zapomnieć o poniżeniu, jakie go spotkało. Liczy się tylko Judith. Dla niej musi przeżyć, to najważniejsze.

Pięta–palce, pięta–palce; tańczył z rękami zaciśniętymi za plecami, gdy stopy wybijały rytm, obejmując w posiadanie ten skrawek pokładu *Madre de Deus*. Gole podeszwy miękko lądowały na deskach, coraz szybciej, gdy Fernandes pozwalał muzyce przyspieszać jak kapitan statkowi z kolejno podnoszonymi żaglami.

Hal przypuszczał, że ma przewagę, bo przynajmniej melodia nie była mu obca. Wątpił, żeby Afrykanin kiedykolwiek widział jakiś instrument przypominający *viola da mano*. A jednak wkrótce stało się dla niego jasne, że tamten ma muzykę we krwi, bo poruszał się z pewnością siebie i gracją, jaką Hal mógł tylko podziwiać, gdy pierwsze krople wilgoci spłynęły mu po skroniach, a stawy zaczęły poskrzypywać po wielu dniach uwięzienia.

Jamajka przeszła w nieznaną mu melodię, ale tańczył prostą, czystą gige, taniec, jaki żeglarze wykonują po dniu ciężkiej pracy, we śnie, a nawet na końcu konopnej liny. Miał wyprostowany tułów, jedną rękę wspierał na biodrze, drugą trzymał lekko uniesioną niemal jak szermierz. Jego żwawe i szybkie stopy wybijały rytm trzy czwarte, mięśnie nóg pęczniały jak skręcona lina. Wiedział, że pomimo opłakanego stanu, w jakim się znajduje, widownia musi być pod wrażeniem, że taki barczysty, dobrze zbudowany mężczyzna tańczy z taką lekkością. A jednak gdy tylko spojrział na Afrykanina, który stawiał kroki tak naturalnie, jak ptak trzepocze skrzydłami, poczuł się niezdarny. Co więcej, czarny mężczyzna nawet się nie pocił, podczas gdy jego piekły oczy, strumyki potu ściekały mu po plecach, każda kropla wybijała własny rytm na pokładzie.

Portugalscy oficerowie dobrze się bawili. Niektórzy śmiali się i klaskali w rytm muzyki albo poklepywali się po udach. Inni wskazywali Hala albo Afrykanina, tłumacząc, dlaczego ich człowiek wygra i dlaczego ktoś inny straci pieniądze.

Marynarze, którzy zebrali się przy relingach, bez wątpienia także obstawili wynik. Kapitan Barros uśmiechał się jak rekin.

Hal zatracił się w muzyce, zaczarowany przez rytm swoich stóp na pokładzie. Melodia nabierała tempa, gdy palce starego Fernandesesa, zadając kłam jego wiekowi, wykonywały własny taniec, pomykając po strunach instrumentu.

– Murzyn jest gibki jak kobra – powiedział po portugalsku jeden z oficerów.

– Może tańczy dla swoich bogów – dodał drugi. – Wzywa burzę, żeby go zabrała z powrotem do jego dziewięciu żon.

– Dziewięciu żon? Chryste, wolałbym wyskoczyć za burtę niż mieć osiem więcej niż moja jedna – rzucił kwatermistrz.

Słońce wznosiło się wysoko nad afrykańskim lądem. Płonęło po stronie sterburty; okrutny żar lał się na *Madre de Deus* jak z otwartego pieca. Hal oddychał urywanie. Nogi robiły się ciężkie i łaknęły wody jak złowiona ryba. Świeżo wyszorowany pokład wokół jego stóp pociemniał od potu. Nie miał odwagi spojrzeć na Afrykanina; bał się, że zobaczy wciąż silnego, wytrzymałego człowieka, co mogłoby złamać jego wolę kontynuowania tańca. Słyszał jednak, jak stopy Afrykanina bębnią po pokładzie, choć przynajmniej ciężiej, dzięki Bogu, i kątem oka widział, że się porusza.

Tańczył dalej.

Nagle pomimo bólu, który promieniował ze wszystkich drobnych kości stóp przez długie kości nóg i potężne mięśnie ud do bioder i karku tak, że głowa wydawała się wielkim ołowianym ciężarem, zrobiło mu się żal Afrykanina. Ponieważ on tańczył dla kobiety, która zawładnęła jego duszą, i dla dziecka, które czekało, żeby zaczerpnąć swój pierwszy słonawy oddech. Życie na morzu przekuło jego ciało w twarde, nieustępliwe narzędzie. Wszystkie mięśnie i ścięgna zostały doprowadzone do perfekcji, gotowe sprostać każdemu fizycznemu wyzwaniu.

A jednak narzędzie tępiało. Tańczył o połowę wolniej, nie będąc w stanie zachować tempa ani rytmu mającego jakikolwiek związek z melodią płynącą z *viola da mano*. Ciało odmawiało mu posłuszeństwa. Słyszał śmiejące się z niego mewy i krzywił się z bólu. Otumaniony przez mgłę pragnienia, zastanawiał się, jak musi wyglądać. Jak starzec brnący przez piekielnie gorące saharyjskie piaski, pomyślał. A jednak, choć ciało zaczęło go zawodzić, wiedział, że serce nie sprawi mu zawodu. Giga w jego wykonaniu mogła być niczym więcej jak groteskową parodią, ale tylko sama śmierć zatrzyma jego stopy dudniące po pokładzie.

To cud, że stary Fernandes wciąż grał, bo przecież też musiał być wyczerpany, ale to go nie obchodziło. Bezwładnie zwieszał ręce i ledwie mógł oderwać podbródek od piersi.

– Dalej, psy! – warknął któryś z gapiów. Bicz smagnął plecy i ramiona Afrykanina.

Hal poczuł na wargach smak jego krwi.

– Wygląda mi na to, że rekiny dostaną na kolację trochę ciemnego mięsa – powiedział któryś z oficerów.

– To jeszcze nie koniec – zaznaczył drugi. – Twój Anglik wcale nie wygląda na zbyt ożywionego.

Widzowie coś krzyczeli, ale Hal był zbyt zmęczony, żeby ich rozumieć. Długie, proste włosy zwisały mu przed twarzą. Niewiele do niego docierało, nie był świadom nawet tego, co robią jego stopy albo czy w ogóle się poruszają. Usłyszał świst bicia i pomyślał, że być może tym razem smagnął jego plecy. Nagle się potknął i upadł na kolano, i jego umysł wrzasnął na znak buntu, żądając, żeby się podniósł. Zrobił to, a gdy wstał, spojrział w lewo i zobaczył, że Afrykanin klęczy wsparty na rękach, ze zwieszoną głową; jego brzuch się zapadał i wydymał, gdy łapczywie chwycił powietrze.

Hal usłyszał wiwaty i zrozumiał, że są przeznaczone dla niego. Wyprostował się i uniół głowę. Położył prawą rękę na biodrze i dźwigał lewą, aż się znalazła nad głową.

Pięta–palce. Krok w prawo, krok w lewo, krok w prawo, podskok. Kiedy uniół ciężką nogę, żeby zmienić postawę, druga prawie się pod nim ugięła, a jednak znowu tańczył.

– Mnie wystarczy! – krzyknął kwatermistrz w chórze okrzyków i przekleństw.

– Tak, wystarczy. Wygrałeś, Angliku. – Kapitan Barros zerwał kapelusz z głowy i uniół go wysoko na znak zakończenia zawodów. – Twoi rodacy byliby z ciebie dumni.

– Wstawaj, przynęto na rekiny! – ryknął człowiek z biczem, smagając Afrykanina, który bez powodzenia próbował się podnieść. – Wstawaj, powiadam! – Bicz znowu opadł.

Nagle bez świadomej myśli o tym, co robi, Hal rzucił się na dozorcę; ciało zderzyło się z ciałem, kości zagrzechotały o kości. Obaj upadli i Hal zacisnął ręce na gardle mężczyzny.

– Tchórz! – wycedził przez zęby. Przepełniony wciekłością i żądzą wymordowania tych potworów, którzy nie mieli nic przeciwko traktowaniu ludzi jak najniższe zwierzęta, czuł teraz braterską więź, a nie rywalizację z Afrykaninem, uderzył czołem i rozkwaśił nos dozorca.

– Zabierzcie go ze mnie! – wrzasnął mężczyzna i Hal poczuł, że marynarze go podnoszą w powietrze. Wierzgnął i machnął rękami, zdołał się im wyrwać, ale upadł na pokład i znowu się na niego rzucili.

– Trzymać go! – ryknął Barros.

Oficerowie poderwali Hala z pokładu, jeden okręcił wokół ręki jego włosy i szarpnął głowę do tyłu. Twarz kapitana Barrosa pojawiła się tuż przed jego oczami.

– Bezczelny angielski pies! – syknął Portugalczyk, uderzając go w twarz. – Dasz się zabić dla brudnego Murzyna? – Zadał mu drugi cios, kostkami dłoni rozcinając wargę.

– Dla niego zabiłbym ciebie – warknął Hal. Wściekłość przepędziła z jego głowy wszelkie racjonalne myśli; zapomniał o tym, co dobre dla niego, a nawet dla Judith i ich dziecka. Krew spływała mu w brodę i oblizwał pękniętą wargę, rozkoszując się wilgocią w suchych ustach.

Wiedział, co go czeka, i napiął mięśnie brzucha w chwili, gdy Barros uderzył go pięścią. Cios wycisnął mu powietrze z płuc, ale go nie powstrzymał od nazwania Barrosa tchórzliwym synem hiszpańskiej kurwy.

Ten nie odpowiedział. Podszedł do relingu i wyjął jeden z nieużywanych nagli. Potrząsając solidnym drewnianym kołkiem jak pałką, trzasnął nim Hala w skroń.

Rozgrzane do białości światło wypaliło oczy i Hal nagle oślepl. Słyszał, jak Barros mówi:

– Jesteś przyjacielem zwierząt, Angliku. Ciekaw jestem, czy ta sympatia rozciąga się na ryby. – Zwrócił się do swoich ludzi: – Przynieście drugą linę. Czekają nas kolejne zakłady.

Powalili obu niewolników na pokład i obwiązali ich torsy długimi linami. Hal bezwolnie poddawał się nieuchronnemu, zachowując siły na czas, kiedy mu będą potrzebne, ale Afrykanin walczył, strach przeważał nad jego zmęczeniem, gdy niesiono ich na rufę i opuszczono za burtę. Kiedy żeglarze *Madre de Deus* popuszczali linę i pąkle na kadłubie kaleczyły przedramiona i nogi, Hal kłął. Wpadł do oceanu i wrzasnął z bólu, gdy słona woda zalała otwarte rany.

Ludzie na pokładzie wciąż popuszczali linę i Hal z Afrykaninem zostali

zniesieni przez kilwater statku. Parskali i wymachiwali rękami, żeby utrzymać głowy nad powierzchnią. Hal wygiął plecy w łuk i wściekle kopał wodę. Lina była długa i gdy ją wypuszczono do końca, znalazł się daleko za kilwaterem, za strefą najbardziej wzburzonego, oranego przez kadłub oceanu. Tam wystarczyło trzymać się liny, żeby mieć usta nad wodą.

Rozejrzał się i z ulgą zobaczył, że Afrykanin nie utonął, że ściska linę z ponurą determinacją, z mięśniami ramion nabrzmiętymi z wysiłku.

– Trzymaj się! – krzyknął, ręką pokazując, jak to robić; miał nadzieję, że mężczyzna zrozumie, o co mu chodzi, nawet jeśli nie pojmie sensu słów. – Po prostu trzymaj. Niedługo nas wyciągną! – Hal mówił to samemu sobie, wychodząc z założenia, że przecież kapitan Barros nie będzie takim idiotą, żeby skazywać ich na śmierć, zamiast zarobić na nich na targu niewolników.

Oficerowie statku zdjęli kapelusze o szerokich rondach z obawy, że wiatr wyrzuci je za burtę. Hal widział ich przy relingu, a nad nimi żagle *Madre de Deus* i dwa tuziny marynarzy wspinających się na reje.

Naprawdę zwalnia, pomyślał, zdając sobie sprawę, co się stanie, jeśli statek straci dwa czy trzy węzły. Widział ludzi na bezanie i grocie, ciemne sylwetki na tle błękitnego nieba. Byli zajęci refowaniem bramsli i marszagli, a kiedy skończyli, poczuł znaczny spadek swojej prędkości w wodzie. Dzięki temu łatwiej było utrzymać głowę nad powierzchnią i kiedy spojrzał w bok, zobaczył twarz Afrykanina skrzywioną w grymasie, który zinterpretował jako wyraz ulgi.

Sądzi, że nas ratują, pomyślał. Głupiec śmie mieć nadzieję, że przejdziemy przez tę próbę z paroma zadrapaniami i zranioną dumą. Myśl o krwi sprawiła, że po raz pierwszy się obejrzał. Wykręcając szyję, próbował zobaczyć morze za sobą.

Dostrzegł wystające nad wodę trójkątne płetwy.

Słyszał radosne wrzaski załogi. Ludzie stali wzdłuż relingów i czepiali się want, krzycząc z podniecenia.

– Bóg nam pomoże – mruknął. Stado rekinów płynęło jakieś dwieście jardów za nimi. Drapieżniki grasujące w ciepłych wodach Oceanu Indyjskiego nie były mu obce: żarłacz czarnopłetwe, ryby młoty, rekiny ludojady znane z połykania ludzi w całości i wszechobecne nienasycone żarłacz tygrysie, których bali się wszyscy żeglarze. Widział okazy mierzące dwadzieścia pięć stóp długości od czubka nosa po koniec ogona. Słyszał o ich atakach na szalupy, nawet o wygryzaniu i pożeraniu kawałków kadłuba.

Na własne oczy widział, jak rekin przegryzł twardą skorupę ogromnego żółwia morskiego. Nie śmiał myśleć, co taki drapieznik zrobi z jego ciałem, a zarazem nie mógł myśleć o niczym innym, gdyż wiedział, że stworzenia wyczuły jego krew.

Afrykanin wrzasnął z przerażenia, bo też zobaczył zbliżające się towarzystwo. Hal nie miał dla niego żadnej rady. W takiej sytuacji pozostawało tylko mieć nadzieję i jeśli dojdzie co do czego, walczyć.

Madre de Deus zwolniła może do czterech węzłów, Hal domyślił się więc, że Barros rozkazał zwinąć część żagli na fokmaszcie. A może wiatr osłabł. Tak czy owak, jego krew stała się chłodniejsza niż woda. Wciąż miał nadzieję, że Portugalczycy znudzą się zabawą i ich podholują, zanim rekiny przypuszczą atak.

Ale załoga statku jeszcze z nimi nie skończyła. Przyjęto zakłady. Postawiono pieniądze, które czekały, żeby przejść z ręki do ręki.

Hal nawet nie widział rekina, który go zaatakował. Poczul uderzenie, duży klinowaty pysk trącił go w udo i obrócił tak, że przez chwilę leżał na plecach i patrzył w niebo przez grubą na dwie stopy warstwę oceanu. Odwrócił się, zaczerpnął tchu i puścił linę. Poszedł w dół, pętla szarpnęła go pod pachami, ale węzeł nie puścił. Wyrzucił powietrze z płuc i przekreślił się, chowając twarz pod wodą. Przeszukiwał wzrokiem błękitną mgiełkę, wypatrując rekina, który go uderzył.

Zobaczył go. Opadł o jakieś trzydzieści stóp i poruszał pyskiem na boki, gdy płynął pod jego kilwaterem.

Hal pomyślał, że teraz go wciągną na pokład. Na pewno. On jako pierwszy został brutalnie powitany przez rekina. Ludzie Barrosa z pewnością to widzieli i teraz go wyciągną ku radości tych, którzy wygrali zakład.

Ale nic takiego się nie stało. Po chwili Hal z przerażeniem zobaczył następnego rekina wylaniającego się z mroku przy jego prawym udzie, wymachującego ogonem, żeby nabrać prędkości. Wrzasnął pod wodą, znowu wykręcając tors i z całej siły machając nogami. Lewa pięta trafiła w pysk i przekreśliła rekina na bok, żółtawobiałe podbrzusze błysnęło w błękitnym mroku.

Zobaczył następnego po prawej stronie. Po krępej sylwetce i szerokim, płaskim pysku rozpoznał żarłacza tępogłowego. Rekin miotał ogonem, żeby go dopędzić, i znalazł się tak blisko, że kiedy Hal znowu się zanurzył, spojrzał prosto w małe, złe oko stworzenia. Nagle rekin zniknął, a Hal wygiął ciało w łuk i wyłonił się na powierzchnię, żeby nabrać powietrza przed ponownym zanurzeniem.

Następny rekin rozdziawił szczęki i Hal zobaczył ostre jak brzytwa zęby. Zdjęty

przerażeniem, pomyślał o Judith, bo wierzył, że zaraz umrze, rozdarty na kawałki ku uciesze szaleńców. A jednak postanowił, że nie da się zabić bez walki. Wrzasnął i obrócił się, kopiąc z całej siły. Groźne zęby minęły go niemal cudem i stworzenie zostało z tyłu, straciwszy energię.

Koszmar trwał niemal godzinę. Hal odpędzał rekiny, kopiąc je po oczach i tępych pyskach albo w ostatniej chwili uciekając przed ich szczękami. Był świadom, że Afrykanin robi to samo, gdyż obaj walczyli o życie. Ale kiedy na prawo od siebie zobaczył straszną kotłowaninę, z całkowitą pewnością wiedział, że Afrykanin został ukąszony. Nie krzyknął. Może był zbyt wyczerpany. Może już nie mógł dłużej walczyć i po prostu się poddał. Hal wynurzył się, by zaczerpnąć tchu, i usłyszał zbiorowy jęk na rufie. Kapitan Barros wściekle ryczał na swoich ludzi, którzy trzymali linę Afrykanina, złorzecząc, że pozwolili go zabić. Czego ten głupiec się spodziewał?

Hal myślał tylko o sobie. Rekiny, zwabione zapachem świeżej krwi, ściągają z odległości wielu mil. Krew i poszarpane zwłoki w wodzie wprawiają je w szaleństwo i on będzie następną ofiarą. Jeśli do tego czasu nie utonie, bo był śmiertelnie zmęczony. Obawiał się, że nie ma już sił do dalszej walki. Mógł tylko trzymać głowę nad powierzchnią spienionej wody w kilwaterze statku i choć napędzał go strach, zdawał sobie sprawę, że niedługo i on go opuści.

Nagle zorientował się, że zbliża się do kadłuba *Madre de Deus*. Przyciągali go. Wyłonił się z wody, wisząc jak dzienny połów wystawiony na pokuszenie wrzeszczącym mewom, a kiedy przeciągnęli go przez reling, bezwładnie padł na pokład.

Ledwie zdawał sobie sprawę, że zatrzasnęły żelaza na jego drętwiejących nogach, ale nie walczył. Nie mógłby, nawet gdyby od tego zależało jego życie. Był kompletnie wyczerpany.

– Gratuluję, Angliku. Sprawiasz tyle kłopotów, że nawet rekiny nie chcą cię pożreć – powiedział Barros.

Hal nie miał siły odpowiedzieć. Ale żył.

Judith tęskniła za widokiem nieba. Zbyt długo była uwięziona w świecie wody, błota, mgły i kęp trzciny, które napierały ze wszystkich stron, tłumiąc wiatr w wilgotnym powietrzu i odcinając ich od światła słońca, choć jego żar ciążył im na ramionach niczym płynny ołów.

Dziesięciu wyruszyło w podróż: Pereira, portugalski drugi oficer z *Pelicana* z trzema marynarzami uzbrojonymi w muszkiety i kordy; dwóch afrykańskich członków załogi, którzy służyli jako tragarze i dźwigali zapasy; Judith i Ann; zamaskowana mężczyzna i niewolnik, który się nim zajmował.

Próbowała sobie wyobrazić, jak się czuje uwięziony w tym skórzanym pancerzu, bo kłódki i obroza na szyi jasno dawały do zrozumienia, że choć dowodzi wyprawą, nie nosi maski z wyboru. Co więcej, mimo silnej prawej ręki i niesłabnącej surowości zachowania, w masce był całkowicie zależny od swojego sługi, bo tylko on mógł go nakarmić i напоić.

Pewnego wieczoru, gdy siedzieli wokół tłącej się, dymiącej namiastki ogniska, ponieważ tylko to udało im się osiągnąć w tym świecie wilgoci, zapytała Myszołowa, dlaczego po ucieczce od Jahana nie zdjął maski, którą książę kazał mu założyć.

– W tym skwarze musi być nie do zniesienia – dodała. – Powietrze jest takie ciężkie. Jak w ogóle możesz oddychać?

– Tak, mógłbym ją zdjąć, ale co wtedy by się stało? W tej masce mogę przestraszyć każdego dzikusa stąd do Przylądka Dobrej Nadziei. Bez niej jestem tylko bezimiennym kaleką.

– Żal mi ciebie – powiedziała Judith bez śladu uczucia, co sprawiło, że słowa zabrzmiały tym bardziej wymownie.

Myszołów pochylił się.

– Nie użalaj się nade mną, dziewczyno. – Nasącał każde słowo jadem. – Zachowaj współczucie dla siebie.

Wyruszyli z *Pelicana* w szalupie i płynęli siecią dopływów, które lawirowały w pasie bujnej nadbrzeżnej roślinności pomiędzy lądem i morzem. Pętla, zakola i skrzyżowania krętych dróg wodnych były bardziej skomplikowane niż najbardziej zagmatwany labirynt, jaki mógłby obmyślić ludzki umysł, ale Myszołów i Pereira, siwobrody weteran, który nosił się z godnością starszego oficera, nawigowali, jak mogli najlepiej. Oznaczali trasę kawałkami płótna, które przywiązywali do mangrowców rosnących wzdłuż rzecznych brzegów, żeby jeśli zobaczą znak – co

zresztą często się zdarzało – wiedzieli, że muszą zawrócić. Czasami się kłócili, w którą stronę płynąć. Kiedy indziej wskazywali tę czy tamtą drogę, kiwali głowami na znak, że ją pamiętają, i wydawali rozkazy człowiekowi przy sterze.

Gdy strumienie zwolniły i rozszerzyły się w rozlewiska, ujrzeli wielkie, rozdęte cielska hipopotamów. Na rozkaz Myszołowa marynarze załadowali muszkiety i zapalili lonty, po czym szerokim łukiem ominęli straszne stworzenia. Judith dobrze je znała, bo często je widywała na drogach wodnych południowej Etiopii. Ann nigdy wcześniej ich nie widziała i nie mogła zrozumieć, dlaczego zamaskowany mężczyzna podejmuje takie środki ostrożności, a Afrykanie mają tak przerażone miny.

– Spójrz na nie – powiedziała ze śmiechem. – Po prostu leżą, podnosząc i opuszczając łby, zanurzone do połowy w wodzie. Widać tylko oczy i nozdrza wystające z rzeki. Zabawne, jak kręcą uszami. Patrz! Jednemu z nich ptak usiadł na głowie!

– Nie byłoby ci do śmiechu, gdyby jedno z tych stworzeń cię zaatakowało – uświadomiła ją Judith. – Rozeźlony byk albo krowa z cielakiem bez wahania mogą się rzucić na łódź. Na łądzie niewielu ludzi może je prześcignąć, a te wielkie paszcze mogłyby cię przeciąć na pół przy jednym kłapnięciu.

Akurat wtedy jeden z hipopotamów ziewnął, pokazując wielkie dolne zęby, zakrzywione i szpiczaste jak katowski topór, i uśmiech zniknął z twarzy Ann.

Największe zagrożenie dla życia stanowiły jednak nie potężne szarżujące bestie, ale chmary owadów, które nękały ich zwłaszcza w nocy, żądłąc i kęsając, aż każdy skrawek odsłoniętej skóry pokryły opuchnięte czerwone ślady po ukąszeniach.

Przynajmniej nie narzekali na jedzenie. Ryby, ostrygi i kraby występowały tutaj w wielkiej obfitości. Tragarze polowali na ptactwo wodne, strzelając z łuków, i zbierali słodki mahoniowy miód. Z wysokich białych mangrowców rosnących najbliżej morza Judith zrywała grube, skórzaste, oliwkowozielone liście, miażdżyła je i dodawała do wieczornego posiłku, żeby ulżyć skurczom żołądka. Zbierała niedojrzałe owoce i nacierała mięszem ukąszenia, które pokrywały jej ciało, szczególnie łydki, a zaostrzonych gałązek używała jako wykałaczek.

Drugiego dnia wędrówki przez estuarium jeden z marynarzy ustrzelił tłuste szare stworzenie, które wyglądało jak foka z ogonem delfina i łagodnym wyrazem pyska. Zwierzę miało smutne, słodkie psie oczy i wiecznie uśmiechniętą mordkę.

– To diugon – powiedział im Myszołów, który akurat był w nietypowym dla niego towarzyskim nastroju. – Jedzą trawę morską. Zapewne uznacie, że nadaje się do jedzenia.

Trzeba było pięciu ludzi, żeby wciągnąć ranne stworzenie, patrzące na nich z miną potulnego zdziwienia, do szalupy, gdzie zatłukli je pałką na śmierć. Rozplatali je i posolili mięso, które zgodnie z zapowiedzią Myszołowa okazało się smaczne. Jedli je przez kilka dni i podczas każdego posiłku marynarze się kłócili, czy smakuje bardziej jak wołowina czy wieprzowina.

Gdy zjedli ostatni kawałek mięsa diugonia, musieli zostawić łódź, bo woda zrobiła się za płytka, żeby płynąć. Dalej wędrowali na piechotę, przemierzając błotne równiny i często brodząc po kolana w słonawym błocie i wodzie. Mężczyźni ścinali gałęzie małych, twardych czarnych mangrowców w głębi przybrzeżnych równin, żeby rozpalać ogniska i wędzić złapane ryby.

Gromady małp o białych podgardlach skrzeczały na ich widok. Węże i inne gady umykały im z drogi, wślizgując się do wody. W nocy nad ich głowami przemykały nietoperze, podczas gdy w dzień często słyszeli łopot i głosy czapli, kaczek i gęsi zaniepokojonych ich obecnością. Od czasu do czasu łowiec namorzynowy przemykał niczym strzała o rozmytych jaskrawych kolorach.

Minęły kolejne dwa dni bez żadnej wskazówki, dokąd zmiierzają ani jakie są zamiary Myszołowa. Judith wiedziała tylko tyle, że każdy ciężki, wysysający siły krok oddala ją od Hala. Ale przynajmniej coś zyskała podczas tej posępnej, wyciskającej siódme poty wędrówki przez błotniste równiny. Jeden z portugalskich marynarzy odciął prostą gałąź, żeby zrobić z niej oścień. Gdy ostrzył kordem koniec, raz ciął za głęboko i czubek się złamał. Kiedy mężczyzna, przeklinając, ruszył na poszukiwanie następnej gałęzi, Judith podniosła z błota zaostrzony kołek i schowała go w fałdach spódnicy.

Nie była to broń wiele warta. Nie zapewni jej obrony przed rapierem Myszołowa ani muszkietami marynarzy. Ale miała coś własnego i to roztlili w jej sercu iskierkę nadziei.

Madre de Deus rzuciła kotwicę w zatoce Quelimane i wszyscy niewolnicy zostali wypędzeni na podkład, gdzie w strachu i niepewności czekali na swoją kolej, żeby zejść na brzeg. Opuszczali statek po dwunastu, nie w szalupach, ale w łodziach, które przyplływały z brzegu.

Hal zerknął przez ramię na *Madre de Deus* kotwiczącą spokojnie na rozmigotanych wodach zatoki. Jeśli kiedykolwiek ją zobaczę, pošlę ją na dno, obiecał sobie w duchu, starając się zapamiętać jej sylwetkę. I może Barros będzie mnie błagał o litość, ale powieszę lajdaka na noku rei i pozwolę, żeby mewy obrały jego ciało do

nagich białych kości.

Kiedy dobili do brzegu, rozkazano Halowi i pozostałym niewolnikom stanąć w szeregu, by sformować karawanę: szereg niewolników z łańcuchami na szyjach i rękach, połączonych następnymi łańcuchami od karku do rąk nieszczęśnika z tyłu. Dwóch ludzi pośrodku było skutyh nie samymi łańcuchami, jak wszyscy inni, ale dodatkowo dźwigało ciężką belkę, długą może na dwa kroki, z drewnianymi jarzmami na końcach. Jarzma spoczywały na ich ramionach, jedno z tyłu, a drugie od przodu. W ten sposób zachowywano stałą odległość pomiędzy nieszczęśnikami, których wybrano na zwierzęta juczne. W konsekwencji musieli iść dokładnie w tym samym tempie i to samo dotyczyło wszystkich pozostałych przed nimi i za nimi.

Barros popłynął na brzeg w pierwszej łodzi i gdy skuwano niewolników, rozmawiał z mężczyzną w wielkim słomkowym kapeluszu, według Hala nieco podobnym do konsula Greya, bo był gruby i obleśny. I ociekał potem, chociaż przyjechał na mule.

– Jak widzisz, *señor* Capelo – mówił Barros – przywieźliśmy najlepszy towar z rynku w Zanzibarze. Same świetne okazy i jestem pewien, że *señor* Lobo będzie zadowolony z siły i wytrzymałości nowych robotników.

– Jeden jest biały – zauważył Capelo, z dezaprobatą patrząc na Hala. – Biali nigdy długo nie wytrzymują.

– Nie masz potrzeby się martwić – zapewnił go Barros. – Sam się przyjrzyj, to świetny okaz. Ma długie kończyny i jest silny jak wół.

Capelo odchrząknął sceptycznie, mimo to skorzystał z sugestii kapitana. Zsiadł z muła, podszedł do Hala i dokładnie go obejrzał, macając uda i bicepsy, oglądając białka oczu i język, szturchając go w brzuch.

– Dobrze, uwierzę ci na słowo – oznajmił. – Ale jeśli nie spełni oczekiwań, chcę dodatkowego czarnego na zastępstwo i nie spodziewaj się, że za niego zapłacę.

– Oczywiście – zapewnił Barros. – Ale masz pieniądze za tych ludzi?

– Owszem. – Capelo wrócił do muła, otworzył sakwę i wyjął płócienny worek ciężki od monet. – Jest tutaj uzgodniona suma. Możesz przeliczyć, jeśli chcesz.

– Nie ma potrzeby – odparł Barros z przymilnym uśmiechem. – Wiem, że ani ty, ani *señor* Lobo mnie nie oszukacie. Dlatego się pożegnaj. Życzę bezpiecznej podróży do kopalni.

Gdy Barros odszedł, Capelo dosiadł muła, rzucił rozkazy i ruszył drogą. Po chwili Hal poczuł na ramionach znajome smagnięcie bicia, dające mu do

zrozumienia, że on też ma się ruszyć. Karawana rozpoczęła wędrówkę ku sercu Afryki.

Minęło trochę czasu, zanim dwunastu ludzi złapało rytm i zaczęło iść marszowym krokiem gwardzystów na paradzie. Niektórzy się potykali i padali, pociągając za sobą innych. Hal niejedną raz czuł szarpnięcie, które go przewracało, i nie mógł nijak temu zapobiec, bo ręce miał skute łańcuchami. Ich strażnikami byli Afrykanie, ale nie okazywali miłosierdzia ani współczucia swoim braciom w okowach; okładali drewnianymi pałkami i długimi skórzanymi biczami każdego, kto według nich nie szedł dość szybko.

Opuścili port, przeszli między drzewami i znaleźli się w brzęczącym ulu, który był portugalskim miastem Quelimane. Niedawno wzniesiona katedra piętrzyła się nad skupiskiem prymitywnych drewnianych chałup i bielonych lepianek. Pośrodku miasta wznosiły się ruiny zbudowanego z cegły mułowej starego fortu, a obok kładziono fundamenty pod nowy.

Niewolnicy harowali i pocili się w upale. Jedna grupa wciągała po pochylnej ogromną mosiężną kolubrynę do nowego fortu, koła lawety skarżyły się skrzypliwie, trzask bicia poganiacza zachęcał ludzi do zrobienia kolejnego kroku. Woły muczały, ciągnąc ciężki ładunek drewna. Ludzie wrzeszczeli i klęli, kłócili się albo nagle wybuchali śmiechem.

Nieco dalej stała porządnie zbudowana szubienica; drewno wciąż było świeże i czyste w przeciwieństwie do wisielca, który powoli obracał się na linie. Trup cuchnął rozkładem i wyglądał tak, jakby miał na sobie czarną pelerynę. Z bliska się okazało, że okrywa go ruchliwa warstwa much.

Mężczyźni siedzieli na skraju drogi, palili fajki i naprawiali sieci rybackie. Ich żony brodziły w wolno płynącej czarnej rzece, robiąc pranie. Dzieci bawiły się w pobliżu: walczyły drewnianymi mieczami, kopały piłkę albo rzucały kamykami w szczekającego psa, który był przywiązany do kołka. Kowal pracował w kuźni nad nową kotwicą, a dźwięk młota na kowadle brzmiał jak dzwon wiejskiego kościoła. Stara kobieta zachwalała kosze rzekomo świeżych ryb. Ładna czarna dziewczyna o nagim torsie krzyczała, że jej owoce mango są najśłodsze w Afryce.

Żaden z mieszkańców Quelimane nie okazał najmniejszego zainteresowania przechodzącą obok nich żalosną kolumną niewolników i ich straży. Widok był tak pospolity, że stał się naturalnym elementem krajobrazu. Z tym przypomnieniem, jak nisko upadł, Hal stawiał jedną stopę przed drugą, dostosowując kroki do idącego przed nim mężczyzny, gdy opuścili Quelimane i skierowali się w busz.

Judith była bliska kompletnego wyczerpania. Każdy miesiąc w jej ciele tętnił i bolał. Ćmiło jej się w oczach, a w głowie huczało, jakby mózg wrzeszczał w czaszce, wysychając niczym ryba na żerdzi. Mimo wszystko dotrzymywała tempa pozostałym niewolnikom, nie chcąc, żeby zamaskowany mężczyzna miał satysfakcję, że jest tak wykończona.

Bagna i błotniste równiny wybrzeża dawno temu ustąpiły sawannie interioru. Kiedy pierwszy raz stanęła na twardej, suchej ziemi, jej stopy, mokre od wielu dni, miękkie jak chleb w misce mleka, szybko pokryły się pęcherzami i zaczęły krwawić. Teraz miejsce pęcherzy zajęła stwardniała skóra, co uwolniło ją od jednej z męczarni, jakie musiała znosić. Często pod koniec kolejnego długiego dnia marszu z ledwością trzymała się na nogach, ale zawsze udawało jej się iść do samego końca. Nie mogła się poddać, nosząc w łonie tak cenne brzemię.

Idź! – zdawało się ponaglać maleństwo. Nie poddawaj się. Damy sobie radę. Skoro ja mogę walczyć, ty też możesz.

Ann też była bliska zupełnego wyczerpania. Pomimo swojego pożałowania godnego stanu Judith jej pomagała, zachęcała do dalszego wysiłku, gdy Ann osuwała się na kolana, tracąc wolę. Nakłaniała ją łagodnymi, krzepiącymi słowami albo smagała ostrymi, robiąc wszystko, byle tylko ją zmusić do ruchu, kiedy się wydawało, że woli leżeć i czekać na śmierć niosącą wybawienie.

Zamaskowany mężczyzna sprawdzał czas na zegarku i co trzy godziny zatrzymywał karawanę, pozwalając im na półgodzinny odpoczynek. Ann siedziała teraz obok Judith na pylistej ziemi, obejmując kolana, z twarzą schowaną w złachmanionych spódnicach.

– Dzisiaj – szepnęła Judith, pochylając się w jej stronę. – Zrobimy to dzisiaj w nocy.

Ann powoli, żałośnie uniosła głowę. Zamrugła, żeby przepędzić łzy, i pociągnęła nosem.

– Chcesz powiedzieć, że nadeszła pora?

Wiele razy rozmawiały o ucieczce, ale nigdy nie wyszły poza rozmowę.

– Ta pora, o której mówiłam – zapewniła ją Judith, bojąc się dodać coś więcej, bo w pobliżu siedzieli marynarze z *Pelicana*, dzieląc się butelką precedzonej przez szmatę wody i słuchając opowiadanej przez jednego z nich sprośnej historii.

– Jak? – W smutnych oczach Ann zajaśniała iskierka, bursztyn nadziei.

Judith zerknęła na marynarzy, później na Myszołowa, który już leżał w kocach z rękami pod głową, ze starannie ułożonym obok siebie rapierem. Z powodu maski niepodobna było poznać, czy śpi, czy czuwa. Nagle, jakby pochwycił jej myśli na nocnym wietrze niczym drapieznik, który zwietrzył zwierzynę, usiadł i zwrócił się w jej stronę. Dzikie, groźne oko, niedorzeczny, a jednak przerażający dziób i ostre zęby wyszczerzone w uśmiechu satyra sprawiły, że Ann załkała.

– Nie patrz na niego – szepnęła Judith. Widziała, że dziewczyna drży, więc złapała ją za rękę i położyła ją na swoim brzuchu. – Udawaj, że rozmawiamy o dziecku. – Ann wciąż patrzyła na człowieka w masce. – Ann – syknęła Judith i dziewczyna odwróciła głowę i spojrzała na jej brzuch; w końcu zrozumiała i zmusiła kąciki ust do lekkiego uśmiechu.

Judith powiedziała jej, jak uciekną.

Minęła północ i księżyc płynął wysoko po niebie. Judith i Ann po cichu wysunęły się z jednospadowego szałas, ostrożnie, żeby nie zbudzić mężczyzn, którzy chrapali pod kocami wokół gasnącego ognia, śpiąc głęboko pomimo nocnego chóru świerszczy i cykad. Na warcie stał Pereira, siwobrody, który pomagał nawigować szalupą w lesie namorzynowym i od tamtej pory pełnił rolę nawigatora, prowadząc ich do miejsca przeznaczenia. Pomimo wieku był czujny i odwrócił się w ich stronę, gdy tylko wyszły z szałas.

– Ann musi iść na stronę – wyjaśniła Judith. – Za bardzo się boi, żeby pójść sama.

– Idźcie – mruknął Pereira i wskazał splacheć otwartego terenu na skraju obozowiska.

Judith pokręciła głową.

– Nie na widoku – powiedziała.

Pereira przez całą minutę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Zostać tutaj – rozkazał po angielsku z silnym obcym akcentem, po czym je minął i wrócił do ogniska.

Czekały. Judith miała rozpaczliwą nadzieję, że Pereira nie zbudzi Myszołowa. Poczła ulgę, gdy siwobrody nie zwrócił uwagi na zdeformowaną śpiącą postać, tylko przykucnął, żeby potrząsnąć za ramię jednego z członków załogi *Pelicana*. Marynarz usiadł i w świetle ognia Judith zobaczyła jego zaspaną, niezadowoloną twarz. Z rezygnacją wzruszył ramionami, odrzucił koc i wstał. Zapalił lont wolnotłący od ognia i podszedł do dwóch kobiet. W jednej ręce trzymał muszkiet, a drugą dał im znać, że

mają pójść za nim.

– Na pewno nie możesz poczekać do rana? – zapytała Judith. Był to szyfr, jaki uzgodnili wcześniej. Dawała Ann ostatnią szansę na powrót.

– Nie, muszę iść teraz – odparła dziewczyna i zacisnęła usta.

Judith skinęła głową. Spodziewała się, że Ann zrezygnuje. Brawo, młoda damo, pomyślała.

Mężczyzna „przyzwoitka” zaprowadził je do miejsca oddalonego mniej niż o trzydzieści kroków od obozu. Zatrzymał się na skraju polaci wysokiej trawy kołyszącej się na chłodnym wietrze. Gwiazdy dawały tyle światła, że nie potrzebowały pochodni. Judith obejrzała się w stronę obozu i z ulgą zobaczyła, że przez gęste cierniste krzaki nie widać nawet ogniska. Rzadki szary dym i iskry płynące ku niebu były jedyną wskazówką, że na sawannie obozują ludzie.

– Możecie pójść tam? – zapytał marynarz, wskazując trawę.

Ann zmusiła się do zrobienia zawstydzonej miny, przenosząc spojrzenie z niego na Judith, i gestem kazała mu się odwrócić. Posłuchał jej, niczego nie podejrzewając, a potem zrobił coś jeszcze lepszego. Gdy Ann podkasła spódnicę i przykucnęła, młody marynarz położył muszkiet na ziemi. Zacisnął w zębach powoli tłący się lont, rozpiął spodnie, wyciągnął członka z rozporoka i zaczął oddawać mocz z hałaśliwym szumem, który zagłuszył szmer powodowany przez Ann.

Judith czekała, dopóki nie usłyszała, że szum moczu osiągnął punkt kulminacyjny. Wsunęła rękę w dekolt sukni i zacisnęła ją na zaostrej gałęzi mangrowca. Bezgłośnie jak skradający się lampart podeszła do młodego marynarza i czekała, aż się odwróci w jej stronę.

Rzuciła się na niego i z całej siły wbiła ostry koniec palika w dołek pomiędzy obojczykami. Wykorzystując swój pęd, zahaczyła prawą nogą o jego łydkę i pchnęła go do tyłu. Upadła na niego i całym ciężarem ciała wbiła szpic głębiej, poruszając nim z boku na bok, żeby spowodować jak największe zniszczenia. Mężczyzna charczał i bulgotał, ale tak zmasakrowała mu gardło i struny głosowe, że dźwięki płynące z jego ust były stłumione i nieludzkie, bardziej podobne do odgłosów dzikich zwierząt niż człowieka.

Po chwili nawet one ucichły i zapadła zupełna cisza. Judith odepchnęła się od trupa i siedziała zadyszana, odzyskując panowanie nad sobą. Zabijała już ludzi, dziesiątki razy, ale na polu bitwy. Minęło trochę czasu, zanim doszła do siebie.

– Szybko! – syknęła do Ann. – Muszkiet!

Ann pogramoliła się przez trawę i złapała broń martwego mężczyzny. Judith rozpięła jego pas, zsunęła z niego skórzany woreczek z kulami i flaszkę z prochem. Zabrała też krzesiwo. Potem podniosła lont tłący się w trawie i zgasła płomień. Przez chwilę się zastanawiała, czy nie zabrać kordu, ale zdecydowała, że nie. Broń była ciężka, a żadna z nich nie potrzebowała niczego, co by je spowalniało. Muszkiet i kule wystarczą.

– Masz wodę? – szepnęła.

Ann skinęła głową, poklepując butelkę na biodrze. Judith miała swoją, z której piła oszczędnie, przygotowując się na tę chwilę. Obserwowała, jak mężczyźni zdobywają pożywienie, i wiele się nauczyła o tym, które rośliny i owoce nadają się do jedzenia.

Spojrzała na gwiazdy, żeby określić położenie, i pobiegły. Uciekały na południe, gdyż Judith liczyła, że zamaskowany mężczyzna uzna, że skierują się na wschód, z powrotem na wybrzeże, z którego przybyli. Miała zamiar skrócić na wschód, ku morzu dopiero wtedy, kiedy od pościgu będzie je dzielić spora odległość.

W podnieceniu związanym z ucieczką niemal zapomniały o zmęczeniu. Biegły jak zdeterminowane dzikie zwierzęta.

Szalupa wyrzuciła Abolego i ośmiu wojowników na pustej plaży tuż na północ od Quelimane. Nie zabrali ze sobą żadnych zapasów, bo nie było ku temu potrzeby. Ziemie, przez które mieli podróżować, w oczach białego człowieka mogły wydawać się jałowe i niegościnne, ale dla nich były bogate jak duże targowisko. Nie obciążyli się kulami i prochem, ponieważ nie zabrali innej broni poza włóczniami, tarczami i pałkami do rzucania, czyli tym, z czym się wychowali.

Aboli po namyśle zabrał do świata swojego dzieciństwa tylko jeden przedmiot z nowego świata: kotwiczkę na końcu długiej liny, używaną przez marynarzy podczas abordażu. Założył, że tam, dokąd idą, być może trzeba będzie przejść przez mur albo dostać się do wnętrza budynku, żeby uratować Judith lub Hala, i dlatego zabrał ze sobą żelazo.

Duży Daniel Fisher dowodził szalupą, którą afrykańscy członkowie załogi przyплыnęli na brzeg. Ani z charakteru, ani z wychowania nie był człowiekiem, który wylewnie okazuje emocje. Zanim wojownicy *amadoda* odeszli, uściskał Abolego, cofnął się o pół kroku, poklepał go po ramieniu i urywanym głosem powiedział:

– Niech Bóg błogosławi ciebie i twoich chłopców. Teraz idź i przyprowadź naszego kapitana. I jego panią.

Aboli nic na to nie powiedział, tylko skinął głową, i zaraz potem Daniel zobaczył, że wojownicy ruszyli płynnym truchtem w tempie, które mieli utrzymywać przez cały dzień – i połowę nocy, jeśli będzie trzeba. Zniknęli z pola widzenia wśród palm, które rosły wzdłuż brzegu.

Tej pierwszej nocy po zabiciu portugalskiego marynarza Judith i Ann mknęły jak ptaki, przepełnione strachem i rozpaczliwym pragnieniem ucieczki. Ale następny dzień był ciężki. Żar słońca przygniatał je niczym sześć stóp ziemi. Dzikie podniecenie wywołane morderstwem opadło i znowu poczuły obezwładniające zmęczenie. Nie marnowały sił na rozmowy, każda była zgubiona w swoich myślach, i dryfowały po morzu wysokiej trawy jak wrak po przejściu sztormu, aż w końcu Judith uznała, że muszą odpocząć.

Drugiej nocy kulily się razem pod nisko zwieszonymi, pełnymi liści gałęziami drzewa *khat*, chuchając w ręce i drżąc z zimna, kiedy nagle z ciemności dobiegł wrzask, który się zakończył czterema ostrymi szczeknięciami. Ann chwyciła Judith za ramiona, jej oczy były okrągłe i pełne przerażenia.

– Szakal – wyjaśniła Judith, ale zobaczyła, że jej towarzyszka nie rozumie. – Podobny do psa, ale nie stanowi dla nas zagrożenia – dodała. – Szakale żywią się gryzoniami, ptakami i owocami. Nawet owadami. – Postanowiła nie wspominać, że polują również na młode antylopy.

Mimo to Ann przysunęła się bliżej i za każdym razem, gdy słyszała szakala, podskakiwała i wbijała paznokcie w jej ramię.

Judith była w rozterce, czy rozpaść małe ognisko, nie dla ciepła, ale żeby mieć płomień, od którego będzie mogła zapalić lont, gdyby musiała strzelić z muszkietu. W końcu zadecydowała, że nie wolno ryzykować: ludzie z pościgu mogliby zobaczyć światło albo poczuć dym w nocnym powietrzu. Tak więc drżały, modląc się o świt i pierwszy różowy rumieniec słońca nad horyzontem.

Przypuszczała, że Ann nie da rady czuwać, żeby pełnić wartę, bo choć była przerażona, opuściły ją resztki sił. Dlatego postanowiła odpędzić senność, zdzierając z pnia i żując kawałeczki kory drzewa *khat*, podczas gdy młoda Angielka spoglądała na nią w zdumieniu.

– Nigdy nie widziałam, żeby ktoś jadł drzewo – powiedziała, siląc się na zmęczony uśmiech.

– W moim kraju to drzewo jest słynne. Właściwie jest słynne w całym Rogu Afryki. – Judith zerwała liść i podsunęła dziewczynie. – Spróbuj. Tylko dokładnie przeżuwasz.

Ann wzięła liść, powąchała i wsunęła do ust. Żuła powoli, jakby się obawiała, że zostanie otruta. Judith się uśmiechnęła.

- Mężczyźni w moim kraju zawsze żują liście *khat* niczym kozy trawę.
- Nie mam pojęcia dlaczego. – Ann skrzywiła się. – Niezbyt dobrze smakuje.

Jest kwaśny.

Judith pokiwała głową.

– Ale poczujesz się po tym lepiej, będziesz silniejsza. Zaczekaj, a przekonasz się.

Nie musiały długo czekać. Po przeżuciu kilku liści rozgadana Ann przywodziła Judith na myśl papużki, które mieszkały w wysokich drzewach pośrodku górskiej wioski, w której się urodziła. Angielka mówiła o swoim dzielnym mężu, o tym, jak bardzo go kochała, jak się poznali i jak razem snuli plany, które nigdy nie miały się spełnić.

Później jak małe dziecko, które chce, żeby na okrągło powtarzać ulubione bajki, chciała posłuchać o Halu, chociaż Judith już opowiedziała jej wszystko dziesiątki razy i na samą myśl o nim ból rozdzierał jej duszę. Opowiedziała, jak się poznali, kiedy była generałem prowadzącym chrześcijańskie wojska Etiopii przeciwko armii muzułmańskiej. Twarz Ann jak zawsze wyrażała nabożny podziw i niedowierzanie, i Judith potrafiła zrozumieć jej reakcję, bo gdy patrzyła na siebie teraz, nawet jej trudno było uwierzyć, że kiedyś była strażnikiem Świętego Graala i zbawczynią cesarskiego tronu.

– Nie mogę uwierzyć, że znam taką wielką damę – powiedziała Ann. – I że jesteśmy tutaj, w środku dziczy, i że jesteśmy jak siostry, co prawda w dziwny sposób, bo przecież mamy nawet inny kolor skóry. Więc będziemy się trzymać razem i pomagać sobie wzajemnie i właśnie tak przez to wszystko przejdziemy, dopóki znów nie będziemy bezpieczne. Bez względu na wszystko.

– Bez względu na wszystko – zgodziła się Judith.

Pozwoliła swojej towarzyszce mówić przez jakiś czas, ale nie dała jej więcej liści *khat*, ponieważ choć poprawiły jej nastrój, Ann potrzebowała odpoczynku przed czekającymi je dniami. Ona też potrzebowała snu, ale wiedziała, że jest silniejsza od Ann tak ciałem, jak i duchem, bo przecież nie była sama. Wiedziała, że dziecko, nawet nienarodzone, już na swój sposób jest wojownikiem, i była pewna, że użycza jej swojej siły – pokonującej słabości jej ciała.

Zamaskowany mężczyzna nie był na sawannie jedynym drapieżnikiem, którego należało się obawiać. Jeśli Judith przespała całą noc, to z jednym otwartym okiem.

Nazajutrz znowu wyruszyły przed świtem. Z początku zeszywniałe,

rozkoszowały się ciepłem słońca na skórze, która jeszcze miała w sobie zimno nocy. Piły oszczędnie, ledwie zwilżając gardła, i z powrotem korkowały butelki. Judith podziwiała wstrzemięźliwość swojej towarzyszki. W przeciwieństwie do niej młoda Angielka nie przywykła do trudów, a jednak rankiem wydawała się pełna energii. Było tak, jakby pokonała jakąś wewnętrzną przeszkodę, która wcześniej ją hamowała. Niezupełnie był to cud zmartwychwstania, jak ten, gdy Chrystus Zbawiciel powrócił do życia i odtoczył kamień zamykający wejście do grobu, ale na swój sposób cud, bo Ann odżyła. Jej widok dawał Judith nadzieję, że mimo wszystko dotrą do wybrzeża, a tam wsiądą na statek zmierzający Bóg wie dokąd, byle jak najdalej od mężczyzny w masce.

– Znajdziemy angielskiego kapitana, może zatrudnionego przez Kompanię – mówiła z entuzjazmem Ann, wyraźnie nieświadoma, że ma podarte buty z kłapiącymi podeszwami, że mały palec lewej stopy wystaje z rozprutego szwu i krwawi. – Opowiem mu moje dzieje, a on bezpiecznie zawiezie nas do Kalkuty albo nawet do Anglii. – Spojrzała na Judith. – Tam dziecko będzie bezpieczne. – Jej brudna twarz pojaśniała. – Możecie oboje zamieszkać ze mną! Mam rodzinę niedaleko Bristolu. Tam jest pięknie. Spokojnie. Cywilizowanie – dodała i powiodła wzrokiem dokoła dla podkreślenia, co ma na myśli. Bała się otoczenia, rozległych przestrzeni, i Judith mogła tylko sobie wyobrażać, jak bardzo ta kraina się różni od Anglii.

Na południu ciemniało stado kilkuset bawołów spokojnie szczypiących długą trawę. Ich ryk, niskie postękiwanie i chrypienie niosły się przez sawannę. Judith zastanawiała się, czy nie podążyć za zwierzętami, bo wiedziała, że pod koniec dnia doprowadzą ją do wody. Zdecydowała jednak, że lepiej będzie iść na wschód, póki jest jeszcze widno, i wkrótce bawoły zostały daleko za nimi.

– W Westbury jest bezpiecznie – powiedziała Ann, podejmując wcześniejszy wątek. – Jest tam kościół Trójcy Świętej i pastor pozwala mi wchodzić na kościelną wieżę. Widok roztacza się na całe mile. I wisi tam sześć pięknych dzwonów! Sześć! Powinnaś je usłyszeć, Judith! Pokochałybyś ich brzmienie. Naprawdę jest piękne!

Judith nie zniechęcała dziewczyny. Było jasne, że myśli o domu dodają jej sił, więc pozwalała jej snuć te fantazje, ale nie mogła się zmusić, żeby wziąć w nich udział. Jeśli nawet bezpiecznie dotrą na wybrzeże, myśl, że pewnego dnia mogłyby postawić stopę w kraju ojczystym Hala, ale bez niego, była dla niej nie do zniesienia.

Jakże byłam głupia, przemknęło jej przez głowę. Uparłam się płynąć na Zanzibar, podczas gdy mogłam bezpiecznie zostać na pokładzie *Golden Bough*. Czy

miałoby znaczenie, gdyby Hal kupił niewłaściwe lekarstwa? Niezależnie od tego, jak bardzo byłaby chora, wszystko byłoby lepsze od tego, przez co przechodziła teraz.

Ale było za późno, żeby się tym zamartwiać. Wpadła w pułapkę zastawioną przez wroga i jej dziecko nigdy nie pozna ojca. Taką cenę zapłaciła za swoją głupotę, i to ją przepełniało goryczą.

– Patrz – powiedziała Ann, odrywając ją od ponurych rozmyślań. Wskazywała coś, co się poruszało w żółtej trawie w połowie odległości do linii horyzontu na północnym wschodzie. – Co to? Wyglądają jak ptaki. Ale są za duże. – Ręką ocieniła oczy, próbując zobaczyć, co to takiego.

– Sępy – odparła Judith, gdy nagle czarne skupisko się rozerwało; kilka ptaków łopotało skrzydłami i podskakiwało, odsuwając się niezdarnie, odsłaniając widok, który sprawił, że Judith zamarło serce. Lwy. Ann też je zobaczyła i zastygła jak ona, obie stały się niewolnicami instynktu i strachu, który zmroził im kończyny, wysuszył usta i sprawił, że przeszedł je dreszcz.

Jedna bestia odwróciła się i zawarczała na dwa ptaki, które miały czelność podkraść się dość blisko, żeby dziobnąć padlinę, i oba odskoczyły, chociaż nie na długo. Judith naliczyła pięć lwów, ale wiedziała, że równie dobrze inne mogą leżeć niewidoczne w wysokiej trawie.

– Są zbyt zajęte, żeby zwrócić na nas uwagę – powiedziała, mając nadzieję, że się nie myli. Że upolowane zwierzę – buszbok albo kudu, sądząc z wyglądu – wciąż ma na kościach tyle mięsa, żeby dać zajęcie lwom. Podjedźcie sobie, pomyślała, obserwując drapieżniki szarpiące martwe zwierzę, które podrygiwało i którego nogi się trzęsły, jakby nadal żyło. Najedźcie się do syta, żebyście jutro były tłuste i leniwe, mówiła do nich w duchu, i żebyśmy my mogły pójść w naszą stronę.

Z daleka okrążyły stado lwów i szły dalej na południowy wschód, przez jakiś czas pod górę, zadyszane z wysiłku, prawie się nie pocąc, ponieważ piły bardzo mało wody. Usta miały suche i spękane, niegdyś blada skóra Ann była teraz czerwona, poparzona i pokryta bąblami, ale dziewczyna się nie skarżyła. Przez jakiś czas szły skrajem skarpy, potem skrzyły w prawo, na bardziej lesiste tereny, i o zachodzie słońca natknęły się na strumyk. Napełniły butelki, ale najpierw napiły się do syta.

– Powinniśmy się tu zatrzymać, Judith. Nad strumieniem – powiedziała Ann.

– Nie. – Judith pokręciła głową. – Widzisz je? – Wskazała na południe, gdzie strumień się rozszerzał. Impale i kilkanaście antylop suni piło wodę z taką łapczywością jak one przed chwilą. – Lamparty i lwy, i może też gepardy wiedzą, że tu

zwierzyna przychodzi o zmierzchu. Nie jest tu dla nas bezpiecznie.

Ann mimo wszystko się uśmiechnęła.

– W Westbury-on-Trym nie musimy się o to martwić. Rudy kocur mojej mamy jest najdzikszym zwierzęciem wchodzącym nam w drogę – powiedziała i nawet Judith się roześmiała.

Było już ciemno, kiedy się zatrzymały. Judith zdecydowała, że tym razem rozpalą ogień. Gdyby nie lwy, nie podjęłyby takiego ryzyka z obawy, że w pobliżu może być zamaskowany mężczyzna. Pocięła ją myśl, że od paru dni obie z Ann przez tyle samo czasu spoglądały za siebie, co przed siebie, i żadna nie widziała ścigających ich ludzi.

Krzemieniem i kawałkiem stali zabranym martwemu portugalskiemu marynarzowi, używając starego gniazda tkacza jako hubki, skrzesła iskry i rozdmuchała węgielki, ale zrobiła to dopiero po wygrzebaniu dołka w ziemi, żeby nie było widać płomieni. Uznała, że prawdopodobnie będzie widać blask, dlatego postanowiła osłonić dołek gałęziami z krzaka obsypanego żółtozłotym kwieciem. Nałamanie gałęzi wymagało dużego wysiłku, ale było warto. Tłumaczyła sobie, że lwy i inne zwierzęta czują dym i nie odważą się podejść. A gdyby musiała użyć muszkietu, ognisko zapewni jej możliwość szybkiego zapalenia lontu.

– To dziwne, jak nawet mały ogień podnosi na duchu – powiedziała Ann z uśmiechem na spękanych ustach, patrząc w płomienie. Nocny chór owadów i niezliczonych innych nieznanymi stworzeń zdawał się wypełniać ciemność wokół nich, ale wąty płomyk dodawał im otuchy, więc Judith była prawie pewna, że podjęła właściwą decyzję.

Zjadły owoce, które zerwała z ogromnego baobabu. Powiedziała Ann, że to tak zwany mały chleb, i gdy się posiliły, użyła pasów kory jako bandaży, żeby owiązać krwawiące stopy Ann. Później, kiedy Angielka zasnęła, przeżęła kilka zaoszczędzonych liści *khat*, ale nawet one nie zdołały powstrzymać jej przez zaśnięciem.

Do świtu było jeszcze daleko, kiedy ostatnie płomyki zamigotały i zgasły.

I wtedy nadciągnęły hieny.

Drugi dzień pościgu dobiegł końca i osobisty niewolnik Myszołowa, Jomo, nalewał wodę w jego suche jak popiół usta. Była to chwila, której Myszołów pragnął bardziej niż jakiegokolwiek innej i jednocześnie nienawidził, ponieważ sposób, w jaki ssał metalowy dziobek, jak osesek sutek matki, tylko podkreślał jego bezradność. Jomo o tym wiedział i zdążył przywyknąć, że w takich momentach jego pan jest jeszcze bardziej szorstki i wymagający niż kiedy indziej, gdy próbował umocnić swoją władzę. Nie był to zatem dobry czas, żeby przychodzić do niego z czymś choćby przypominającym prośbę. A jednak dwóch tragarzy zadreślało Joma tak długo, że w końcu uznał, że nie ma innego wyboru, jak zabrać głos w ich sprawie.

– Panie – zaczął, wykorzystując fakt, że Myszołów nie może mówić, ponieważ trzymał dziobek w jego ustach. – Wybacz mi, ale przemawiam także w imieniu moich braci. Chcemy, żebyś wiedział, o wielki, że jesteśmy bardzo blisko kobiet, których szukasz. Jeśli się nie zatrzymamy, możemy niebawem je znaleźć, nawet po ciemku.

Myszołów brutalnie szarpnął głową, żeby uwolnić usta.

– Możecie je znaleźć, powiadasz?

– Tak, panie.

– Nie „znajdziemy je”?

– Panie, niepodobna być pewnym przyszłości. To wola boska. Ale możliwe.

– Możliwe, że będzie łatwiej znaleźć je rano?

– Tak, panie.

– Wobec tego tak zrobimy. Przynies mi jedzenie i przestań paplać jak czarny pawian.

Jomo odszedł, żeby przygotować owsiankę, przy okazji doprawiając ją swoimi sikami i smarkiem.

Kilka godzin później złapał Myszołowa za ramię i mocno nim potrząsnął, żeby go zbudzić. Dziób się obrócił i spojrzało na niego wyszczerzone, gniewne, straszne oblicze.

Zanim Myszołów zdążył się odezwać, Jomo krzyknął:

– Panie! Panie! Musimy ruszać... kobiety!

– Do licha, o co ci chodzi?

– Słuchaj, panie... słuchaj nocy!

Myszołów zamilkł. I słuchał. A po chwili zerwał się z ziemi, krzycząc:

– Wstawać! Wstawać, parszywe szumowiny! – Podniósł rapier i pobiegł w noc,

jakby od tego zależało jego życie.

I rzeczywiście tak było.

Judith zbudziło warczenie i obłąkańczy chichot. Dwie hieny, największe, jakie dotąd widziała, biegały tam i z powrotem w długiej trawie naprzeciwko miejsca, gdzie leżały z Ann. Ich dzikie podniecenie przepełniło ją przerażeniem.

Ann się ocknęła, zobaczyła hieny i wrzasnęła:

– Precz! – Wczołgała się głębiej w krzaki, szukając kryjówki. – Precz, demony!

Krzyki nie odstraszyły hien, a jej strach tym bardziej je pobudził. Obie chichotały i pokasływały.

Zesztywniała, drżąc z zimna i ze strachu Judith podczołgała się do dołka, w którym wczoraj płonęło ognisko. Popioły były jeszcze ciepłe, więc wzięła patyk i je przegrzebała, ale nie dostrzegła żarzących się węgielków.

– Zastrzel je! – błagała Ann. – Zastrzel jedną, a ta druga ucieknie!

Bez płomienia do rozpalenia lontu muszkiety był bezużyteczny. Poza tym Judith wiedziała, co oznacza to szatańskie wycie, i jeśli miała rację...

Kłęcząc, podniosła skórzaną sakiewkę z krzemieniem i kawałkiem stali, niezdarnie rozluźniła rzemyk, bo miała ręce zdrętwiałe od nocnego chłodu. Krzesiwo i krzemień wypadły na ziemię. Podniosła jedno i drugie. Smród zwierząt zatykał jej nos.

– Szybciej! – ponaglała Ann.

Judith sięgnęła po resztki ptasiego gniazda, które służyło za hubkę. Uderzyła krzesiwem w krzemień i kilka iskier błysnęło w powietrzu. Nie wystarczyły, żeby zapalić hubkę, daleko było do tego.

– Judith, błagam. Pośpiesz się!

Większość hien boi się ludzi. Judith wiedziała, że są tchórzliwymi stworzeniami, szczególnie te pręgowane. Ale te dwie, siwo-czerwone z ciemnobrązowymi plamami, były śmiałe i miały najeżoną sierść. Jedna przyskoczyła blisko Ann i ze śmiechem opuszczała i podnosiła wielki łeb.

Ann wrzasnęła. Hiena zachichotała, warknęła i cofnęła się.

– Boże! – krzyknęła Ann. – Boże, dopomóż... błagam!

Nagle w nocy zabrzmiała dzika, obłąkańcza kakofonia. Judith nie uniosła głowy. Nie musiała. Wiedziała, że dwie pierwsze hieny zwołały resztę swojego klanu, zapraszając do przybycia i udziału w rzezi. Teraz bestie były wszędzie wokół nich, kręciły się w ciemności, błyskając ślepiami i zębami.

Ręce jej dygotały, gdy krzesła iskry.

– Umrzemy... – załkała Ann.

Ale wreszcie spadła pierwsza iskra i zapłonął maleńki płomyzec. Judith podniosła strzępki gniazda i otoczyła je dłońmi, leciutko dmuchając, żeby tchnąć siłę w nieśmiały ogieniek.

– Judith!

Sucha trawa stanęła w płomieniach i hieny odskoczyły, pokaszując i chichocząc, mając się na baczności przed ogniem. Judith już nie widziała Ann, bo wokół dziewczyny krążyło ponad dwadzieścia zwierząt. Obok popiołu leżał stosik patyków, ale rozpalenie ogniska zabrałoby za dużo czasu, a i paliwa nie starczyłoby na długo. Na szczęście miała muszkiet.

Boże, dopomóż, modliła się, wsuwając w płomień koniec lontu. Zostawiła go w ogniu. Sięgnęła po muszkiet, sakiewkę z kulami i butelkę z prochem.

– Precz, diabły przeklęte! – wrzasnęła, podnosząc muszkiet i otwierając panewkę. Zębami wyciągnęła korek z flaszki, nasypała prochu na panewkę, zakryła ją pokrywką i zdmuchnęła nadmiar prochu. Oparła kolbę muszkietu o ziemię i wysypała główny ładunek prochowy do lufy.

– Idę, Ann! – krzyknęła, kucając i wyrывая trochę trawy. Wcisnęła ją do ust i zaczęła przeżuwać. Będzie celować nisko, więc bez przybitki kula może się wyturlać z lufy. Wzięła kulę, wrzuciła ją do lufy i splunęła za nią trawą.

– Nie pozwól, żeby mnie zjadły! – błagała Ann, gdy Judith wyciągnęła wycior z uchwytu, odwróciła go i uderzyła nim w pierś, żeby go skrócić. Dobiła przybitkę i kulę. Zobaczyła, że podpałka się wypaliła, ale lont się żarzy. Poderwała go, dmuchając na koniuszek nasączony saletrą, jarzący się czerwono jak małe złe oko w ciemności.

„Zostaw ją!”, powiedziało nienarodzone dziecko w jej brzuchu. „Mamy tylko jedną szansę, żeby strzelić z muszkietu. Będzie nam potrzebna. Nie marnuj jej na tę dziewczynę. Widzisz, te bestie nas też atakują!”.

Atakowały. Wprawdzie większość hien kręciła się wokół Ann, ale sześć czy siedem skierowało uwagę na Judith. Ze sztywną sierścią, z wysoko uniesionymi, wygiętymi nad grzbiety ogonami, podbiegały blisko, kłapiąc szczękami zdolnymi do miażdżenia kości, podburzając się wzajemnie do ataku.

Judith wsunęła lont w zacisk i pociągnęła spust. Z ulgą zobaczyła, że rozżarzony koniuszek padł na pokrywkę panewki, co znaczyło, że odpowiednio oceniła długość: kiedy będzie chciała strzelić, żarzący się lont uderzy w proch.

– Precz! – wrzasnęła. – Precz! – Tupnęła nogą i pchnęła lufą muszkietu najbliższą hienę, która szczeknęła, zachichotała i cofnęła się, gdy inne próbowały zająć ją od tyłu. Obróciła się, machając muszkietem, żeby je odstraszyć, choć nie strzeliła. Jeszcze nie.

Brodziła w cuchnącym wirze wrzeszczących padlinożerców, kierując się w stronę Ann, wypatrując w chaosie największej hieny. Jeśli ją zabije, może inne uciekną. Znalazła ją, gdy ta z sierścią najeżoną na grzbiecie zmierzała do Ann, która kucała w krzakach, w obronnym geście unosząc rękę.

„A jeśli chybisz? Co wtedy?”, zapytało dziecko w jej brzuchu. „Co wtedy stanie się z nami?”.

– Zabij ją! – błagała Ann. – Zabij, Judith, po prostu zabij!

Judith przyłożyła muszkiet do ramienia i wycelowała. Wiedziała, że bestie są za nią. Były wszędzie, zbyt wiele, żeby je zliczyć, trącały ją pyskami. Czula na sobie ich oddechy gorętsze niż nocne powietrze, ale nie odrywała wzroku od wielkiej hieny. Zwierzę poruszało się nieprzewidywalnie, potrząsając dużym łbem i skacząc we wszystkie strony. Był to trudny strzał, zbyt ryzykowny.

– Masz, ty diable! – ryknęła Judith po amharsku, w języku swojej matki, dmuchając na lont. – Chodź i zobacz, co dla ciebie mam! – Widziała Ann, widziała łzy spływające po spalonych przez słońce policzkach, oczy płonące z przerażenia. Poczula coś pod stopą i zobaczyła, że to butelka Ann. Podniosła ją i rzuciła z całej siły, trafiając hienę w zad.

Zwierzę zachichotało i odwróciło się w jej stronę, kołysząc wielkim łbem.

To było wszystko, czego potrzebowała. Zrozumiała, że nigdy nie będzie miała lepszej okazji. Zakrzywiła palec na spuście muszkietu. Nawet teraz sytuacja mogła się zmienić. Może jednak przeżyją.

I wtedy Ann podjęła najgorszą decyzję w swoim życiu. Pobieгла.

Bestia rzuciła się za nią.

– Nie! – wrzasnęła Judith i pociągnęła za spust. Muszkiet ryknął, plując płomieniem w ciemność i hieny, przerażone hukiem, pisnęły, rozbiegając się we wszystkie strony. Judith nie czuła jednak niczego poza rozpaczą. Nagły ruch hieny sprawił, że chybiła. Zwierzę rzuciło się na Ann i wiedziała, że ją ugryzło w udo, chociaż wrzask Ann zginął wśród dzikiego wycia i obłąkańczego śmiechu, gdy reszta stada skupiła się wokół niej. Szok wywołany przez huk z muszkietu już został zapomniany, podniecone zwierzęta brały przykład ze swojej przywódczyni: przyskakiwały, kąsały,

odskakiwały z wyciem i warczeniem, a potem znowu zawracały do dziewczyny.

Judith odwróciła muszkiet i trzymając go za lufę machnęła nim jak maczugą, opuszczając ciężką kolbę na grzbiet hieny. Zwierzę wrzasnęło z bólu, odsuwając się od niej, ale inne miały w nozdrzach zapach krwi i interesowała je wyłącznie Ann. Jedno oderwało się od stada i Judith z grozą zobaczyła, że ma pysk mokry od świeżej krwi.

„Zostaw ją”, błagało nienarodzone dziecko. „Już nic nie możemy dla niej zrobić. Jeśli zostaniemy, rozedrą nas na strzępy”.

– Pomóż mi! – zawyła Ann.

Całe stado hien otaczało ją jak wrzące, kakofoniczne czarne morze, miotające nią to w tę, to w tamtą stronę. Na polach bitewnych Etiopii Judith widziała dość okropieństw, żeby wystarczyło jej na całe życie, ale były one niczym w porównaniu z tym, że na jej oczach zwierzęta rozszarpywały kobietę. Nagle dostała mdłości, zgięła się w pół i zwymiotowała na trawę. Hiena na skraju kłębowiska musiała poczuć zapach, bo obróciła łeb i zaraz potem podbiegła. Judith się cofnęła, unosząc prowizoryczną maczugę. Zwierzę nie poświęciło jej chwili uwagi, zajęte pożeraniem parujących wymiocin.

Nagle miecz trzasnął je w czaszkę i upadło, podrygując i tocząc pianę z pyska, szczerząc długie zęby w śmiertelnym grymasie.

Judith odwróciła się i zobaczyła mężczyznę w masce.

– Pomóż jej! – krzyknęła.

Myszolów stanął przed nią z rapierem w ręce, odgradzając ją od hien. Zaraz potem pojawili się inni: portugalscy marynarze i dwóch Afrykanów. Wyłonili się z ciemności, zajmując pozycje obronne wokół niej.

– Pomóż jej, cholera! – wrzasnęła. – Na miłość boską, niech ktoś jej pomoże!

Mężczyzna w masce milczał. Stał z przekrzywioną głową, wbijając jedyne oko w rozgrywającą się przed nimi upiorną scenę.

– Daj mi swoją broń – zażądała Judith. – Sama jej pomogę!

Groteskowo uśmiechnięta twarz obróciła się w jej stronę.

– Zamknij się i patrz – warknął Myszolów, gdy jeden z marynarzy wyrwał muszkiet z jej rąk.

Hiena skoczyła i zacisnęła szczęki na ramieniu Ann. Dziewczyna potknęła się pod jej ciężarem, jej twarz jaśniała w rozświetlonym przez gwiazdy mroku, gdy po raz ostatni spojrzała na Judith. Chwilę później została wciągnięta w warczący wir i zniknęła z pola widzenia.

– Proszę! – błagała Judith, ale wiedziała, że już nic nie pomoże Ann. Hieny pożerały ją żywcem. Słyszała, jak zatraskują szczęki, słyszała, jak przełykają kawałki mięsa.

Mimo to patrzyła, nie mogąc oderwać oczu od tego koszmaru. W końcu mężczyzna w masce dał znać swoim ludziom, że powinni ruszać w drogę.

– Masz szczęście, że jeden z Murzynów zwierzył dym z twojego ogniska – powiedział siwobrody oficer. – W przeciwnym razie te diabły rozdzierałyby teraz ciebie i twoje dziecko.

Judith zachowała milczenie. Brakowało jej słów. Położyła ręce na brzuchu, przyciskając palce do ciała, chcąc poczuć stópkę albo rączkę. Rozpaczliwie pragnęła dotknąć dziecka i zyskać pewność, że oboje są już bezpieczni.

A jednak w sercu wiedziała, że poczucie bezpieczeństwa jest fałszywe. Instynkt jej mówił, że bez względu na to, ile dotąd wycierpiała, dotychczasowe cierpienia okażą się niczym w porównaniu z tym, co ją czeka.

Hal stracił poczucie czasu i nie mógłby powiedzieć, jak daleko zaszli w głąb łądu. W nocy obserwował jednak, jak księżyc przechodzi z pierwszej kwadry w pełnię, a potem w trzecią kwadrę, więc przypuszczał, że wędrowali przez jakieś trzy tygodnie, brnąc w milczącej monotonii. Szli coraz dalej w kierunku ogromnych granitowych skał i gór wznoszących się majestatycznie z buszu na zachodzie, do rajy złotej trawiastej sawanny, lasu miombo i równiny zalewowej.

W niektóre noce, jeśli padał deszcz, klecili prymitywne schronienia, rozpinając płótna na gałęziach drzew, i siedzieli z piekącymi oczami i kaszląc od dymu, ale nigdy nie zaniechali rozpalania ognia, ponieważ wiedzieli, że drapieżniki wyczuwają go na mile i trzymają się od niego z daleka.

„Z wyjątkiem lwa”, powiedział kiedyś Aboli. „Lew okrąży ognisko, żeby zobaczyć, co się dzieje”.

Jeśli jednak dni były za gorące, a noce jasne, wędrowali pod usianym gwiazdami sklepieniem niebieskim, oszałamiającym w swojej wspaniałości; jego nieskrępowany ogrom był jak obietnica wolności w innym, lepszym świecie. Jeden z poranków zastał ich podczas marszu wzdłuż wysokich krawędzi nad jeziorem. Panowała pora sucha i poziom wody był niski, ale okolica tętniła życiem. Najliczniejszymi i najbardziej rzucającymi się w oczy były hipopotamy tarzające się na płycznach. Krokodyle pływały się w promieniach wschodzącego słońca. Wydawały się ledwie przytomne, nieruchome jak kłody, dopóki jakiś tajemny znak nie poderwał stada białych ptaków do lotu na południe; w tym samym momencie krokodyle ześlizgnęły się z błotnistych brzegów do wody.

Odпочęli w skwarze, śpiąc w cieniu wysokich palm borassa. Właśnie zbliżał się zachód słońca, kiedy zeszli na równinę. Capelo wydawał się wykończony, bez przerwy ocierał czoło, chociaż był jedynym człowiekiem, który nie szedł na własnych nogach. W dali przed nimi rodziny guźców uciekały do kryjówek. Lelki i nietoperze pomykały w gęstniejącym mroku. Karawana posuwała się suchym łożyskiem rzeki, które doprowadziło ich pomiędzy niskimi wzgórzami w dolinę o stromych zboczach porośniętych agrestem i innymi koleczastymi krzakami.

Wreszcie Capelo postanowił rozbić obóz na noc. Niewolnicy, łącznie z Halem, zostali uwolnieni z łańcuchów łączących ich nadgarstki i zapędzeni do pracy przy wznoszeniu ogrodzenia z ciernistych krzewów do ochrony przed drapieżnikami i dla ciepła. Grubas wciąż był niespokojny i jeden ze strażników zapytał:

- Co pana trapi, *señor*?
- Ktoś nas obserwuje – odparł Capelo.
- Jest pan pewien? – zapytał strażnik. – Nikogo nie widziałem.
- Nie musisz zobaczyć człowieka, żeby wiedzieć, że gdzieś tam jest. Jesteśmy obserwowani.

Aboli był tylko dziesięć kroków od kolczastego ogrodzenia, które otaczało obóz niewolników. Minął dzień, odkąd wraz ze swoimi ludźmi znalazł charakterystyczny szlak karawany niewolników. Dopełnienie ich było kwestią godzin. Kusilo go, żeby przypuścić natychmiastowy atak, gdyż walka sprowadziłaby się do pokonania Capela i strażników. Ale co potem?

Nie wystarczy uratować Hala; musi też uwolnić Judith. Już wysłał naprzód dwóch ludzi, którzy wrócili z wiadomością, że kopalnie leżą tylko dzień marszu dalej. Znaleźli również drugi szlak: ślady zostawione przez ośmiu mężczyzn i kobietę, którzy tego dnia dotarli do ziem Loba.

Zatem w ciągu następnego dnia Hal i Judith znajdują się w tym samym miejscu. To będzie odpowiedni czas, żeby wkroczyć i ich uwolnić. Do tej pory Hal musi pozostać w niewoli, jakkolwiek to dla niego bolesne.

Judith i Myszołów bardzo rzadko zgadzali się w czymkolwiek. Tym razem, choć żadne z nich nie powiedziało słowa, oboje wiedzieli, że ich reakcja jest taka sama: To jest Balthazar Lobo?

Oto był człowiek, który stworzył własne królestwo w sercu Afryki, który odkrył wzgórze pełne złota i sprowadził armie niewolników, żeby je dla niego wydobywali. Judith spodziewała się nieokrzesanego, bezwzględnego brutala, ale nie miała wątpliwości, że będzie też silny, dominujący i męski. Okazało się, że Lobo jest chęlnym, starym, chudym jak kij cieniem mężczyzny o twarzy, w której rzucała się w oczy tylko długa żuchwa, tak daleko wysunięta do przodu, że górne zęby były znacznie cofnięte w porównaniu z dolnymi. Podczas podróży po Europie Judith słyszała historie o dynastii Habsburgów, która w różnych okresach rządziła w Hiszpanii, Niemczech, Austrii i całym Świętym Cesarstwie Rzymskim. Jej członkowie byli niechlubnie znani z wyjątkowo szpetnych podbródków. Może Lobo był jakimś bękartem linii Habsburgów, skazanym na wygnanie do Afryki, żeby nie przynosił wstydu reszcie klanu.

– Ha – mruknął, patrząc szacującym wzrokiem na Judith, która zauważyła, że po jego groteskowej szczęce ścieka cieniutka nitka śliny. – Jesteś ślicznotką, która

chce zostać moją następną żoną? Cóż, nie najlepiej wyglądasz po długiej podróży. Może pójdziesz odpocząć, moja droga? Twoja komnata została przygotowana. Nawet znaleźliśmy dla ciebie suknię ślubną. Była używana tylko dwa razy. Dzisiaj się wyśpisz, a jutro dasz odpocząć zmęczonym nogom, zmyjesz brud, najesz się... moi kucharze przygotowują, cokolwiek sobie zażyczysz. Krótko mówiąc, zrób, co w twojej mocy, żeby wyglądać jak najładniej na jutrzejszą noc. Włóżysz swoją wspaniałą suknię, oddasz mi się, a ja zdecyduję, co chcę z tobą zrobić.

Przeszył ją spojrzeniem i nagle poczuła pełną siłę jego woli i zrozumiała, w jaki sposób jako młodszy mężczyzna był w stanie wykroić wyłącznie da siebie ten kawałek dziczy.

– Hm... – Przekrzywił głowę, gdy się jej przyglądał. – Ładne pulchne piersi, zaokrąglony brzuch, a jednak nogi całkiem chude. Niemal jakby... Nie jesteś ciężarna, dziewczyno?

Judith nic nie powiedziała.

– A jakie miałyby to znaczenie, gdyby była? – zapytał Myszołów. – Załóżmy... mówię czysto hipotetycznie... załóżmy, że ta kobieta nosi dziecko wysokiego, młodego, dobrze zbudowanego białego mężczyzny. Załóżmy, że je urodzi, kiedy będzie twoją żoną... Przecież w ten sposób dziecko będzie twoje. Czy naprawdę będzie miało znaczenie, że nie ty posiałaś nasiono, z którego wyrosło?

Lobo zmierzył Judith wzrokiem od stóp do głów.

– Nie – odparł. – Nie sądzę. Śpij dobrze, młoda damo. Chcę, żebyś wyglądała kwitnąco, kiedy cię znowu zobaczę.

Amadoda patrzyli z góry na rozległy kompleks, gdzie Balthazar Lobo mieszkał i zbijał fortunę. Dom był zbudowany na planie kwadratu. Zewnętrzne ściany z białej cegły mułowej, wysokie na dwa chłopa, nie miały okien i były zwieńczone blankami, podczas gdy wewnętrzna część domu wychodziła na dziedziniec jasny od zieleni i kwiatów. Na pewno tutaj zabrali Judith, pomyślał Aboli, zadowolony, że okazał się przewidujący i zabrał kotwiczkę na linie.

Ktoś poklepał go po ramieniu. Jeden z wojowników wskazywał zbliżającą się do bramy kolumnę ludzi prowadzonych przez grubego białego człowieka. Był to Capelo i tak, rzeczywiście, jedynym białym mężczyzną wśród niewolników był Hal.

– Widzę cię, Gundwane – powiedział Aboli i jego słowa zawierały dodatkowe znaczenie, bo „widzę cię” jest powitaniem używanym przez mieszkańców południowej Afryki. – Cierpliwości, kapitanie. Niedługo przybędziemy.

A potem zobaczył coś innego i szepnął do siebie jedno słowo:

– *Faro?*

Kiedy słońce weszło tego dnia, Capelo przemówił do niewolników. Powiedział im, dokąd idą, kto będzie ich nowym panem i jakich strasznych kar mogą się spodziewać, jeśli poważą się wywołać jego niezadowolenie. Gdy kolumna zbliżała się do kopalń, Hal też zauważył mały biały fort górujący nad okolicą i doszedł do wniosku, że to rezydencja Loba, służąca zarówno podkreśleniu jego wyższości nad niewolnikami, jak i obronie, w wypadku gdyby kiedyś przeciwko niemu powstali.

Idąc w głąb zabudowań, minęli zagrodę otoczoną przez rów o stromych ścianach, głęboki co najmniej na dwanaście stóp i szeroki na dwadzieścia, jak pusta fosa zamkowa. Wyglądało na to, że rów można przebyć na dwa sposoby: przez most linowy z wąską kładką z desek, bez bram na końcach, i po moście zwodzonym, opuszczanym z kamiennej wartowni na zewnętrznym brzegu rowu.

Hal ze zdziwieniem ściągnął brwi. Cokolwiek żyło w tej zagrodzie, było wystarczająco niebezpieczne, że trzeba było odgrodzić się od tego szerokim, głębokim rowem. Jednakże drapieznik w rodzaju lwa czy lamparta w okamgnieniu zeskoczyłby na dno rowu i wyskoczył po drugiej stronie, oczywiście gdyby po prostu nie potruchtał po moście. Może Lobo trzyma tam słonie. Hal wiedział, że te zwierzęta od tysięcy lat są używane w celach ceremonialnych i militarnych. Ale jeśli tak, nigdzie ich nie było widać.

Nagle zobaczył mieszkańca, dla którego zbudowano zagrodę. Ogromna rogata

szara masa mięśni i furii przytruchtała do skraju rowu, zwabiona zapachem nieznanomych istot, i stanęła na wprost maszerującej karawany, kołysząc wielkim łbem to w tę, to w tamtą stronę, jakby chętna zemścić się na każdym i na wszystkim za upokorzenie swojego uwięzienia.

Capelo obrócił się w siodle i zapytał:

– Widziałeś coś takiego w swoim życiu, Angliku?

Hal widział, wiele razy, ale uznał, że lepiej się nie popisywać swoją wiedzą, bo człowiek niezorientowany uważany jest za mniej groźnego. Pokręcił głową.

– To nosorożec, choć tutejsi zwą go *faro* – poinformował go Capelo. – *Señor* Lobo jest jedynym człowiekiem na świecie, który ma nosorożca w niewoli. Kilkunastu ludzi zapłaciło życiem, próbując go pochwyć. Ale *señor* Lobo powiedział, że musi mieć nosorożca, a w tym miejscu jego słowo jest prawem. – Capelo skinął ręką w kierunku bestii, która jak się zdawało, zamiast skóry miała pancerne płyty, niczym zbroja. – Spójrz na ten pierwszy róg, ten duży. Jest pewnie ze dwa razy dłuższy niż kord. Powinieneś zobaczyć, jakie może spowodować szkody. Widziałem ludzi nadzianych na niego jak kawałki mięsa na rożen. Przyjrzyj mu się dobrze i módl się, żeby go więcej nie zobaczyć, jeśli bowiem zobaczysz, to dlatego, że zdenerwowałeś pana Loba.

Capelo ściągnął wodze, zaczekał, aż Hal się z nim zrówna, i ruszył, jadąc z nim ramię w ramię.

– Jeśli niewolnik jest nieposłuszny, jeśli nie szanuje swoich panów, jeśli nie pracuje tak ciężko, jak powinien, spotyka go nie tylko kara chłosty – wyjaśnił, pochylając się. – Trafia do tej zagrody. I nie wychodzi żywy. Rozumiesz?

– Tak, panie – odparł Hal.

– Nie zamierzasz być nieposłuszny, bezczelny ani hardy, prawda?

– Nie, panie.

– Poliz mój but, Angliku – powiedział Capelo i wysunął nogę jak biskup prezentujący pierścień.

Hal pochylił się niezdarnie, bo obroża na szyi ograniczała mu ruchy, i zaczął lizać zakurzony, brudny but nadzorcy.

Śmiało, poniżej mnie, jeśli to sprawia, że czujesz się lepszy, pomyślał Hal. Przeżyłem znacznie gorsze rzeczy.

Słońce opadało ku horyzontowi, gdy zabrano ich do leżącego u stóp wzgórza obozowiska otoczonego niemożliwym do przebycia ogrodzeniem z kolczastych

krzaków. Niewolnicy pchali drewniane wózki po metalowych szynach, które wiodły do tuneli niknących w zboczu. Wózki wyjeżdżające z kopalni były pełne rudy, którą zabierano do innego miejsca, gdzie niewolnicy młotami rozbijali ją na proch, następnie przemywali na sitach pod bieżącą wodą w poszukiwaniu grudek czystego złota. W tym czasie inni niewolnicy rozpalali ogień w koszach pełnych drewna i suchej trawy, żeby zapewnić światło i ciepło podczas nocnej pracy.

Wszędzie kręcili się czarni i biali mężczyźni uzbrojeni w bicze, pistolety, pałki i straszne noże *panga* o szerokich ostrzach, pilnujący niewolników, poganiający ich i biciem zmuszający do cięższej pracy albo po prostu obserwujący, żeby żaden nie spróbował schować do kieszeni czy połknąć grudki złota.

Wewnątrz ogrodzenia stał rząd długich drewnianych chat krytych strzechą. Kolumna zatrzymała się przed jedną z nich.

– Tutaj zamieszkacie – powiadomił ich Capelo. – To ostatni dom, jaki poznacie, będziecie tu bowiem pracować do śmierci. Niebawem zostaną wam zdjęte okowy. To nie oznacza, że będziecie wolni. Przypomnę wam po raz ostatni, że każda próba ucieczki karana jest śmiercią. Niedługo dostaniecie jedzenie. Nie wybrzydzajcie, bo to jedyny posiłek do jutra rana. Rankiem zostaniecie przydzieleni do pracy.

Gdy zdjęto im łańcuchy z rąk i karków, dostali drewniane miseczki z wodnistą kaszą jaglaną, w której pływały niejadalne chrząstki. W Kolonii Przylądkowej Hal nauczył się, że człowiek zmuszony do ciężkiej pracy nigdy nie powinien odmawiać jedzenia, nawet obrzydliwego, dlatego zjadł wszystko, i to łapczywie, bo wiedział, że im mniej czasu poświęci na jedzenie, tym szybciej zapomni, jakie było wstrętne.

W baraku nie było łóżek ani nawet prycz, tylko dwa długie drewniane stoły o szerokości mniej więcej sześciu stóp, ciągnące się przez całą długość. Gdy kilkunastu nowo przybyłych ułożyło się do snu, wydawały się niemal przestronne. Sytuacja się zmieniła, kiedy pojawiło się kolejnych pięćdziesięciu niewolników, spoconych, cuchnących i wyczerpanych po pracy, i wcisnęło się na stoły, usuwając nowych z drogi. Hal zdał sobie sprawę, że w baraku jest równie tłoczno jak na statku do przewożenia niewolników. Został przyciśnięty do ściany, mając tyle miejsca, żeby leżeć na boku, plecami w stronę leżącego za nim mężczyzny i z twarzą tuż przy ścianie. Ścisk był tak wielki, że ledwie mógł oddychać.

Ale to nie miało znaczenia. Najważniejsze, że wreszcie znajdował się w tym samym miejscu co Judith. W tej chwili setki jardów, które ich dzieliły, równie dobrze

mogłyby być tysiącami mil, ale wiedział, że wymyśli jakiś sposób, żeby przerzucić most nad tą przepaścią, znajdzie Judith i zorganizuje ucieczkę. Może zajmie mu to kilka tygodni, a nawet, Boże, uchwaj, kilka lat. Ale tego dokona.

Z tą myślą, która zajmowała pierwsze miejsce wśród wszystkich innych, Hal zamknął oczy. W Kolonii Przylądkowej nauczył się innej ważnej lekcji: sen, tak samo jak jedzenie, jest niezbędny do tego, żeby przeżyć.

Myszołów stał przed wielce niechętną panną młodą.

– Włóż tę przeklętą kieckę, kobieto, bo jak nie...

– To co? – zapytała Judith. – Co zrobisz z tą swoją jedną ręką? Uderzysz mnie? Uskoczę. Każesz jakiemuś niewolnikowi mnie trzymać, gdy będziesz mnie chłostać? To tylko zaszkodzi moim wdziękom, zanim *señor* Lobo położy na mnie ręce. Zabijesz mnie? A ile dostaniesz za moje zwłoki?

– Gadaj, co tylko chcesz, harda suko, ale nic ci to nie da. Lobowi niepotrzebna kobieta, z którą nie będzie mógł się przespać. Ale zawsze znajdzie zajęcie dla kolejnej niewolnicy. Kiedy zadzwoni weselny dzwon, będziesz w drodze albo do ołtarza, albo do kopalni. I do diabła z pieniędzmi, warto stracić ostatniego pensa za sam widok, jak dostajesz za swoje biczem nadzorcy.

Usiadł na krześle z jedwabną tapicerką i pstryknął palcami na niewolnika, żeby przyniósł mu więcej wina.

– Tak – zgrzytnął. – Masz godzinę na zadecydowanie, co wolisz, długie życie w luksusach jako *señora* Lobo czy straszna, prymitywna i krótką wegetację jako jego niewolnica. Nie rozumiem, dlaczego masz taki kłopot z podjęciem decyzji. Na twoim miejscu pozwoliłbym pijanemu staremu rozpustnikowi na wszystko, gdyby to oznaczało, że będę miał miękkie łóżko i pełny brzuch. Ale co ja tam wiem, no nie?

Zagrodę, w której trzymano niewolników, strzegło dwóch ludzi przy wejściu i dwóch patrolujących ogrodzenie od zewnątrz – chodzili w przeciwnych kierunkach i mijali się dwa razy w ciągu jednej rundy. Gdy jeden ze strażników szedł w kierunku *amadoda* ukrytych w cieniu rzucanym przez ogromny baobab w księżycowej poświacie, jeden z wojowników bezgłośnie wstał. Trzymał *knobkerrie*, pałkę wyciętą z jednego kawałka twardego drewna, z wąskim trzonkiem wygodnym do trzymania i gałką na drugim końcu. Zaczekał, aż strażnik znajdzie się dokładnie na wprost niego, i wtedy rzucił *knobkerrie*. Broń poleciała prosto i celnie jak strzała. Gałka uderzyła mężczyznę w skroń i zabiła go na miejscu.

Wojownicy *amadoda* na chwilę wyłonili się z cieni, podbiegli do powalonego

człowieka, znieśli go z gładkiej, twardej ścieżki udeptanej na przestrzeni lat przez stopy strażników i poderżnęli ma gardło, po prostu dla pewności.

Parę minut później pojawił się drugi strażnik. Wyglądał na zdziwionego i kręcił głową we wszystkie strony, wyraźnie się zastanawiając, co się stało z jego towarzyszem. Zatrzymał się blisko kryjówki *amadoda* i rozejrzał. *Knobkerrie* ponownie wyskoczyło z cienia i rezultat był dokładnie taki sam jak wcześniej.

Ludzie stojący po obu stronach bramy nie wiedzieli o obecności *amadoda*, dopóki nie poczuli ostrzy włóczni przeszywających im gardła. Ich ciała wtoczono pod cierniste krzaki, a miejsce wartowników zajęło dwóch *amadoda*, podczas gdy Aboli poprowadził pozostałych do zagrody. Obserwował kapitana przez każdy cal drogi, więc wiedział, w którym baraku go szukać, i poszedł prosto do wejścia.

Gdy wszedł, zbudziło się kilku niewolników.

– Spokojnie, bracia – szepnął w suahili, języku, który rozumiała większość mieszkańców tej części Afryki, jeśli nawet nie był ich mową ojczystą. – Szukam białego człowieka, który dzisiaj tu przybył. Nasz pan, *señor Lobo*, jest wielce ciekaw białego niewolnika i chce go zobaczyć. Wiecie, gdzie mogę go znaleźć?

Skierowano go na koniec długiego rzędu śpiących mężczyzn. Kolejni budzili się i zaczęli rozmawiać. Niektórzy byli źli, że ktoś im przeszkadza, i podnosili głosy.

– Ciszej, bo pobudzicie braci w innych chatach – poprosił Aboli, chwytając Hala za ramię i wyciągając go ze stołu jak duży korek z wąskiej szyjki butelki.

– I co z tego? Wcale nie są moimi braćmi – burknął jeden z mężczyzn. – A ty kim jesteś? Nie znam cię.

Sytuacja powoli wymykała się spod kontroli.

– Wszystko dobrze, już idziemy – powiedział Aboli i ruszył z Halem do drzwi. Jeden z niewolników próbował zatarasować im drogę i stanął w wejściu, zwrócony twarzą ku nadchodzącym. Powalił go cios *knobkerrie*, celnie wymierzony w tył głowy przez wojownika czekającego przed chatą.

– Biegiem! – syknął Aboli po angielsku. Obaj z Halem przeskoczyli nad powalonym niewolnikiem i co sił w nogach popędzili ku bramie. Nie mieli czasu na wyrażenie wdzięczności czy ulgi, że znowu się widzą. Jeszcze przyjdzie na to pora. Teraz musieli przeżyć. Aboli miał nóż *panga*, który zabrał jednemu ze strażników zabitych przez *amadoda*, i przekazał go Halowi jak pałeczkę w wyścigu, nie gubiąc kroku. Gdy dotarli do bramy, niewolnicy wylegali z baraku, krzycząc: „Jesteśmy wolni! Jesteśmy wolni!” do ludzi w innych chatach. Hal zaklął pod nosem, bo cała

nadzieja na zaskoczenie przepadła i teraz mogli tylko liczyć na to, że nagły wybuch powstania niewolników odciągnie od nich uwagę i sprawi, że strażnicy będą mieli pełne ręce roboty.

Hal usłyszał za plecami krzyk i trzask muszkietu. W panującym zamieszaniu razem z Abolim poprowadził małą grupę przy samych barakach, w których spali nadzorcy, i teraz z chwili na chwilę pojawiała się ich coraz więcej.

– Do stajni! – krzyknął ktoś. – Dopędzimy ich konno!

Ale jeśli nawet część straży pobiegła do koni, coraz liczniejsza grupa ścigała ich pieszo i była coraz bliżej. Zabrział kolejny strzał. Jeden z *amadoda* wrzasnął z bólu i upadł na ziemię, śmiertelnie ranny.

– Nie zatrzymuj się, Gundwane! – krzyknął Aboli. – Nie możemy nic dla niego zrobić.

Hal nie odpowiedział. Brakowało mu tchu. Usłyszał salwę z muszkietów, przypuszczalnie przeznaczoną dla niewolników dziko miotających się po zagrodzie. Nie obchodził go ich los. Miał dość kłopotów ze stawianiem jednej nogi przed drugą. Mięśnie ud go paliły, klatka piersiowa unosiła się z trudem, zbliżał się do kresu wytrzymałości. Nagle zobaczył wysoką budowlę wyłaniającą się z ciemności, i ten widok dodał mu otuchy. Jest jeszcze nadzieja!

W prywatnym forcie Loba Judith w końcu ustąpiła i zgodziła się włożyć suknię ślubną, która, sądząc po brudzie, pleśni i nawet czymś, co wyglądało jak plamy krwi na spłowiałym jedwabiu, była używana wiele razy, chociaż nie ostatnio. Wzdrygała się na samą myśl, ale musiała przyznać, że logika Myszołowa jest bezsporna. Jeśli podporządkuje się władcy tego prywatnego królestwa, będzie nadzieja. Jeżeli stawi opór i zostanie niewolnicą, nadzieja przepadnie.

Nagle usłyszała dźwięki, które natychmiast rozpoznała: kilka pojedynczych strzałów, a potem ogłuszające trzaski, coraz głośniejszy huk salw oddawanych przez coraz większą liczbę strzelców. Poświęciła chwilę myśli, że prawdopodobnie jest w całej Afryce jedyną panną młodą, która z taką precyzją potrafi rozszyfrować na pozór przypadkowe odgłosy bitwy.

Ale jeśli nawet panny młode nie mogłyby odgadnąć, co się dzieje, Myszołów od razu się zorientował.

– Zostań tutaj – polecił. – Dla własnego dobra. Idę sprawdzić, co się święci.

Znów była zmuszona uznać logikę jego argumentu. Bez względu na to, kto wygra, kobieta w wydekolowanej jedwabnej sukni zostanie zgwałcona z tak bezlitosną brutalnością, że w porównaniu z nią hieny, które pożarły Ann, wydadzą się łagodne jak baranki.

Hal wskazał przed siebie i Aboli natychmiast zobaczył, o co mu chodzi. Po obu stronach mostu zwodzonego, który prowadził do zagrody nosorożca, stały dwa kamienne słupy. Był tam kołowrót do nawijania liny podnoszącej i opuszczającej most zwodzony. Hal przyskoczył do niego i zaczął rąbać linę, podczas gdy Aboli i pozostali *amadoda* utworzyli wokół niego mur tarcz.

Hal doskonale wiedział, że tarcze ze zwierzęcej skóry nie zapewnią ochrony przed kulami z muszkietu, ale nie przerwał tego, co robił. Rozmiękczający wszystko deszcz na przemian z palącym słońcem jakby zespawały i utwardziły włókna i przecięcie liny wymagało piekielnego wysiłku. Raz za razem opuszczał ostrze *pangi* na linę. Niespełna dwadzieścia jardów dalej nadzorcy przeładowywali muszkiety.

Odgryzali końce patronów.

Szybciej!

Wsypywali proch na panewki.

Tnij, przeklęty!

Ubijali stemplem ładunki w lufach.

Już prawie!

Podnosili broń do pozycji strzeleckiej.

Już!

Z potężnym trzaskiem, głośnym niemal jak huk strzału, most zwodzony runął na ziemię w zagrodzie. Wojownicy *amadoda* złamali szeregi i pobiegli w ciemność ku czekającemu nosorożcowi. Muszkiety za nimi otworzyły ogień, ale żadna kula nie trafiła.

Strzały służyły innemu celowi. Miały rozzłościć nosorożca.

Hal i Aboli niemal wpadli na zwierzę, gdy wyłoniło się z ciemności.

Nosorożec ma bardzo kiepski wzrok, za to nadzwyczajny słuch i węch. Dlatego też jest równie niebezpieczny w nocy, jak za dnia, ponieważ jego najsilniejsze zmysły funkcjonują jednakowo niezależnie od światła. I niezależnie od pory nosorożec jest upartą, drażliwą i złośliwą bestią.

Może nie widział Abolego wymachującego mieczem, ale na pewno słyszał, jak na niego wrzeszczy w języku lasów, i być może zrozumiał, że te słowa są wyzwaniem, bo w odpowiedzi potrząsnął łbem, salutując długim prawie na pięć stóp wspaniałym rogiem, po czym ruszył prosto na niego. Aboli w ostatniej chwili uskoczył z drogi, przeturlał się w błocie i poderwał z ziemi jak gibka pantera. Masywna bestia strzaskałaby wszystkie kości w ciele Hala, gdyby nie rzucił się w bok i nie rozciągnął w błocie, kiedy nosorożec galopował obok, napęłniając jego nos swoim piżmowym smrodem.

Byk niesłychanie szybko jak na zwierzę takiej wielkości przemknął przez połać spieczonego błota, minął rozpierzchających się *amadoda* i wpadł na most zwodzony, po którym do zagrody biegli pierwsi uczestnicy pościgu. Zbyt późno zrozumieli, co zsyła na nich przeznaczenie. Odwrócili się do ucieczki, ale wpadli na innych, którzy pędzili za nimi.

Dudnienie nóg nosorożca po deskach mostu zwodzonego brzmiało w uszach ludzi Loba jak huk trąb dnia sądu. Byk opuścił róg i przebił nim brzuch młodego mężczyzny. Przystanął, jakby zdezorientowany przez niespodziewane brzemie, i potrząsnął łbem. Parskał i stękał, wymachując zakrwawionym rogiem, sterczącym na długość trzech stóp z pleców młodzieńca. Opuścił łeb, z frustracją uderzając nim w ziemię i kołysząc to w jedną, to w drugą stronę, ale choć uparcie próbował, nie mógł się pozbyć przeszkadzającego mu ciężaru.

– Teraz! – wrzasnął jeden z ludzi Loba.

I tuzin włóczy wystrzelił z mroku, każda z nich trafiła bestię i wszystkie odbiły się od pancernej skóry. Nosorożec jakby się ocknął i ruszył, rozorując linię ciała, kości i złota, zabijając i okaleczając, tratując i wyrzucając ludzi w powietrze jak byk szczute na niego psy.

Znów wypaliły muszkiety, ale one też nie zrobiły krzywdy nosorożcowi, tylko wprawiły go w jeszcze większą furję. Nagle zwierz pogalopował w kierunku chat straży i zagrody niewolników, rozpraszając i tratując ludzi.

Hal, Aboli i pozostali przy życiu wojownicy zostali sami w pustej zagrodzie i nic im nie broniło dostępu do fortu Loba. Przebiegli po moście zwodzonym, ale Hal nagle się zatrzymał, jedną ręką chwytając ramię Abolego, a drugą wskazując fort.

– Patrz! Wszyscy wylegli na blanki.

Raczej wyczuł, niż zobaczył, uśmiech Afrykanina.

– Patrzą na nosorożca, jak tratuje ich przyjaciół.

– Tak, i są zadowoleni, że nie ma ich tu, na dole. Ale zostawili trzy boki fortu bez żadnej ochrony.

Pobiegli na drugą stronę fortu, wciąż przez nikogo niezauważeni. Bunt niewolników, jakkolwiek mógł być krótkotrwały, przyciągał uwagę bardziej, niż Hal śmiał mieć nadzieję. Hala i jego towarzyszy dzielił od fortu i od najwyraźniej niestrzeżonego muru już tylko szeroki na trzydzieści kroków pas otwartej przestrzeni.

– Pójdę pierwszy, Gundwane – powiedział Aboli. – W przeciwieństwie do ciebie nie świecę jak biała muszla na plaży.

Hal nie chciał o tym słyszeć.

– Ja muszę iść pierwszy, Aboli – oznajmił, bo nie mógł, nie chciał dowodzić z innego miejsca niż na czele. Wziął od przyjaciela linę z hakiem i zarzucił ją na ramię. Zatknął *pangę* za pas, spojrział na księżyc i czekał na kolejną chmurę, żeglującą jak galeon po morzu.

Chmura nadciągnęła. Nadszedł czas.

Hal pobiegł po nierównej ziemi w kierunku fortu i rzucił się pod chłodny bielony mur z suszonej cegły. Dla człowieka wspinającego się na maszty nie był on zbyt wysoki i Hal wiedział, że niemal pofrunie na szczyt, pod warunkiem że kotwiczka o coś zahaczy i że hałas nie ściągnie strażników ze stałą i kulami.

Wyteżał słuch, sprawdzając, czy w dźwiękach buszu nie słychać głosów. Nic. Ludzie na murze po drugiej stronie byli błogo nieświadomi czającego się za nimi niebezpieczeństwa. Wyszedł z cienia, czując serce walące o żebra, i spojrział na

Abolego, który skinął głową. Hal wziął linę, zamachnął się raz, drugi i trzeci, i rzucił ją w górę, nad murem.

Ostrożnie, powoli pociągnął ją ku sobie, krzywiąc się, gdy usłyszał cichy zgrzyt haka o blanki, ale lina znieruchomiała, co znaczyło, że przynajmniej jedno ramię kotwiczki o coś zahaczyło. Niczego więcej nie potrzebował. Zaczął się wspinać. Zdawało się, że ledwie zacisnął linę w rękach, a już był na samej górze, skulony pod parapetem, z *pangą* w pogotowiu. Przyłożył lewą rękę do ust i zawołał jak lelek, co było umówionym sygnałem dla Abolego i *amadoda*, że mogą ruszać za nim, a następnie pobiegł wzdłuż blanków, nisko pochylony. W pewnym momencie zerknął przez ramię i zobaczył, że Aboli i jego ludzie już są na górze.

Ale zaraz potem człowiek po drugiej stronie fortu oderwał spojrzenie od trwającej na dole jatki, obejrzał się i zobaczył cieniste postacie biegnące po drugiej stronie dziedzińca. Krzyknął na alarm, huknął muszkiet, plując ogniem w noc, i w tym momencie Hal dostrzegł schody prowadzące na dziedziniec. Błysnęło ostrze, gdy jeden z ludzi Loba wyłonił się z ciemności. Hal uskoczył, poderwał *pangę* i wbił jej szpic pod jego lewe ramię. A potem trzasnął mężczyznę pięścią w twarz, puścił go i odwrócił się w stronę skupiska namiotów i chałup z cegły mułowej pod północną ścianą.

– Gundwane! – ryknął Aboli.

Hal okręcił się, odruchowo parując cios drugiego napastnika, który chciał otworzyć mu bok pomiędzy żebrami. Przyskoczył i uderzył go ręką kordu w twarz, a gdy mężczyzna się zatoczył, Hal zobaczył następne ostrze. Odbił je w bok i ciachnął nożem po szyi jego właściciela, nawet się nie zatrzymując. Aboli trzy razy sparował i zabił człowieka cięciem w kark. Nagle Hal usłyszał, jak Myszolów chrapliwym głosem rzuca jego nazwisko, wskazując go rapierem nad głowami innych. Ludzie Loba stali mu na drodze i Szkot mógł dopaść jego nie bardziej, niż on stanąć z nim do walki wręcz.

Halowi zadzwoniło w uszach, kiedy huknęły dwa strzały i dwóch ludzi Loba, obaj uzbrojeni w muszkiety, spadło z dachu na dziedziniec.

Zerknął, żeby zobaczyć, kto przybył im z odsieczą, i krzyknął z radości. To Judith!

Judith usłyszała tupot biegnących stóp po dachu nad głową i z absolutną, niezachwianą pewnością siebie wiedziała, że to Hal po nią przybył. Ściągnęła suknię, którą chwilę wcześniej miała zamiar sznurować, i z powrotem włożyła płócienne

portki nieżyjącego chłopca okrętowego, bo wiedziała, że jeśli będą uciekać przez afrykańską sawannę, ten strój znacznie lepiej się jej przysłuży.

Podbiegła do drzwi i wyjrzała na dziedziniec. Hal stał na wprost niej, ale odwrócony plecami, ramię w ramię z Abolim. Wokół nich dostrzegła znajome twarze *amadoda*, rozjaśnione przez radość urodzonych wojowników, którzy żyją pełnią życia tylko wtedy, kiedy następna sekunda może sprowadzić na nich śmierć.

Tuż przed nią leżał jeden z ludzi Loba. Miał rapier w martwej dłoni i dwa pistolety za pasem. Judith wzięła jeden, opanowała się, wycelowała w oddalonego o jakieś czterdzieści stóp człowieka na dachu i strzeliła. Jeszcze zanim trup spadł na ziemię, sięgnęła po drugi pistolet.

Hal, ujrawszy ją, radośnie wykrzyknął jej imię. Aboli i wojownicy *amadoda* posuwali się do przodu. Potyczki trwały w całym kompleksie kopalni Loba, ale tutaj szala zwycięstwa przechylała się na ich stronę.

Myszołów ważył szanse, jak zawsze. On też czuł, że sytuacja obraca się na korzyść Courtneya. W tych okolicznościach jego pierwsze myśli, poza ratowaniem własnej skóry, zwróciły się ku Balthazarowi Lobowi. Zrobiwszy sobie śmiertelnego wroga z księcia Jahana, Myszołów potrzebował potężnych przyjaciół i jeśli nie było mu dane zaskarbić sobie względów Loba przez dostarczenie mu oblubienicy, zrobi to, ratując jego chudy stary kark.

Pobiegł przez dziedziniec do jego komnaty, ale starego capa nigdzie nie było widać. Nagle Myszołów usłyszał drżący głos płynący zza łóżka o czterech narożnych kolumnkach:

– Kto tu jest?

– To ja, panie, hrabia Kumbrii. Przybywam ci na ratunek – odparł Myszołów. Podeszedł do kryjówki Loba i poderwał go na nogi. – Szybko, panie! Musimy opuścić budynek, póki jeszcze jest czas!

Wybiegł na dziedziniec ze zdezorientowanym starym właścicielem kopalni depczącym mu po piętach. Wystarczył mu jeden rzut oka, by potwierdzić, że Courtney, jego dzicy sprzymierzeńcy i ta czarna dziwka powiększają swoją przewagę. Popędził do głównej bramy, wlokąc za sobą Balthazara Loba.

Widok uciekającego pana przeważył szalę wśród ludzi w forcie. Jak jeden mąż wzięli nogi za pas i pobiegli za nim.

Hal patrzył za nimi przez chwilę. Odwrócił się i zobaczył, że Judith próbuje ściągnąć z martwego pas, przy którym mężczyzna nosił świeży proch i kule do

pistoletów.

– Nie, skarbie, zostaw – powstrzymał ją. – Bardziej nam zależy na prędkości niż na broni. Musimy stąd uciekać, natychmiast.

– Tak – poparł go Aboli. – Musimy uciekać.

Stłumienie powstania niewolników, które mimowolnie wznicił Aboli, zajęło strażnikom resztę nocy. Myszołów dopiero o świcie mógł zwołać naradę wojenną z Lobem i Capelem.

– Ludzie, którzy przybyli po Courtneya, należą do jego załogi. Musieli popłynąć za nim, kiedy opuścił Zanzibar. Gdzie zszedł na brzeg?

– W Quelimane – odparł Capelo.

– W takim razie tam albo w pobliżu jest *Golden Bough* i czeka na swojego kapitana. Panie Capelo, znasz drogę do Quelimane?

– Oczywiście.

– W takim razie, za twoim pozwoleniem, *señor* Lobo, proponuję wyruszyć bez chwili zwłoki. Naszym pierwszym celem powinno być pochwycenie Courtneya, kobiety i jego ludzi, zanim wejdą na pokład statku. Jeśli się uda, *señor*, obiecuję, że sprowadzę tę kobietę z powrotem.

– Więc może jednak będę miał wesele! – zawołał z entuzjazmem Lobo.

– Całkiem możliwe, panie – zgodził się Myszołów. – Ale jeśli jakimś trafem Courtney nam się wymknie i odpłynie, wtedy też nie wszystko będzie stracone. Wiem, dokąd zmierza, i jeśli zdołam go tam dorwać, wtedy, *señor*, wrócę do ciebie z jego głową, kobietą i także jego złotem.

Uśmiech rozjaśnił twarz Loba.

– Ze złotem? O tak, proszę, byłoby miło. Byłoby bardzo miło.

Myszołów i Capelo jechali na mułach i zmuszali swoich ludzi do forsownego marszu, ale nie mogli się równać z *amadoda*. Judith, podobnie jak oni, była na pozór niewyczerpaną studnią energii, która pozwalała jej biec, jakkolwiek krótszym krokiem, lecz w tym samym monotonnym rytmie. Hal też się trzymał, dzień po dniu, choć kosztem wielkiego wysiłku; biegł, ponieważ nie miał wyboru, a obecność Judith przydawała skrzydeł jego stopom.

Dotarli na plażę, gdzie kilka tygodni temu Duży Daniel wysadził ich na brzeg, i znaleźli tam szalupę z Johnem Lovellem, który tego dnia pełnił służbę, wypatrując ich powrotu. Hal i Judith wrócili na *Golden Bough*, gdzie powitały ich gromkie radosne okrzyki, które stały się jeszcze głośniejsze, kiedy Hal zwrócił się do załogi:

– Zdaje się, że wspomniałem coś o waszym przyzowym... kurs na Słoniową Lagunę, panie Tyler!

Kiedy w końcu dotarli do Quelimane, Myszołów przez cztery dni ciągał Capela po tawernach, próbując znaleźć kapitana ze statkiem do wynajęcia. Ponieważ zlecenie obejmowało natychmiastowe wyjście z portu do niezaznaczonej na żadnej mapie tajemniczej zatoki na południowym krańcu Afryki, podróżowanie w tempie, jakie wymagałoby podjęcia szalonego ryzyka, prawdopodobieństwo bitwy przeciwko zaprawionemu w bojach kapitanowi, który właśnie na ich oczach dowiódł swojej wartości – i wszystko to za obietnicę udziału w skarbie, oczywiście pod warunkiem, że w ogóle istnieje – więc nie było chętnych. I nagle los się do nich uśmiechnął. Odchodząc w zniechęceniu po którejś z rzędu nieudanej próbie przekonania kolejnego kapitana, Capelo spostrzegł João Barrosa schodzącego z trapu *Madre de Deus* na nabrzeże.

Krew zawrzała mu w żyłach. Oto miał przed sobą człowieka, który był sprawcą jego problemów. Mało brakowało, a kazałby go zabić: Quelimane nie należało do miejsc, w których trudno zlecić morderstwo. A jednak się powstrzymał i postanowił wyciągnąć jak największe korzyści z przegranej sprawy. Przywitał Barrosa z wylewną serdecznością i namówił go na wspólną kolację.

– Znasz mnie, stary przyjacielu. Jestem człowiekiem, który dba o swój brzuch. W Afryce nie ma miasta, gdzie nie umiałbym znaleźć najlepszego jedzenia, tak, i na dodatek nie znał kucharza, który je przygotowuje. Jest tu pewien lokal, Niebieski Słoń. Jedzenie nie ma sobie równych w całej Afryce i mają beczki alvarelhão z Trás-os-Montes w dolinie Douro... Och! Jego smak na języku jest jak powrót do domu!

Barros dał się namówić i po spróbowaniu jedzenia i wina zgodził się, że jedno i drugie jest tak dobre, jak mówił Capelo.

– To cud – dodał, kiwając głową w stronę Myszołowa, który siedział przez cały wieczór, nie pijąc i nie jedząc – że sama obecność tej kreatury niczego nie skwasiała.

– Jeśli skończyłeś strzepić jęzor, kapitanie, to może zaczniemy mówić o interesach – zaproponował Capelo, nagle znacznie mniej serdeczny. – Ten biały niewolnik, który według ciebie miał pracować równie dobrze jak czarny, spowodował poważne szkody. *Señor* Lobo stracił wielu ludzi i poniósł straty materialne. Ten człowiek nazywa się Courtney. Jest kapitanem, niektórym znanym również jako El Tazar. Zdaje się, że o tym wiesz. Pozwolę sobie zasugerować, że twoją najlepszą nadzieją na uniknięcie słusznego odwetu *señora* Loba za kłopoty, jakie na niego ściągnął, jest udzielenie nam pomocy w schwytaniu tego Courtneya. Tymczasem jednak z każdą minutą, jaką tu tracimy, ten angielski łajdak wymyka się coraz dalej spoza naszego zasięgu.

– Co takiego zrobił ten Courtney? – zapytał Barros.

Capelo nie szczędził starań, żeby opisać historię akcji ratunkowej i ucieczki Hala w taki sposób, żeby klęska nie wypadła zbyt żenująco, chociaż nic nie mogło ukryć faktu, że Courtney i jego kobieta zostali wykradzeni prosto spod jego nosa i skórzanego dziobu Myszołowa. Pod koniec relacji Barros, na pozór ani trochę nieprzejęty, dolał sobie wina i klepiąc się po udzie, ryknął śmiechem.

– Chcesz, żebym wskoczył na pokład *Madre* i ruszył w pogoń za Courtneyem i tą jego kobietą, Nazet, mam rację? Ha, coś ci powiem. Tak się składa, że przypadkiem płynę w tym samym kierunku. Mam w ładowni czterdzieści par wspaniałych kłów słoniowych, a w Kolonii Przyładkowej czekającego kupca, który z radością zabierze je do Holandii. Tylko daruj sobie te groźby odwetu. Nie boję się starego mieszkającego setki mil od morza, na którym uprawiam swoje rzemiosło. Podaj mi chociaż jeden powód, dla którego miałbym nadkładać drogi i nadstawiać karku, żeby ci pomóc.

– Mogę? – zapytał Myszołów z przesadną uprzejmością.

– Jak najbardziej.

– W takim razie dobrze... Znałem ojca Courtneya, Franky'ego, znałem go naprawdę bardzo dobrze. Miał dwie cechy. Po pierwsze, umiał wywęszyć przystanki jak żaden inny człowiek na morzu i po drugie, zatrzymywał każdego cholernego pensa, którego zabrał ze zdobytego statku. Ten człowiek nigdy się nie dzielił, nawet ze swoimi kamratami, ludźmi takimi jak ja, mającymi prawo do swojej części, i nigdy nie

wydał złamanego grosza.

Barros otworzył usta, chcąc się odezwać, ale Myszołów podniósł trójpalczałą rękę.

– Miałeś zamiar, jak mniemam, zapytać, jak wielki może być skarb Courtneya. Coś ci powiem. Ostatnią zdobyczą starego Courtneya był holenderski statek kupiecki zwany *Resolution*.

– Ach! Tak... pamiętam – powiedział Barros. – Mówiono o tym w Kolonii Przylądowej. Ale *Resolution* został odbity, z całym drewnem i wszystkimi korzeniami na pokładzie.

– Tak, tak, serojady odzyskały swój cenny statek, korzenie i drewno. Ale ten statek przewoził znacznie więcej niż kilka beczek goździków i drewno tekowe, tyle ci powiem. Było tam srebro wartości pięćdziesięciu tysięcy holenderskich guldenów i trzysta... tak, dobrze słyszałeś... trzysta sztab czystego złota, przy czym każda jedna z nich wystarczy, żeby zapewnić człowiekowi dostatnie życie.

Barros zagwizdał przeciągle, dumając nad oszałamiającym bogactwem skarbu Courtneya, kompletnie nieświadom, że Myszołów – z myślą, że zdoła zatrzymać odrobinę tylko dla siebie – nawet nie wspomniał o stu tysiącach guldenów w monetach.

– Teraz rozumiesz, dlaczego człowiek chciałby znaleźć taki skarb? – mówił Myszołów. – Co więcej, zapewniam cię, że łupy z *Resolution* to nawet nie połowa. Franky miał znacznie więcej przyzów, możesz mi wierzyć na słowo.

– Wszystko pięknie – zauważył Barros, teraz w pełni panując nad swoim instynktem do robienia interesów. – Ale czy wiesz, gdzie jest ten skarb?

– To bardzo dobre i wielce interesujące pytanie. Odpowiedź brzmi tak... i nie. Widzisz, z grubsza wiem, gdzie on jest. Wiem, że w odległości niespełna połowy dnia drogi od miejsca, gdzie Courtney wyniósł go na brzeg. I wiem również, gdzie go nie ma, ponieważ kazałem przekopać całą plażę, na wypadek gdyby tam go ukrył, i nie znalazłem ani śladu.

– Gdzie jest ta plaża? – zapytał Barros.

– To miejsce zwane Słoniową Laguną... lecz nawet nie myśl o próbie wystawienia mnie do wiatru, kapitanie, bo nie znajdziesz go na żadnej mapie. Ale ja wiem, gdzie jest ta zatoka, i jestem absolutnie pewien, że Courtney właśnie tam zmierza. Pozwolimy mu tam popłynąć, zaczekamy, aż przyniesie dla nas swój skarb, a potem... – Rozległ się trzask, gdy Myszołów walnął pięścią w stół. – Uderzymy, kiedy

nie będzie się niczego spodziewał, zabijemy go, zabierzemy kobietę i skarb.

– Chcę dostać połowę skarbu – oświadczył stanowczo Barros.

– Akurat, cholera! – warknął Myszołów.

– Panowie, panowie, proszę – interweniował Capelo. – Każdy z nas jest zależny od drugiego. Oczywiście, kapitanie Barros, to ty masz statek. Ale nasz zamaskowany przyjaciel jest jedynym człowiekiem, który wie, gdzie go pokierować. A to, kapitanie, oznacza, że nie będziesz musiał płacić za zapasy, świeżą wodę, proch i kule, co oznacza, że pieniądze, jakie zarobisz na swojej kości słoniowej, będą czystym zyskiem, jeśli nawet nie dostaniemy ani jednego okruszka złota z tego skarbu. Jestem tutaj jedyną osobą, która może pożyczyć pieniądze na rachunek *señor* Loba, żeby w pełni pokryć koszty tej ekspedycji. Przestańmy więc marnować czas na sprzeczki i dojdźmy do porozumienia: każdy z nas otrzyma jedną trzecią skarbu, kiedy zostanie znaleziony... jeśli zostanie znaleziony. Ja na dodatek wezmę kobietę, która była własnością *señor* Loba, i mu ją zwrócę. Ty, kapitanie, weźmiesz głowę Courtneya, bo ten, kto ją dostarczy księciu Jahanowi, zasłuży na jego wielką wdzięczność. A ty, *señor* Myszołów, możesz zabrać statek Courtneya... jeśli znajdziesz ludzi chętnych go obsadzić, z tobą jako jego panem.

– Dobrze – rzucił Barros. – Zgadzam się. – Ale z twoich słów wynika, że Courtney ma kilka dni przewagi. I miną co najmniej dwa, zanim będę gotów do wyjścia w morze. Czy w takich okolicznościach możemy go złapać?

– Możemy – zapewnił Myszołów. – Ponieważ uważa, że nic mu już nie grozi. Jasne, będzie żeglować dość szybko, ale bez konieczności podejmowania ryzyka. A my zaryzykujemy. Będziemy żeglować tak, jakby sam diabeł nas ścigał.

Tak oto postawili żagle. Nagłony przez Myszołowa kapitan Barros popędzał swoich ludzi bardziej, niż uważali za możliwe. O każdej porze dnia i nocy albo Barros, albo Myszołów stali obok sternika, podając kurs, żądając rozpostarcia każdego skrawka żagla, żeby nie zmarnowało się ani jedno tchnienie wiatru. Kiedy pogoda się zepsuła, Myszołów nalegał, żeby zostawić więcej płócien, niż normalnie uważano za bezpieczne, i niejedną raz statek był o włos od zatonięcia. Ale *Madre de Deus* przetrwała, żeby żeglować przez następny dzień... i kolejny... i Barros, i Myszołów wiedzieli, że na pewno zbliżają się do *Golden Bough*, więc pięć dni przewagi musiało się znacznie skurczyć. Lecz żaden z nich nie miał pojęcia, o ile węższa stała się luka. Oczywiście nie mogli też wiedzieć, ile czasu Courtney spędzi w Słoniowej Lagunie. Więc płynęli, forsując statek jak już wyczerpanego ogiera, zmierzając do miejsca

przeznaczenia i modląc się, żeby kiedy tam dotrą, nie stwierdzili, że Courtney już tam był i odpłynął.

– Mam bardzo dobre oczy, panie – przekonywał Mossie. – I donośny głos. Słysząc mnie na całym okręcie. Sam posłuchaj... – Chłopiec wrzasnął tak przeraźliwie, że zagłuszyłby trąbiącego słonia. Stojący tuż obok niego Hal skrzywił się i zakrył uszy.

Mossie triumfalnie wyszczerzył zęby.

– Widzisz, panie, będę bardzo dobrym obserwatorem.

Kapitan z rezygnacją pokręcił głową. Trzeba przyznać, chłopak był wyjątkowo uparty. Ledwie *Golden Bough* uciekła z Quelimane, Mossie zaczął go błagać, żeby mu pozwolił zostać nowym obserwatorem. Hal odmówił – to nie wchodziło w rachubę – i wymieniał jeden powód po drugim, dlaczego nie ma szans na spełnienie prośby: Mossie jest za młody, za mały, nie umie się wspinać na maszty, nie będzie umiał rozróżniać statków i jego krzyk nie dotrze na śródokręcie. Każdy z tych argumentów był obalany i konflikt pomiędzy kapitanem a najmłodszym członkiem załogi stał się stałym tematem rozmów i spekulacji. W niemal świątecznej atmosferze, która panowała na pokładzie, gdy *Golden Bough* mknęła ku czemuś, co miało być dla załogi największym w życiu dniem wypłaty, robiono wiele zakładów, czy kapitan ulegnie temu szkrabowi, a jeśli tak, to kiedy.

– Powiem wam, chłopcy, że to się nigdy nie stanie – oznajmił Duży Daniel, zwracając się do grupy marynarzy, których pewnego popołudnia przyłapał podczas gorącej dyskusji. – Oto, dlaczego. Na tym świecie jest tylko jedna osoba, która może zmusić kapitana do zrobienia tego, czego nie chce zrobić, i on doskonale wie, że ta osoba utnie mu jaja i wyrzuci je za burtę rekinom na pożarcie, jeśli zobaczy swojego pupila na maszcie.

– No tak – zgodził się z nim jeden z marynarzy. – Pani Nazet nie jest kobietą, którą mężczyzna chciałby rozgniewać. Widziałem, co potrafi robić tym swoim mieczem.

Te same myśli chodziły po głowie Halowi i gdy skończyły mu się inne karty, postanowił zagrać ostatnim atutem.

– Pomyśl o pani Judith – powiedział, wiedząc, że Mossie jest jej równie oddany jak ona jemu. – Jeśli spadniesz z masztu, stamtąd... – wskazał top grotmasztu dla podkreślenia swoich racji – tutaj... trach!... na pokład, zabijesz się i ona będzie bardzo nieszczęśliwa. A chyba nie chcesz, chłopcze, żeby pani Judith była nieszczęśliwa?

Mossie popadł w głęboką zadumę. Nagle rozciągnął usta w szerokim uśmiechu,

bo znalazł idealną odpowiedź.

– Ale ja nie spadnę, panie! W mojej wiosce byłem jedynym, którego wysyłali na urwiska po mewie jaja. Mógłbym się wspiąć na księżyc, gdybyś mi dał długą linę.

Hal się roześmiał.

– Aboli! – zawołał na główny pokład, gdzie Afrykanin oceniał pracę *amadoda*, którzy mozolnie rozwijali stare smołowane liny na włókna, żeby z nich zrobić pakuły.

– Jak sądzisz, mam pozwolić chłopakowi wspiąć się na top?

– Lepiej, żeby mały miał rację co do niespadania – powiedział Ned Tyler. – Wolałbym, żeby mi nie zapaskudził wyszorowanego pokładu.

– Każdy z nas musiał się wspiąć po raz pierwszy, kapitanie! – krzyknął młody majtek, jakby był starym wyjadaczem, chociaż jeszcze nie skończył osiemnastu lat.

Aboli wyszczerzył zęby i wzruszył potężnymi ramionami.

– Ten chłopak to wróbel, Gundwane! Jeśli spadnie, zatrzepocze skrzydełkami. Poza tym byłeś w jego wieku, może nawet młodszy, kiedy po raz pierwszy wspiąłeś się na grotmaszt. Chociaż, jeśli dobrze pamiętam, w tym czasie twój ojciec był na dole w kajucie i spał.

Hal uśmiechnął się na to wspomnienie. Pamiętał, jak Aboli do niego szepnął: „Nie patrz w dół, Gundwane. Oprzyj się pragnieniu spoglądania w dół”. Nogi mu drżały i serce łomotało w piersi, ale dotarł do bocianiego gniazda na grotmaszcie i siedział, czując się jak król, gdy kołysał się niczym wahadło.

– Tamten maszt nie był taki wysoki, Aboli – przypomniał mu Hal.

– Nie, nie był – zgodził się Aboli, po czym skinął na Mossiego. – Ale jeśli spadnie, złapię go tak, jak złapałbym ciebie.

Hal popatrzył na chłopca, w jego zdeterminowane oczy, i zrozumiał, że go szanuje, podziwia odwagę, jaką zachował po wszystkim, przez co przeszedł najpierw z rąk handlarzy niewolników, a potem jako świadek porwania Judith.

– A gdybym przypadkiem go nie złapał, wtedy będziemy musieli posprzątać bałagan, zanim moja pani odkryje, co się wydarzyło – dodał Aboli, robiąc ogromnie ponurą minę, chociaż oczy mu się śmiały.

Mossie jednak nie dał się zniechęcić, ani trochę.

– Zanim moja pani odkryje co? – usłyszeli głos Judith, ostry jak jej miecz, tnący gwar męskiej debaty.

– Nic takiego, kochanie – odparł Hal, podejmując żałośnie oczywistą próbę uśpienia jej czujności. Wszelkie nadzieje na powodzenie zostały unicestwione, gdy

Mossie pisnął:

– Kapitan powiedział, że mogę się wspiąć na grotmaszt...

– Ja powiedziałem coś takiego? – wybuchnął Hal.

– I że jeśli spadnę, pan Aboli mnie złapie.

– Czy to prawda? – zapytała Judith. Ktoś bardziej doświadczony niż Hal, jeśli chodzi o zachowanie kobiet, z pewnością zauważyłby, że z wielkim trudem powstrzymuje się od uśmiechu.

– Prawda, ten bezczelny łobuziak próbował mnie namówić, żebym mu pozwolił wspiąć się na grotmaszt, ale nie powiedziałem, że może to zrobić. Możesz być tego pewna.

– Kapitan mówi prawdę, pani – wtrącił Ned Tyler. – Nie pozwolił chłopcu wspiąć się na maszt. Absolutnie!

– Naprawdę? – Teraz z kolei ona zrobiła minę chodzącej niewinności. – Do licha, dlaczego nie? Jestem za tym, żeby chłopcy mierzyli się z wyzwaniem. Jak inaczej mogą wyrosnąć na dużych, silnych, dzielnych mężczyzn, jeśli nie będą mogli się sprawdzić?

– Ale myślałem... To znaczy mówisz... – Hal na próżno szukał właściwych słów, żeby wyrazić skandaliczną niesprawiedliwość, jaka go właśnie spotkała. Przecież Judith jasno dała do zrozumienia, że Mossiego nie wolno narażać na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, i dobrze o tym wiedziała.

Judith natomiast doskonale zdawała sobie sprawę, że nie powinna bardziej przeciągać struny. Dlatego podeszła do swojego mężczyzny, ujęła go pod ramię, spojrzała na niego z uwielbieniem, na oczach całej załogi, i powiedziała:

– Wiem, że robiłeś to, czego według ciebie chciałam, i jestem ci za to wdzięczna. Ale to twój statek i decyzja należy do ciebie, nie do mnie. Jeśli uważasz, że Mossie jest gotów do wspinaczki na maszt, nie będę miała zastrzeżeń.

– Proszę, kapitanie! Proszę, proszę, proszę! – pisnął Mossie.

Hal umiał poznać, kiedy został pokonany, a ponadto wiedział, że Aboli i Judith mają rację. Sam zrobił coś podobnego, gdy był mały, i rzeczywiście to mu pomogło przygotować się do wkroczenia w wiek męski. Dlatego przeszedł prosto do rzeczy:

– W takim razie, Mossie, mój chłopcze, słuchaj uważnie. Kiedy zaczniesz się wspinać, nie patrz w dół, dopóki nie będziesz bezpieczny na samej górze.

– Tak, panie – obiecał Mossie. Uśmiech na jego twarzy był jasny jak popołudniowe słońce, gdy tańczył gigę, nie ruszając się z miejsca. – Kiedy będę na

górze z mewami, powiem im, kim jestem. I powiem im, kim ty jesteś, panie.

– Sam im powiem, chłopcze – oznajmił Hal. – Bo wejdę tam z tobą.

– Co?! – krzyknęła Judith, kompletnie zaskoczona.

– Chyba nie muszę ci przypominać pierwszej zasady dobrego dowodzenia, mój drogi generale. Nigdy nie każ nikomu, nawet małemu chłopcu, żeby zrobił coś, czego nie zrobiłabyś sama.

Marynarze szczerzyli zęby w uśmiechach i tłumili chichot. To był ich Hal Courtney, w każdym calu.

– Cholera, czasami przypomina mi swojego tatę – mruknął Ned Tyler do Dużego Daniela, gdy stali razem i przysłuchiwali się rozmowie.

– Tak, założę się, że stary Franky patrzy na to z góry i jest zachwycony – odparł masywny sternik.

Hal ściągnął koszulę i stanął nagi do pasa, i bosy, jak każdy inny marynarz na *Golden Bough*, z torsem pęczniejącym od mięśni, pokrytym bliznami po wielu walkach. Na plecach widniały inne blizny i gdy Mossie je zobaczył, zrobił wielkie oczy i rozdziawił usta, choć się nie odezwał.

– Ja też żyłem jak niewolnik, Mossie – powiedział mu Hal, wiedząc, jak przerażająco wyglądają pręgi po biczu krzyżujące się na jego plecach i bokach.

– Musiałeś być bardzo nieposłuszny, panie – skomentował Mossie z szerokim uśmiechem.

Hal się roześmiał.

– Tak... jeszcze bardziej niż ty, chłopcze. – Ściągnął rzemyk z długich włosów i przewiązał go tak, żeby gruby ciemny warkocz leżał pomiędzy łopatkami.

– Ruszamy? – zapytał, wskazując grotmaszt w taki sposób, jakby zapraszał damę na spacer o zachodzie słońca.

– Zobaczymy, czy kapitan nie zapomniał, jak się to robi! – krzyknął ktoś z załogi.

– Tak, założę się o szylinga, że chłopak będzie pierwszy na topie.

– Ha! Przecież nie masz złamanego szylinga, Evans – zauważył Will Stanley.

– Nie! Młody Courtney urodził się na wantach. Będzie na górze tak szybko jak ręka króla pod spódnicą Nellie Gwyn! – krzyknął ktoś inny.

– Wygraj, kochanie, wygraj dla mnie – szepnęła Judith. Widok jej mężczyzny w kwiecie młodości, siły i męskości sprawił, że miała ochotę przerwać ten wyścig i zaciągnąć go do ich kajuty. Ale ponieważ nie miała innego wyboru, jak cierpliwie

czekać, chciała, żeby jej mężczyzna pokazał, ile jest wart, wygrał i potwierdził swoją pozycję dominującego samca w stadzie *Golden Bough*.

– Do roboty, próżniaki! – ryknął Hal na walkoniącą się załogę, chociaż dobrze wiedział, że nikt na pokładzie nie spuści z niego oka podczas wspinaczki.

Aboli mianował się starterem.

– Gotowi?! – zawołał, unosząc rękę w powietrze. Obaj zawodnicy skinęli głowami, ich ciała napięły się wyczekująco. – Start!

Mossie ruszył tak szybko, że zaczął wspinać się na maszt, gdy słowo jeszcze spływało z języka Abolego.

Hal zaklął i podążył za młodszym rywalem. Było gorąco jak w piekle. Strumienie potu zalewały mu oczy, spływały po plecach i piersi. Próbował wspinać się w taki sposób, żeby maszt go ocieniał i słońce nie oślepiało, ale przede wszystkim próbował dotrzymać tempa chłopcu.

– Jest urodzonym majtkiem – zauważył Ned Tyler jak trener, który ocenia formę galopującego roczniaka na Newmarket Heath, chociaż musiał krzyczeć, żeby było go słychać w okrzykach zachęty płynących z gardeł otaczających go ludzi.

– Tak, ale kapitan wspina się jak małpa z płonącym zadkiem – oświadczył z dumą Duży Daniel.

Hal nie słyszał ich słów, gdyż w tym czasie był już wysoko nad pokładem, ale wciąż ścigał śmigającego przed nim chłopaka. Nagle Mossie spojrzał w dół.

– Oczy do góry – powiedział Hal, lecz już było za późno.

Chłopak zamarł, kurczowo uczepony relingów, drżąc na całym ciele.

– Utknąłem, panie kapitanie!

– Odetchnij. To nic takiego – pocieszył go Hal. – Na górę. – Mógł powiedzieć Mossiemu, że ma schodzić, że wspiał się dość wysoko, ale wiedział, że jeśli chłopiec teraz nie dotrze na szczyt masztu, może stracić odwagę na zawsze.

Daleko w dole ludzie umilkli. Każdy z nich miał za sobą pierwszą wspinaczkę i pokonanie strachu, który z nielicznymi wyjątkami paraliżował wszystkich początkujących. Dokładnie rozumieli, przez co przechodzi chłopak. Wyścig się skończył, ale wyzwanie stojące przed Mossiem stało się znacznie większe.

– Nogi, kapitanie. Zdradziły mnie.

– Zrobią, co im każesz, chłopcze. A teraz na górę.

– Nie mogę się ruszyć – poskarżył się Mossie przybitym głosem, bliski płaczu. Jego kościste kolana niemal się uginały. Hal mógłby policzyć mu wszystkie zębra, gdy

chłopak wciągał i wypuszczał powietrze jak miechy.

– Wejdiesz na top, bo jak nie, wysadzę cię w najbliższym porcie i sprzedam na targu niewolników – zagroził Hal. Wiedział, że to okrutna groźba, ale musiał sprawić, żeby chłopiec przestraszył się czegoś bardziej niż wysokości.

Rzeczywiście, Mossie, choć teraz już płakał, wyciągnął rękę i chwycił następny szczebel drabinki.

– O to chodzi. Już niedaleko – powiedział Hal.

– Tak, panie. – Chłopiec się wspinał, nogi mu dygotały, ale blade podeszwy stóp przeżyły się na szczeblach. Po chwili był na górze i przelazł do bocianiego gniazda.

– Zrobimy z ciebie marynarza, chłopcze – zawyrokował Hal. Wszedł za nim i usiadł obok niego, podczas gdy z dołu płynęły wiwaty.

Mossie miał pochmurną minę.

– Będzie dobrze – zapewnił go Hal, zadowolony także ze swojego dokonania, ponieważ wiedział, że był szybki i zwinny, a jego oddech już zwalniał, znów stawał się miarowy. – Cały statek widział, jak się wspinałeś, i zasłużyłeś na szacunek załogi. Słuchaj, to wiwaty na twoją cześć.

– Ale... przecież nie mogłem się ruszyć.

– Spojrzałeś w dół. Mówiłem, żebyś tego nie robił.

Mossie wydawał się zawstydzony, ale Hal nie chciał go rozpieszczać.

– Zatem już wiemy, jak się wspinasz. A jak z twoim wzrokiem? – Wskazał na południe, na statek płynący w górę wybrzeża równoległym kursem, ale pod znacznie większą ilością żagli, jakby kapitan chciał wycisnąć z niego prędkość do ostatniego węzła.

Oto człowiek w pośpiechu, pomyślał Hal. Sylwetka statku wydawała się znajoma, choć niezupełnie go kojarzył. Cholera! Czyżby wzrok już zaczynał mnie zawodzić?

– Jakie ma barwy? – zapytał Mossiego.

Chłopak pokręcił głową.

– Żadnych, kapitanie – odparł, kostkami palców wyciskając resztki łez z oczu.

– Dziwne – mruknął Hal. Chętnie zostałby tu dłużej, żeby się przyjrzeć tajemniczemu statkowi, ale pierwsze zejście z topu jest dla nowych marynarzy częstokroć gorsze niż wchodzenie. Mossie potrzebował przewodnika, żeby zejść na dół, a ludzi należało wziąć do galopu. Widok statku prześcigającego *Golden Bough* uświadomił mu, jak beztraska stała się ich podróż.

- Dalej, chłopcze, schodzimy – zarządził.
- Nogi już mnie nie zdradzą, kapitanie – oznajmił wyzywająco Mossie.
- Wiem. A teraz wracamy na pokład.

Myszołów kuczał w cieniu wysokich drzew, które rosły na skałach strzegących Słoniowej Laguny, i patrzył nad stanowiskami armatnimi, gdzie kiedyś Courtney rozmieścił kolubryny, żeby bronić ich kryjówek, przez przestrzeń ciemnozielonej wody na tyle głębokiej, że najpotężniejszy okręt wojenny we flocie każdego króla mógł rzucić kotwicę bez obawy, że sięgnie na mieliźnie. Teraz jednak nie było tam nawet łodzi wiosłowych, ani podskakujących na lagunie, ani wyciągniętych na plażę. Trzy słonie spokojnie kroczyły po lśniącym białym piasku jak ogromni, siwi dostojnicy spacerujący parkową aleją.

Barros nie był w nastroju do podziwiania widoków.

– Bodaj cię! Doprowadziłem do tego, że ludzie są o krok od buntu, a mój statek trzyma się kupy w zasadzie tylko dzięki moim modlitwom... I w imię czego to wszystko? W imię niczego! Courtney tu był i zniknął! Nie zobaczymy odrobimy złota, nawet najmniejszego okruszka.

– Przestań jęczeć, człowieku! Twój statek jest w idealnym stanie. Podarłeś parę żagli, masz dwie czy trzy szczeliny, kilka obluzowanych desek, ale równie dobrze jak ja wiesz, że to drobiazg, że wystarczy niecały dzień napraw w stoczni w Kolonii Przyładkowej. Co do twoich ludzi, nic im nie będzie, dopóki myślą, że na końcu rejsu czeka ich miejsce pełne dobrych łupów.

– Nie widzę tu żadnych łupów, dobrych czy złych! – Barros narzekał coraz wyższym, coraz donośniejszym głosem.

– Chyba nie sądziłeś, że zostaną dla ciebie wyłożone na plaży, co? – Oko Myszołowa mrugnęło w głębi dziury w masce. – Chodź ze mną.

– Tam będzie bezpiecznie? – Barros po raz pierwszy okazał, że dostrzega stworzenia, od których ta ukryta zatoka wzięła swoją nazwę.

– Kiedy poczują twój smród, znikną jak dym na wietrze.

Przedzierali się przez gęsty las, który otaczał lagunę, aż dotarli do pozostałości chat, w których kiedyś spali i o które walczyli i Courtneyowie, i Myszołów.

Tak, kiedy jeszcze byłem mężczyzną ze wszystkimi członkami i wszystkim innym idealnie sprawnym, pomyślał.

Gdzieniedzie widniały stare paleniska z rozproszonym popiołem, ale było jasne, że nikt od dawna nie rozpałał tutaj ognia.

– Nikogo nie było tu od miesiący – stwierdził Myszołów.

– Na miejscu Courtneya nie wypuściłbym ludzi na brzeg – powiedział Barros.

– Zatrzymałbym ich na statku, a sam popłynął z najbardziej zaufanymi oficerami, najwyżej dwoma, i zabrał ten skarb.

Myszołów parsknął chrapliwym śmiechem.

– Młody Courtney tak nie postąpi. Pozwoli ludziom zejść na ląd, żeby łowili ryby, polowali na świeże mięso i znaleźli drewno do naprawy statku. Chłopak jest miękki jak ciepłe masło.

– To wielka słabość. – Barros z dezaprobatą pokręcił głową.

– Tak, i stanie się przyczyną jego śmierci. – Myszołów się roześmiał. – I to niedługo.

– Co zrobimy?

– Zakotwiczymy twoją *Madre* w sąsiedniej zatoce, na południe stąd, żeby Courtney jej nie zauważył, gdy nadpłynie z północy. Zostawimy warty obserwujące lagunę z dobrze ukrytą szalupą. Kiedy Courtney się zjawi, najpierw sprawdzi krajówkę ze skarbem. Gdy wróci na okręt, my już tam będziemy i zgotujemy mu isticie królewskie powitanie, uwolnimy go od skarbu i zaraz potem wyprawimy mu równie królewski pogrzeb.

Zamaszyście pociągali wiosłami, wprowadzając dwie łodzie w wartki nurt rzeki wypływającej z wąwozu. Ich obecność w tym tajemnym miejscu zaniepokoiła stada wodnych ptaków, które z krzykiem i łopotem wzbiły się w niebo.

Jak na razie przybysze nie byli rozczarowani tym, co tutaj zobaczyli. Gdy tylko *Golden Bough* rzuciła kotwicę, powitał ich widok stada słoni wychodzących z lasu na plażę pod przewodem starego samca z masywnymi kłami. Kiedy szare olbrzymy zobaczyły ludzi na pokładzie zakotwiczonego statku, stanęły jak wryte, unosząc wielkie łby, rozkładając uszy i trąbiąc wyzywająco.

– Wspaniale – powiedziała Judith, obserwując je z dziobu.

– I mądrzejsze niż wielu znanych mi ludzi – oznajmił z całą powagą Aboli.

– Może zastrzelimy kilka? – zaproponował z ochotą Duży Daniel. – Tam jest fortuna w kości słoniowej. Dobry Boże, kły tego tutaj muszą mieć z dziesięć stóp długości.

– Czeka na nas łatwiejszy łup, Dan – powiedział mu Hal, kręcąc głową. – Sądzę, że zostawimy je w spokoju.

Zakotwiczył okręt naprzeciwko ruin starego fortu i kazał przygotować wszystkie działa, załadowane siekańcami na wypadek niespodziewanego ataku dzikusów o każdym kolorze skóry: brązowym, czarnym, białym. Później zabrał Judith na stronę.

– Zamierzam prosić, żebyś tu została, zamiast płynąć kilka długich dni w szalupie. Poza tym w drodze powrotnej będzie niewiele miejsca na nogi, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Jeżeli tu zaczekasz na mój powrót, będzie nad tobą czuwać ponad pięćdziesięciu ludzi. Będziesz mogła spacerować po tych długich piaszczystych plażach i odpoczywać razem z dzieckiem.

Zanim spuścili na wodę dwie długie szalupy i przygotowali dwunastoosobową ekspedycję, wielkie szare zwierzęta straciły zainteresowanie i odeszły w las, znikając w niesamowitej ciszy.

Gdy ludzie się pochylali, pociągając wiosłami, Hal, Daniel i Aboli patrzyli na szczyty urwisk, z których gromady pawianów wyszczekiwały wyzwania.

Przeplłynęli nieco ponad dziesięć mil od miejsca, gdzie *Golden Bough* stała na kotwicy ze zwiniętymi żaglami, kiedy strumień nagle się zwęził i urwiska po obu stronach stały się bardziej strome, jakby wielki bóg Thor wyciosał je swoim niebiańskim młotem.

– To tutaj, panie Danielu! – zawołał Hal do drugiej łodzi i pociągnął rumpel, żeby podpłynąć do południowego brzegu i zacumować do tej samej skały, której jego ojciec używał w tym samym celu. Przez chwilę siedział w milczeniu, składając hołd człowiekowi, który go spłodził i starannie przygotował do twardego życia na falach oceanu. Kiedy uniósł głowę, zobaczył, że Aboli na niego patrzy. Wymienili spojrzenia, Hal skinął głową do przyjaciela i wieloletniego towarzysza; rozumieli się bez słów i doskonale zgadzali.

Hal wstał i zarzucił na ramiona dwa zwoje liny, krzyżując je na piersi.

– Ja pierwszy, ty następny – zwrócił się do Abolego. – Danielu, zatrzymaj czterech ludzi do załadowania łodzi tym, co opuścimy. Pozostali, zapalili lonty i mieć oczy szeroko otwarte.

Hal skoczył na wąską półkę pod ścianą skalną i zaczął się wspinać.

– Ostrożnie, Gundwane! – zawołał za nim Aboli. – Nie ma pośpiechu.

Hal nie zwrócił uwagi na jego słowa, gdyż nagle ogarnął go przymus strasznego pośpiechu. Czy skarb leżał nienaruszony przez wszystkie te lata, czy może został odkryty przez jednego z wielu, którzy go poszukiwali? Czy jaskinia jest pusta, czy może pełna złota?

Choć żaden wyraźny szlak nie prowadził w górę skalnej ściany, nie przystanął ani razu; wspinał się nieustraszenie szybko i zwinnie, aż w końcu wciągnął się na wąską półkę niewidoczną dla tych w szalupach daleko w dole. Głazy tarasujące wejście do jaskini były ułożone dokładnie tak, jak obaj z Abolim zostawili je dawno temu. Jego serce śpiewało z radości, gdy zdejmował jeden kamień po drugim i odkładał na bok.

Kiedy otwór był dość duży, wczółgał się do środka i wyprostował ostrożnie, bo strop był niski i nierówny. Czekał, aż oczy przywykną do mroku rozpraszanego przez wnikający z zewnątrz wąski snop dziennego światła. Głębie jaskini były spowite w ciemności.

Hal sięgnął do kamiennej półki na wysokości głowy i po omacku znalazł rzeczy, które jego ojciec położył tam podczas ich ostatniej wizyty. Przytulił je do piersi i osunął się na kolana. Postawił dwie świece na skalnym podłożu, skrzesał iskry krzesiwem i stalą. Pakuły, suche jak piaski Sahary, od razu stanęły w płomieniach. Zapalił od nich obie świece. Usiadł i z nadzieją oraz strachem uniósł wzrok i spojrzał w głąb jaskini.

Wszystko tam było. Nienaruszone. Wszystkie baryłki, beczki, worki i skrzynie

wyglądały tak, jak zostawili je razem z ojcem. Srebra i sztabki złota leżały w schludnych stosach. Cenne metale były jasne i nieskazitelne.

Hal osunął się na kolana i przypomniał sobie słowa ojca.

„Każdy jeden z nas winien jest śmierć Bogu. Kiedy nadejdzie czas, żebym spłacił mój dług, niech to będzie moją spuścizną dla ciebie”.

– To zbyt wiele, ojciec – powiedział głośno i natychmiast usłyszał odpowiedź:

– Na początek zapłacisz wicehrabiemu Wintertonowi tyle, ile wciąż mu jesteś winien za *Golden Bough*. Następnie możesz sobie znaleźć kilka tysięcy akrów najlepszej ziemi na zielonym, malowniczym wybrzeżu Anglii i dwór, w którym będziesz mieszkać z piękną kobietą i tuzinem piszczących szkrabów.

Hal skoczył na równe nogi, obejrzał się i zobaczył Abolego, dyszącego ciężko po wspinaczce na urwisko.

Poklepał go po ramieniu, a potem razem przez jakiś czas stali w milczeniu, jakby składali hołd człowiekowi, który zdobył tę wielką fortunę dla syna i zapłacił za to życiem.

Wspominali katusze, jakich zaznał z rąk Powolnego Johna, oprawcy i kata, który wykonywał swoją straszną pracę na rozkaz de Veldego, gubernatora holenderskiej Kolonii Przylądkowej.

– Było warto, Aboli? – Hal w końcu przerwał milczenie.

– Twój ojciec wierzył, że tak. – Afrykanin wzruszył ramionami. – Oddał za to życie, więc teraz twoim obowiązkiem jest przyjęcie tego skarbu, żeby jego ofiara nie poszła na marne.

– Dziękuję – rzekł Hal cicho, ale szczerze. – Bez tej dobrej rady mógłbym odrzucić spuściznę ojca i do końca życia cierpieć z tego powodu.

Przez następne dwa dni spuszczała z urwiska ten ogromny ciężar metalu i kamieni szlachetnych i ładowali go do dwóch szalup. Gdy zakończyli, na obu łodziach zostało bardzo mało wolnego miejsca. Hal wysłał większość ludzi z linami, żeby holowali łodzię wzdłuż brzegu, a sam z Abolim zajmował się sterowaniem. Posuwali się powoli i pierwszej nocy obozowali na brzegu rzeki. Ruszyli nazajutrz przed wschodem słońca.

Jeszcze półtora mili dzieliło ich od laguny, gdzie cumowała *Golden Bough*, gdy usłyszeli dudnienie jakby dalekiego grzmotu. Wszyscy przerwali pracę i z zaskoczeniem spojrzeli w niebo. Chmury były gęste i ciemne, ale nie dostrzegli znaków nadciągającej burzy.

– Grzmot? – zapytał Daniel.

– Nie! – zawołał Aboli z pierwszej łodzi. – To nie grzmot, to był strzał z armaty!

– Najprawdopodobniej sygnał zagrożenia ze *Golden Bough*! – krzyknął Hal. – Okręt został zaatakowany.

Nie był Myszołowem; niech diabli wezmą tych wszystkich, którzy tak myśleli. Był – zawsze był – Angusem Cochranem, hrabią Kumbrii i Rycerzem Nawigatorem Świątyni Zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala, tak jak Hal Courtney i przed nim jego ojciec.

Jedyna różnica między nimi polegała na tym, że oni robili wielką sprawę z honoru, godności i bitwy dla Chrystusa i Świętego Graala, podczas gdy on zawsze wiedział, że to wszystko jest pozbawionym znaczenia średniowiecznym pustosłowiem. Chcieli zrobić z niego pośmiewisko, przezywając Myszołowem, tak jak księżę Jahan próbował go poniżyć i ujarzmić, zamykając go w tej przeklętej masce.

Ale teraz maska przydawała mu sił. Sprowadziła go ze skraju śmierci w płomieniach. Ukryła jego zmasakrowaną twarz i przeobraziła go w tajemniczą istotę. Budziła przerażenie w sercach jego wrogów. Znowu był silny. Znowu był zażartym, bezlitosnym wojownikiem.

Zastawił sidła i złapał w nie młodego Hala Courtneya, z opuszczonymi gaciami i gołą dupą wystawioną na wiatr.

Cochran może stracił rękę, oko i prawie całego kutasa, ale jego mózg pracował jak trzeba i rapier w jego prawicy nadal był zabójczy.

Od trzech dni, od przybycia *Golden Bough* do Słoniowej Laguny, *Madre de Deus* była gotowa do natychmiastowego działania. Marynarze czekali na rejach, gotowi rozwinąć wszystkie żagle, a działowi stali przy armatach załadowanych prochem i kulami.

Szpiedzy Myszołowa widzieli, jak dwie szalupy odbijają od *Golden Bough* i kierują się na koniec laguny do ujścia rzeki, a potem znikają za pierwszym zakrętem, płynąc pod prąd w stronę płaskowyżu w głębi lądu. Patrząc przez lunety, rozpoznali Hala Courtneya i jego czarnego pomagiera, Abolego. Nie doczekali się ich powrotu. Oczywiście, mogli wrócić po zmroku, kiedy nikt nie mógłby ich dostrzec, ale przecież nie mogliby niezauważalnie wymknąć się z laguny.

Dlatego przed świtem czwartego dnia czekania Myszołów zdecydował, że pora zatrzasnąć pułapkę przeznaczoną dla Hala Courtneya. Z załogą na stanowiskach bojowych wpłynął pomiędzy cyple, które strzegły wejścia do Słoniowej Laguny z

Oceanu Indyjskiego. Stał na dziobie *Madre de Deus* z lunetą zatknietą pod ramię, jego jedyne oko gniewnie patrzyło przez dziurę w skórzanej masce na wody zatoki. Zobaczył, że *Golden Bough* stoi na kotwicy z zamkniętymi ambrazurami i bez jednego żagla na masztach. Pokład świecił pustką i tylko jeden obserwator czuwał w bocianim gnieździe.

Jedna szalupa leżała na plaży w pobliżu wejścia do laguny. Załoga najwyraźniej zeszła na ląd, żeby napęlić beczułki słodką wodą ze strumienia. Kolejna szalupa była po drugiej stronie, z obsadą wysłaną po pęki naciętego drewna. O tej wczesnej porze ludzie skupiali się wokół ognisk na plażach, zajęci jedzeniem śniadania popijanego kawą i herbatą.

Było jasne, że Hal Courtney przygotowuje się na długą podróż wokół Przylądka Dobrej Nadziei i na północ przez Ocean Atlantycki do Wysp Brytyjskich. Ale w tej chwili marynarze znajdowali się daleko od statku, nieświadomi, że do laguny nagle i po cichu wchodzi uzbrojony trójmasztowiec.

Myszolów odwrócił się i zawołał do kapitana Barrosa na pokładzie rufowym:

– Strzel z działa, żeby wyrwać te małpy z transu, kapitanie. – Jego głos, choć zniekształcony przez wąski otwór maski, był całkiem zrozumiały dla oficerów na pokładzie rufowym.

Barros wydał rozkaz działowemu na niższym pokładzie i jeden strzał armatni poniósł się nad wodą i odbił echem od wzgórz otaczających lagunę.

Kompletnie zaskoczeni ludzie Courtneyego spojrzeli na *Madre de Deus*, która jakby cudem pojawiła się przed nimi w pełnym rynsztunku bojowym.

– Sterować na *Golden Bough* – dał następny rozkaz Myszolów. – Będzie łatwym łupem, bo jest odizolowana od ludzi. – Charknął i wypluł za reling żółtą flegmę. – Chcę dorwać Courtneyego, słyszysz? Ale jeśli nie ma go na pokładzie, chcę jego kobietę.

Judith Nazet była w kajucie, którą zajmowała z Halem na *Golden Bough*. Siedziała przy małym sekretarzyku pod iluminatorami rufowymi. Usłyszała nieśmiało pukanie do drzwi i zaraz potem Mossie wetknął kędzierzawą głowę do kajuty.

– Dzień dobry, miła pani. Przyniosłem kawę, bez mleka i bez cukru.

– Dziękuję, Mossie. Skąd wiesz, że właśnie taką lubię?

– Bo taką zawsze pijesz – odparł z szerokim białym uśmiechem. Był to ich stały rytuał.

Mossie wszedł i starannie zamknął za sobą drzwi, po czym stanął na palcach,

żeby położyć srebrną tacę na sekretarzyku przed Judith.

– Czy mam dla ciebie zdmuchnąć lampy, piękna pani? – Wyciągnął rękę do latarni w uchwycie na grodzi nad jej głową. Z sufitu nad podwójną koją zwisało sześć takich samych lamp, a więcej znajdowało się w innych dziwnych miejscach w kajucie.

– Nie, Mossie, dziękuję. Dzień jest ciemny i pochmurny. Niech wszystkie lampy się palą, dopóki nie wyjdzie słońce.

Chłopiec pokiwał głową, szarpnął za lok nad czołem, jak go nauczono, i tyłem wyszedł z kajuty. Judith uśmiechnęła się do siebie. Naprawdę polubiła tego chłopca. Westchnęła, zanurzyła pióro w kałamarzu i zawiesiła je nad otwartym dziennikiem.

Zaczęła pisać:

...ta mała bestia kopala i nie dawala mi spać przez całą noc. Odetchnę z wielką ulgą, kiedy w końcu wyskoczy i stanie na własnych nogach...

Strzał armatni huknął tak blisko i głośno, że równie dobrze mógł zostać oddany w jej kajucie. Judith zadrżała tak gwałtownie, że atrament spłynął z koniuszka pióra i zrobił kleks na stronie dziennika. Zerwała się z krzesła i spojrzała przez iluminator na lagunę.

Madre de Deus sunęła niczym duch prosto w jej stronę. Nigdy wcześniej nie widziała tego statku, ale jej doskonale rozwinięty instynkt wojownika ostrzegł, że jest wrogi i stanowi śmiertelne zagrożenie.

Na masztach fregaty powiewały flagi bojowe i ze wszystkich ambrazur wystawały długie lufy armat.

Nie marnując ani sekundy, Judith wysunęła górną szufladę sekretarzyka, w której wgłębieniach leżały dwie pary pistoletów. Wszystkie były załadowane i przygotowane do strzału. Wsunęła jedną parę za żółtą szarfę wokół talii. Otworzyła drzwi i ruszyła po zejściówce na główny pokład.

Zanim tam dotarła, okręt zadrżał pod jej nogami, gdy uderzył w niego kadłub innego statku. Jednocześnie wybuchły dzikie okrzyki i tupot biegnących stóp. Wyszła na pokład i szybko się rozejrzała.

Przy burcie *Golden Bough* unosił się na wodzie drugi statek, z którego rzucono wiele haków abordażowych. Judith ujrzała wyłaniającą się nad okrężnicą głowę mężczyzny. Pamiętając opis podany jej przez Hala, rozpoznała go przede wszystkim po jaskraworóżowej bliźnie, która biegła od kącika ust w górę, do linii włosów.

Był to właściciel portugalskiego statku niewolniczego, człowiek, który niedawno sprzedał Hala do niewoli. Nazywał się João Barros. Wiedziała, że jest kapitanem *Madre de Deus*, a zatem to ten statek stanął burta w burtę ze *Golden Bough*.

Bez chwili wahania podniosła pistolet w prawej ręce i strzeliła. Kula uderzyła w środek czoła Barrosa i odchyliła jego głowę do tyłu z taką siłą, że rozległ się trzask pękającego kręgosłupa. Barros zniknął z pola widzenia, ale zaraz potem ukazała się następna głowa.

Głowa bez ludzkiej twarzy. Judith miała przed sobą skórzaną maskę, groteskową parodię ludzkich rysów z jednym okiem i orlim dziobem zamiast nosa. Dziura służąca za usta była okolona rzędem oślepiająco białych zębów wyszczerzonych w koszmarnym uśmiechu.

– Myszołów! – szepnęła. Szok sparaliżował ją na moment. Rzuciła pusty pistolet i zaczęła unosić ten, który trzymała w lewej ręce. Tymczasem Myszołów przyskoczył z szybkością atakującej żmii, jego rapier śmignął i wytrącił broń z jej dłoni. Cios był tak silny, że zdrętwiało jej całe ramię. Nawet nie pomyślała o tym, żeby sięgnąć po jeden z pistoletów zatkniętych za szarfę. Wiedziała, że Myszołów odetnie jej rękę w nadgarstku, zanim zdąży zacisnąć ją na broni. Przemknęła pod jego ostrzem i rzuciła się do tyłu w otwartą zejściówkę. Stoczyła się ze schodów w płataninie spódnic, pistolety wysunęły się z za szarfę i grzechotały, spadając razem z nią. Jeden wypalił w kłębie dymu i błysku płomienia, na szczęście kula przeszła bokiem i ugrzęzła z drewnie, wyrrywając z niego drzazgi.

Kiedy Judith znalazła się na samym dole, spojrzała w górę i zobaczyła, że Myszołów pędzi za nią po schodach, potrząsając rapierem i wrzeszcząc jak oszalały upiór, w masce wyszczerzonej w obłąkańczym zębatym uśmiechu. Przygarbiony, z jednym ramieniem wyżej niż drugie, przypominał wielką małpę.

Wstała i rzuciła się w stronę szeroko otwartych drzwi kajuty. Natychmiast je zatrzasnęła, ale w tej samej chwili runął na nie całym swoim ciężarem. Drzwi się otworzyły i pchnęły ją na podwójną koję.

Myszołów stanął nad nią i poderwał rapier nad głowę, ale gdy go opuścił, mierząc w jej twarz, przetoczyła się w bok i ostrze uderzyło w ramę koi.

Judith upadła na podłogę i wylądowała pod grodzią, a Myszołów, miotając przekleństwa z za maski, próbował uwolnić swój rapier, który ugrzązł w drewnie.

– Ty cuchnąca dziwko, rozetnę twoje śmierdzące, gnijące łono. Wyciągnę

twojego bękarta, porąbię go na kawałeczki i wepchnę ci je do gardła. – Wciąż szarpał rękojeść, próbując wyrwać ostrze.

Judith wstała, rozpaczliwie błędząc wzrokiem po kajucie. Nie miała broni, a Myszołów tarasował drogę do drzwi. Jedyna droga ucieczki wiodła przez iluminatory po drugiej stronie kajuty. Jeśli zdoła się wydostać, będzie mogła dopłynąć do plaży.

Odepchnęła się od grodzi i rzuciła ku rufie. Myszołów puścił rękojeść rapiera i zamierzył się na nią, gdy przebiegała. Uderzył ją pięścią w ramię, tak że straciła równowagę i upadła na sekretarzyk pod oknem. Wyprostowała się i stała z plecami przyciśniętymi do grodzi, patrząc na Myszołowa, gdy się zbliżał, przygarbiony, powłócząc nogami. Wyciągnął ku niej trójpalczastą rękę.

– Proszę... – zaczęła go błagać. – Proszę, pozwól żyć mojemu dziecku.

Nagle poczuła gorąco z tyłu głowy. Uniosła rękę i jej palce dotknęły szklanego klosza zapalanej lampy. Syknęła, gdy żar sparzył jej skórę. Otrząsnęła się z czarnej rozpacz, ból wzbudził w niej nadzieję. Oburącz chwyciła szklany zbiornik z olejem, szarpnęła z całej siły, żeby go wyrwać z uchwytu, i rzuciła nim w okrytą maską głowę.

Szkoło pękło, olej bryzgnął na głowę i ramiona Myszołowa. Ogień błyskawicznie się rozprzestrzenił, przemieniając go w żywą pochodnię. Zatonął i upadł na łóżko, próbując zgasić płomień jedyną ręką.

Pościel się zajęła i płomień skoczyły pod sufit. Myszołów się miotał, przypiekany jak świnia na rożnie. Maskę spłonęła, odsłaniając zmasakrowaną twarz. Widok był tak upiorny, że Judith musiała odwrócić wzrok. Wybiegła z kajuty na schody.

Wpadła na otwarty pokład i stanęła, płaczem odreagowując strach i łapczywie chwytając cudowne morskie powietrze, żeby przepędzić dym z płuc. Nagle zamknęły się wokół niej silne ręce i usłyszana umiłowany głos.

– Na Boga Wszechmogącego, co się tutaj dzieje? Dlaczego płaczesz?

Judith obróciła się w ramionach Hala i przywarła do niego.

– Kochanie! Dzięki Bogu, że jesteś. Chciał nas zabić, mnie i nasze dziecko.

– Kto?

– Myszołów!

– Cochran? Gdzie on jest?

– W naszej kajucie.

Hal ją puścił i się odwrócił.

– Aboli! Duży Danie! Pożar! Ogień na dole. Ludzie do pomp!

Wszystkie pompy – i cała załoga – pracowały przez cały poranek, żeby opanować pożar. W końcu Hal i Judith mogli zejść do kajuty. Stanęli w drzwiach i spojrzeli na spustoszone przez ogień, wciąż zadymione wnętrza. Zwęglone zwłoki leżały na koi wśród tłących się popiołów jak prosię zostawione zbyt długo na rożnie.

– To Myszołów? – zapytała szeptem Judith. – Wydaje się taki mały.

– Tak ogień robi z człowiekiem. – Hal objął ją ramionami. – Za pierwszym razem spłonął jako Cochran. Za drugim jako Myszołów. Teraz będzie płonąć przez całą wieczność jako diabeł, podsycając otaczające go płomienie.

Zadrzała i Hal wyprowadził ją z poczerniałej, wypalonej kajuty na pokład. Duży Daniel Fisher czekał na niego przy zejściówce.

Zasalutował, stukając dłonią w czoło.

– Rozkazy, jeśli łaska, kapitanie.

– Najpierw wyładujemy ładunek z szalup i umieścimy go bezpiecznie w głównej ładowni.

Duży Danny wyszczerzył zęby na wzmiankę o skarbie.

– Tak jest, kapitanie. I co dalej?

– Każ cieślom wyczyścić kajutę i naprawić to, co zostało spalone. Powiedz, żeby tym razem pomalowali wszystko na białą. Generał Nazet i ja jesteśmy znużeni tymi błękitnymi jak niebo grodziami.

Hal poszedł wydać rozkazy sternikowi, a po powrocie ujął Judith za rękę.

Poprowadził ją na pokład rufowy, jedyne miejsce, gdzie mogli być sami. Oparli się o reling, stojąc ramię w ramię, i przez długi czas milczeli. Wreszcie Judith westchnęła i odezwała się miękkim głosem:

– Graal jest bezpieczny. Wypełniłam mój obowiązek. Mam dość walki i zabijania. Może znajdziemy jakieś miejsce, gdzie będę mogła urodzić nasze dziecko, gdzie ty i ja będziemy mogli żyć w spokoju i szczęściu do kresu naszych dni?

Hal się zaśmiał.

– Właśnie dokładnie opisałaś High Weald.

– High Weald? Dziwna nazwa! Co to jest i gdzie się znajduje?

– To dom moich przodków na południu Anglii, najbezpieczniejsze i najpiękniejsze miejsce na całym świecie.

– Zabierz mnie tam, najdroższy. Proszę, zabierz mnie tam natychmiast! Tak cię proszę! – Obróciła się w kręgu jego ramion i go pocałowała, podczas gdy on ją mocno przytulał.